ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY SIÓDMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT LITERACKI
PARYŻ 1989

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY SIÓDMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT LITERACKI
PARYŻ 1989

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 447

P.12.056
Tlegr.

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0115-0

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

1989 w 1228/2

Piotr SKRZYNECKI

GDY UMIERAŁ PREZYDENT RACZKIEWICZ...

Dzieje legalizmu rządu polskiego w Londynie znają wiele dramatycznych momentów. Pośród nich kryzys wywołany śmiercią prezydenta Raczkiewicza wydaje się najważniejszy. Rozpoczął on okres rozbicia obozu legalistycznego i podziały w niemal wszystkich stronnictwach politycznych. Dopiero po wielu latach udało się przezwyciężyć kryzys — z pożytkiem dla całej emigracji.

Wiosną 1947 roku sytuacja polskich władz na emigracji była trudna. Wycofanie uznania dla Rządu w lipcu 1945 roku ograniczało możliwości występowania na arenie międzynarodowej. Protest i odrzucenie układów jałtańskich przez rząd Arciszewskiego spotkały się z niezadowoleniem Aliantów. Rząd protestował przeciwko uznaniu rządu warszawskiego, gdyż „Tymczasowy Rząd Polski Jedności Narodowej jest nielegalny i przez Naród Polski dobrowolnie uznany być nie może. Utworzony on został na podstawie nie mającej precedensu procedury, podczas gdy całe terytorium Polski jest okupowane przez wojska sowieckie i gdy Polacy pozbawieni są podstawowych praw człowieka i obywatela". Jednocześnie Rząd stwierdzał, że „uprawnienia swoje przekaże jedynie rządowi, który powstanie na wolnej ziemi polskiej i będzie odpowiadał woli Narodu, wyrażonej w swobodnych wyborach". W roku 1946 Anglicy zarządzili demobilizację Polskich Sił Zbrojnych bez porozumienia z władzami polskimi, wobec których obowiązywała złożona przez żołnierzy przysięga. Przebieg i warunki demobilizacji wywołały wiele rozgoryczenia.

Najistotniejszym zagadnieniem w stosunkach wewnętrznych

była sprawa następstwa Prezydenta. Zgodnie z „umową paryską"[1], na podstawie opinii Rady Jedności Narodowej w Kraju, prezydent Raczkiewicz udzielił dymisji gen. Sosnkowskiemu i równocześnie, 7 sierpnia 1944 roku, wyznaczył Tomasza Arciszewskiego następcą Prezydenta. Na okres premierostwa Arciszewskiego przypadło wiele trudnych momentów, o których wspomniałem wcześniej. Arciszewski jako premier rządu polskiego oddał wielkie usługi sprawie polskiej.

Od początku 1947 roku stan zdrowia prezydenta Raczkiewicza nie przedstawiał się dobrze, tak że pytanie kto obejmie po nim urząd stawało się coraz bardziej aktualne. Niektóre osoby, nie zawsze jawnie, wysuwały różne zarzuty pod adresem Arciszewskiego. Oczywiście poglądy indywidualne w tej sprawie nie miały zasadniczego znaczenia, istniał akt prawny jednoznacznie tę sprawę rozstrzygający. Jednak, wobec istniejących pogłosek, Arciszewski postanowił poruszyć tę sprawę w rozmowach z Prezydentem, na które udał się do Ruthin w Walii, gdzie Raczkiewicz przebywał od początku marca. Rozmowy te miały miejsce 21 i 22 kwietnia[2]. W czasie ich trwania Raczkiewicz nie wspominał o tym, by zamierzał coś zmienić w sprawie następstwa. Głównym tematem rozmów była rekonstrukcja Rządu, tak aby jego skład odpowiadał wojennemu, który był oparty o koalicję czterech stronnictw. Rekonstrukcja ta była od pewnego czasu przedmiotem dyskusji; była zapowiadana, a jej brak niepokoił gen. Andersa, czemu dał wyraz w czasie swoich spotkań z Arciszewskim. W czasie rozmów Prezydent stwierdził, że zmiana składu rządu nie należy do gen. Andersa, ale jest wskazane przeprowadzenie jej w krótkim czasie ze względu na „zaniepokojenie wojska". Raczkiewicz zgadzał się, że podstawą Rządu powinny pozostać stronnictwa polityczne. Jako czwarte stronnictwo wchodzące w skład koalicji wspomniane było Stronnictwo Ludowe „Wolność", które kompensowałoby brak ludowców w Rządzie. Gen. Andersa należałoby poinformować przed dokonaniem tych zmian. Poruszono również planowaną podróż Augusta Zaleskiego, szefa Kancelarii Cywilnej, do Stanów Zjednoczonych. Sprawy finansowe związane z tą podróżą miały być uzgodnione z gen. Andersem. Celem jej było uregulowanie spraw rządowych wobec rezygnacji amba-

1. Tzw. umowa paryska, zawarta w przemówieniu Prezydenta z 30 listopada 1939 roku stwierdzała, że Prezydent swoje prerogatywy wynikające z art. 13 i 24 Konstytucji będzie wykonywał w porozumieniu z premierem. Później dodano wykładnię uzupełniającą z 22 października 1940 roku (tzw. wykładnię Liebermana) dotyczącą konsultowania stronnictw przy wykonywaniu wspomnianych artykułów Konstytucji.

2. Generał Anders spotkał się z Prezydentem 20 kwietnia.

sadora Ciechanowskiego. Zaleski miał się spotkać z prof. Haleckim i z gen. Sosnkowskim, którego przyjazd do Stanów Zjednoczonych z Kanady był oczekiwany. Mieliby oni prowadzić akcję Rządu na terenie Stanów Zjednoczonych. Jak wiadomo, gen. Sosnkowski nie otrzymał wizy amerykańskiej, a zresztą niewiele osób w tym czasie myślało o wykorzystaniu jego osoby w sprawach politycznych. Wręcz przeciwnie, jego pobyt w Kanadzie zdawał się być na rękę niektórym politykom. Te zagadnienia przestawia książka Stanisława Babińskiego „Kazimierz Sosnkowski". Zdaniem Ottona Pehra „W Waszyngtonie rozeszły się w środowisku polskim pogłoski, iż p. Zaleski gdy przyjedzie do Ameryki, będzie już miał w kieszeni nominację na następcę Prezydenta w miejsce Arciszewskiego".

Następstwo Arciszewskiego niepokoiło niektóre osoby stojące blisko Prezydenta. Adam Pragier wspomina spotkania, na których uzgodniono, że należy wpłynąć na Prezydenta, by zmienił swoją decyzję. Według niego interwencja stała się niepotrzebna, gdyż 26 kwietnia Raczkiewicz podpisał nominację Zaleskiego na następcę prezydenta. Należy rozumieć, że treść podpisanych dokumentów była niektórym osobom znana od początku, ale nieznana nikomu spoza ich grona.

W końcu maja stan zdrowia Prezydenta uległ ponownemu pogorszeniu, tak że w najbliższych dniach można się było spodziewać jego śmierci. W tej sytuacji Arciszewski zdecydował się na wyjazd do Ruthin, dokąd udał się 30 maja. Przed wyjazdem powiadomił o tym gen. Andersa, proponując mu wspólną podróż, ale gen. Anders z tego nie skorzystał. Przyjechał do Ruthin 1 czerwca przed południem razem z gen. Odzierzyńskim i kpt. Lubomirskim i udał się na rozmowę z Prezydentem. Arciszewski także spodziewał się odbyć rozmowę z Prezydentem tego samego dnia[3]. Na miejscu zastał gen. Andersa, który powiedział, że Gen. Anders odpowiedział, że podporządkuje się woli Prezydenta. Prezydent powziął ostateczną decyzję w sprawie następstwa, zawartą w listach do Arciszewskiego, do Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych (generała Andersa) i do Prezesa Najwyższej Izby Kontroli (Tadeusza Tomaszewskiego). Wspomniał, że tę decyzję Prezydent podjął dość dawno. Arciszewski stwierdził ze swej strony, że przeczy to dotychczasowym oświadczeniom Prezydenta. Następnie — po rozmowie z lekarzami — powiedział w obecności

3. W protokole posiedzenia Rady Ministrów z 7 czerwca 1947 roku jest wspomniane, że Arciszewski widział się z Prezydentem 30 i 31 maja 1947 roku oraz 1 czerwca. Zwraca uwagę częstsze powoływanie się na spotkania z 21 i 22 kwietnia, niż na te ostatnie, w czasie których miał otrzymać pełnomocnictwa dotyczące konsultacji w sprawie rekonstrukcji Rządu.

przybyłych osób: „Wobec bardzo poważnego stanu zdrowia Pana Prezydenta lekarze stanowczo zabronili jakichkolwiek wizyt w dniu dzisiejszym. Prosiłem tylko lekarzy, by zezwolili, wobec tego że ja odbyłem rozmowę z Panem Prezydentem, na krótką wizytę Pana Premiera. Miałem wrażenie, że ostatni raz widzę Pana Prezydenta. Prosił, bym pozdrowił wojsko".

Tego samego dnia Arciszewski telefonował do Zaleskiego z prośbą o jego przyjazd do Ruthin. Zaleski odpowiedział, że uczyni to następnego dnia, gdyż musi najpierw spotkać się z gen. Andersem, który przywiózł mu z Ruthin do Londynu ważne pismo od Prezydenta. Również tegoż dnia Arciszewski skierował pismo do Prezydenta, w którym wspominając trudności „ułożenia współpracy Rządu RP z czynnikami wojskowymi" prosi o przyjęcie jego dymisji, co „z uwagi na stan zdrowia Pana Prezydenta, ułatwi mi jako następcy Pana Prezydenta, zgodnie z wyrażoną przez Niego wolą, przeprowadzenie konsultacji, zmierzających do zmiany Rządu RP".

Dnia 2 czerwca Arciszewski został powiadomiony przez swoje biuro, że telefonował gen. Anders z prośbą o spowodowanie jego przyjazdu do Londynu w celu doręczenia mu pisma Prezydenta. Tegoż dnia adiutant gen. Andersa dostarczył do biura Premiera powiadomienie podpisane przez gen. Andersa i przez Tomaszewskiego dotyczące powyższej sprawy. Wieczorem tegoż dnia gen. Anders i Tomaszewski przybyli do biura Premiera, powiadamiając osobiście, że posiadane przez nich pisma dotyczą zmiany na stanowisku następcy Prezydenta.

Dnia 3 czerwca Arciszewski wystosował pismo do Prezydenta, w którym powołując się na „umowę paryską" stwierdził, że nie może „przyjąć do wiadomości jakiejkolwiek jednostronnej decyzji Pana Prezydenta, która oznaczałaby przekreślenie zasady nadal obowiązującej Pana Prezydenta i Jego Następcę wobec Narodu i czynników kierujących życiem politycznym w Kraju i na uchodźstwie". Wieczorem tegoż dnia doszło do spotkania Arciszewskiego z gen. Andersem i Tomaszewskim, którzy przyjechali do Ruthin. Gen. Anders odczytał nominację Zaleskiego na następcę Prezydenta oraz list Prezydenta skierowany do Arciszewskiego. Na wstępie Prezydent wyjaśniał, że gen. Anders i Tomaszewski występują w charakterze jego mandatariuszy. Właściwy list rozpoczynał się od przypomnienia okoliczności wysunięcia kandydatury Arciszewskiego na następcę Prezydenta, co wiązało się z opinią Kraju, że należy oddzielić następstwo Prezydenta od funkcji wojskowych i stanowisk politycznych. Później — pisał Prezydent — „stanąłem wobec konieczności powierzenia opuszczonego przez Pana Mikołajczyka steru rządu w pewne i wypróbowane ręce.

Wziął Pan wtedy na siebie ten ciężki i odpowiedzialny obowiązek i stanął Pan u steru miotanej przez burzę dziejową nawy państwowej". W dalszym ciągu listu Prezydent pisał, że okoliczności nie pozwalały mu uważać sprawy następstwa za pilną, „jedność narodowa na uchodźstwie przeszła ciężki kryzys wywołany przez panów Mikołajczyka i Popiela, również wybór kandydata nie był łatwy ze względu na zniszczenie życia politycznego w Kraju przez okupację sowiecką". Obecnie jednak Prezydent uważa, że ze względu na swój stan zdrowia nie można dalej odkładać uregulowania sprawy następstwa, tym bardziej „że nie powinienem w naszym tak trudnym i skomplikowanym położeniu dopuścić do zaistnienia sytuacji, w której musiałaby jednocześnie nastąpić zmiana na stanowisku Prezydenta Rzeczypospolitej i Prezesa Rady Ministrów, zwłaszcza że osoba Pana na stanowisku premiera jest obecnie nie do zastąpienia". Dalej Prezydent charakteryzował swego kandydata, Zaleskiego, jako „wybitnego patriotę, doceniającego konieczność współpracy wszystkich kierunków niepodległościowej myśli politycznej, długoletniego i doświadczonego działacza i męża stanu, znanego całemu światu na arenie polityki zagranicznej, a przy tym niezaangażowanego w działalność partii politycznych, a więc gwarantującego niezbędną na urzędzie prezydenta bezstronność". Dalej było wspomniane, że Prezydent zobowiązał Zaleskiego do przestrzegania „umowy paryskiej" i wyjaśnione, że list i zarządzenie mianujące Zaleskiego następcą Prezydenta będą zdeponowane na wypadek, gdyby stan zdrowia Prezydenta nie pozwalał na bezpośrednie omówienie sprawy z Arciszewskim. Na koniec Prezydent wyraził nadzieję, że Arciszewski „zrozumie i należycie oceni motywy tej mojej decyzji".

Wywiązała się ostra dyskusja, w której Arciszewski stwierdzał, że Prezydent niejednokrotnie mówił, iż nic nie uległo zmianie i udzielił mu pełnomocnictw, pisma nie były mu przedstawione zaraz po ich podpisaniu i jako premier aktu tego nie uznaje i nie uzna. Równocześnie domagał się wspólnej rozmowy z Prezydentem, której gen. Anders poprzednio unikał.

Dnia 4 czerwca miała miejsce rozmowa Arciszewskiego z Zaleskim, który przyjechał do Londynu. Zaleski powiedział, iż w czasie spotkania 16 kwietnia Prezydent oświadczył mu, że chce go wyznaczyć swym następcą. Później napisał list do Prezydenta, w którym prosił go o konsultację z Premierem dla zachowania obowiązujących zasad. Prezydent podpisał akty 26 kwietnia w obecności inż. Piotrowskiego i powierzył mu je z zachowaniem tajemnicy. Dopiero pogarszający się stan zdrowia Prezydenta spowodował dostarczenie tych aktów gen. Andersowi i Tomaszewskiemu, jako mandatariuszom Prezydenta. Arciszewski odparł, iż

nie rozumie, czemu Zaleski jako szef Kancelarii Cywilnej nie dopilnował, by akty zostały załatwione zgodnie z obowiązującymi zasadami, choćby wbrew opinii Prezydenta. Ponownie potwierdził, że aktu nie uznaje. Zaleski zaproponował, by Arciszewski odbył konsultacje z Rządem, gdyż Prezydent nie będzie mógł i nie jest pewne, czy będzie można jeszcze widzieć się z Prezydentem.

Koło południa wszyscy zainteresowani spotkali się w sanatorium, w którym przebywał Raczkiewicz. Przybyłych powiadomiono o ponownym pogorszeniu się stanu jego zdrowia. Następnie dr Długosz oświadczył, że Prezydent jest umierający i ma przed sobą od jednego do pięciu dni życia. Dr Davis powiedział, że Prezydent jest półprzytomny i nie ma możliwości odbycia z nim rozmowy. Po krótkim czasie p. Jadwiga Raczkiewiczowa powiadomiła, że Prezydent wyraził życzenie zobaczenia wszystkich razem. Zebrani udali się do pokoju Prezydenta, który po przywitaniu poprosił, by pozostali przy nim pp. Arciszewski, Anders, Tomaszewski i Zaleski. Prezydent mówił około pół godziny z dużym wysiłkiem, dość cicho i chwilami niezrozumiale. Wspomniał, że chciałby dotrzymać „umowy paryskiej" i uniknąć jakichś nieporozumień. W swoich rozmowach spotkał się z opinią, że lepiej byłoby, aby następcą została osoba bezpartyjna. Zaleskiego uważa za bezpartyjnego i bezstronnego, co jest ważne przy pełnieniu najwyższych stanowisk. Następnie powiedział, że słyszał iż zostały rozesłane dokumenty w sprawie następstwa, co nie powinno mieć miejsca. W celu wykonania „umowy paryskiej" w sprawie następstwa poleca zwołać konferencję stronnictw z udziałem gen. Andersa, Tomaszewskiego i Zaleskiego (tego ostatniego bez prawa głosu), a pod przewodnictwem Arciszewskiego jako swego „zastępcy". Prezydent te konsultacje zamierzał przeprowadzić osobiście, ale nie można już tego dalej odkładać. Arciszewski spytał, czy ma występować jako następca Prezydenta, na co Raczkiewicz odpowiedział: „Zastępca, bo innego słowa nie ma". W tej sytuacji Arciszewski zadał pytanie, czy akt mianujący go następcą Prezydenta jest utrzymany w mocy. Raczkiewicz odpowiedział, że tak ale „promotor ma zawsze prawo wycofać". Wówczas gen. Anders powiedział, że za swej poprzedniej bytności u Prezydenta zrozumiał, iż należy nadać bieg podpisanym dokumentom i wykonując to wraz z Tomaszewskim przedstawił Arciszewskiemu nominację Zaleskiego i list do Premiera. Na to stwierdzenie Raczkiewicz odpowiedział: „Akty zostały rozesłane przedwcześnie i to jest nieporozumienie". Następnie Prezydent zaczął mówić o innych sprawach w sposób niewyraźny, aż lekarz przerwał wizytę.

Potem wszyscy pojechali do Londynu, by odbyć konferencję

stronnictw. Nie doszło już do żadnego innego spotkania z Prezydentem i nie podjął on już żadnych nowych decyzji. Sprawa następstwa pozostawała niejasna i o wszystkim miały zadecydować rozmowy między stronnictwami.

Kluczową sprawą dla dalszych wydarzeń było istnienie aktów podpisanych przez Prezydenta 26 kwietnia 1947 roku. Należy zatem zadać sobie pytanie, jak doszło do ich podpisania. Wyjaśnienia zawarte w liście Prezydenta do Arciszewskiego nie są w pełni przekonywujące. Rozdzielanie funkcji politycznych i następstwa wydaje się nieistotne[4], zwłaszcza że nikt nie zwracał na to uwagi, gdy były one łączone (np. skoro Arciszewski był następcą Prezydenta, nie powinien być wyznaczony na Premiera — a tak zrobił Prezydent). Naprawienie naruszonego porządku miało się odbyć nie przez ustąpienie Premiera, ale przez pozbawienie Arciszewskiego następstwa. Podobną wartość ma argument dotyczący podwójnego przesilenia. Prezydent pisząc „nie mogłem się już zwrócić do Kraju" i na temat zniszczenia życia politycznego zdawał się wyraźnie sugerować, iż mandatu Rady Jedności Narodowej dla Arciszewskiego nie uważa za aktualny. Podważał tym samym istotny argument Arciszewskiego. Akt nominacyjny przestawał mieć charakter „sakralny" (opinia Kraju), mógł podlegać weryfikacji w zależności od układu sił. Bezpartyjność była, być może, pożądana, jednak jej braku nie uważałbym za dyskwalifikujący, gdyż w takiej sytuacji nie należało wyznaczać takiego następcy. Nie było powodów do przypuszczenia, że Arciszewski będzie „stronniczy" — w przeciwieństwie do „bezstronnego" Zaleskiego. Twierdzenie, że Arciszewski jest niezastąpiony jako Premier brzmi, niestety, jak dość banalny komplement. I ostatnia uwaga: Prezydent pisał, że dotychczas nie uważał sprawy za pilną. Nie brzmi to szczerze, gdyż następstwo jest sprawą zbyt poważną, by załatwiać ją w ostatniej chwili. Takie załatwienie sprawy raziło ambicje i nieuchronnie prowadziło do konfliktu politycznego.

Ostatnia rozmowa z Prezydentem zdawała się sugerować, że ostateczne decyzje nie zostały podjęte, choć niewątpliwie Prezydent chciał, by wynik konsultacji stronnictw umożliwił mu wyznaczenie Zaleskiego. Prawdopodobnie orientował się, że kandydatura Zaleskiego ma dość szerokie poparcie, zaś np. Tomaszewski mógł sugerować, że socjaliści pogodzą się ze zdaniem większości.

Istnieją opinie, że na Prezydenta wywierano presję. Myślę, że podsuwano mu pewne sugestie, ale jest istotne, że musiały one wychodzić naprzeciw jego intencjom. Akty bowiem mogły być

4. Potwierdza to współczesna praktyka rządu.

przygotowane, ale nie musiały być podpisane. Obaleniu dotychczasowych decyzji sprzyjało otoczenie Prezydenta. P. Lidia Ciołkoszowa twierdzi, że Prezydent „zamianował Zaleskiego w wyniku spisku, w którym brali udział sami masoni rozmaitego kalibru i rozmaitych poglądów politycznych[5]". O masonach pisał również Tadeusz Katelbach. Jednak nie wszyscy byli masonami, a co najważniejsze nie masoni mieli zadecydować o ostatecznym następstwie. Nie da się nawet logicznie powiązać przebiegu sprawy z faktem, że Tomaszewski, Pragier czy sam Zaleski (?) należeli do masonerii. Wydaje się, że sednem sprawy była zwykła chęć uzyskania większego wpływu na bieg sprawy politycznych, a to — dla osób skupionych wokół Raczkiewicza, a pozbawionych szerszego oparcia politycznego — mogło nastąpić jedynie wtedy, gdy następcą Prezydenta stawał się ktoś z ich grona. Zaleski jako kandydat gromadził w sobie wiele cech pozytywnych, wymienione przez Raczkiewicza można uważać za prawdziwe. Mógł z tego powodu liczyć na poparcie niektórych stronnictw politycznych. Niezależnie od tego, jak będziemy oceniać „spiskowców", można powiedzieć, że Raczkiewicz pozostawiał po sobie niezupełnie jasną sytuację i że był za nią odpowiedzialny.

O następstwie Prezydenta miały zadecydować rozmowy między stronnictwami toczone w dniach 5-7 czerwca. Dnia 5 czerwca, po powrocie z Ruthin, Arciszewski zwołał posiedzenie Komitetu Koordynacyjnego Ministrów, na którym poruszył zagadnienie zmiany na stanowisku Prezydenta i rekonstrukcji rządu. Nie podjęto żadnych uchwał, gdyż przedstawiciele Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Pracy odwołali się do swoich stronnictw. Wieczorem odbyła się pierwsza narada stronnictw, w której udział wzięli również gen. Anders, Tomaszewski i Zaleski. Głównym zagadnieniem było wyjaśnienie stosunku stronnictw do aktów podpisanych przez Prezydenta 26 kwietnia 1947 roku. Na posiedzeniu tym zadeklarowano stanowiska: Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Pracy uznały ważność aktów z 26 kwietnia, zaś PPS odrzuciła ważność tych aktów.

Następnego dnia, późnym wieczorem, wznowiono obrady. Na wstępie Arciszewski powiadomił oficjalnie zebranych o śmierci Prezydenta. Następnie powiedział, że PPS sformułowała już swoje stanowisko na posiedzeniu poprzedniego dnia. Oświadczenie złożyło również Stronnictwo Pracy, brak było ostatecznego stanowiska Stronnictwa Narodowego. Premier był informowany, że stronnictwa nie wchodzące w skład Rządu również chciałyby się wy-

5. Wywiad z Lidią Ciołkoszową: J. Jędrychowska, „Widzieć Polskę z oddalenia", *Spotkania*, 1988 r.

powiedzieć w sprawie następstwa, tak samo przedstawiciele Stronnictwa Pracy przybyli z Kraju. Gen. Anders i Tomaszewski jako mandatariusze Prezydenta stwierdzili, że zgodnie z wolą Prezydenta jedynie stronnictwa wchodzące w skład Rządu powołane zostały do wyrażenia opinii, nie widzą zatem możliwości dopraszania do grona obradujących przedstawicieli innych ugrupowań. Pp. Sopicki i Jóźwiak, przedstawiciele SP, stwierdzili, że reprezentują całość Komitetu Zagranicznego, w tym przybyłych z Kraju.

Następnie zabrał głos gen. Anders i powiedział, że dekret z 26 kwietnia stanowi nominację Zaleskiego oraz że był on doręczony Arciszewskiemu, zaś zarządzenie konsultacji świadczy, że Prezydent chciał dotrzymać „umowy paryskiej". Dla niego, jako przedstawiciela wojska, sprawa jest tym jaśniejsza, że żołnierze przysięgali na Konstytucję, nie zaś na układy polityczne. P. Bielecki powiedział, iż należy żałować, że w konsultacjach nie bierze udziału „czwarty człon" dawnego porozumienia. Stanowisko PPS powoduje, że istnieje dwóch następców Prezydenta. Brak przedstawicieli PPS (w tym momencie na sali byli Arciszewski i Pehr) utrudnia sprawę. Poglądy nie mogą dzielić się na poszczególne stronnictwa. Po rozmowach z przedstawicielami PPS oczekiwał od tej partii jakiegoś innego oświadczenia. P. Folkierski powiedział, że śmierć Prezydenta stanowi dla obozu niepodległościowego ciężki cios, który może osłabić pozycję następcy i Rządu. Powinno to skłaniać do jak największego zjednoczenia, a nie do pogarszania stanu rzeczy przez wewnętrzne rozdźwięki.

W dalszej kolejności zabrał głos Zaleski. Stwierdził, że „w poczuciu konieczności zjednoczenia całego polskiego obozu niepodległościowego oświadcza gotowość, w razie uznania ważności aktu z 26 kwietnia, niezwłocznego ustąpienia na rzecz kandydata, który uzyskałby jednomyślne poparcie wszystkich stronnictw". Po tym oświadczeniu nastąpiła krótka przerwa. Po niej Bielecki zaakceptował oświadczenie Zaleskiego, to samo uczynił Kuśnierz (SP) podkreślając jednocześnie wysiłki Zaleskiego zmierzające do przezwyciężenia kryzysu. Arciszewski poprosił o przerwę dla zasięgnięcia opinii stronnictwa.

Obrady zostały wznowione przed północą. Na salę obrad przybyli przedstawiciele PPS: Pehr, Kwapiński i Białas. Kwapiński stwierdził, że PPS nie może przystać na propozycje Zaleskiego, obawiając się obniżenia prestiżu urzędu Prezydenta. Przypomniał okoliczności wysunięcia Arciszewskiego wolą Kraju na następcę Prezydenta. Na koniec powiedział, że należy Arciszewskiego jak najszybciej wprowadzić na urząd prezydenta, i że innego rozstrzygnięcia PPS nie uzna. P. Berezowski, powołując się na istnienie aktu nominacyjnego z 26 kwietnia, stwierdził, że SN nie wysuwa

żadnych zastrzeżeń natury personalnej, uważa jednak, że nie ma innego wyjścia niż proponowane przez Zaleskiego. Akt 26 kwietnia może budzić zastrzeżenia polityczne w kwestii wykonania „umowy paryskiej", jest natomiast niezaprzeczalnie ważny konstytucyjnie.

Następnie gen. Anders powiedział, że akt z 26 kwietnia unieważnia poprzednią nominację. Deklaracja Zaleskiego umożliwia rozwiązanie komplikacji. Nominacja Zaleskiego jest miarodajna, a wola Prezydenta — zupełnie wyraźna. Wszelka zwłoka i przedłużanie przesilenia mogą mieć dla sprawy polskiej katastrofalne konsekwencje — apeluje zatem o przyjęcie deklaracji Zaleskiego. Później zabrał głos Tomaszewski, który prosił, aby „dostosować się do poziomu patriotyzmu" zmarłego Prezydenta. Zaznaczył, że kwestionowanie legalizmu byłoby jak najbardziej szkodliwe, zaś deklaracja Zaleskiego stwarza możliwości ratowania sytuacji. Zdaniem Pehra, który następnie zabrał głos, propozycje Zaleskiego nie stanowią kroku naprzód, gdyż każdy Prezydent byłby zmuszony do rezygnacji, gdyby zażądały tego wspólną uchwałą wszystkie trzy stronnictwa rządowe. Przypomniał również swoje wywody na temat uprawnień wynikających z art. 13 Konstytucji, a mianowicie: Prezydent nie ma prawa odwołania swojej decyzji odnośnie wyznaczenia następcy bez poprzedniego zrzeczenia się przez następcę. Jego zdaniem wynikało to jasno z brzmienia ustawy konstytucyjnej oraz z precedensów (niemożność usunięcia niemieckich senatorów, mianowanych przez Mościckiego). Tomaszewski zakwestionował wnioski prawne Pehra, również Bielecki stwierdził, że wygłaszane formuły prawne budzą wątpliwości i nie mogą przesądzać sprawy. Według gen. Andersa Prezydent nie miał wątpliwości, że jego stanowisko odpowiada postanowieniom Konstytucji.

P. Białas przypomniał, że Konstytucja 1935 roku byłaby nie do przyjęcia, gdyby nie „umowa paryska". Jego zdaniem każdy akt, nawet zgodny z Konstytucją, ale niezgodny z „umową paryską", musi być uważany za bezprawie. PPS nie przyjmie aktu z 26 kwietnia. Porozumienie uważa za konieczne i myśli, że uda się je osiągnąć, zaś za rozdźwięki odpowiedzialni są ci, którzy wcześniej znali szczegóły sprawy, a zachowali milczenie. Pehr raz jeszcze stwierdził, że sporządzenie i ogłoszenie aktów z 26 kwietnia narusza „umowę paryską", zaś nominacja Arciszewskiego była zgodna z Konstytucją i „umową paryską". Kwapiński dodał, że Prezydent bardzo skrupulatnie dochowywał zobowiązań paryskich. Berezowski wtrącił, że przy nominacji Arciszewskiego SN nie było konsultowane. Nastąpiła przerwa w obradach, które wznowiono o 1.15 w nocy.

Wznowione obrady rozpoczął Arciszewski. Powiedział, że nominacja z 26 kwietnia została ujawniona wbrew woli Prezydenta. Sytuacja wymaga jedności stronnictw politycznych. W swoim stronnictwie zawsze zwalczał szkodliwe wpływy. Uważa, że największym niebezpieczeństwem w chwili obecnej byłyby ataki na legalizm władz polskich. Propozycję Zaleskiego uważa za złą, „gdyż objęcie stanowiska Prezydenta jest faktem zbyt doniosłym, aby można było dopuścić do emulacji, które ciągnęłyby się przez kilka tygodni".

Gen. Anders ponownie wezwał do przyjęcia deklaracji Zaleskiego, gdyż naruszenie legalizmu władz polskich byłoby katastrofą. Jego zdaniem akt z 26 kwietnia jest pełnoprawny i „wojsko nie mogłoby zrozumieć jakiejkolwiek formy nieuznawania go". Bielecki stwierdził, że deklaracja Zaleskiego daje jedyne wyjście z sytuacji i nie należy problemu ustalenia następcy ograniczać w czasie do dwóch tygodni, proponowanych przez Zaleskiego. Uważa również, że wystarczy, aby za przyszłą kandydaturą wypowiedziała się większość stronnictw biorących udział w Rządzie, nie zaś trzy jednogłośnie.

P. Białas raz jeszcze przestrzegł przed naruszaniem „umowy paryskiej". Oświadczył w imieniu PPS, że przyjęcie propozycji Zaleskiego przekreśla możliwość porozumienia. Bielecki zwrócił uwagę, że „umowa paryska" w jej pierwotnej wykładni stanowiłaby „o zastąpieniu dyktatury prezydenta przez dyktaturę premiera". Dodał, że SN dąży do utrzymania ważności „umowy paryskiej" i porozumienia. Zaleski powiedział, że w wykładni Liebermana dotyczącej „umowy paryskiej" było stwierdzone, iż gdyby premier, zasięgając opinii Rządu, nie uzyskał jednomyślności, prawo decyzji przysługiwałoby prezydentowi. Następnie Kwapiński zwrócił uwagę, że akt 26 kwietnia nie był uzgadniany z Premierem, nie było również konsultacji stronnictw. Intencja Prezydenta, by Arciszewski działał jako jego zastępca, jest miarodajna.

Ponownie zarządzono przerwę i obrady wznowiono o godz. 3-ej w nocy. Kwapiński zaproponował zakończenie obrad wobec braku widoków na porozumienie. Stwierdził, że PPS nie ogłosi niczego, co mogłoby zaszkodzić sprawie polskiej i liczy na podobne stanowisko innych stronnictw. Berezowski zaproponował kontynuowanie obrad tego samego dnia popołudniu. Uzgodniono odbycie jeszcze jednego posiedzenia w celu podjęcia próby osiągnięcia porozumienia.

Obrady zostały wznowione 7 czerwca o godz. 15-tej. Na początku Bielecki zapytał, czy PPS ma jakieś nowe propozycje lub też zmieniła stosunek do propozycji Zaleskiego. W odpowie-

dzi Białas oświadczył, że PPS stanowiska nie zmieniła, a liczy na zmianę stanowiska innych stronnictw.

P. Bielecki zauważył „narastające tendencje czynników obcych do skorzystania ze śmierci prezydenta Raczkiewicza i zarysowującego się przesilenia, aby przekreślić ciągłość Państwa Polskiego na obczyźnie i legalizm jego władz... Nie ulega żadnej wątpliwości, że cały polski obóz niepodległościowy wypowiada się za utrzymaniem legalizmu. Przedłużanie sytuacji przesilenia i stwarzanie jakiegokolwiek dualizmu na stanowisku Prezydenta może zbliżyć cały ośrodek niepodległościowy do stanu komizmu, mimo przeżywanej przez nas tragedii". Dla SN ważna jest instytucja prezydenta i nie powinny mieć miejsca jakiekolwiek rozgrywki personalne. Należy zatem dołożyć wysiłków, aby nie dopuścić do rozłamu. Zdaniem Bieleckiego projekt Zaleskiego pozwala naprawić niedociągnięcia prezydenta Raczkiewicza. „Umowę paryską" uważa za bardzo daleką od ideału, zaś zmiana Konstytucji jest możliwa tylko w Kraju. Na niej zaś opiera się struktura Państwa Polskiego na uchodźstwie. SN było zawsze przeciwne dyktaturze premiera. Propozycja Zaleskiego umożliwia uzgodnienie kandydata i dla ratowania legalizmu należy z niej skorzystać. Argument Prezydenta, że nie można dopuścić do przesilenia na dwóch stanowiskach, był politycznie słuszny. Proponuje po objęciu władzy przez Zaleskiego utworzenie przy nim rady „o głosie wiążącym" w składzie przedstawicieli trzech stronnictw i wojska. Formalnie ograniczałaby ona Prezydenta, ale faktycznie by go wzmacniała. Na koniec Bielecki wezwał do zakończenia tej szkodliwej sytuacji. Jóźwiak (SP) wskazał na szkody wynikające z ustąpienia Arciszewskiego ze stanowiska premiera. Brak porozumienia prowadziłby do rozproszenia ośrodka legalnych władz polskich.

P. Arciszewski powiedział, że dążył do wyjaśnienia sprawy z Prezydentem, który jednak „rozmowy na ten temat nie chciał kontynuować". Białas jeszcze raz powtórzył, że „umowa paryska" stała się prawem, zaś Konstytucja 1935 roku mogła być uznana przez Naród tylko łącznie z „umową paryską" i po zapewnieniu, że w Polsce nie powrócą stosunki przedwrześniowe. Jedynym wyjściem z sytuacji jest „przejście do porządku dziennego nad aktami z 26 kwietnia. Inne stanowisko wskazywałoby, że chodzi przede wszystkim o to, aby prezydentem nie był Tomasz Arciszewski".

Bielecki oświadczył, że SN godzi się na osobę Zaleskiego „dla umożliwienia wypełnienia powstałej luki i ratowania instytucji Prezydenta RP. SN będzie bronić do ostatka legalności tej instytucji". Białas stwierdził, że dla PPS stanowisko różniące się od

ich własnego stanowi „zejście z platformy legalizmu", dlatego też PPS nie chce zmienić swego stanowiska.

Arciszewski powiedział, że Prezydent postawił wszystkich w trudnej sytuacji. Gdyby jego zamiary zostały ujawnione wcześniej, można by było dokonać zmian zgodnie z umowami. Dla ułatwienia sytuacji sam zrzekłby się następstwa. Kwapiński stwierdził, że rozwiązaniem sytuacji byłoby zrzeczenie się Zaleskiego, do czego go wezwał. Następnie zarządzono przerwę w obradach.

Po wznowieniu obrad głos zabrał Sopicki (SP). Jego zdaniem „przesilenie zostało spowodowane przez ujawnienie dążeń jednego ze stronnictw politycznych do spotęgowania, już i tak znacznego, stanu jego posiadania". Następca Prezydenta powinien być uzgodniony „pomiędzy prawym i lewym skrzydłem obozu niepodległościowego", przy czym SP nie dąży do tego, aby w porozumieniu z SN zmajoryzować PPS.

Kwapiński zapytał o stanowisko Zaleskiego, który odpowiedział, że nie uległo ono zmianie od złożonego wcześniej oświadczenia.

Następnie zabrał głos gen. Anders. Zaczął od wspomnienia, że w 1926 roku brał udział w obronie praw Prezydenta RP. Dalej uważa komentarze dotyczące art. 13 i niemożliwości odwołania następcy za nieznajdujące dostatecznego uzasadnienia, „redakcja Konstytucji nie jest szczęśliwa, ani ścisła". Tak więc akt z 26 kwietnia uważa za ważny konstytucyjnie i obowiązujący. Nie chce bronić sposobu, w jaki sprawa została załatwiona, „obrany przez Niego (Raczkiewicza) sposób, zwłaszcza w obliczu przyrzeczeń paryskich, może nasuwać zastrzeżenia", ale Prezydent chciał dochować przyrzeczeń i odbyć konsultacje. Propozycja Zaleskiego stwarza możliwość wyjścia i nie chodzi o osobę — co rozumieją wszyscy uczestnicy z wyjątkiem PPS. „Gdyby żył prezydent Raczkiewicz, to premier Arciszewski musiałby zawiadomić go, że w związku z oświadczeniem p. Zaleskiego, wszyscy poza PPS wypowiedzieli się za postanowieniami Prezydenta". Swoją misję mandatariusza uważa za zakończoną, pozostaje mu „do spełnienia jego rola wobec żołnierzy polskich. Tym żołnierzom uważa za konieczne oświadczyć, że akt nominacyjny z 26 kwietnia 1947 roku jest prawomocny i że następcą Prezydenta został mianowany p. August Zaleski". Na koniec powiedział, że nic nie będzie w stanie odbudować raz obalonego legalizmu władz polskich.

W odpowiedzi gen. Andersowi Białas stwierdził, że „PPS obierze inną drogę, by bronić legalizmu władz polskich i ciągłości Państwa Polskiego, nie godząc się nigdy z założeniem, że Tomasz

Arciszewski, uznany za całkowicie odpowiedniego kandydata na następcę Prezydenta w 1944 roku, jest zwalczany, nawet w trybie nielegalnym, w 1947 roku". Dodał, że PPS uznaje za niemożliwą współpracę z Prezydentem powołanym w trybie, który uznaje za nielegalny.

Obrady zamknął Arciszewski. Uznał swoje przewodnictwo za zakończone. Powiedział, że miał nadzieję, iż sprawa zostanie wyjaśniona zgodnie z ostatnim stwierdzeniem Prezydenta o braku zmian na stanowisku następcy. Pozostaje mu zająć takie samo stanowisko, jakie zajęła PPS.

Bezpośrednio po zakończeniu obrad nastąpiło posiedzenie Rady Ministrów. Nie wniosło ono oczywiście żadnych nowych elementów. Można jedynie nadmienić, że min. Tarnowski i Pragier wystąpili z ostrą krytyką „umowy paryskiej", jako niezgodnej z Konstytucją.

Dnia 8 kwietnia nominacja Zaleskiego została opublikowana w *Dzienniku Ustaw* (antydatowanym), zaś 9 czerwca August Zaleski został zaprzysiężony jako Prezydent RP.

◆

Przedstawiony materiał można szeroko analizować — ograniczę się jednak tylko do paru refleksji. O tym, że Zaleski stał się prezydentem RP zdecydowało udzielone mu poparcie przez SN i gen. Andersa. W czasie konferencji niewiele było argumentacji, użytej przez Raczkiewicza w liście do Arciszewskiego. Nikt nie podkreślał szczególnych predyspozycji Zaleskiego do objęcia urzędu prezydenta RP, nikt nie wspomniał o potrzebie rozdzielania funkcji politycznych od następstwa prezydenta. Raz wspomniano o złych stronach podwójnego przesilenia, ale bez uzasadnienia tego poglądu. Głównym przedmiotem dyskusji był problem wykonywania Konstytucji i w tym kontekście znaczenia „umowy paryskiej". Odnoszę wrażenie, że obie strony liczyły na to, że przetrzymają stronę przeciwną, aż zrezygnuje, by nie dopuścić do rozłamu. Odkładanie sprawy na później i liczenie na to, że stronnictwa wyłonią wspólnego kandydata było nierealne, gdyż akty nominacyjne istniały tylko w stosunku do Arciszewskiego i Zaleskiego — to znaczy, że tylko oni mieli podstawy konstytucyjne do objęcia urzędu. Prezydentem mógł zostać tylko jeden z nich. Oczywiście wybór Zaleskiego nie musiał skończyć się wieloletnim rozłamem. O tym jednak zadecydowały wydarzenia, które nastąpiły w okresie późniejszym.

Piotr SKRZYNECKI

Tadeusz WYRWA

PRYMAS HLOND WE FRANCJI 1940-1941

Nie jest chyba przypadkiem, że nie ukazała się jeszcze dotychczas biografia kardynała prymasa A. Hlonda. Stosunkowo dużo pisze się o prymasie Stefanie Wyszyńskim i nieproporcjonalnie mało o postawie i działalności prymasa Hlonda. Jednym z głównych powodów tego stanu rzeczy wydaje się być diametralnie odmienna linia polityczna jednego i drugiego prymasa wobec reżimu komunistycznego. Nie należy jednak zapominać, że to Hlond wyznaczył Wyszyńskiego na swojego następcę, co aprobowała Stolica Apostolska. Jeśli chodzi o stosunek kardynała Hlonda do rządu warszawskiego, to określił on go w rozmowie z ambasadorem Francji w Polsce: „żaden układ z diabłem nie jest możliwy[1]". Kardynał Wyszyński natomiast, jak wskazywało porozumienie podpisane 14 kwietnia 1950 roku między przedstawicielami reżimu i Episkopatu polskiego, uważał że z diabłem komunistycznym można się układać i na tym przeświadczeniu opiera się odtąd polityka hierarchii kościelnej w Polsce.

Podczas wojny kardynał Hlond przebywał początkowo w Rzymie[2], później we Francji i w ostatniej fazie w niewoli w Niemczech. Z tego okresu ukazało się na jego temat kilka roz-

1. Według raportu ambasadora Jean Baelena z czerwca 1948, który znajduje się w *Archives Nationales* w Paryżu, sygnatura: *457 AP 90, Carton 821-823, Pologne 1948.*
2. *Vide: Zeszyty Historyczne* nr 82, str. 59 i nast.

praw i artykułów w Polsce[3]. Wiele jest jednak jeszcze luk i niedomówień, tym trudniejszych do uzupełnienia, że brak źródłowego materiału. Trochę dokumentacji, którą wykorzystuję w niniejszym opracowaniu, znalazłem ostatnio w archiwach francuskich oraz w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.

Do Francji kardynał Hlond przyjechał w pierwszej połowie czerwca 1940 i zamieszkał w Lourdes w domu ówczesnego biskupa Georges Choquet. W tym samym czasie gen. Sikorski wysłał z Angers depeszę do kardynała Hlonda do Rzymu, prosząc go, żeby udał się do USA, jako orędownik sprawy polskiej. Hlond depeszy tej nie otrzymał. W piśmie z dnia 5 października 1940 roku, a więc już po kapitulacji Francji[4], Sikorski zwrócił się ponownie do Hlonda z prośbą o wyjazd do USA, oznajmiając jednocześnie, że „agentowi naszego Skarbu we Francji wydałem polecenie zabezpieczenia (Hlondowi — T.W.) strony materialnej[5]".

Rząd polski w Londynie usilnie nalegał na przyjazd kardynała Hlonda do Anglii celem udania się następnie do USA. Jak wynika z depeszy wysłanej dnia 13 stycznia 1941 przez gen. Sikorskiego do gen. Juliusza Kleeberga, dowódcy tajnej „Organizacji Wojskowej" w tzw. wolnej zonie Francji, kardynał Hlond miałby się zgodzić na udanie się do USA, gdyż Sikorski polecił Kleebergowi: „Pan Generał zamelduje się u Kardynała Prymasa Hlonda z następującą depeszą: ... Zgodę Eminencji na wyjazd do Ameryki rząd przyjął z radością najwyższą. Jego działalność tam odda sprawie wspólnej jak największe usługi. Będzie ona uzgodniona z naszym sprzymierzeńcem Wielką Brytanią. Toteż przyjazd do Londynu jest przed podróżą konieczny... Czas trwania misji około trzech miesięcy[6]".

Kardynał Hlond w dalszym jednak ciągu wahał się i odciągał wyjazd. Dnia 16 sierpnia 1941 gen. Sikorski wysłał znowu depeszę do gen. Kleeberga: „Proszę zameldować się u Kardynała Hlonda i przedstawić mu w moim imieniu, że wyjazd jego do

---

3. **Jednym z nich jest treściwy artykuł, z podaną na końcu bibliografią, Stanisława Wilka SDB pt. „Losy wojenne kardynała Augusta Hlonda" w *Więzi* nr 10/1980, Warszawa, str. 95-110.**

4. ***Vide:* Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego (IPMGS), sygnatura PRM 37/B, str. 192.**

5. **Chodziło może o Władysława Houwalta, radcę finansowego ambasady RP w Vichy, którą reprezentował minister Feliks Frankowski, ale która zakończyła swoje urzędowanie 2 października 1940 roku.**

6. ***Vide:* IPMGS, *Dziennik czynności Naczelnego Wodza, styczeń 1941, Załączniki, Część pierwsza*, str. 78.**

Ameryki jest jak najbardziej pożądany w interesie wspólnej sprawy sojuszniczej. Anglicy popierać będą taką misję na całej linii. Wszystkie zaproszenia będą załatwione na czas. Koszta misji pokryje rząd. Zapraszam Kardynała Hlonda do Londynu i proszę o jak najszybszą jego decyzję[7]".

O staraniach, żeby kardynał Hlond wyjechał z Francji dowiedzieli się Niemcy. Dnia 17 sierpnia 1941 admirał Darlan, minister Spraw Zagranicznych w rządzie Vichy[8], wystosował następujące pismo do swojego kolegi, ministra Spraw Wewnętrznych: „Ambasada niemiecka w Paryżu powiadomiła mnie ostatnio, że według informacji, jakie otrzymała z pewnego źródła, kardynał Hlond przebywający w Lourdes ma zamiar wyjechać wkrótce do Londynu i udać się następnie do Stanów Zjednoczonych, celem przeprowadzenia tam kampanii antyniemieckiej. W związku z tym ambasada niemiecka oznajmia mi, że Rzesza pragnie, aby władze francuskie nie pozwoliły prałatowi polskiemu na wyjazd z Francji. Będę przeto panu zobowiązany za łaskawe danie urzędom pańskiego resortu odpowiednich instrukcji, żeby żadna wiza wyjazdowa nie została wydana kardynałowi Hlondowi[9]".

W tym samym archiwum znajdują się trzy podania *(demande de visa)* z datą 7 lutego 1942 roku: kardynała Hlonda, ks. Antoniego Baraniaka i ks. Bolesława Filipiaka. Na wszystkich trzech podaniach jest podpis (nieczytelny) prefekta w Tarbes z zaznaczeniem: „opinia bardzo przychylna", a na podaniu kardynała Hlonda dodane jeszcze: „Uczucia Prymasa Polski wobec Francji nie podlegają żadnej wątpliwości". Brak natomiast podpisu ministra Spraw Wewnętrznych, do którego podania te były skierowane i któremu też pisał w tej sprawie admirał Darlan: „... Jak pan wie, to z uwagi na interwencje władz niemieckich zabroniliśmy Prymasowi Polski wyjechać z Francji. Otóż, wydaje mi się, że będzie trudno, aby rząd Rzeszy zmienił zdanie. Dlatego uważam, iż chwilowo należy odłożyć wszelkie zabiegi, które mogłyby zresztą... przyciągnąć niepotrzebnie uwagę władz okupacyjnych[10]".

Na wyjazd z Francji, uniemożliwiony przez Niemców, kard.

---

7. *Supra, Dziennik czynności Naczelnego Wodza, sierpień 1941, Załączniki, Część pierwsza,* str. 189.

8. Admirał François Darlan, jeden z pierwszych zdeklarowanych zwolenników marszałka Pétaina, wyznaczony na jego następcę. W czasie lądowania aliantów w Afryce północnej, w listopadzie 1942, obejmuje tam władzę w porozumieniu z Amerykanami, ale zostaje zamordowany przez zamachowca w wyniku spisku, którego kulisy ciągle nie są wyjaśnione.

9. Według *Archives du ministère des Affaires étrangères* w Paryżu, *Série: Guerre 1939-1945, Z Vichy - Europe, Pologne, Dossier nr 909.*

10. *Supra.*

Hlond zdecydował się z dużym oporem. Nastawiony był na natychmiastowy powrót do Polski, gdy tylko Niemcy zostaną pokonane, a wówczas ciągle liczono na szybkie zakończenie wojny. W liście do biskupa Józefa Gawliny kardynał Hlond pisał: „... Rząd nalega, bym wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Po co?... Na polityczną robotę wybrać się nie mogę, bo to nie mój zawód... Chodzi głównie o to, by mnie nie było zaraz w Polsce, gdy się będzie kładło podwaliny pod nowe państwo i reorganizowało życie kościelne[11]". W międzyczasie widział dla siebie pracę wśród emigrantów we Francji.

Od początku swojego pobytu w Lourdes kardynał Hlond rozwinął szeroką działalność pod kątem widzenia odnowy moralnej w oswobodzonej Polsce. W liście do prezydenta RP Władysława Raczkiewicza, z dnia 7 listopada 1940, kardynał Hlond pisał z Lourdes: „Korzystam ze względnego spokoju i czasu we francuskiej Częstochowie, by badać rozwój i przyczyny wypadków, notować, pisać, przygotowywać swoje prace w nowej Polsce. Z Watykanem utrzymuję regularny kontakt przez Nuncjaturę w Vichy. Przez te trzy miesiące przesunęły się przez mój pokój krocie dawnych naszych emigrantów, świeżych uchodźców i wszelkiego stopnia wojskowych, którzy byli wdzięczni za słowa otuchy i wiary[12]".

Wacław Zyndram-Kościałkowski, który w Lourdes był w stałym kontakcie z kardynałem Hlondem, pisał po wojnie, że wypowiedzi Kardynała cechowały „wielka śmiałość i postępowość czy to chodziło o sprawy polityczne czy społeczne. Kardynał nie zapominał nigdy, że nie zawsze w Polsce przedwrześniowej było 'najlepiej' i pragnął aby z czasem, gdy odzyskamy niepodległość, działo się inaczej[13]". Nie trzeba bowiem zapominać, że Hlond, prymas Polski od 1926 i kardynał od 1927 roku, zabierał zdecydowanie głos w sprawach społecznych przed wojną, starając się jednocześnie „trzymać Kościół polski ponad podziałami politycznymi kraju, nieraz krytykowany za to przede wszystkim przez opozycję prawicową, ale niekiedy również przez czynniki rządowe[14]".

Wymowne dla światopoglądu kardynała Hlonda, jeśli chodzi o potrzeby emigracji z myślą o jej powrocie do kraju, były jego

11. Według Stanisława Wilka SDB, *op. cit.*, str. 103.
12. IPMGS, sygnatura A.48 1/a5.
13. Wacław Zyndram-Kościałkowski, *Poloneza czas kończyć*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1978, str. 128.
14. Ryszard Bender w: *Chrześcijaństwo w Polsce*. Praca zespołowa pod redakcją Jerzego Kłoczowskiego, KUL, Lublin 1980, str. 295.

wypowiedzi na łamach konspiracyjnego czasopisma inteligencji katolickiej pt. *Służba,* wydawanego na powielaczu w latach 1941-1942 w Tuluzie pod redakcją Marii Winowskiej, przy ścisłej współpracy Kardynała. Dotarłem do 6 numerów *Służby* i nie wiem, czy było wydanych więcej. Nie jest mi również znana data poszczególnych numerów. Na ostatniej stronie numeru 6, z datą 16 lipca 1942, znajduje się wzmianka redakcji, że z numerem tym „zamykamy pierwszą serię *Służby*" i jeżeli pozwolą okoliczności, to nową serię „rozpoczniemy po wakacjach[15]". Jest faktem godnym ubolewania, że nie ma żadnego opracowania na temat tego czasopisma i nie wiadomo dokładnie, kto ukrywał się pod pseudonimami, jakimi opatrywano przeważnie wtedy artykuły. Kardynał Hlond podpisywał swoje artykuły m.in. pseudonimem Krzysztof Śmierć.

W artykule pt. „Gdy przyszła pełnia czasu" kardynał Hlond pisał: „Polska nie będzie nas potrzebowała jako liczby... Będzie natomiast potrzebowała naszych wartości, naszego wkładu, a głównie naszych zdrowych sił moralnych". W Europie doszło do „perwersyjnego okrucieństwa, do gloryfikacji kłamstwa, do bezprzykładnego poniżania człowieczeństwa. Jedyną skuteczną na to radą jest rechrystianizacja Europy". Wierząc w odrodzenie ludzkości kardynał Hlond zapytywał: „Z czemże zamierzamy wrócić do Polski? Z bankrutującym światem apostazji, czy z odrodzonym duchem nowych czasów? Z przepadającym dekadentyzmem moralnym, czy z porywem wskrzeszonego życia?". Jednocześnie kardynał Hlond przypominał, żeby uchodźcy dbali o pozostawienie po sobie, w krajach gdzie przebywają, dobrego imienia: „niech żyją po nas wspomnienia dostojeństwa polskiego[16]".

W następnym numerze kardynał Hlond podkreślał, iż największą tragedią współczesnego człowieka jest, że „oczywistość moralnego zła maskuje zakłamaniem, udrapowanym w uczone fałdy takiej czy innej ideologii[17]". Jeśli chodzi o emigrantów, to Prymas pisał na innym miejscu: „Tu, na obczyźnie, sytuacja jest tym groźniejsza, że nie chroni nas, jak w kraju, atmosfera rodzinna, przepojona tradycją, jesteśmy zdani na samych siebie, musimy iść przebojem. Przed każdym z nas, w tych godzinach bolesnej bezczynności, staje pytanie: kim właściwie jestem?[18]".

Charakter *Służby* był inspirowany w dużym stopniu przez

15. Wstrzymanie publikacji *Służby* miało nastąpić w 1942 roku, po aresztowaniu Marii Winowskiej.

16. *Służba* nr 4, str. 147-149. Czasopismo to od nr 3 do nr 6 miało paginację ciągłą.

17. *Służba* nr 5, str. 205.

18. *Służba* nr 3, str. 108.

kardynała Hlonda, nie ujmując oczywiście w niczym redaktorskiej pracy Marii Winowskiej. Mówiąc przeto o kardynale Hlondzie, warto temu czasopismu poświęcić trochę miejsca. W pierwszym numerze redakcja zapraszając Polaków do współpracy informowała, że czasopismo „nie jest organem kapliczki czy grupy, żyjącej tylko sobie". W dalszym ciągu redakcja podawała, że celem nawiązania bliższego kontaktu z czytelnikami otwiera ankietę na temat: „Istotne przyczyny kryzysu duchowego wśród uchodźstwa polskiego i środki zaradcze[19]".

Autor jednej z nadesłanych na ankietę odpowiedzi, z podpisem Stefan Łubieński, uważa, że „zagadnienie obecnego kryzysu duchowego wśród uchodźstwa polskiego we Francji wiąże się ściśle ze współczesnym kryzysem całej ludzkości". Do przezwyciężenia tego kryzysu niezbędna jest postawa „bezkompromisowego i zdecydowanego przeciwstawienia się złu". Patriotyzm w dzisiejszych czasach „spadł do tego, co nazywamy szowinizmem, lub przybrał formy dziecinnych manifestacji i pochodów z chorągiewkami o barwach przeróżnych iluzji[20]". Ten sam autor przypominał w innym numerze tego czasopisma, że po wojnie będziemy musieli „zrobić wszystkie możliwe wysiłki, aby stworzyć stosunki braterskie między narodami i ludami wschodnio-centralnej Europy[21]". W innej odpowiedzi na ankietę, podpisanej „Jur", czytamy: „Jeżeli oni, tam w kraju, mają ducha, hart etc., to chyba dlatego, że zostali. Że mimo wszystko korzenie ich tkwią w tej ziemi, że są razem. I to, że cierpią więcej, niż my. Bo cierpienie budzi. A my tu śpimy[22]".

W dość obszernym artykule pt. „Degradacje publiczne i autorytety", podpisanym „A. Sęk", autor ubolewa: „Gdzie spojrzeć, wszędzie szeregi niedocenionych wielkości, zapomnianych dobroczyńców, bohaterów skrzywdzonych, wodzów, Konradów, Kordianów... Nadęte piersi defilują między tłumem i mówią: tyle miejsca na dobrze zasłużone medale... Polska nie będzie mierzyć zasług długością sprawozdań z nieprawdziwego zdarzenia albo ilością stanowisk prezesowskich... Nic nas nie nauczyła wojna, niedola, tragedie... Nie widzimy i nie czujemy Polski walczącej... umiemy o niej tylko gadać... Porządnych ludzi, co Polską umieją żyć najprościej, co ją biorą na miarę serca, tamci krzykacze zdegradują w opinii 'publicznej', zdegradują swym 'autorytetem'. Tak, my umiemy tylko degradować... jesteśmy rozkochani w

19. *Służba* nr 1, str. 46.
20. *Służba* nr 3, str. 138-139.
21. *Służba* nr 2, str. 33.
22. *Służba* nr 3, str. 143.

autorytetach nieautoryzowanych, w snobizmie, pawich piórach[23]". Poglądy te podzielała zapewne redakcja, która w tym samym czasie pisała: „... my nie łakniemy popularności... *Służba* jest tym kagankiem Diogenesa, który chodzi po Francji i szuka ludzi... Jesteśmy niewygodni, wypominamy gorzkie prawdy, nie dajemy spać przeróżnym dygnitarzom... rewidujemy ich bagaż myślowy... Prawda jest zawsze niewygodna... Nie cierpimy kompromisów, rzeczy nazywamy po imieniu. I mamyż być popularni[24]".

Bardzo cenne w działalności pisarskiej kardynała Hlonda były jego memoriały i raporty o sytuacji Kościoła i ludności w okupowanej Polsce. W języku francuskim został opracowany na ten właśnie temat podwójny numer czasopisma konspiracyjnego *Cahiers du Témoignage Chrétien*[25]. Czasopismo to było wydawane najpierw w Saint-Etienne, później w Lyonie i następnie w Paryżu. Założycielem jego był jezuita Pierre Chaillet, który — co stanowi pewnego rodzaju kuriozum — w 1939 roku został zmobilizowany do wywiadu i wysłany, pod pozorem wygłaszania odczytów i kazań, w specjalnej misji na Węgry. Ta właśnie praca w wywiadzie dała mu przygotowanie do podziemnej działalności we Francji; w styczniu 1941 roku wrócił do Lyonu[26].

W wyżej cytowanym numerze czasopisma francuskiego redakcja pisała na wstępie, że Hitler wprowadził w Polsce „nowy porządek", o którym się milczy. „Naszym obowiązkiem, Francuzów, Europejczyków, chrześcijan — przypomina redakcja — jest przerwać to milczenie". W tym też duchu utrzymany jest ostatni paragraf tego numeru poświęconego Polsce, który nic nie stracił na aktualności w odniesieniu do obecnej sytuacji: „Kiedy kłamstwa cynicznie organizowane, a zwłaszcza dwuznaczność i półprawdy, gorsze niż kłamstwa, dręczą umysły, zatruwają dusze, osłabiają charaktery przy pomocy zniewolonej lub zaprzedanej prasy, trzeba wszystko robić, żeby prawda była znana[27]".

Wszyscy, którzy stykali się z kardynałem Hlondem w czasie jego pobytu we Francji, zwłaszcza w Lourdes, gdzie miał większą swobodę, niż miało to miejsce później, potwierdzają jego żywotność i wszechstronną działalność. Prowadził rozległą korespondencję i utrzymywał kontakty tak z organizacjami na terenie

23. *Służba* nr 6, str. 310-311.
24. *Służba* nr 5, str. 252.
25. *Cahiers du Témoignage chrétien*, nr XIII-XIV, 1943 rok, bez dokładnej daty. Numer zawierał 30 stron.
26. Według Jean Chélini, *L'Eglise sous Pie XII. La Tourmente (1939-1945)*, Fayard, Paris 1983, str. 217.
27. *Cahiers du Témoignage Chrétien*, *op. cit.*, str. 3 i 30.

Francji, jak i z zagranicą, w tym również z Polską, co wtedy nie było łatwe. Z Watykanem kardynał Hlond pozostawał w stałym kontakcie za pośrednictwem Nuncjatury, znajdującej się wówczas w Vichy, gdzie przebywał mons. Alfredo Pacini, który był *chargé d'affaires* przy rządzie polskim w Angers, ale w czerwcu 1940 roku nie wyjechał z naszym rządem do Londynu i pozostał we Francji[28]. Wacław Zyndram-Kościałkowski w cytowanych już wspomnieniach pisze, że brał pocztę od kardynała Hlonda w Lourdes i oddawał ją w Vichy mons. Paciniemu, „naszemu wypróbowanemu przyjacielowi, a ten wręczał mi przeróżne pisma i listy dla Kardynała, które kurier dyplomatyczny przywoził z Rzymu[29]".

Kardynał Hlond otrzymywał jednocześnie korespondencję — czy wielokrotnie, tego nie wiem — za pośrednictwem rządu Vichy, o czym świadczy list Kardynała, znajdujący się w archiwach francuskich, wysłany z Lourdes z datą 20 marca 1941 do ministra Spraw Zagranicznych, którym był wtedy wspomniany już admirał Darlan: „Bardzo dziękuję Waszej Ekscelencji za łaskawe przysłanie mi dnia 14 bm. listów, jakie nadeszły dla mnie drogą dyplomatyczną do Vichy. Łaskawie mi wyświadczona przysługa wzruszyła mnie tym bardziej, że jestem szczerym przyjacielem Francji i że ogromnie podziwiam dzieło narodowej odnowy przedsięwziętej przez wielkiego Marszałka Pétaina" *(j'admire grandement l'œuvre de relèvement national entreprise par le grand Maréchal Pétain*[30]*)*.

List ten będzie zapewne różnie interpretowany, ale znając nieugiętą postawę kardynała Hlonda byłoby dużym błędem mniemać, iż został napisany wbrew własnemu przekonaniu, pod presją wypadków, celem przypodobania się Pétainowi. Treść tego listu nie będzie mogła być właściwie zrozumiana w oderwaniu od ówczesnej sytuacji Francji i stanowiska francuskiej hierarchii kościelnej. Lansowana przez Pétaina „rewolucja narodowa" pod hasłem „praca, rodzina, ojczyzna", głosząca odrodzenie Francji, tak bardzo jej zresztą potrzebne, była początkowo wzięta dość poważnie przez część społeczeństwa. W ciągu pierwszych dwóch lat aprobata rządu Vichy przez katolików, mimo ich pewnych zastrzeżeń, „wydawała się być masowa i spontaniczna[31]". Katolicy

28. *Vide:* „Watykan a rząd polski w Angers" w *Zeszytach Historycznych* nr 72, str. 190 i nast.

29. Wacław Zyndram-Kościałkowski, *op. cit.*, str. 124.

30. *Vide: Archives du ministère des Affaires étrangères* w Paryżu, *Série: Guerre 1939-1945, Z Vichy - Europe, Pologne, Dossier nr 920.*

31. Jacques Duquesne, *Les Catholiques français sous l'occupation*, Bernard Grasset, Paryż 1986, str. 85.

chętnie wówczas mówili o odkupieniu i „wielu z nich widziało w Pétainie odkupiciela, którego zsyła Opatrzność[32]".

Jeśli chodzi o hierarchię kościelną, to „obecność mons. Valery[33] przy marszałku [Pétainie] była jednym z argumentów najczęściej wysuwanych przez biskupów, żeby wykazać legalność ustalonej władzy[34]". Kardynał Hlond przebywał w domu biskupa, list pisał na wiosnę 1941 roku z nieokupowanej jeszcze części Francji, kiedy do Pétaina odnoszono się ciągle z entuzjazmem, któremu jak widać musiał również ulec Kardynał.

W następnym roku nastroje we Francji zaczęły się zmieniać, ale w większości wypadków Episkopat trzymał się wiernie Pétaina i jak oświadczył kardynał Emmanuel Suhard, arcybiskup Paryża, na zebraniu organizacji katolickich w dniu 11 grudnia 1942 roku: „Kościół kontynuuje swoją działalność na płaszczyźnie duchowej bez uzależnienia się od władzy i z całkowitą lojalnością wobec władzy[35]". To dwulicowe stanowisko hierarchii kościelnej z jej „niezależnością" i „lojalnością" było powodem rozterki wewnętrznej wśród wielu katolików, nad czym i dzisiaj warto się zastanowić i to nie tylko w odniesieniu do Francji.

Jeden z wybitnych członków francuskiego ruchu oporu, ksiądz R.-L. Bruckberger, dominikanin, w książce wydanej przez grono przyjaciół, jak G. Bernanos, A. Camus i inni, pisał na ten temat: „Najwyższe władze [kościelne] powiedziały nam, że rząd Vichy był legalny. Tak więc albo słowa straciły swój sens, albo też chciało się przez to powiedzieć, że jego władza była sprawiedliwa i że winniśmy byli lojalnie być mu posłuszni... Katolicy z ruchu oporu, my nie byliśmy mu posłuszni i to właśnie było naszą udręką... Będąc chrześcijanami, nie reagujemy jak automaty, lecz jak ludzie wolni. Woleliśmy słuchać głosu naszego sumienia[36]".

W listopadzie 1942 Niemcy zajęli południową Francję. Kardynał Hlond musiał schronić się w opactwie benedyktyńskim w Hautecombe w Sabaudii, gdzie został aresztowany w dniu 3 lutego 1944 i przewieziony do więzienia w Paryżu. W konspiracyjnej prasie francuskiej, wydawanej przez ten sam zespół, co cyto-

32. *Supra*, str. 37.

33. Valerio Valeri piastował stanowisko nuncjusza we Francji od 3 czerwca 1936 do 23 grudnia 1944.

34. André Latreille, *De Gaulle, la Libération et l'Eglise catholique*, Les Editions du Cerf, Paryż 1978, str. 44.

35. Michel Riquet, s.j. *Chrétiens de France dans l'Europe enchaînée. Genèse du Secours Catholique*. Editions S.O.S., Paryż 1972, str. 126.

36. R.-L. Bruckberger, *Si grande peine*, Gallimard, Paryż 1945, str. 190-191.

wane już czasopismo *Cahiers du Témoignage Chrétien,* ukazał się komunikat zatytułowany „Infamia" o następującej treści: „Kardynał Hlond, arcybiskup Poznania, prymas Polski, został aresztowany 3 lutego w południe w opactwie w Hautecombe przez trzech agentów władz okupacyjnych. Został zabrany w towarzystwie jednego ze swoich sekretarzy, księdza Filipiaka, do Chambéry i wieczorem tego samego dnia wywieziony do Paryża. Od tego czasu nie mamy o nim żadnej wieści. Dzieląc się z wami tą wiadomością, nie możemy ukryć głębokiego bólu, wstydu i oburzenia wobec aresztowania człowieka, który był gościem Francji, przedstawicielem kraju sojuszniczego i przyjacielskiego — bezbronnego starca, który schronił się w domu modlitwy — księcia naszego Kościoła Rzymskiego[37]".

Następnego dnia, tzn. 4 lutego 1944, Pierre Laval, ówczesny premier rządu Vichy[38], wystosował następujące pismo do Ottona Abetza, ambasadora Niemiec w Paryżu: „Jego Eminencja Kardynał Hlond, Prymas Polski, został aresztowany 3 lutego przez władze niemieckie w opactwie w Hautecombe, gdzie wycofał się już kilka miesięcy temu. Poinformowany o tym Nuncjusz apostolski przedsięwziął ze swojej strony kroki w moim gabinecie i przypuszczam, że również interweniował u p. Struve, żeby dowiedzieć się o okolicznościach aresztowania i dać wyraz swojemu wzburzeniu. Ze względu na osobowość kardynała Hlonda, pozwalam sobie zwrócić uwagę Waszej Ekscelencji na tę sprawę. Byłbym wdzięczny, gdyby Pan był łaskaw rozpatrzyć przychylnie możliwość przekazania Kardynała Prymasa Polski władzom francuskim, precyzując, jeżeli będzie uważał to za właściwe, warunki jego pobytu na terytorium francuskim[39]".

W archiwum arcybiskupstwa w Paryżu znajduje się list kardynała Hlonda do kardynała Suharda, napisany ręcznie z datą 6 lutego 1944, a więc w trzy dni po aresztowaniu. Na wysłanie tego listu kardynał Hlond musiał mieć zapewne zgodę Niemców i przypuszczalnie napisał go, żeby zostawić po sobie ślad, gdzie się znajduje. Oto treść listu w tłumaczeniu z języka francuskiego: „Eminencjo! Jestem bardzo szczęśliwy, że mogę złożyć Jego Eminencji wyrazy serdecznego i braterskiego hołdu i poinformować Go, że od dwóch dni znajduję się w Paryżu, starej i pięknej sto-

37. *Témoignage chrétien. Courrier français du Témoignage chrétien* nr 8, 1944, str. 1.

38. Pierre Laval został skazany na karę śmierci za kolaborację i stracony w październiku 1945 roku.

39. *Vide: Archives du ministère des Affaires étrangères* w Paryżu, *Série: Guerre 1939-1945, Z Vichy - Europe, Pologne, Dossier nr 909.*

licy Francji. Jestem tutaj w przejeździe i nie sądzę, żebym miał okazję złożenia Mu wizyty, której nie pominę przy innych okazjach na znak mojej głębokiej czci dla Waszej dostojnej osoby i zgodnie z pragnieniem serca, całkowicie oddanego Jego Eminencji. Proszę Eminencję, żeby był łaskaw towarzyszyć mi w Jego pobożnych modlitwach i ponownie zapewniam o moim całkowitym i głębokim oddaniu w Jezusie Chrystusie[40]".

Po dwumiesięcznym trzymaniu kardynała Hlonda w areszcie Gestapo w Paryżu został następnie internowany w Bar-le-Duc. W dniu, w którym przywieziono go do Bar-le-Duc, tzn. 5 kwietnia 1944, z gabinetu Lavala wysłano pismo do Nuncjatury, którą informowano, że „władze niemieckie podały właśnie do wiadomości, że wskutek zabiegów szefa rządu kardynał prymas Hlond został zwolniony i przyjechał do Bar-le-Duc. Kardynał Hlond musi przebywać w klasztorze jako internowany. Prefekt Bar-le-Duc został uprzedzony i jest odpowiedzialny za ten stan rzeczy[41]".

Dnia 9 maja 1944, kardynał Hlond wysłał list, prawdopodobnie do kardynała Suharda, co jednak nie jest nigdzie zaznaczone. List ten, odręcznie pisany, znajduje się w archiwach arcybiskupstwa w Paryżu; przytaczam go z małymi skrótami: „Pragnę wyrazić Jego Eminencji moją głęboką wdzięczność za Jego uprzejmy list z 17 kwietnia, pełen braterskiej serdeczności [nie wiem czy list, o którym mowa zachował się gdzieś w innych archiwach — T.W.]. Jednocześnie przepraszam za spóźnioną odpowiedź. Ze zrozumiałych powodów czekałem na odpowiednią okazję, która nadarza się dopiero dzisiaj[42]. Mogę zapewnić Waszą Eminencję i robię to z całego serca, że ze strony francuskich władz lokalnych jestem traktowany z tak ujmującą grzecznością, że jestem zachwycony, a czasem nawet zażenowany. Siostry miłosierdzia są niewyczerpane w swoich ofiarnych usługach. Jestem zresztą zbudowany dobrotliwym usposobieniem i działalnością naprawdę apostolską tych dobrych zakonnic. W Bar-le-Duc prowadzę życie w zupełnym odosobnieniu, przygotowując się — przez modlitwę, naukę i rozmyślania nad aktualnymi problemami — do przyszłych zadań, które będą trudne, ale też wielkie i przyjemne... Kiedy po obecnym chaosie Duch Święty uprzątnie swoim potężnym podmuchem zdewastowane kraje Europy i sprawi, że

40. *Archives de l'Archevêché de Paris, Série I D XIV, Carton I, Dossier nr 14, pièce 9.*

41. *Archives du ministère des Affaires étrangères, op. cit., Dossier nr 909.*

42. Z tego można też wnioskować, że kard. Hlond wysyłając ten list przez kogoś, a nie pocztą, wolał nie podawać nazwiska adresata.

wyłoni się nowe życie, wówczas również Kościół, oczyszczony prześladowaniami i kryzysem, przeżyje nową Epifanię w wielkim stylu, prowadzony i silnie ochraniany przez Niepokalaną Królową. Z jakże wielkim rozmachem i entuzjazmem apostolskim będziemy odbudowywać, po tylu przykrościach, Królestwo Boże w duszach i instytucjach naszych narodów. Nie mam wątpliwości, że tak Francja, jak i Polska spełnią wspaniale swoje tradycyjne i zaszczytne zadanie[43]".

Dnia 17 listopada 1944 Kazimierz Papée, ambasador Polski przy Stolicy Apostolskiej, przekazał D. Tardiniemu, podsekretarzowi Stanu w Watykanie, pismo André Perreau, podprefekta z Commercy, miasta w departamencie Meuse, gdzie przebywał kardynał Hlond w Bar-le-Duc. Pismo to jest opublikowane w dokumentach watykańskich[44]. W Instytucie Sikorskiego w Londynie znajduje się również kopia tego pisma[45]. Treść jest ta sama, z wyjątkiem dwóch zdań, o których będzie mowa. Podprefekt zwraca się w tytule swojego pisma, z datą 25 września 1944, do „Pana Konsula", bez podania nazwiska i miejsca zamieszkania adresata.

Na wstępie listu, który przytaczam w streszczeniu, podprefekt pisze, że kilka dni po przyjeździe kardynała Hlonda do Bar-le-Duc złożył mu wizytę i był zaskoczony „jego uśmiechem i optymizmem", co też spowodowało, że później często odwiedzał Kardynała, który zachował zawsze pogodny nastrój. Dowiedział się wtedy, o czym donosił w liście, że „Niemcy przywieźli Jego Eminencję do Paryża, żeby pertraktować jego ewentualny powrót do Polski z zastrzeżeniem, że przysłuży się propagandzie nazistowskiej. Kardynał Hlond zdecydowanie odmówił[46], przyjmując tak nieugiętą postawę, że oficer niemiecki wyraził ubolewanie, iż nie można było go zlikwidować, tak jak się to robi z innymi. Sądzę,

---

43. *Archives de l'Archevêché de Paris, op. cit., Dossier nr 14, pièce 10.*

44. *Vide: Actes et documents du Saint-Siège relatifs à la Seconde Guerre Mondiale*, Libreria Editrice Vaticana 1967, Tom 3, część II *„Le Saint-Siège et la situation religieuse en Pologne et dans les Pays Baltes 1939-1945"*, str. 884-886.

Jednoczesno warto zaznaczyć, że w tym samym tomie znajduje się również korespondencja kardynała Hlonda z Watykanem.

45. IPMGS, sygnatura A. 44 122/32.

46. Przypomniał nawet ostatnio o tym marksista, autor książki wrogo ustosunkowany do światopoglądu katolickiego pisząc: „A. Hlond, gdy — jeszcze przebywając za granicą w odosobnieniu, skazany na nie przez hitlerowców — odrzucił propozycje choćby deklaratywnego zaangażowania się przeciwko komunizmowi przy hitlerowskiej protekcji" — Czesław Żerosławski, *Katolicka myśl o ojczyźnie. Ideowopolityczne koncepcje klerykalne podziemia 1939-1949*. PWN, Warszawa 1987, str. 48.

że nie był on maltretowany. Pewnego jednak dnia próbowano go zatrwożyć, na co Jego Eminencja odpowiedział mniej więcej tak: „Ze mną zastraszanie niczemu nie służy. Otóż, prawie siedemnaście lat jak jestem kardynałem i niczego więcej już na tej ziemi nie oczekuję, oprócz, być może, zostania Papieżem[47]. Tak więc mówię wam, że nic już nie pragnę, z wyjątkiem jednej rzeczy i co też możecie zrobić: spowodować, żebym umarł za moją Ojczyznę". Ksiądz Filipiak powiedział mi, że po tej wspaniałej odpowiedzi Niemcy „stracili nadzieję na osiągnięcie czegokolwiek od Kardynała".

W dalszym ciągu listu podprefekt wspomina, że z początkiem sierpnia 1944 roku, gdy jechał do Paryża, kardynał Hlond powierzył mu list dla kardynała Suharda, z prośbą żeby powiedział arcybiskupowi Paryża, że pozostał niepokonany i że czuje się dobrze. W tym samym czasie wojska alianckie oswobodzają północną Francję. Podprefekt proponuje ks. Filipiakowi, żeby kardynał Hlond wymknął się z nadzorowanego miejsca pobytu, ale jak mu odpowiedział ks. Filipiak, Kardynał „nie mógł tego zrobić, bo Niemcy uważali go za zakładnika Polski i jego ucieczka byłaby przyczyną jeszcze większej masakry Polaków, którzy i tak dosyć jej już zaznali".

Dnia 28 sierpnia, kontynuuje podprefekt, niejaki Fischer, szef Gestapo w Paryżu, mający szczególnie za zadanie dozór nad duchowieństwem, oznajmił kardynałowi Hlondowi, żeby w ciągu kilku godzin przygotował się do wyjazdu do Rzeszy. Powiadomiony o tym przez ks. Filipiaka, podprefekt poszedł pożegnać się z kardynałem Hlondem, który zaproponował mu spotkanie dopiero za trzy lata, gdyż — jak powiedział — „od dzisiaj do tego czasu będzie dużo pracy we wszystkich krajach maltretowanych przez Niemców[48]. Wywieziony do Niemiec, kardynał Hlond został oswobodzony przez wojska amerykańskie w pierwszych dniach kwietnia 1945 roku.

Nie wydaje się, żeby kardynał Hlond żywił urazę do Francji, związaną z jego tam pobytem podczas wojny, o czym czasem się słyszy. Dowodem tego jest również list kardynała Hlonda z dnia 13 lipca 1946 roku do Roger Garreau, ambasadora Francji w

---

47. Części zdania od słowa „i niczego..." nie ma w cytowanej publikacji *Actes et documents du Saint-Siège*... Zdanie to przytoczyłem według kopii pisma podprefekta, jaka znajduje się w Instytucie Sikorskiego — *Vide:* cytat nr 45.

48. Zdania tego również nie ma w publikacji watykańskiej i cytuję za kopią, znajdującą się w Instytucie Sikorskiego.

Warszawie. Kardynał Hlond, dziękując ambasadorowi Garreau za zaproszenie na przyjęcie do ambasady 14 lipca, pisał: „Pragnę też nadmienić, że zachowałem jak najlepsze wspomnienie z czterech lat przebytych na uchodźstwie we Francji, gdzie byłem otaczany wieloma względami i wzruszającymi dowodami sympatii. Żywił będę za to wdzięczność przez całe życie[49]".

Tadeusz WYRWA

49. Według *Archives du ministère des Affaires étrangères* w Paryżu, *Série: Z Europe 1944-1949, Pologne, Relations avec le Saint-Siège. Question juive, Dossier nr 52.*

Tadeusz GÓRSKI, MIC

BŁOGOSŁAWIONY JERZY MATULEWICZ, BISKUP WILEŃSKI

(Uwagi do artykułu Z. S. Siemaszki)

Z okazji beatyfikacji arcybiskupa Jerzego Matulewicza wiele się o nim mówi i pisze. W 84-tym numerze *Zeszytów Historycznych* z 1988 roku również ukazał się artykuł pana Z. S. Siemaszki pt. „Biskup wileński (1918-1925) Matulewicz na tle ówczesnych stosunków polsko-litewsko-białoruskich", zawierający szereg „krytycznych uwag dotyczących zarówno ludzkiego oblicza Kościoła, jak i osoby bpa Matulewicza" (str. 3). Wydaje mi się, że Autor nie zrozumiał tej wybitnej postaci Kościoła katolickiego, o której zresztą posiada skąpe informacje, dlatego ośmielam się przekazać Czytelnikom własne spostrzeżenia na poruszone tematy.

Siemaszko pisze: „Ks. Matulewicz był również z tym ruchem [mariawickim] w pewnym sensie związany, gdyż w 1903 roku publikował swoje artykuły w czasopiśmie *Maryawita* [i przypis]. Jeden z autorów, ks. Proczek podaje, iż *Maryawita* był kieleckim czasopismem diecezjalnym. Jednak jest to mało prawdopodobne" (str. 5). Mam przed sobą roczniki wspomnianego dwutygodnika. Na pierwszej stronie można przeczytać, że redakcja pisma mieściła się w seminarium duchownym w Kielcach, a jego redaktorem był ks. Wincenty Bogacki. Wiemy o nim, że był kanclerzem kurii biskupiej i profesorem seminarium kieleckiego. Na trzeciej stronie pierwszego numeru jest zamieszczone błogosławieństwo biskupa miejscowego Tomasza Kulińskiego, a wśród autorów widnieją głównie nazwiska profesorów tamtejszej uczelni. Po wykrystalizowaniu się znaczenia słowa „maryawita", w

1906 roku czasopismo zmieniło tytuł na *Jutrzenka*. Jak więc widać, to czasopismo było katolickie i zamieszczanie w nim artykułów przez ks. Matulewicza nie świadczy, że był on związany z ruchem mariawickim.

Następne spostrzeżenie dotyczy sposobu przedstawienia reformy Zakonu Marianów, dokonanej przez ojca Wincentego Sękowskiego i ks. Matulewicza w latach 1909-1910 oraz niektórych aspektów dalszych dziejów wspólnoty.

Autor informuje: „Jego [Zakonu Marianów] członkowie byli znani jako „biali" Marianie, od koloru ich habitów" (str. 5). Jestem Marianinem i takiego określenia nie spostrzegłem w dokumentach historycznych. Podobnie jak się nie mówi „biali" Dominikanie, „biali" Paulini, chociaż jedni i drudzy noszą białe habity.

Samo odnowienie w artykule między innymi tak jest przedstawione:

„W ciągu następnego roku ks. Matulewicz opracował nową konstytucję zakonu, przystosowaną do konspiracyjnych warunków i nowoczesnych wymogów. Znosiła ona nie tylko biały habit dawnych Marianów, ale również wiele ścisłych przepisów i zmieniła charakter zakonny na luźne zgromadzenie księży, z obieralnym (a nie dożywotnim) na kilkuletni okres czasu generałem. [I przypis 14:] Zmiany te były tak poważne, że w opinii niektórych środowisk obecne Zgromadzenie Marianów nie jest kontynuacją zakonu 'białych' Marianów. Vide: Kołodziejski" (str. 10).

Otóż według konstytucji mariańskich generał był zawsze, od samego początku aż do chwili obecnej, wybierany. Natomiast na temat wzajemnego stosunku Marianów sprzed odnowy i po odnowieniu wypowiedział się ktoś najbardziej kompetentny, bo sama Kongregacja dla Spraw Zakonnych w liście z 25 kwietnia 1928 roku, skierowanym do biskupa Henryka Przeździeckiego, w słowach:

„Nie należy jednak rozumieć przekształcenia wspomnianego Zakonu Marianów w ten sposób, jak gdyby w jego miejsce Stolica Apostolska założyła jakiś nowy, zupełnie inny Instytut, jak to się zdaje sugerować list Waszej Wysokości. Wspomniany bowiem dekret (Kongregacji do Spraw Zakonnych nr 3544/09 z 28 listopada 1910 roku) nie mówi o tworzeniu nowego zgromadzenia, lecz o zabezpieczeniu dalszego istnienia i ciągłości tegoż Instytutu Marianów, który prawie całkowicie wygasł z powodu ówczesnych niegodziwych warunków. Mając więc na względzie okoliczności czasu i miejsca, w tym celu ta sama Święta Kongregacja wspomnianym dekretem zamieniła w Instytucie Marianów śluby uroczyste na proste, a dawne Konstytucje odpowiednio przystosowała.

Przekształcony zatem Instytut Marianów jest prawomocną

kontynuacją, chociaż w nowej formie, tegoż Zakonu Marianów prawnie założonego w XVII wieku[1]". Nic tu nie można dodać. Sprawa jest do końca wyjaśniona.

Pan Siemaszko ma do bpa Matulewicza pretensje za to, że kierując diecezją wileńską był jednocześnie generałem Zakonu Marianów, gdyż „nie mogło to być zbyt korzystne dla wileńskiej diecezji, która praktycznie rzecz biorąc przez 50 lat była pozbawiona biskupa" (str. 19). Rzeczywiście łączenie tych funkcji wymagało zgody Stolicy Apostolskiej. Świadczy to, jak bardzo zależało Watykanowi na osobie ks. Matulewicza. Biskup starał się te szkody dla diecezji sprowadzić do minimum. Wyznaczył dwóch wikariuszy na Polskę i Litwę i przez nich kierował wspólnotą. Ale jego powiązanie z życiem zakonnym miało też pozytywne skutki dla życia religijnego diecezji. Rozumiejąc czym są zakony w Kościele, sprowadził do swej diecezji liczne rodziny zakonne, przeważnie z południowej Polski, gdzie jedynie przetrwały okres rozbiorów. Tak, że pod koniec jego rządów w diecezji pracowało 500 zakonnic i 140 zakonników, co wywoływało niepokój wśród Litwinów, że są polonizowani[2].

Żeby już wyczerpać tematykę związaną z Marianami, przytoczę jeszcze wypowiedź Autora o ks. Andrzeju Cikocie i Marianach Białorusinach. Porusza on ten temat w związku z ofiarowaniem przez ks. Cikotę Piusowi XI portretu arcybiskupa Matulewicza w 1934 roku, kiedy to papież wypowiedział te znamienne słowa o Arcybiskupie: *vir vere sanctus*. Nawiązując do tego faktu Siemaszko między innymi objaśnia: „Ks. Cikoto był kierownikiem grupy Marianów-Białorusinów. [...] Pod koniec lat 30-tych wojewoda wileński Bociański zmusił tę białoruską grupę do opuszczenia granic Rzeczypospolitej. Przenieśli się oni do Charbina. Jeden z nauczycieli tamtejszego polskiego gimnazjum nazwał ks. Cikotę „wielkim polskim patriotą". W 1945 roku chińskie władze komunistyczne zlikwidowały charbiński ośrodek polsko-białorusko-katolicki. Pisze o tym ks. Hermanowicz, *vide* bibliografia". Idąc za tą sugestią zajrzałem do książki ks. Hermanowicza „Chiny, Sybir, Moskwa" i nie znalazłem przytoczonych informacji, a znalazłem zupełnie coś innego. W tym czasie ks. Cikoto był generałem całego Zakonu Marianów. Wojewoda Bociański nie miał takiej władzy, żeby mógł kogoś zmusić „do opuszczenia" granic Rzeczypospolitej, ale w 1938 roku rzeczywiście wysiedlił Marianów-Białorusinów z województwa wileńskie-

1. *Marianus* (Organ Kurii Generalnej Księży Marianów), 1960, nr 17, str. 23.

2. *Vilniaus Aidas* z 3 marca 1925 roku pisał: „Wkrótce w Wilnie nie pozostanie ani jednego kościoła, ani jednych murów, gdzie by nie mieszkali zakonnicy", którym przekazuje się „i poboczną misję, która nic dobrego nie rokuje nie-Polakom". (Cytuję za *Dziennikiem Wileńskim* z 5 marca 1925 roku).

go. Spotkało ich to samo co i Czesława Miłosza, który opisał wspomniane zdarzenie w wierszu „Toast":

Pomógł mi emigrować w sposób dosyć drański
Wojewoda tamtejszy, nazwiskiem Bociański[3]

Spośród wysiedlonych zakonników tylko wspomniany tu ks. Hermanowicz udał się do Charbina. Placówka charbińska była założona już w 1928 roku. Nie była ani polska, ani białoruska, chociaż pracowali w niej Białorusini. Miała ona charakter rosyjski. Zarówno ks. Fabian Abrantowicz jak i jego następca ks. Cikoto byli ordynariuszami dla katolików Rosjan obrządku wschodniego w Chinach. Również prowadzone przez nich gimnazjum posługiwało się językiem rosyjskim. Ośrodek charbiński prowadził przez 20 lat piękną pracę ekumeniczną. Obaj jego kierownicy, ks. Abrantowicz i ks. Cikoto, ponieśli śmierć męczeńską w więzieniach sowieckich. Ks. Cikoto, chociaż Białorusin, ma także poważne zasługi dla kultury polskiej. Założył i głównie własnym staraniem utrzymywał przez szesnaście lat gimnazjum polskie na zapadłych kresach w Drui. Wielu Polaków do dziś jest mu za to wdzięcznych.

Redaktor Jan Obst przez cały czas pasterzowania bpa Matulewicza w Wilnie udzielał mu w prasie „instrukcji" żeby się oparł w swoich rządach na Narodowej Demokracji. Z kolei ks. Konstantinas Olšauskas nawoływał go, żeby pokazał, że jest Litwinem. Natomiast Siemaszko pisze: „Gdyby bp Matulewicz zechciał oprzeć się nie na nowym na tym terenie podziale nacjonalistycznym wśród Polaków i Litwinów, a na tradycyjnej wspólnocie, którą reprezentowali — chociaż niezbyt dynamiczni i powiązani z masonerią 'krajowcy' wileńscy zarówno o polskim jak i litewskim zapleczu, miałby pewne szanse powodzenia jako ordynariusz wileński. Ale niestety tego nie uczynił" (str. 27, podobnie str. 15). Ma pretensje, że ich „sugestie o politycznej unii odrzucił" (str. 15).

Wszystkie te propozycje były dla bpa Matulewicza obce. Swój program jasno sformułował już w przemówieniu ingresowym: „Na wzór Chrystusa będę się starał objąć wszystkich, być wszystkim dla wszystkich. Gotów jestem ponieść śmierć za prawdę. Pragnę być dla was tylko ojcem i pasterzem, naśladowcą Chrystusa. Polem mojej pracy jest Królestwo Chrystusowe, Kościół wojujący. Moją partią jest Chrystus" (str. 14). Jego program był religijny, a nie polityczny. Opierał się o Chrystusa i Kościół, a nie o partie i programy polityczne. Od nikogo się nie odcinał. On przyszedł pracować nad zbawieniem w s z y s t k i c h. O taką postawę musiał przez całe życie staczać boje, zwłaszcza ze swy-

3. Juliusz Bardach: „O dawnej i niedawnej Litwie", Poznań 1988, str. 391.

mi rodakami, którzy go chcieli wciągnąć do działalności politycznej. Wyrazem takiej postawy jest też ślub uczyniony w bazylice Św. Piotra, że będzie służył tylko Bogu, Kościołowi i zbawieniu dusz, a nie sprawom politycznym i narodowościowym.

O taką postawę walczył zarówno wśród duchowieństwa diecezji wileńskiej, jak i w Zgromadzeniu Księży Marianów. Oto obszerne fragmenty listu z 30 marca 1924 roku do ks. Włodzimierza Jakowskiego, Marianina:

„Naszym bezpośrednim zadaniem jest, oprócz własnego uświęcenia, szerzenie chwały Bożej, praca dla Kościoła i zbawienia dusz. Te ideały mogą i powinny aż nadto wypełnić całe nasze życie. Polityka nie jest naszym zadaniem. Najlepiej będzie, gdy ją zostawimy ludziom specjalnie do tego powołanym i fachowo przygotowanym. [...] Jako zakonnicy powinniśmy starać się być ponad polityką i partiami politycznymi i poza nimi. Wszystkim winniśmy głosić zasady wiary i moralności chrześcijańskiej i wszystkich winniśmy zachęcać, by oparli na nich politykę, gdyż wówczas tylko może ona stać się naprawdę zdrową i zbawienną. My zaś sami zawsze i wszędzie winni jesteśmy okazywać się i być stronnikami Chrystusa i Jego sprawy. Nie posłał nas Pan Bóg do budowania państw ziemskich, do kreślenia im granic, do rozstrzygania między nimi sporów terytorialnych, ale do budowania i szerzenia Królestwa Bożego w sercach ludzkich. Pełniąc to szczytne zadanie najlepiej przysłużymy się i temu społeczeństwu i temu narodowi, wśród którego wypadnie nam pracować. Cóż bowiem można dać ludziom potrzebniejszego i lepszego ponad Chrystusa? W Nim tylko zbawienie dla jednostek i narodów. [...] W stosunku do partii istniejących, które często między sobą się zwalczają, powinniśmy zająć stanowisko duszpasterzy, tj. pragnąć wszystkich pociągnąć do Chrystusa, jak św. Paweł mówił: *omnibus debitor sum, omnibus omnia factus sum, ut omnes Christo lucrifaciam*".

Winniśmy być apostołami zgody, miłości i pokoju. Tyle dziś nienawiści na świecie; trzeba ludziom przypominać, że są dziećmi tego samego Ojca w niebiesiech a braćmi między sobą. Tyle egoizmu wybujałego; trzeba uczyć iż należy swoje 'ja' podporządkować dobru ogólnemu. Na sprawy społeczne, polityczne i narodowościowe mogą ludzie mieć nieraz różne i odmienne poglądy. Często trudno orzec, który z tych poglądów prawdziwszy i lepszy. *De particularibus non datur scientia*, powiada św. Tomasz. Tu każdemu wolno mieć swoje zdanie, byle by ono nie sprzeciwiało się zasadom wiary świętej; tu winniśmy jeden drugiego uszanować[4]". Dzięki takiej postawie był szczególnie predestynowany na duszpasterza zwaśnionych narodów w tyglu wileńskim.

Może też z tego tytułu odnosił się z dużą sympatią do wspo-

4. Bł. Jerzy Matulewicz: „Listy polskie", przygotował do druku ks. Jan Bukowicz, Warszawa 1987, tom I, str. 171.

mnianych tu „krajowców", chociaż nie jako polityk, ale duszpasterz. Z mecenasem Tadeuszem Wróblewskim, przecież masonem, utrzymywał zażyłe stosunki towarzyskie[5]. *Przegląd Wileński*, kierowany przez Ludwika Abramowicza, systematycznie stawał w obronie czci biskupiej. A inny „krajowiec", Kazimierz Okulicz, już z dystansu wspominał: W pamięci ludzi bezstronnych i dążących do zgodnego współżycia narodowości miejscowych, biskup Matulewicz pozostał postacią wybitną, obcą szowinizmom, o bardzo wysokim poziomie intelektualnym, moralnym oraz powołania duchownego[6]".

Chociaż misja bpa Matulewicza była religijna, ale miała też skutki doczesne, polityczne, społeczne. Nie piszę tu biografii bł. Jerzego, ale Siemaszko zajmujący się programowo „ludzkim obliczem Kościoła" nie zauważył żadnych osiągnięć Biskupa w tej dziedzinie. A trudno nie wspomnieć o jego walce z alkoholizmem, a zwłaszcza o jego trosce o zgodne współżycie między różnymi narodowościami, o pokój. Często na ten temat mówił. Niemal w każdym swoim liście pasterskim dotykał tej tematyki. Już w przemówieniu ingresowym modlił się do Matki Boskiej Ostrobramskiej: „Spraw, aby się wojna skończyła i nastał pokój. Aby zniknęła nienawiść i zapanowała powszechna miłość[7]". A w liście pożegnalnym do kapituły pisał: „Będę błagał Najwyższego, by mieszkańcy [diecezji] baczyli na to raczej, co winno ich łączyć i jednoczyć, niż na to co może ich dzielić, by panowała między nimi zgoda i miłość, by wszyscy stali się jedno w Chrystusie, by ten Chrystus dał im pokój prawdziwy i darzył wszelkim błogosławieństwem i wszelkim szczęściem tak w tym życiu, jak i w przyszłym[8]".

Może szczególnie przykro odczuwał konflikt polsko-litewski, przewidując jego smutne konsekwencje. W liście skierowanym 24 grudnia 1921 roku do bpa Przeździeckiego pisał: „Mamy wybory, ale wątpię, by one cokolwiek rozstrzygnęły. Żydzi, Litwini i świadomi Białorusini nie biorą udziału. Najlepiej gdyby się pogodzili, ale tego nie widać. Boję się, że Kozacy kiedyś mogą przyjść tu nas godzić[9]". Niestety, te przewidywania okazały się prorocze.

Pisząc list pasterski w 1922 roku z okazji 400-nej rocznicy kanonizacji św. Kazimierza, nawoływał: „Święty Kazimierz, jako królewicz Polski i Litwy, jednakowo kochającym sercem obejmował Kraków i Wilno, Polskę i Litwę. I dziś błagać go mamy,

5. W Bibliotece Wróblewskich w Wilnie zachowały się trzy listy bpa Matulewicza do mecenasa. Zobacz: Bł. Jerzy Matulewicz, „Listy polskie", tom III, str. 117-118.

6. Kazimierz Okulicz: „Brzask, dzień i zmierzch na ziemiach Litwy Historycznej". Odbitka z *Pamiętnika Wileńskiego*, Londyn 1972, str. 19.

7. Bł. Jerzy Matulewicz, „Pisma wybrane", praca w druku.

8. Bł. Jerzy Matulewicz, „Listy polskie", tom II, str. 82.

9. *Tamże*, tom III, str. 10.

by wstawiennictwem swoim usunął spośród nas usterki narodowościowe i społeczne, by miłość Chrystusowa i zgoda w sercach braterskich zakwitły, by w kraju naszym pokój prawdziwy panował[10]".

Również w praktyce, w miarę swoich możliwości, starał się łagodzić konflikty. Przy zmianach władz, kiedy często dochodziło do samosądów, starał się być w Wilnie i łagodzić wzburzenie umysłów. Szczególnie wypadało mu stawać w obronie krzywdzonych Żydów. Podjął się również, na prośbę generała Żeligowskiego, pośrednictwa w nawiązaniu kontaktów z władzami litewskimi w Kownie. Nawet jego systematyczne stawanie w obronie języka mniejszości narodowych w kościołach i księży Białorusinów i Litwinów w Polsce (za co był tak ostro zwalczany), a księży Polaków w Republice Litewskiej[11], w gruncie rzeczy było korzystne zarówno dla Polski jak i dla Litwy, niweczyło bowiem zasadę *cuius regio eius religio* i chroniło przed wzajemnymi represjami.

Przytaczając opinie niektórych polityków (Stanisława Grabskiego, Walerego Romana) Siemaszko nie zauważa, że byli to ludzie wrogo nastawieni do Biskupa, że wkładali dużo wysiłku, żeby go z Wilna odwołać. Przy tym rozporządzali pokaźnymi siłami. Starali się kontrolować każdy jego krok, każdą wypowiedź, każde pismo. I jakie są ich osiągnięcia? Grabski w sposób obraźliwy nazywa go „zaciętym Litwinem, nie kryjącym się ze swą sympatią dla litewskich dążeń oderwania Wilna od Polski" (str. 17). Samą sympatią Biskup nie mógł ani Litwie się przysłużyć, ani Polsce zaszkodzić. Ale dalej Grabski dodaje: „bp Matulewicz był naprawdę wzorowym, świątobliwym kapłanem" (str. 17). Podobnie Roman, oskarżając Biskupa o osłabianie wpływów polskich na korzyść Litwinów i Białorusinów, dodaje: „Ze stanowiska wyłącznie obiektywnego pobudki biskupa można uznać za bardzo wzniosłe i nie pozbawione uzasadnienia logicznego, dla osoby jego zaś, jako człowieka i kapłana, żywić wysoki szacunek" (str. 19). Przecież nam chodzi o stanowisko wyłącznie obiektywne, bo nie ma dwóch etyk: obiektywnej i „interesów państwowych". Chyba jest truizmem twierdzenie, że

10. Bł. Jerzy Matulewicz, „Pisma wybrane".

11. Diecezja wileńska do października 1920 roku była podzielona granicą polsko-litewską. Z części znajdującej się w Republice Litewskiej dopiero w 1926 roku została utworzona diecezja koszedarska. Bp Matulewicz był zwierzchnikiem całej diecezji. Jego interwencje w obronie księży Białorusinów i Litwinów w Polsce znane są z prasy. Ale również wielokrotnie stawał w obronie księży Polaków w Republice Litewskiej, na przykład 25 maja 1923 roku pisał do swego wikariusza generalnego ks. Józefa Kuchty: „Ile tylko będziesz mógł broń ks. Szyłejko i Puzyrewskiego. Jeżeli tam władze będą usuwały księży Polaków z powodu ich polskości, a tutaj z powodu litewskości, to do czego dojdziemy? Niech władze nie lękają się tych księży; Litwy nie zlikwidują i jej nie zaszkodzą" (bł. Jerzy Matulewicz, „Listy litewskie", w przygotowaniu do druku).

rządy polskie w okresie międzywojennym nie umiały właściwie rozwiązać problemu mniejszości narodowych. Roman wysuwając twierdzenie o etyce „interesów państwowych", polegającej w tym wypadku na użyciu Kościoła do polonizacji zwłaszcza Białorusinów, oraz o odwołaniu bpa Matulewicza z Wilna, bo się do tego „nie nadawał", jest tego przykładem.

Załatwiając konkretną sprawę z ministrem Grabskim, bp Matulewicz w liście z 21 czerwca 1925 roku dokonał podsumowania swego stosunku do mniejszości narodowych i państwa polskiego, w słowach: „Diecezja wileńska pod względem narodowościowym mieszana i niestety nieraz zachodzą tarcia narodowościowe. Zawsze starałem się je łagodzić i usuwać, zawsze nawoływałem wszystkich bez różnicy do zobopólnej miłości, do jedności i zgody, do sprawiedliwego traktowania się nawzajem, do oparcia całego życia na zasadach Ewangelii, jednej i tej samej dla wszystkich i do zgodnej, wytężonej, a sumiennej pracy dla wspólnego dobra. Nie sądzę, by pasterzowanie w tym duchu mogło być rozbieżne z rzeczywistymi interesami i dobrem Państwa lub przynieść mu jakikolwiek uszczerbek. Owszem mniemam, że o ile bardziej będziemy traktowali wszystkich bez różnicy obywateli Rzeczypospolitej naszej z należną sprawiedliwością i życzliwością, o ile bardziej będziemy wchodzili w rzeczywiste ich potrzeby i uwzględniali słuszne ich wymagania, o tyle Państwo prędzej skonsoliduje się i pod każdym względem rozkwitać będzie, gdyż już starożytni stawiali jako zasadę: *fundamentum regnorum iustitia est*, a Pismo Święte poucza, iż tylko sprawiedliwość i cnota wywyższa narody i czyni je wielkimi [12]".

Jeszcze słowo o ks. Leonie Puciacie, którego Aleksander Meysztowicz zaangażował do akcji przeciwko biskupowi Matulewiczowi, o czym wspomina ks. Walerian Meysztowicz. To, że Pius IX odwrócił się od ks. Puciaty „ze wstrętem", być może zreflektowało go, gdyż jego powiernik ks. Władysław Rusznicki z Białegostoku w 1968 roku wspominał: „Do tej grupy [Polaków] należał ks. Leon Puciata, który w Rzymie działał przeciwko Biskupowi. W długi czas po tej akcji, gdzieś w latach 1940-tych, mówił do mnie, że żałuje tego swojego postępowania, doszedł bowiem do przekonania, że nie powinien był tak postępować, bo to było wobec Biskupa niesprawiedliwe [13]".

Czytając artykuł pana Siemaszki odnoszę wrażenie, że Biskup nie miał kontaktu z wiernymi diecezji, że Wilno „nie mogło przyjąć bez protestów biskupa" (str. 26), że „biskup odciął się od wszystkich" (str. 15), a „stosunki między biskupem a duchowieństwem w Wilnie były napięte" (str. 24). Do tego zmierzali wszyscy jego przeciwnicy z redaktorem Obstem na czele i w jakimś stopniu to osiągnęli, przynajmniej wśród zagorzałych zwo-

12. **Bł. Jerzy Matulewicz, „Listy polskie", tom II, str. 167-168.**

13. **Archiwum Marianów Prowincji Polskiej, Zeznania o bł. Jerzym Matulewiczu po 1964 roku, maszynopis.**

lenników endecji. Pomimo tego Biskup miał dość szerokie kontakty duszpasterskie i z wiernymi i z księżmi.

Po jednym z kazań, wygłoszonym na Gorzkich Żalach w Niedzielę Palmową 1921 roku, Biskup zrobił notatkę: „W czasie popołudniowego nabożeństwa mówiłem w katedrze kazanie o bolesnej męce Pana Jezusa. Jak na wszystkich kazaniach o męce Jezusa tak i dzisiaj była pełna katedra ludzi. Widocznie ludzie lubią te kazania. Okazało się, że właśnie takie kazania odpowiadają ludziom. Narodowych i politycznych nasłuchali się już i mają ich dosyć. Kto chce polityki może pójść na wiec. Przyjemnie jest ludziom przynajmniej w kościele odpocząć, usłyszeć Słowo Boże i pomyśleć o swoim zbawieniu [14]".

Podobnie pisząc do sekretarza stanu kardynała Pietro Gasparriego 22 kwietnia 1924 roku, relacjonował: „Jeśli chodzi o wierny lud, ogólnie biorąc, niezależnie od narodowości jest apolityczny i odnosi się do biskupa jako do duszpasterza. W czasie wizytacji pasterskich, wszędzie, nie wyłączając miasta Wilna, na mój przyjazd gromadzą się liczni wierni i przyjmują mnie z największą czcią i radością, a gdy odjeżdżam żegnają mnie z nie mniejszą wdzięcznością i uszanowaniem. Gdy w czasie wizytacji kilka razy w ciągu dnia głoszę Słowo Boże, zdaniem księży, są to jakby misje dla ludu [...].

Księża, o ile wiem, z moich rządów ogólnie biorąc są zadowoleni, z wyjątkiem niektórym Polaków, którzy należą do partii politycznej zwanej Narodową Demokracją i zajmują się zawodowo sprawami politycznymi. Oni od samego początku w ukryciu i podstępnie przeciwko mnie występują dlatego, że całkowicie niezależnie od ich partii wypełniam swoje pasterskie obowiązki. Wydaje mi się, że nie mogę inaczej postępować bez szkody dla spraw katolickich [15]".

Kardynał Henryk Gulbinowicz, jako były biskup w Białymstoku, pisze we wstępie do „Dziennika duchowego" bł. Jerzego: „We wspomnieniach znanego mi duchowieństwa pozostał jako człowiek i biskup o wielkich walorach umysłu i serca. Mówili o Nim jak się mówi o dobrym ojcu, z ciepłą nutą szacunku i miłości. Cenili go wysoko jako pasterza diecezji, z którym po 120 latach niewoli budowali nowe życie Kościoła w trudnych warunkach dopiero co odzyskanej wolności dla tamtych ziem. Cenili Go jako biskupa bardzo rozległej diecezji, którą zamieszkiwały różne narodowości i gdzie jak w tyglu mieszały się wyznania i obrządki. Arcybiskup Jerzy Matulewicz — twierdzili — służył wszystkim z oddaniem i ze szczególnym zrozumieniem potrzeb duchowych [16]".

---

14. Bł. Jerzy Matulewicz, „Dziennik biskupi", maszynopis, str. 13.
15. *Positio super virtutibus* (...) *Documenta responsioni adnexa*, Roma 1980, str. 84.
16. Bł. Jerzy Matulewicz, „Dziennik duchowy", wyd. III, Warszawa 1988, str. 9.

Znane są wystąpienia księży w obronie Biskupa, połączone niekiedy z bojkotem *Dziennika Wileńskiego*, na przykład w 1925 roku: z dekanatu głębockiego, czterech dekanatów kresowych, dekanatów podwileńskich, dziekanów z całej diecezji [17].

Pan Siemaszko, który nie dostrzegł w życiu bpa Matulewicza żadnej cechy pozytywnej, nie odnotował w jego posługiwaniu żadnych osiągnięć konsekwentnie podsumowuje: „Trzeba stwierdzić, że wyznaczenie Matulewicza na ordynariusza wileńskiego było decyzją niefortunną. Zdawali sobie z tego sprawę jeszcze przed nominacją zarówno sam kandydat, jak i kapituła wileńska. Główną przyczyną były zbyt daleko posunięte tendencje nacjonalistyczne, zarówno polskie jak i litewskie na terenie dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego" (str. 26).

Absolutnie biorąc, nie mogło być „fortunnych decyzji" przy wyznaczaniu kogokolwiek na pasterza diecezji wileńskiej. Biskup Matulewicz jako Litwin (Autor ubolewa, że nie uległ polonizacji) nie podobał się niektórym Polakom — jak to zaznaczyła kapituła. Ale biskup każdej innej narodowości też miałby swoich przeciwników. Dał temu wyraz właśnie sam bp Matulewicz pisząc: „Ja w Wilnie nie dałbym sobie rady, nie wiem czy tam anioł z nieba dogodziłby wszystkim" (str. 13). Z pewnością nie dogodziłby.

Pomimo takiej sytuacji biskupa do Wilna należało wyznaczyć. Jak pisze wizytator apostolski Achille Ratti do kapituły wileńskiej: „Ojciec Święty problem wyznaczenia i mianowania Waszego ordynariusza, nie tylko długo rozważał, jak to zawsze bywa, lecz rozważał go wyjątkowo długo, jeszcze przed moim przybyciem tutaj, a zadecydował dopiero po zasięgnięciu opinii i upewnieniu się ze strony wszystkich zainteresowanych czynników polskich — z Waszej strony także — że wyznaczony ordynariusz będzie przez Was wszystkich przyjęty. Samą zaś nominację zdecydował dopiero w takich okolicznościach, które w szczególniejszy jakiś sposób ujawniają i okazują wolę Bożą [18]". Podobna była opinia episkopatu Polski, którą wyraził ks. Przeździecki w słowach: „Litwin, drogi dla Litwinów i dobrze widziany przez Polaków... Kapłan bardzo pobożny, człowiek wybitnie wykształcony i pokorny. W tych bardzo ciężkich czasach dla diecezji wileńskiej z powodu różnych walk, tylko ten jeden wzorowy kapłan zdolny jest i kler wileński skierować na drogę prawą i wiernych tej diecezji zjednoczyć w prawdziwej miłości chrześcijańskiej" (str. 13). Był predestynowany do tego, aby być duszpasterzem zwaśnionych Polaków i Litwinów oraz jednoczyć ich na gruncie religijnym. Zbyt wąskie i jednostronne zadanie wyznaczył Biskupowi Autor wysuwając przypuszczenie, że w rachu-

17. *Przegląd Katolicki*, 1925 nr 30.
18. Biblioteka Centralna Litewskiej Akademii Nauk: F. 43 VFK 520, str. 303.

bach episkopatu Polski „będzie czynnikiem łagodzącym antypolskie zapędy Taryby na terenie diecezji wileńskiej" (str. 27).

Z licznych wypowiedzi Piusa XI widać, że bp Matulewicz stanął na wysokości zadania. Na przykład Maciej Rataj w swoich „Pamiętnikach" pod datą 24 września 1924 roku zanotował taką relację posła polskiego przy Watykanie Władysława Skrzyńskiego: „Do Matulewicza ma [papież] sentyment i zaufanie — stawia go na pierwszym miejscu z biskupów w Polsce[19]". A sam Pius XI w liście skierowanym do bpa Matulewicza z dnia 20 lutego 1922 roku pisał: „My sami niejednokrotnie mogliśmy obserwować, z jaką roztropnością i jak bezstronnie wykonywałeś obowiązki dobrego pasterza, szukając bardziej chwały Bożej i zbawienia dusz niż ludzkich pochwał. Nie ustawaj zatem, zgodnie ze swoją zasadą, dobrze się zasługiwać dla spraw katolickich. My zaś ufamy, że stanie się tak, iż wszyscy będą Cię czcili i chwalili z powodu wzniosłości biskupiej posługi i miłości[20]".

Z przytoczonych fragmentów widać, że Papież już po latach doświadczeń, w których sam partycypował jako Nuncjusz w Polsce, uważa iż wyznaczenie ks. Matulewicza na biskupa wileńskiego — biorąc pod uwagę miejscowe okoliczności — było „decyzją fortunną". W proroczych słowach zapowiada nawet Biskupowi chwałę za jego posługiwanie pasterskie, co najpełniej zostało zrealizowane w dniu beatyfikacji 28 czerwca 1987 roku. Myślę, że jest to głos bardziej kompetentny niż pana Siemaszki.

Z artykułu Siemaszki starałem się wyłowić niektóre zagadnienia i je omówić. Ale cały tekst jest napisany niechlujnie. Oto prostsze przykłady:

— W 1911 roku papieżem był nie Benedykt XV, jak pisze Siemaszko (str. 6), ale Pius X.

— „W 1913 roku ks. Matulewicz odwiedził ośrodki mariańskie w Chicago i Brooklynie w Stanach Zjednoczonych" (str. 11). Nie mógł ich odwiedzić, bo ich tam nie było.

— Achille Ratti „w listopadzie 1918, kiedy powstało państwo polskie, został Nuncjuszem w Warszawie" (str. 13, przypis). Ratti przybył do Warszawy 29 maja 1918 roku jako wizytator apostolski Polski i Litwy. Urząd Nuncjusza objął dopiero 19 lipca 1919 roku.

— „Nie jest pewne, czy bp Matulewicz znał język białoruski" (str. 14). Wielokrotnie pisze, że go nie znał, na przykład: „Listy polskie", tom I, str. 11.

— To nie „fanatyczni Litwini grozili mu śmiercią, jeżeli przywita prezydenta RP" (str. 17), ale Polacy. Chodziło o skompromitowanie Biskupa w oczach polskiej opinii publicznej, że nawet głowy państwa nie chciał powitać.

— „W marcu 1926 Matulewicz powrócił do Watykanu (...). Z Watykanu abp Matulewicz udał się na międzynarodowy kon-

19. Maciej Rataj, „Pamiętniki", Warszawa 1965, str. 235-236.
20. *Kurenda Kurii Diecezjalnej Wileńskiej*, R. 2: 1922, nr 2, str. 1.

gres eucharystyczny do Chicago. A potem we wrześniu 1926 wyjechał po raz drugi na Litwę, aby wprowadzić w życie nową organizację kościelną zatwierdzoną przez Stolicę św." (str. 25). Otóż abp Matulewicz z dokumentami Stolicy Apostolskiej udał się na Litwę w kwietniu 1926 roku. Uroczyście proklamował konstytucję „Lituanorum gente" 13 maja i z Litwy wyjechał do Chicago.

Po przeczytaniu artykułu pana Siemaszki nasunęła mi się na pamięć refleksja najbliższego współpracownika bpa Matulewicza, kanclerza kurii biskupiej i członka kapituły wileńskiej, ks. Lucjana Chaleckiego: „Dziwna rzecz, jak tego Człowieka nie umieli wszyscy należycie docenić. Trudna i ciernista była jego droga, prawdziwie droga świętych".

Tadeusz GÓRSKI, MIC

Z. S. SIEMASZKO

ODPOWIADAM KS. GÓRSKIEMU

Zapoznałem się z „Uwagami" Tadeusza Górskiego MIC do mego opracowania o biskupie wileńskim Jerzym Matulewiczu (*Zeszyty Historyczne* nr 84).

Już na samym początku autor „Uwag" stwierdza, iż nie zrozumiałem „tej wybitnej postaci Kościoła katolickiego", ale odnosi się wrażenie, że chodzi tu nie tyle o zrozumienie, co o gloryfikację. Tymczasem ja nie jestem zwolennikiem pisania panegiryków i dążyłem do przedstawienia bpa Matulewicza takim, jakim był, a więc człowiekiem, a nie istotą bezbłędną.

Stwierdza On również, że pisząc o Biskupie posiadałem „skromne informacje". Bibliografię, z której korzystałem, podałem na końcu opracowania. Zawiera ona 24 pozycje, z tego 10 opracowanych lub wydanych przez Marianów, a wśród nich dwie i pół Tadeusza Górskiego MIC. To chyba wystarczy jak na 28 stron opracowania.

Z tego co Górski pisze o kieleckim dwutygodniku *Maryawita* można wnioskować, iż był on silnie związany z ruchem mariawickim, skoro nie zmieniono mu nazwy ani na skutek stwierdzenia Kongregacji św. Inkwizycji w 1904 roku, iż widzenia zakonnicy Kozłowskiej to halucynacje, ani też na skutek „zesłania" ks. Kowalskiego na parafię do zapadłej Sobótki w 1905 roku, a dopiero w 1906 roku na skutek zasuspendowania siedmiu księży Mariawitów, ekskomunikowania Kozłowskiej i Kowalskiego oraz

ukazania się serii artykułów w warszawskim *Tygodniku Ilustrowanym* potępiających Mariawitów.

Pojęcie „biali Marianie", odnoszące się do oryginalnego zakonu Marianów, przyswoiłem sobie od szeregu członków Zgromadzenia Marianów, których znałem tu w Londynie w latach 60-tych i potem. Natomiast sporem dotyczącym zamiany dawnego Zakonu Marianów na obecne Zgromadzenie Marianów nie zajmowałem się i jedynie stwierdziłem jego istnienie.

W jednym miejscu Górski pisze: „Siemaszko nie zauważył żadnych osiągnięć Biskupa w tej dziedzinie" (chodzi tu o ludzkie oblicze Kościoła), a w drugim „Pan Siemaszko nie dostrzegł w życiu bpa Matulewicza żadnej cechy pozytywnej, nie odnotował w jego posługiwaniu żadnych osiągnięć". Bardzo przepraszam. Na przykład napisałem:

„Najbardziej skutecznym okresem działania bpa Matulewicza jest jego praca na Litwie, gdzie w krótkim czasie (nieco ponad rok) nie tylko zlikwidował głęboki zatarg z Watykanem, ale również przeprowadził reorganizację kościelną na Litwie i doprowadził do zawarcia konkordatu. Osiągnięcia te należy zawdzięczać ogromnym wysiłkom i poświęceniu osobistemu Biskupa" (str. 27).

Autor „Uwag" ma emocjonalne podejście do zagadnień przez siebie poruszanych, widocznie zakłada, że inni reagują podobnie i dlatego pisze, iż „ubolewam" nad tym, że bp Matulewicz nie uległ polonizacji. Jest to błędna interpretacja moich wypowiedzi, bo uważam, że do zjawisk historycznych należy podchodzić bezemocjonalnie. Dlatego nad niczym nie „ubolewałem", a jedynie zauważyłem, iż w miarę upływu czasu zaszła zmiana w podejściu poszczególnych członków rodziny Matulewiczów do zagadnienia polonizacji. Usiłując ustalić powody sprzeciwu wobec dalszej polonizacji, doszedłem do wniosku, że przyczynił się do tego rozwój zarówno nacjonalizmu polskiego, jak i litewskiego, ale chyba w pierwszym rzędzie polskiego, który zahamował dalsze procesy polonizacyjne.

Chcąc ograniczyć moją reakcję na „Uwagi", pragnę poruszyć tylko jeszcze jedną sprawę, a mianowicie wysiedlenie księży Marianów z Drui.

Już po ukazaniu się mego opracowania zdołałem uzyskać ustną relację Bohdana Wendorfa, ostatniego starosty brasławskiego, zamieszkałego obecnie w Londynie. Nie brał on udziału w decyzji usunięcia Marianów, a jedynie w wykonaniu tej decyzji, gdyż urząd starosty brasławskiego objął tuż przedtem.

Według pana Wendorfa ustawa o granicach państwa przewidywała strefę nadgraniczną szerokości 2 do 5 lub 6 km, w zależności od układu terenu i gęstości zaludnienia, i o wiele szerszy pas przygraniczny. W latach 30-tych rozważano sprawę usunięcia z miasteczka Druja położonego w strefie nadgranicznej nad samą Dźwiną (będącą w tym miejscu granicą z Łotwą) dwóch księży ze Zgromadzenia Marianów, których nazwisk pan Wendorf nie

pamięta[1]. W opinii władz administracyjnych księża ci prowadzili, w oparciu o ośrodek białorusko-katolicki w Drui, akcję szkodliwą dla państwa, tym bardziej niebezpieczną, iż miało to miejsce tuż przy samej granicy. Sprawa ta była badana przez dwa lata i wreszcie na wniosek starosty (poprzednika Wendorfa), z poparciem wojewody Bociańskiego i ministra Spraw Wewnętrznych (Sławoja-Składkowskiego) zapadła decyzja wysiedlenia dwóch księży z kilkukilometrowej strefy nadgranicznej.

Księża ci dostali nakaz wysiedlenia, ale nie zastosowali się do niego. Wówczas został wysłany patrol policyjny wraz z samochodem. Tym razem księża usłuchali i wsiedli do samochodu. Na pytanie policji, czy chcieliby, żeby ich odwieźć do domu Marianów w Wilnie, odpowiedzieli, że chcą tylko wyjechać z zakazanej strefy, poprosili o wysadzenie w polu i tam pozostali. Miejscowa ludność udzieliła księżom pomocy w postaci wyżywienia i noclegu, ale nie zamierzała z ich powodu wszczynać jakiejś demonstracyjnej akcji. Po paru dniach „koczowania" przy drodze dwaj księża udali się najprawdopodobniej do Wilna.

Wypadki te miały miejsce latem lub wczesną jesienią 1937 lub też 1938 roku[2].

Z. S. SIEMASZKO

28 grudnia 1988

1. Ks. Górski pisze, iż jednym z wysiedlonych był ks. Józef Hermanowicz. Nie jest to zgodne z życiorysem podanym w jego wspomnieniach *(Chiny — Sybir — Moskwa,* str. 6), według którego w latach 1936-1939 ks. Hermanowicz był rektorem studiów domu zakonnego kleryków Marianów w Wilnie. Najprawdopodobniej z Drui wysiedlono ks. Andrzeja Cikoto, późniejszego przełożonego Marianów, jak również administratora apostolskiego na Mandżurię rezydującego w Charbinie i ks. Sipowicza, który był przełożonym Zgromadzenia Marianów po drugiej wojnie światowej, a potem, będąc biskupem, założył w Londynie ośrodek białoruski. Ks. Cikota zginął po wojnie w łagrach sowieckich, a ks. Sipowicz zmarł w Londynie.

2. Odnotowałem tu okoliczności wysiedlenia dwóch księży Marianów z Drui w takiej formie, w jakiej mi je podano i byłbym wdzięczny, gdyby nikt nie przypisywał mi ani ubolewań, ani też radości z powodu opisania tego wysiedlenia.

Edmond de LAFRENÉ

SYBERYJSKI RAPORT

Sergiusz Maksimow, Rosjanin, napisał w zeszłym stuleciu: „Syberia to kraj, który musi grzebać w sobie grzechy Rosji". Czyni to od kilkuset lat z nieustającą ofiarną cierpliwością.

W 1593 roku mieszkańcy Uglicza zostali osądzeni i wywiezieni do Tobolska za to, że uderzyli w dzwon, gdy konał carewicz Dymitr. Zesłano ich razem z owym dzwonem, który bardzo długo był wystawiony na pokaz naprzeciw tobolskiego więzienia. Obok stał drugi dzwon, przy odgłosie którego strzelcy wzywali lud do buntu przeciw Piotrowi Wielkiemu.

W prawodawstwie rosyjskim kara zesłania pojawia się po raz pierwszy w Ułożeniu Soborowym z 1649 roku. Dotyczy przestępców politycznych. Cztery lata później obejmie także zbrodniarzy kryminalnych skazanych na śmierć (powieszenie, palenie żywcem, ćwiartowanie). Przed kaźnią obcina się im palec u lewej ręki albo ucho i bije knutem, często głodzi. Od połowy XVIII stulecia (uchylenie kary śmierci w 1753 przez carową Elżbietę) takie przymusowe zsyłki stają się istotnym elementem zasiedlania zdobytych obszarów na Wschodzie. Są równoznaczne ze śmiercią cywilną, skazaniec traci wszelkie prawa, do czasów Mikołaja I nawet własne imię. Od połowy zeszłego stulecia katorga (tj. zesłanie do ciężkich robót, głównie w kopalniach) nie może trwać dłużej niż dwadzieścia lat. Jako wszechrosyjskie więzienie polityczne zasłynie Syberia po upadku powstania styczniowego.

Bardzo długo z tego odległego cmentarza nie dochodził żaden głos, jakby zgodnie z dawnym prawem odcinano język każdemu, kto się tam znalazł. Z czasem świadkowie przestali być niemi i u schyłku XIX wieku sama bibliografia prac dotyczących Syberii liczyła trzy pokaźne tomy. Dziś jest ich co najmniej dwu-

krotnie więcej. Ich autorami są historycy i zesłańcy, więźniowie i socjologowie, badacze obyczaju, kultury, języka i poszukiwacze przygód. Rosjanie i cudzoziemcy.

Do polskich lektur narodowych końca zeszłego wieku należały nielegalnie kolportowane — dwa trzytomowe dzieła. Praca Maksimowa „Sybir i katorga" oparta na materiałach więziennych, śledczych i sądowych tzw. *prikaza o zsylnych* (obejmuje okres od początku zesłań do 1863) i „Syberia" George'a Kennana, amerykańskiego publicysty, będąca zapisem jego dwuletniej (1885-1886) podróży po syberyjskich miejscach zesłania i katorgi. Maksimow miał wielkie trudności z publikacją swoich dokumentów, książka Kennana stała się światową rewelacją. Tłumaczona na wiele języków, odkryła Amerykanom, Niemcom, Francuzom zupełnie nieznany obszar, tak na geograficznej, jak społecznej i politycznej mapie.

Kennan opisał ów egzotyczny „gułag carów" może nie ze statystyczną ścisłością ani metafizyczną głębią, ale z werwą i barwnością doskonałej gawędy. Na ile pozwolił go zrozumieć? Czy jest w ogóle możliwe, by przybysz z innej galaktyki, żyjący w innych realiach, innym systemie odniesień, innym systemie prawnym, wniknął w tak obcy świat? Czy da się przyjrzeć niewoli z pozycji turysty? Relacje cudzoziemców z carskiej Rosji budzą wiele podobnych wątpliwości, dzisiejsze ich próby jeszcze je wyjaskrawiają.

Jedynym świadectwem przeczącym owej opinii są rewelacyjne „Listy z Rosji" markiza de Custine'a. Listy przenikliwe i odkrywcze, o których napisano: „nie jest to może bardzo dobra książka o Rosji 1839 roku, ale jest to z pewnością doskonała książka, niewątpliwie najlepsza ze wszystkich, o Rosji Stalina, i całkiem niezła książka o Rosji Breżniewa i Kosygina". Jej autor zauważa pewną prawidłowość — niemożności zwiedzania Rosji „bez bezpośredniego udziału przedstawiciela władzy". Ciekawskiego cudzoziemca należy nieustannie acz uprzejmie pilnować, żeby nie dostrzegł „prawdziwej natury rzeczy, co byłoby w najwyższym stopniu niewskazane". To spostrzeżenie o manipulowaniu opiniami może służyć za usprawiedliwienie tym, którym nie udało się przeniknąć tego kraju. Zapis Custine'a stanowi wyjątek potwierdzający regułę.

Poniższy raport odnaleziony został w Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu *(Archives du Ministère des Affaires Etrangères à Paris)* w papierach dotyczących historii Rosji (RUSSIE MD 47 (1874-1886), str. 162-194). Sporządzony był na polecenie ministra spraw zagranicznych Francji Louis-Charles'a Decazes'a, zainteresowanego wówczas zbliżeniem z Rosją, przez niejakiego Edmonda Lafrené.

Nazwisko autora tego tekstu nie weszło do żadnej encyklopedii, niełatwo odszukać je w spisie francuskich dyplomatów czy urzędników państwowych. Nie znamy jego wieku, wykształcenia,

poglądów. Nie wiemy, jak długo trwała jego podróż i w jaki sposób syberyjskie doświadczenie wpłynęło na dalsze jego losy. Prezentuje się nam jedynie poprzez swoją urzędową relację. Jak się okazuje, wcale to niemało.

Przeciętny Francuz wiedział i wie o Rosji mniej więcej tyle samo, co o Polsce. Często miesza cyrylicę, wódkę, nostalgię, kosy, szable, żubry, lśniące oczy opętane buntowniczą myślą. Lafrené nie jest wyjątkiem. Z pewną nonszalancją posługuje się datami (polskie powstanie sytuuje z dokładnością do czterech lat), popełnia charakterystyczne błędy (każdy chłop rosyjski jest dla niego kozakiem), myli fakty (nieścisły spis rodzajów kar), przekręca tubylcze słowa. A jednak jego raport wart jest uwagi.

Spostrzegawczością, wyczuciem szczegółu Lafrené nie ustępuje Kennanowi, choć nie zna słów kibitka i etap, nie pisze o karze przykucia do taczki ani o rosyjskim zwyczaju, który stał się obowiązkiem, zasiewania grochu i rzepy przy drodze dla sybirskich włóczęgów. Jego opisy są bardziej skondensowane, obrazki celniejsze, opowiadania czasem jak baśnie — straszne i śmieszne. Posiada niewątpliwie reporterskie oko, któremu czasem nie dorównuje tak pióro, jak wiedza. Nie zawsze ma własny pogląd na relacjonowane zdarzenia. Posługuje się więc podsuwanymi mu opiniami, nie wiemy w jakiej mierze i przez kogo inspirowanymi, które przytacza wprost, co daje obraz tyle różnorodny, co sprzeczny.

„Albo bić się albo gnić w Sybirze" — pisał Mickiewicz, wyznaczając warianty polskiego losu. Długa lista syberyjskich zesłańców, od generała Beniowskiego, przez listopadowych i styczniowych powstańców, proletariatczyków, Józefa Piłsudskiego, ogółem 1,5 mln ludzi w samym XIX wieku, potwierdza prawdziwość tego zdania. Być może fakt, że Monsieur Lafrené nie znał historii polskiego buntu sprawił, że powtórzył twierdzenie (Rosjan?) o nieprawomyślności i niemoralności Polaków na Syberii. Twierdzenie być może równie prawdziwe, jak inne, które przytacza o ich niezliczonych zaletach i zasługach. Twierdzenie na pewno dużo mniej popularne, zwłaszcza w środowiskach oświeconej inteligencji rosyjskiej.

Owa „bezkolorowa", jak chciał Norwid, syberyjska ziemia była dla Polaków ziemią symboliczną — męczeńską i „w krwi strumieniach obmytą". Francuski wysłannik nic o tym naszym narodowym bagażu nie wie. Opisał to, co potrafił zobaczyć. Nie zapisał pieśni, jaką śpiewali wędrujący po syberyjskich stepach aresztanci. Pewnie ją słyszał. Może nie zrozumiał. Niech będzie refrenem tej relacji.

Litości nasi ojcowie,
Pamiętajcie o nas, niewolnikach,
Zamkniętych — na miłość Chrystusa!
Dajcie nam jeść, ojcowie,

Nakarmcie nas biednych, uwięzionych!
Ulitujcie się, nasi ojcowie,
Ulitujcie się, nasze matki,
Nad uwięzionymi, na miłość Chrystusa!

Tekst podała do druku, przetłumaczyła i opracowała Agata TUSZYŃSKA.

Canton, 27 marca 1877.
Jego Ekscelencja Książę Decazes,
minister spraw zagranicznych w Wersalu.

Książę,

pozwalam sobie przesłać Waszej Ekscelencji w załączeniu uzupełniający raport z mojej podróży po Syberii. Mam nadzieję, że będzie on dowodem, iż zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, by okazać się godnym zaufania, którym Wasza Ekscelencja zechciała mnie obdarzyć, powierzając mi misję, jaką miałem zaszczyt wypełnić w 1875 roku.

Proszę przyjąć z wyrazami mojej wdzięczności zapewnienie o głębokim szacunku, z jakim pozostaje, Ekscelencjo,

pański bardzo pokorny i posłuszny sługa

E. de Lafrené

Canton, 1 marca 1877

Książę,

podczas syberyjskiej misji, jaką Wasza Ekscelencja mnie zaszczycił, zebrałem informacje dotyczące zesłań i carskiego systemu penitencjarnego. Być może Wasza Ekscelencja uzna je za godne uwagi. Mam zaszczyt przedstawić oto wyniki moich obserwacji.

Udało mi się poznać najbardziej tajne więzienia; dotrzeć do najstraszliwszych miejsc katorgi, na przykład do Kary, której nazwa znaczy „miejsce przeklęte"; rozmawiałem z wieloma wygnańcami w poszczególnych miastach leżących na moim szlaku; rozpytywałem zesłańców, złodziei i morderców; siedziałem przy ogniskach zbiegłych galerników, którzy obozowali w lasach.

Sądzę więc, że jestem w stanie poruszyć temat mało znany w Europie.

Zesłania na Syberię datują się faktycznie dopiero od końca zeszłego stulecia. Za panowania Piotra Wielkiego i Katarzyny II były miejsca katorgi także w samej Rosji. Bałtycki Port (Nogerwick), Kronsztad i inne twierdze zostały zbudowane przez galerników.

Opinia, jakoby Syberia była zaludniona tylko przez potomków dawnych zesłańców jest mylna.

W 1762 roku na 71.000 mieszkańców na Syberii było jedynie 7.000 deportowanych, z których 3.000 nad brzegami Jeniseju, a 4.000 nad brzegami Leny, Angary i w obwodzie zabajkalskim.

W 1862 roku rząd rosyjski pragnąc zaludnić olbrzymie puste przestrzenie Syberii, zakładał wielkimi kosztami osady rolnicze, gdzie chciał umieścić byłych zesłańców i katorżników opuszczających katorgę po upływie kary. Między innymi zbudowano w obwodzie zabajkalskim w okolicach Wierchnieudinska wzorowe wsie, gdzie każdy osiedleniec znajdował obszerny drewniany dom, wyposażony we wszystkie niezbędne do życia urządzenia, konie, bydło i narzędzia rolnicze. Nadawano im ponadto tytuły własności dużych obszarów ziemi uprawnej. Próba ta okazała się bezowocna.

Jechałem przez te miasta. Widziałem tam jedynie ruiny, od dawna opuszczone przez mieszkańców.

Niepowodzenie tego przedsięwzięcia, pożytecznego i dobroczynnego, wynika stąd, że zesłańcy, otępiali w warunkach katorgi, nie są już w stanie korzystać z okazywanej im łaski. Większość przybywa na zesłanie okaleczonych, albo chorych na szkorbut, którego nabawili się podczas straszliwej podróży trwającej 15 miesięcy. Podróży, którą zmuszani są odbywać pieszo, nierzadko w kajdanach. Wychodzą z katorgi kompletnie zdemoralizowani, nie mogąc uniknąć epidemii występku, która tam panuje. Później nie są już zdolni, szczególnie kawalerowie i ci, którym żony nie towarzyszą na Syberii, do stworzenia sobie gniazda rodzinnego. Żaden chłop nie odda swojej córki zwolnionemu katorżnikowi, a kobieta jest niezbędna w domu osiedleńca. To dlatego zniechęcenie i zwątpienie opanowują tak szybko katorżnika rolnika. Opuszcza dom, gdzie samotność, nawet kiedy nie dręczą go wyrzuty sumienia, staje mu się wstrętna; ucieka w lasy i w góry, gdzie wkrótce odnajduje swoich towarzyszy i zaczyna wieść tułaczy żywot, dziki i często przestępczy.

Nic prawdziwszego od tego syberyjskiego przysłowia: Bliżej wolnemu na katorgę niż katorżnikowi do wolności.

Od 1823 roku są dwie kategorie zesłańców:
1. zesłańcy polityczni,
2. zesłańcy kryminalni.

Te dwie kategorie ogólnie tworzą wiele innych, których przeglądu dokonamy.

1. Zesłańcy polityczni:

Ci mogą dzielić się na 6 grup:
1. wygnańcy na Syberię Zachodnią,
2. wygnańcy na Syberię Wschodnią,
3. zesłańcy na osiedlenie w wyznaczonym mieście lub wsi Syberii Zachodniej,
4. zesłani na osiedlenie w wyznaczonym mieście lub wsi Syberii Wschodniej,
5. skazani na katorgę w kopalniach złota, srebra, w warzelniach soli w Kerczyńsku, Usolu, Karze i Sachalinie na okres 5-10-15 albo 20 lat.
6. ci, którzy są dożywotnio zamknięci w tajnych więzieniach na północy Syberii.

Każdy człowiek zatrzymany z przyczyny politycznej lub za taką uznanej jest sądzony przez specjalną komisję powołaną bezpośrednio przez cara. Ona określa ciężar winy, przestępstwa lub zbrodni przypisywanej oskarżonemu i wyznacza karę, która może być 1-stopnia: zesłanie na zamieszkanie na Syberii Zachodniej, 2-stopnia: zesłanie na zamieszkanie na Syberii Wschodniej, 3-stopnia: zesłanie na osiedlenie we wsi lub mieście Syberii Zachodniej, 4-stopnia: zesłanie na osiedlenie we wsi lub mieście Syberii Wschodniej, 5-stopnia: skazanie na katorgę na 5-10-15 albo 20 lat, 6-stopnia: wysłanie do jednego z tajnych więzień na północy Syberii, 7-stopnia: kara śmierci jest stosowana bardzo rzadko i wykonywana jedynie po zatwierdzeniu przez cara.

Natychmiast po ogłoszeniu wyroku skazany zabierany jest do więzienia. Jeśli jeszcze — przez brak ostrożności — nie był zakuty w kajdany, teraz zakłada mu się je na nogi i ręce z mocy prawa, które wymaga także, by przebył w ten sposób długą drogę aż do miejsca, gdzie będzie musiał odbyć karę.

Trzeba tu dodać, że nie przestrzegano często tej nadgorliwości. Na ogół prowadzono skutych w kajdany podczas podróży tylko morderców określanych jako szczególnie groźnych, skazańców politycznych wobec których istnieje formalny przepis podwojenia surowości i skazanych, o których szef konwoju doniósł że zamierzają zbiec.

Szef konwoju to jeden z zesłańców, którego oficer dowodzący eskortą czyni odpowiedzialnym za zachowanie swoich kolegów. Ma nad nimi usprawiedliwioną przewagę, jaką mu daje jakaś głośna zbrodnia albo wyjątkowa siła.

Car Mikołaj obstawał przy tym okrutnym zaostrzeniu kary. Spotykaliśmy Polaków, którzy utrzymywali, że za jego czasów byli zakuci w kajdany jeden przez 10, drugi dłużej niż 15 lat. Widzieliśmy polskiego księdza, który wyszedł z katorgi już 5 lat temu, a jeszcze nie nauczył się swobodnie posługiwać nogami.

Obecnie oficerowie są bardziej ludzcy i prowadzący konwój skazanych każe nosić kajdany swoim więźniom tylko podczas przemarszu przez miasta albo duże wsie. Myśli zapewne, że pokaz żelastwa i pobrzękiwanie łańcuchów, które uderzają o siebie i dzwonią na zamarzniętej ziemi będą miały zbawienny wpływ na umysły ludności i że w ten sposób całe to widowisko oddziała na nich o wiele silniej.

Skazańców wyprowadza się z więzień, aby dołączyć ich do transportu, który co jakiś czas kierowany jest do Tiumeniu i Tobolska, gdzie gromadzi się wszystkich zesłańców. Kolej dowozi ich z Petersburga i Moskwy do Niżnego Nowgorodu. Z tego ostatniego punktu wysyła się ich do Kazania i Tiumeniu. Zimą przemierzają drogę pieszo, latem stłoczeni na dnie wielkich barek, które płyną drogą rzeczną.

Jeśli mróz jest bardzo surowy układa się rannych, chorych na szkorbut i innych chorych na małych odkrytych sankach wyścielanych odrobiną słomy. Jednakże, by ta zmiana nie była zbyt przyjemna, skuwa się ich znowu kajdanami. Ci nieszczęśnicy znoszą więc potworną mękę. Trzeba mieć wyobrażenie o strasznych i bezlitosnych mrozach, panujących w tych okolicach, żeby zdać sobie sprawę z cierpień, jakich doznają skazańcy. Muszą obtykać kajdany słomą i czynić to z niezwykłym staraniem, bo przy temperaturze — 30°, — 40° poniżej 0 zamarznięte żelazo piecze jak rozpalone.

Wygnańcy polityczni, złodzieje, fałszerze, mordercy, więźniowie Kaukazu i Turkiestanu są mieszani bez rozróżnienia.

Kolumny skazańców idą dniem i nocą, pozwala im się na odpoczynek jedynie co trzecią dobę. Zatrzymują się więc w jednym z więzień, które władze każą wznosić przy wjeździe do każdego miasta i każdej wsi. To pierwszy dom, który przyciąga wzrok podróżnego kierującego się z zachodu na wschód. Wszędzie po lewej stronie drogi zauważyć można od razu trochę odosobnione, ciężkie i smutne gmaszysko wypacykowane na żółto, otoczone wysoką palisadą i strzeżone przez wartowników. Wszystkie te więzienia wybudowane są według ściśle ujednoliconego planu

i umieszczone naprzeciwko spichlerza, gdzie państwo gromadzi na wypadek lat głodowych zboże pobierane od chłopów podczas urodzaju. Pożycza potem to zboże ziemianom, gdy go brakuje.

Z chwilą przybycia na etap więźniowie mogą odpocząć przez kilka godzin; padają jak kłody na drewniane ławy, które mają im służyć za łóżka i szczęśliwi są ci, którzy nie obudzą się więcej!

Z Tobolska skazańcy kierowani są do poszczególnych punktów, gdzie mają być uwięzieni albo osiedleni.

Gubernatorzy okręgów zobowiązani są ściśle przestrzegać rozkazów jakie im wyda generał gubernator Syberii Zachodniej rezydujący w Tobolsku.

Każdy wyrok skazujący z przyczyn politycznych jest dożywotni; przynajmniej żaden skazaniec polityczny, nawet po odbyciu kary ciężkich robót w kopalni, nie może wrócić do Rosji bez specjalnej łaski udzielonej przez cara.

Każdy wyrok skazujący z przyczyn politycznych oznacza prawnie śmierć cywilną. Niemniej bywają bardzo częste wyjątki od tej reguły.

Kara ciężkich robót nie może być wymierzona na dłużej niż 20 lat. Po upływie tego czasu, ci którzy przeżyli katorgę, wracają do kategorii zwykłych zesłanych; są wolni — na Syberii.

Kobieta, której mąż jest skazany na zesłanie albo katorgę z przyczyn politycznych albo z powodu zbrodni pospolitej ma prawo towarzyszyć wygnańcowi. Jeśli go opuści i zostanie w Rosji, wedle prawa traktowana jest jako rozwiedziona, albo wdowa po mężu zmarłym śmiercią cywilną. Ma prawo ponownie wyjść za mąż; prawo to przysługuje również mężowi, który ze swej strony może na Syberii wejść w nowe związki małżeńskie.

To dziwne i barbarzyńskie prawo, które tak brutalnie nie liczy się z dziećmi, czyniąc je sierotami za życia ich ojca i matki, zrodziło przypadki szczególne. Na przykład ten księcia Trubeckiego, który odwołany z zesłania i ułaskawiony przez cara dowiedział się powróciwszy do Petersburga, że jego żona — nawet nie zawiadomiając o tym swego dotychczasowego męża — powtórnie wyszła za mąż za jednego z jego przyjaciół. Mówi się, że książę, który szczycił się wytwornym wychowaniem, cierpiał dużo bardziej przez brak dobrych manier księżniczki niż z powodu niedotrzymania wierności małżeńskiej.

Każdy zesłaniec już przez sam fakt skazania traci wszystkie swoje tytuły szlacheckie, stopnie i krzyże. Potrzebny jest specjalny dekret cara, aby mógł z chwilą ułaskawienia odzyskać rangę, którą utracił razem z wolnością.

Podobno książę Dołgoruki, nie mogąc otrzymać od cara Mikołaja zgody na noszenie książęcego tytułu, gdy wrócił ułaskawiony z Syberii, zamówił wizytówki następującej treści:

Pierre Dołgoruki
né Prince Dołgoruki (Piotr Dołgoruki — z domu — Książę Dołgoruki).

Wygnańcy polityczni podlegają bez rozróżnienia temu samemu regulaminowi. Muszą mieszkać przez trzy kolejne lata w mieście lub wsi, które zostały im w tym celu wyznaczone. Od ich zachowania, a szczególnie od ich wysoko postawionych protektorów, zależy bardzo pożądana po tych trzech latach wygnańczego stażu zgoda na podróże w granicach okręgu, gdzie zostali osiedleni. Czasami ich wędrówki mogą obejmować całą gubernię a nawet całą Syberię. Niemniej jednak władze bardzo rzadko zezwalają zesłańcowi podróżować ze wschodu na zachód. Posiadając protektorów i pieniądze otrzyma on bez trudu paszport, żeby się udać z Tobolska albo z Tomska na przykład do Błagowieszczeńska i do Nikołajewska, ale nie może nigdy dostać paszportu, żeby jechać na przykład z Irkucka, gdzie jest osiedlony, do Tomska albo Tobolska.

Kiedy wolno mu już opuścić miejsce osiedlenia, nakazuje mu się pod surową karą stawiać się raz w roku w stolicy okręgu gdzie mieszka i odnawiać tam paszport, za który płaci 4 ruble.

Za czasów cara Mikołaja, który zajmował się wiele Syberią i jej zasiedlaniem dobrowolnym lub przymusowym, każdy zesłaniec osiedlany w danej wsi przybywając do niej miał prawo do konia, krowy i pewnej sumy pieniędzy, za którą powinien postawić sobie drewniany dom; miał do zapłacenia tylko robociznę, jako że drzewo pochodzące z olbrzymich tajg należało do tych, którzy palili je, cięli i przewozili.

W ten sposób wsparty przez monarchię wygnaniec mógł przy dobrych chęciach i nakładzie pracy łatwo zająć miejsce wśród zasobnych chłopów.

Ten system zmienił się od kilkunastu lat. Przyznaje się zesłańcom już tylko pewien obszar ziemi uprawnej. Zamiast dać im jakąś sumę pieniędzy nakazuje się chłopom ze wsi, która jest miejscem osiedlenia, aby w ramach obowiązkowych świadczeń pomagali im przy budowie domu. Skutki tego nowego systemu są opłakane.

Większość zesłańców nie może bowiem pokryć pierwszych wydatków związanych z osiedleniem, nie ma środków potrzebnych do kupienia narzędzi rolniczych i zwierząt, absolutnie nie-

zbędnych do uprawy nadanej im ziemi. Zostają w końcu zmuszeni do wynajmowania się jako wyrobnicy u chłopów, u których godzą się wykonywać najcięższe prace za nędzną zapłatę złożoną z kawałka czarnego chleba, kubka herbaty, a nocą miejsca przy piecu.

Toteż wielu zesłańców zniechęconych wszelkimi trudnościami które się przed nimi piętrzą od początku ich zesłańczego życia, ucieka. Uciekają do lasów i powiększają dość znaczną już liczbę zbiegłych katorżników tworzących nieosiadłą społeczność Syberii i stanowiących jej najgorszą plagę.

Powiemy jeszcze o tych zbiegłych zesłańcach, kiedy będziemy robić przegląd różnych kategorii tego rodzaju katorżników.

Za czasów cara Mikołaja każde skazanie na wygnanie pociągało za sobą konfiskatę mienia.

Obecny car skonfiskował i sprzedał za bezcen Rosjanom dobra skazanych Polaków. Rzadko jednak konfiskata mienia dotyczy zesłańców Rosjan. Jeżeli w większości przypadków odbiera im się zarządzanie własnymi dobrami, to prawie zawsze po upływie kary pozwala im się korzystać na Syberii z zysków, jakie te dobra przynoszą. Wszyscy wygnańcy syberyjscy — polityczni lub kryminalni — mogą stać się tutaj właścicielami ziemskimi.

Skonfiskowane mienie wraca do monarchii. Poza zyskami jakie czerpie ona z tego rozporządzenia prawnego, zapobiega to wielkiemu niebezpieczeństwu: przekupstwo władz rosyjskich na Syberii, na wszystkich szczeblach, przybiera niesłychane rozmiary. Władze są cyniczne. Bogaty katorżnik mógłby mieć wszystkich strażników za lokajów, a często i samego gubernatora na swoich usługach.

Oto przykład, który może być ilustracją procederu pewnych wysoko postawionych osobistości. Pewien gubernator co miesiąc udawał się w objazd, składając oficjalne wizyty bogatym kupcom w stolicy swojej guberni.

Na progu domów, stojąc często w błocie lub śniegu z gołą głową i zgiętym karkiem przyjmują pokornie ekscelencję wysiadającego z sanek. Ten, skinąwszy leciutko głową drżącemu gospodarzowi, udaje się do salonu. Najlepszy fotel jest uniżenie podsuwany panu i władcy, podczas gdy miękkie futro czeka na zaszczyt podeptania przez jego buty. Gubernator z miną surową, jaka przystoi potężnemu panu składającemu wizytę u poddanego, który z pewnością ma bardzo obciążone sumienie, łaskawie zasiada. Wtem marszczy brwi, jego przenikliwy wzrok przeszywa roztrzęsionego kupca. Podnosi się krzycząc — jak śmiesz sadzać mnie, mnie reprezentanta cara, twego ojca, na tak okrutnie twar-

dym fotelu! Czyżbyś miał zamiar mnie obrazić? Nie zdąża dokończyć tej srogiej apostrofy, kiedy już na znak całkiem pobladłego kupca służący wyścielają fotel jego ekscelencji najpiękniejszymi futrami błękitnych lisów, kun i soboli, do odpowiedniej wysokości, by jego szlachetne nogi — kiedy zechce usiąść — nie kołysały się w próżni, co pomniejszałoby jego prestiż.

Gubernator rozsiada się znów na tak wyścielanym fotelu, zaś twarz jego rozpogadza się. Kupiec ośmiela się poczęstować swego grozę budzącego gościa kieliszkiem szampana. Gość przyzwala i wypija całą butelkę. Potem oddala się powoli i majestatycznie, ażeby służba miała czas umieścić w jego saniach wszystkie futra, którym dane było spodobać się ekscelencji.

Kiedy po pięciu albo sześciu tego rodzaju wizytach gubernator wracał do swego pałacu z futrzanym łupem wartości od 10 do 15 milionów franków, mógł się pochwalić, że nie zmarnował dnia.

Podczas gdy w Rosji prawodawstwo dotyczące zbrodni pospolitych wzoruje się na postępowaniu Francji i Anglii (sąd przysięgłych, rada przysięgłych, jawność rozprawy), na Syberii wygnańcy podlegają specjalnej procedurze, która przypomina najgorsze czasy sądownictwa.

Mordercy, złodzieje, fałszerze, uchodźcy polityczni oskarżeni o spiskowanie, zesłańcy, którzy się buntują i ci podejrzani o organizowanie buntu, sądzeni są przez komisję kryminalną, której orzeczenia podlegają sankcji generalnego gubernatora.

Oskarżony nie ma adwokata; jedynie prawda przemawia za nim lub przeciw niemu, jeżeli sędziowie nie są — z rozkazu — głusi na jej głos.

Sędzia, który nie uczestniczy w rozprawie, ale któremu przynosi się wszystkie akta sprawy i sentencje wyroku, wypełnia sam jeden funkcję naszego sądu kasacyjnego. Może uchylić wydany wyrok i przekazać sprawę do ponownego rozpoznania.

Orzeczenia komisji kryminalnej, która obraduje przy drzwiach zamkniętych, nie podlegają odwołaniu.

Car ma prawo łaski. Aleksander szeroko z niego korzystał w stosunku do Polaków zesłanych pod koniec powstania 1857 roku *(sic!)*. Jest ich bardzo mało na Syberii. Trzeba przyznać, że większość z tych, którzy się tam jeszcze znajdują nie cieszy się zbytnią sympatią. Prawie wszędzie uprawiają zawód szpiega na rzecz rosyjskiego rządu.

Podczas buntu, który wybuchł w 1859 roku w jednej z kopalń na południe od jeziora Bajkał, gdzie pracowali polscy zesłańcy, spisek obejmujący 900 sprzysiężonych (samych Polaków)

został ujawniony generalnemu gubernatorowi Syberii Wschodniej przez 300 zdrajców działających w pojedynkę, niezależnie jeden od drugiego. Dzisiaj jest naprawdę trudno nawet naturom bardzo uczuciowym litować się nad Polakami na Syberii; ich współwygnańcy, towarzysze niedoli, pogardzają nimi i nie ufają im. Cudzoziemiec, który przemierzając Syberię, zatrzyma się w jakimś mieście, może być pewien, jeśli jest Francuzem, że przyjdzie do niego jakiś przysłowiowy Polak, który pod pretekstem braterskich zwierzeń szuka tylko okazji, by dowieść swej gorliwości naczelnikowi policji, donosząc mu o wywrotowych poglądach podróżnego, od którego wymusił litością nieostrożne wypowiedzi.

Oto co niedola, Syberia i katorga uczyniły z wielu Polaków. Trzeba jednak dodać, że w ten stan upodlenia, w którym tkwią dzisiaj, pogrążyli się dopiero po długim czasie.

Ale Polacy mieli także swoją piękną kartę na zesłaniu. Odegrali wielką rolę w rozwoju cywilizacji Syberii, przyczynili się w ogromnej mierze do złagodzenia rosyjskich obyczajów, tak wśród wolnych Rosjan, jak i wśród towarzyszy zesłania. Zaszczepili zamiłowanie do sztuki, muzyki, zmysł elegancji. Stworzyli mnóstwo zawodów pożytecznych i zbytkownych. Bardziej cywilizowani niż Rosjanie, bardziej przedsiębiorczy i zręczniejsi, byli nauczycielami tańca, szermierki i muzyki, giełdziarzami, pośrednikami, finansistami, rzeźbiarzami, malarzami, architektami, fotografami, krawcami, kamasznikami, fryzjerami. Wszystkie wielkie miasta Syberii, od Tiumenia aż do Władywostoku, zawdzięczają im elegancję i powiedzielibyśmy cywilizację, jaką tam można dostrzec. Dali impuls, który ciągle owocuje, stworzyli przyzwyczajenia, które pozostaną.

Od naszych czasów wolni zesłańcy mają prawo wykonywać wszystkie zawody i zajmować wszystkie stanowiska oprócz nauczyciela i wychowawcy a także z wyjątkiem tych posad, które należą do resortu administracyjnego. Korzystają więc z wolności. Wielu gubernatorów traktuje ich bardzo przychylnie. Hrabia Murawiow-Amurski odnosił się do zesłańców politycznych z ojcowską dobrocią.

2. Zesłańcy kryminalni:

Po osądzeniu, które skazuje ich na ciężkie roboty, kryminaliści są wysyłani na Syberię w tym samym konwoju, co zesłańcy polityczni. Zsyła się ich do warzelni soli, do kopalni srebra lub złota w Nerczyńsku lub w Karze, albo na wyspę Sachalin. Wiodą tam ciężki żywot, lecz pomijając zmienność klimatu, straszliwe

mrozy podczas długiej zimy i upały podczas gorącego lata, los ich nie jest nędzniejszy niż naszych katorżników.

Nie dotyczy to tych, którzy pracują w kopalniach srebra monarchii; ci przez całe lata nie widzą słońca.

W kopalniach złota pracują pod otwartym niebem, średnio 12 godzin dziennie; otrzymują małą zapłatę w stosunku do wykonywanej pracy; sumę tę wpłaca się na ich rachunek na ręce urzędnika administracji, który im w zamian dostarcza dodatkową żywność.

Najmniejsze przekroczenie regulaminu ściąga na katorżnika surowe kary. Nie szczędzi mu się knuta, strasznego bata złożonego z trzech skórzanych twardych rzemieni, którym tęgi kat może od jednego uderzenia zabić swą ofiarę.

Kiedy mija czas katorgi, osiedlają się razem z rodziną, która na ogół towarzyszy im na zesłaniu, gdzieś na Syberii i zakładają syberyjskie rody. Zajmują się rolnictwem, hodowlą bydła i koni. Chłop rosyjski, kozak *(sic!)*, nie ma do nich żadnych uprzedzeń i traktuje ich przyjaźnie, ale nie na tyle, by umożliwić im poprzez małżeństwo wejście w rodzinę.

Jeśli nawet były zesłaniec ma na sumieniu kilka morderstw, serię kradzieży, setkę fałszywych banknotów bankowych, jest dobrze przyjmowany przez swego sąsiada ze wsi, którego sympatia zmienia się w szacunek i poważanie, jeśli jego stada się mnożą.

Skazany na katorgę otrzymuje czasami, najwidoczniej z myślą o osiedleniu na Syberii, zgodę na widzenie żony, której zezwala się na zamieszkanie w okolicach miejsca katorgi. Jest tam szkoła i schronisko dla dzieci.

Niemniej jednak życie katorżnika jest ciężkie. Pod osłoną prawa, które ich skazało, dokonuje się potwornych nadużyć.

Zarządzający katorgą, prawie zawsze pułkownicy — równie biedni co ambitni — mają władzę nad życiem i nad śmiercią skazańców. W ich rękach jest cała administracja. Monarchia daje im pewną stałą sumę na każdego skazańca, za którą muszą go żywić. Z systemu tego wynikają poważne niedogodności. Fakt, że jest się zarządzającym katorgą, nie wyklucza, że bywa się czasem łajdakiem; wymienia się wielu, którzy popełnili ogromne nadużycia władzy.

Jeden z nich czekał na wizytację generalnego inspektora, żeby „uzupełnić szeregi" — jak mówił. Nie mogąc się zdecydować na obniżenie o kilka rubli swej pensji, gdyby zadeklarował liczbę katorżników zmarłych albo zbiegłych, na których nie przysługiwałoby świadczenie pieniężne, zapisywał ich oficjalnie na papierze, jako będących w świetnym zdrowiu. Ponieważ jednak trzeba było zaprezentować inspektorowi zesłańców, którzy figurowali

na oficjalnych listach, zarządzający — ostrzeżony przed jego przybyciem — robił wielką, regularną obławę w okolicy. Wszędzie ścigano tubylców, napędzano wszystkich, starych i młodych kozaków *(sic!)*, uwolnionych lub zbiegłych katorżników na równi z uczciwymi chłopami do miejsca karskiej katorgi, gdzie włączano ich do liczby skazanych, dobrowolnie lub przymusowo pod groźbą śmierci, jeśli ośmielili się sprzeciwiać.

Po wizytacji inspektora, który stwierdzał, że wszystko jest w porządku, zarządca pospiesznie wypuszczał „okazyjnych" katorżników, aby wszystkie te, odtąd już bezużyteczne gęby, nie nadwerężały jego budżetu.

Kara knuta i lochu jest często stosowana wobec krnąbrnych katorżników. Z chwilą gdy zgłasza się jako chory, nawet jeśli rzeczywiście nim jest, raczy się go chłostą (25 uderzeń rózgi) przed odprowadzeniem do lekarza. Ten zwyczaj praktykują w Karze jako wspaniały środek zapobiegawczy przeciw epidemii.

Zbiegły katorżnik, którego pojmano, otrzymuje 200 razów knuta. Skazują go one na osiadły tryb życia przez kilka miesięcy, a czasem i przez resztę życia.

Łatwość z jaką katorżnik może uciec, jest jedną z plag Syberii. Nie ma kraju na świecie, gdzie liczba zbrodni byłaby tak duża. Każdy podróżny powinien być odpowiednio uzbrojony. Rosjanie nie uznają tej konieczności gdy cudzoziemiec zwraca się do nich w tej sprawie o radę. Jeżeli chodzi o nas, stwierdzamy, że nie zdarzyło nam się nigdy spotkać na drogach Syberii żadnego Rosjanina, oficera, kuriera, listonosza, kupca, urzędnika, albo szpiega, który nie miałby rewolweru za pasem. Liczbę zbiegłych katorżników, którzy mieszkają w lasach można szacować na kilka tysięcy.

Katorżnik ucieka najczęściej wiosną. Drzewa mają liście, zieleń pociąga go, noce są ciepłe, nie musi troszczyć się o pożywienie. Ma świadomość, że litościwe dusze zadbają o niego. Rzeczywiście, w żadnej wsi zasobny chłop nie zapomina, by każdego wieczora po dolaniu oleju do lampki palącej się przed ikoną, postawić na ławce, blisko otwartego okna, kromki czarnego chleba, jajek i kubka mleka. To dla zbiegłego katorżnika.

A oto i on. Popycha okno, wyciąga rękę, bierze to co dla niego przygotowano, je, pije i idzie dalej, pewny, że zawsze znajdzie na swej drodze podobne zapasy. Chłopi obawiają się samotnych zbiegów, doprowadzonych do wściekłości przez głód. Ale chłop, o ile jest miłosierny i dobry dla zbiega, o ile nie szczędzi nieszczęśliwym, którzy przechodzą przed jego progiem w konwoju wszystkiego, co może złagodzić ich niedolę, o tyle staje się okrutny, dziki i zaciekły, kiedy ukradnie się mu najmniejszą

rzecz. Woła wówczas na pomoc sąsiadów, wszyscy zdrowi mężczyźni siadają na konie i udają się w pościg za złodziejem. Robią polowanie z nagonką, a kiedy chwycą unikającego, zabijają bez litości.

Wiosną i latem zbiegły katorżnik bardzo łatwo może się wynająć do robót w polu. Ma gdzie mieszkać, ma co jeść, dostaje nawet kilka kopiejek wynagrodzenia dziennie. Kiedy przychodzą zimowe mrozy stara się przekroczyć granicę, żeby oddać się w ręce władzom, jako włóczęga. Zostanie wówczas zesłany na 5 lat katorgi. Taki katorżnik jest łagodny i nieszkodliwy. Lubi pracę. Niestety stanowi wyjątek.

Ale bywa i taki katorżnik, którego męczy tęsknota za rodzinnymi stronami. Jego żona odmówiła towarzyszenia mu, ma starych rodziców, może dzieci, które chciałby ponownie zobaczyć. Taki wybiera pierwszą nadającą się okazję, by uciec. Nic go nie powstrzymuje, nic go nie przeraża. Śmiało zanurza się w olbrzymie, niekończące się tajgi, przemierza stepy i śnieżne pustynie; stawia czoła strasznym zimom i śmiertelnym mrozom, lekceważy głód, nie boi się niedźwiedzi ani wilków. Nie ma kopiejki w kieszeni i kożucha na ramionach. Idzie podtrzymywany wielką nadzieją i pełną ufnością w miłosierdzie chłopów. Ale jeśli pojawi się na jego drodze jakaś przeszkoda, staje się straszny, dziki! Doprowadzony do ostateczności przez głód i inne niedostatki, rozdrażniony trudnościami tej drogi bez końca, zabija żeby jeść, żeby ukraść siekierę, owczą skórę, zabija, jak mówi jeden z nich, gdyż znużony nieskończoną bielą śniegu, chce ją oświetlić kolorem czerwonej krwi.

Najczęściej ginie marnie z zimna lub głodu. Jeśli dzięki szczęśliwemu przypadkowi udaje mu się przebyć dystans dzielący go od Wołgi, dziesięć razy na jedenaście zostanie pojmany w chwili, gdy przekracza granicę, i zaprowadzony ponownie na jakiekolwiek miejsce katorgi.

Bywa także katorżnik kryminalny, morderca skazany za jedną lub i wiele zbrodni na dwadzieścia lat ciężkich robót w kopalni. Ten ucieka, by uniknąć tak długiej kary. Czeka na wiosnę, by umknąć do lasu, gdzie chowa się przez kilka miesięcy żyjąc z innymi zbiegami w niedostępnych kryjówkach znanych tylko im samym. Nie zawaha się atakować podróżnych, ani ograbić jakiegoś odosobnionego gospodarstwa. Z nadejściem zimy posuwa się naprzód oddalając się na ile to możliwe od okręgu, gdzie znajdowało się miejsce jego katorgi. Później pozwala się złapać albo w okolicach Nerczyńska, jeśli był zesłany na Sachalin, albo blisko Irkucka lub Tomska, jeśli odbywał katorgę w Karze.

Aresztują go jako włóczęgę i pytają: Jak się nazywasz? Kim

jesteś? Skąd przybywasz? Gdzie się urodziłeś? Na wszystkie te pytania odpowiada niezmiennie jednym jedynym słowem rosyjskim: *Niepomniaszczij,* co znaczy: Nie wiem, nie pamiętam! Nic nie jest w stanie zmienić tej odpowiedzi. I co się wtedy dzieje? Prawo — a katorżnik dobrze o tym wie — skazuje włóczęgę, człowieka wędrującego bez paszportu — *niepomniaszczego* (to słowo weszło do słownictwa sądowego) na pięć lat ciężkich robót. Katorżnik zmienia więc, dzięki prostemu zabiegowi, swoje dwadzieścia lat ciężkich robót na pięć. Co więcej, unika chłosty, czekającej tego, kogo w języku katorgi nazywa się koniem powracającym do stajni.

Ale można przypuszczać, że odesłany do miejsca skąd uciekł ryzykuje rozpoznanie przez strażników, policję, wreszcie przez kolegów, wówczas ucieczka przyniesie mu jedynie dwieście razów bicza.

Na to odpowiemy, że katorżnik stara się zrobić wszystko, by zapewnić sobie szanse odesłania do innego miejsca, niż to skąd uciekł. Zresztą, jeśli nieszczęśliwym przypadkiem wróci do tego samego miejsca katorgi, pozostaje mu jeszcze możliwość wyparcia się swojej tożsamości. Twierdzi, że jest ofiarą fatalnego podobieństwa, próbuje dowieść, że popełniono wielką pomyłkę. Zdążyło upłynąć kilka miesięcy, jego włosy i broda urosły, koledzy, z których żaden nie wydaje się go rozpoznawać, przyznają, że jest obcy. Prawie zawsze sprawiedliwość, albo raczej policja ponoszą klęskę. Trzeba byłoby wszczynać śledztwo, czasem w kilkuset miejscach, organizować konfrontacje, pokonywać wielkie przestrzenie. Wszystkie te zachody kosztowałyby dużo pieniędzy, o wiele więcej niż opłaca się policji. W końcu godzi się ona z systemem *niepomniaszczych,* wyjąwszy szczególne przypadki; katorżnik po pięciu latach jest wolny.

Ten żałosny system obowiązywał aż do czasu, kiedy policja zdecydowała się korzystać z pomocy fotografii. Dzięki niej, zbierając w czterech wielkich centrach karnych Syberii wszystkie wizerunki skazańców i goląc z jednej strony głowy *niepomniaszczych* wedle systemu obowiązującego na katordze, udaje się stwierdzić bez żadnych wątpliwości ich tożsamość.

Istnieje inny gatunek zbiegłych katorżników — najgroźniejszy. Przypomina tych Malajczyków, zwanych „Amokami", których zabija się na ulicach Batavii jak wściekłe psy.

Opowiem o tym krwiożerczym bydlaku, dzikiej bestii, która ucieka z katorgi spragniona rzezi, żądna krwi. Tęskni za zbrodnią, ma potrzebę zabijania, musi zabijać. To jej *idée fixe.* Taki katorżnik morduje wszystko, co napotka żywego na swojej drodze, kobietę, dziecko, starca, wszystko co ma krew — jest dla niego

dobre. Zabija zarówno bogatego, jak biednego. Jeśli znajdzie pieniądze przy swojej ofierze, zabiera je, jeśli trup ma puste kieszenie, krew pociesza mordercę.

Widzieliśmy w Karze starego katorżnika o drewnianych nogach, który uciekał i był łapany 7 razy, zabił 18 osób. Po szóstej ucieczce złapany został na gorącym uczynku, wpół żywy na trupie chłopa, którego zabił pchnięciami noża, ale który broniąc się zadał mu przedtem wściekłe ciosy siekierą po nogach. Zabrano zabójcę, amputowano mu obie nogi i uczczono szczęśliwy koniec jego rekonwalescencji wymierzając mu dwieście batów. Uciekł siódmy raz z katorgi, nie bacząc na swoje drewniane nogi, ale ponieważ te nie pozwalały mu już atakować ludzi zdrowych, wziął się za starą żebraczkę i jej dwie córeczki, które zmasakrował z zamiłowaniem do „sztuki". Przyłapany jeszcze raz na gorącym uczynku, skazany na dwieście regulaminowych batów, które przeżył, triumfalnie powrócił na swoje miejsce wśród towarzyszy przejętych szczerym i niekłamanym podziwem.

Na ogół, kiedy katorżnik tej kategorii nasyci swoją żądzę mordu, odważa się wejść do miasta. Zatrzymują go tam, proszą o paszport, zadają pytania, odpowiada niezmiennie: *Niepomniaszczyj*. Idzie na 5 lat na katorgę, chyba, że żądza zbrodni dopadnie go przed upływem tego czasu.

Umieszczamy w tej samej kategorii katorżnika, który ucieka by wieść żywot rozbójnika. Bóg jeden wie ilu jest tych bandytów w syberyjskich tajgach! Nie ma tygodnia, żeby nie słyszało się, zwłaszcza w okręgu zabajkalskim, o popełnieniu kilku potwornych morderstw.

Rosyjskie prawo, prawdopodobnie mając na uwadze osadnictwo na Syberii, nie skazuje prawie nigdy nawet zabójców na śmierć. Stosuje karę śmierci jedynie wobec podpalaczy, ale wykonywana jest ona bardzo rzadko.

Prawo jest o wiele łagodniejsze dla pospolitych kryminalistów, niż dla skazańców politycznych.

W Usolu na przykład, gdzie zsyła się tych ostatnich, z dniem przyjazdu przydziela się ich do robót w warzelniach soli, nie biorąc pod uwagę stanu wyczerpania spowodowanego straszną drogą, którą przebyli skuci w kajdany. Jeśli tego wieczora nie wykonali wyznaczonej pracy, karani bywają chłostą. Następnego dnia rano wszyscy zdrowi mężczyźni uciekają, nieludzka praca ogłupia bardzo szybko pozostałych.

Teraz, kiedy wyspa Sachalin (patrz załącznik) należy w całości do Rosjan, car tam najchętniej zsyła skazańców, szczególnie kryminalistów.

Uciekają stamtąd latem, na pniach drzew, na prymitywnych

łodziach, na których, bez busoli, żagla, żywności czy steru stawiają czoła nawet strasznym burzom, jakie panują w tych okolicach. Mają nadzieję, że zabierze ich jakiś angielski albo amerykański statek i wyrzuci u brzegów Ameryki.

Wielu się to udało! Zbiegowie z Sachalina założyli osadę w okolicach San Francisco. Są bardzo poważani przez Kalifornijczyków i Meksykan, którzy cenią najbardziej ich odwagę w pracy i — co warto zaznaczyć — wypróbowaną uczciwość. Właśnie im powierza się najchętniej opiekę nad eskortowanymi przez prerie i sawanny konwojami ze złotem, srebrem i kosztownościami.

Zimą katorżnicy zesłani na Sachalin przechodzą po lodzie cieśninę, która oddziela wyspę od stałego lądu, potem bez wahania decydują się pieszo przebyć dwanaście tysięcy kilometrów lasu. Dają się w końcu pojmać nad brzegami Wołgi.

Oprócz miejsc katorgi, kopalń i warzelni soli są jeszcze na północy Syberii więzienia, o których zesłańcy mówią jedynie z drżeniem, przyciszonym głosem. Przeznaczone są dla skazańców politycznych, których rząd chce za wszelką cenę zgładzić. Tylko gubernatorzy i kilku ich pomocników wie, gdzie znajdują się te tajne więzienia. Żołnierze, oficerowie, albo raczej dozorcy więzienni, którzy ich pilnują, zostają tam całe życie, nie wracają nigdy do Rosji, gdzie mogliby opowiadać fantastyczne potworności, których byli świadkami i wspólnikami. Żaden urzędnik rosyjski pytany przez nas nie zaprzeczył istnieniu tych więzień, wszyscy przyznawali, że są one ostatnim stopniem kary. Podobno znajdują się na północ od Jakucka, pośrodku wiecznych śniegów. Śmiertelność jest tam wielka. Zresztą ci, których się tam wysyła są już zmarli dla świata, stają się tylko numerem w więziennej księdze. Przez jakiś czas ich rodziny, przyjaciele mówią o nich: „Oni nigdy nie piszą!". Potem zostają zapomniani, jak umarli, chociaż nadal cierpią straszliwą niewolę.

To ciemna strona obrazu, lecz skądinąd wiadomo, że dola katorżnika syberyjskiego nie jest gorsza od doli skazanego w Europie. Nie ma skazanego na celę więzienną w Ameryce, który z radością nie zamieniłby swego losu na tamten. Praca, jaką wykonuje skazaniec na Syberii jest ogólnie biorąc rozsądna, on sam cieszy się światłem dziennym, ma miejsce do spania, które chroni go przed mrozami zimy i letnimi deszczami, szpital, gdzie leczy się go kiedy jest rzeczywiście chory. Może zobaczyć od czasu do czasu swoją żonę. Istnieje przytułek dla dzieci. Wielu nieszczęśników w Europie nie korzysta z podobnych przywilejów.

Dla skazańca politycznego te przywileje nie istnieją. Wykształcenie, które odebrał, jego przyzwyczajenie do komfortu i

czystości są wystawione na ciężką próbę. Najgorsza jest owa bliskość morderców i złodziei, którą musi znosić. Dla niego kara jest naprawdę okrutna.

Pod rządami cara Mikołaja książęta Trubecki i Wołkoński pracowali w kopalniach w Karze przez 25 lat. Ich żony mieszkały obok miejsca katorgi w małym domu, który jeszcze dziś można zobaczyć. Po upływie kary zostali osiedleni w Irkucku, gdzie żyli na wysokiej stopie z dochodów księżnych, którym majątków nie skonfiskowano. Państwo przychodzi z pomocą tym, którzy wychodzą z katorgi pozbawieni środków do życia. Widzieliśmy, co przeznacza do ich dyspozycji. Uwolnieni skazańcy stają się syberyjskimi chłopami często mimo woli. Mówimy „mimo woli", ponieważ skazany na wygnanie, otrzymując pozwolenie podróżowania po Syberii płaci za paszport, który musi odnawiać co trzy lata tylko cztery ruble, podczas gdy chłop musi dać za swój trzydzieści rubli.

Wielu z tych zesłańców wzbogaciło się. Najpiękniejsze domy we wsiach, a nawet w miastach, przez które przejeżdża się na Syberii, należą prawie zawsze do zesłańców albo ich synów. Ale to są ci szczęśliwi. Inni, a jest ich rzecz jasna więcej, z tęsknoty, spleenu, zniechęcenia, rozpaczy zaczynają odurzać się wódką, upijają się regularnie, popadają w otępienie i kończą najmując się do pracy w kopalniach eksploatowanych przez prywatnych właścicieli.

Wielu przyzwyczaja się do tej nowej egzystencji. Pewien dyrektor kopalni mówił mi, że jego najlepszymi robotnikami byli uwolnieni katorżnicy. Żenią się i stają się Sybirakami. Dzieci tych ludzi przechodzą niestety złą szkołę. Są zwykle bardzo zepsute, biorą się wcześnie za przemyt, handel kradzionym złotem i wydają się patrzeć na katorgę jak na dom rodzinny, który przyjmie ich pewnego dnia.

Są zesłańcy, widzieliśmy takich, którzy ułaskawieni wracają do Rosji jedynie na krótko, tyle tylko by się przekonać, jak bardzo zostali zapomniani i wracają osiedlić się i umrzeć na Syberii.

Być synem katorżnika nie jest piętnem w tym kraju, nikt nie zajmuje się przyczyną jaka przywiodła ojca na zesłanie, przyznaje mu się korzystny status politycznego zesłańca.

Większość kupców na Syberii to synowie zesłańców. Z tego powodu nie są ani mniej bogaci, ani mniej bezczelni, ani bardziej uczciwi.

Jako załączniki do mojej pracy, która — mam nadzieję —

zyska aprobatę Waszej Ekscelencji, dołączam następujące materiały:

1. Statystykę zesłanych na Syberię między 1823 a 1861 rokiem;
2. Wykaz liczby Polaków zesłanych od 1863 do 20 stycznia 1866 roku;
3. Stan ludności rosyjskiej na Syberii w 1862 i 1709 roku;
4. Obszar Syberii w kilometrach kwadratowych i liczbę jej mieszkańców (1871);
5. Tabelę mieszkańców Syberii wedle wyznań.

Dodaję również jako załącznik notatkę o wyspie Sachalin, która od 1875 roku należy w całości do Rosji.

Proszę przyjąć, Ekscelencjo, zapewnienie o głębokim szacunku, z jakim mam zaszczyt pozostawać,

Pański bardzo pokorny i bardzo posłuszny sługa

Edmond de LAFRENÉ

ANEKS II
SPIS POLAKÓW ZESŁANYCH OD 1863 DO 20 STYCZNIA 1866

Miejsce zesłania	na katorgę	na osiedlenie	na zamieszkanie		na osiedlenie stałe	dobrowolnie towarzyszący	Razem
			z art. 35	w drodze admin.			
Gubernia tobolska ..	9	49	689	359	2.377	618	4.101
Gubernia tomska ...	1	10	621	440	4.305	929	6.306
Gubernia jenisejska .	1	1.690	21	60	1.802	145	3.719
Gubernia jakucka ..				53		3	56
Gubernia irkucka i obwód zabajkalski .	3.883	404	5	4	1	127	4.424
Razem:	3.894	2.153	1.336	916	8.485	1.822	18.606

Załącznik nr 6. Notatka o wyspie Sachalin

Północną część wyspy Sachalin zamieszkują Gilacy, tej samej rasy co tubylcy znad dolnego Amuru. Południową część zamieszkują, tak jak Wyspy Kurylskie — Ajnowie. Można spotkać niewielką liczbę Chińczyków, którzy przybyli tu szukać pracy w kopalniach węgla. Jedyne bogactwo wyspy stanowi węgiel, olbrzymie złoża o najwyższej jakości węgla australijskiego. Złoża te były eksploatowane przez kilka lat z wielką korzyścią przez Przedsiębiorstwo Olifant i spółka z Szanghaju, które otrzymało od admirała rosyjskiego Kruna, naczelnego komendanta stacji morskiej na morzu chińskim, długoterminową koncesję na kopalnie w Sachalinie. Kiedy rząd rosyjski wpadł na pomysł wysłania wielkiej liczby katorżników na wyspę Sachalin, czym prędzej powołał się na klauzulę w koncesji udzielonej Przedsiębiorstwu Olifant i spółka, która to klauzula podporządkowywała jej udziałowców przepisom rosyjskim, we wszystkim co dotyczyło kopalni. Chcąc odnowić koncesję i wykorzystywać ją z zyskiem, rząd ogłosił nową ustawę, która pozbawiała cudzoziemców prawa do mieszkania i uprawiania handlu we wszystkich miejscach przeznaczonych na zsyłki. Specjalny paragraf wymierzony był przeciwko udziałowcom kopalni. Zlikwidowano więc przywilej Przedsiębiorstwa Olifant, któremu skonfiskowano nawet, pod fałszywym pretekstem, wiele tysięcy ton węgla już wydobytego i zmagazynowanego.

Aż do dziś wykopaliska czynione przez katorżników nie doprowadziły do odkrycia żadnego szlachetnego metalu.

Na Sachalinie nie wystarcza żywności dla jego mieszkańców, ziemia nic tu nie rodzi. Rząd musi przysyłać ze Sreteńska z odległości trzech tysięcy wiorst konwoje mięsa, chleba i herbaty, żeby wyżywić zesłańców, ich strażników i niewielki garnizon.

Według pułkownika Weninkowa, autora rzetelnego dzieła zatytułowanego „Inspekcja wojskowa granic Azji", opublikowanego w 1873 roku, wyspa Sachalin nie ma żadnego znaczenia strategicznego dla Rosjan:

1. Ponieważ nie broni ujścia Amuru;
2. Nie ma ani jednego portu gwarantującego jakiekolwiek bezpieczeństwo;
3. Obrona jego wybrzeży jest niemożliwa;
4. Nie zaspokaja potrzeb swoich mieszkańców.

Mimo istniejącej linii parowców subwencjonowanej przez państwo, osiedlenie i handel w prowincjach nad Amurem nie spełniły bynajmniej nadziei, jakie w nich na początku pokładano. Port w Nikołajewsku jest skuty lodem osiem miesięcy w roku

i musiano przenieść do Władywostoku centrum administracji morskiej, wojskowej i politycznej obszarów Syberii Wschodniej. Chociaż i Władywostok jest zablokowany przez lód w ciągu prawie czterech miesięcy w roku.

Dlatego uwaga Rosjan skierowana jest w stronę wybrzeży Korei.

Sachalin stał się dziś wielkim miejscem katorgi na Syberii. Zsyła się tutaj prawie wszystkich skazanych za zbrodnie pospolite.

Rosjanie zaczęli na własny rachunek eksploatację kopalni węgla na wyspie. Od dwóch lat dążą do założenia linii statków parowych, które połączyłyby Sachalin z Nagasaki, Szanghajem i Hong Kongiem, gdzie spodziewają się znaleźć korzystny rynek zbytu węgla (lepszego od australijskiego), którego wydobycie — rękami katorżników — jest bardzo tanie.

WSPOMNIENIA

WYWIAD Z ADAMEM BIENIEM

Urodzony w szesnaście dni przed nastaniem wieku XX Adam Bień pochodzi z chłopskiej rodziny, zamieszkującej od wielu dziesięcioleci wieś Ossala, położoną wówczas na terenie powiatu staszowskiego (obecnie w województwie tarnobrzeskim).

Pokoleniowo należy do tej generacji Polaków, którzy byli świadkami narodzin niepodległego państwa i razem z nim wchodzili w dorosłe życie. Jedną z cech ich dorosłości była obrona młodej — ale jak się okazało wystarczająco prężnej — państwowości w wojnie polsko-sowieckiej. Tak więc świeżo upieczony maturzysta sandomierskiego Collegium Gostomianum zamiast na uniwersytet powędrował jako ochotnik na front.

Świadomy swej genealogii, związał się z pierwocinami ruchu młodzieży wiejskiej jeszcze w trakcie austriackiej okupacji. Rozwój działalności w chłopskim środowisku młodzieżowym, z którym ma poczucie silnej więzi, przypadł na lata II Rzeczypospolitej, a swoistym jej zwieńczeniem było zawiązanie się w roku 1928 Związku Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej „Wici" — organizacji nie do przecenienia w dziejach ruchu młodzieżowego i ludowego. Adam Bień należał do grona założycieli i kierowników Związku, a w latach 1929-1931 był jego prezesem.

Należał również do coraz liczebniejszego podówczas zastępu inteligencji polskiej, która dotychczasowy, prawie wyłącznie szlachecki lub żydowski i niemiecki rodowód uzupełniła o wartości wynikające z genealogii chłopskiej. Po skończeniu studiów praw-

niczych pracował m.in. na stanowisku sędziego Sądu Okręgowego w Warszawie. W chwili wybuchu wojny polsko-niemieckiej miał prawie czterdzieści lat.

Pierwszą wojenną zimę wypełnia mu pisanie książki „Jaka ma być trzecia Polska?". Naświetla w niej prawno-ustrojowe aspekty egzystencji przyszłego państwa polskiego. Ponadto organizuje konspirację chłopską w regionie podwarszawskim oraz kieruje komisją prawną Ruchu Oporu Chłopskiego.

Wiosną 1943 roku powołany zostaje na stanowisko I zastępcy Delegata Rządu na Kraj. Na jego oczach Warszawa obraca się w perzynę w następstwie Powstania. W styczniu 1945 roku zaskakuje wszystkich sowiecka ofensywa. Adam Bień bezpośrednich jej skutków doświadcza osobiście 28 marca 1945 roku, gdy jako członek politycznego kierownictwa kraju zostaje aresztowany przez NKWD i wywieziony do Moskwy, tam osądzony i skazany na pięć lat więzienia. Jest bowiem jednym z szesnastu szczególnie niebezpiecznych dla *pax moscovia* Polaków.

Powrót do kraju w 1949 roku oznacza zderzenie z rzeczywistością „ludowej" Polski, problemy materialne wynikające z odsunięcia od zawodu oraz rozczarowanie „przystosowanymi nieco" przyjaciółmi. Wreszcie w roku 1953 zostaje wpisany na listę adwokatów w Przasnyszu (adwokatura w Warszawie jest dla niego niedostępna).

Praktykę adwokacką kończy w dwadzieścia lat później i przenosi się do swojej rodzinnej Ossali, do budowanego przez siebie z niemałym trudem i przez wiele lat domu.

Rodzi się nowa namiętność, a według samego Adama Bienia wręcz „drugie życie" — pisarstwo. Jej owocem są dwie książki: „Bóg wysoko — dom daleko" (Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1984, wydanie II) oraz „Bóg jeszcze wyżej i dom jeszcze dalej" (Wydawnictwo Przedświt, Warszawa 1986). Pierwsza to świetny i nieszablonowy literacki powrót do sielskiej krainy dzieciństwa i młodości. Druga obejmuje okupację i moskiewskie losy ostatniego ministra Rzeczypospolitej Polskiej. Obecnie pracuje nad książką obejmującą okres dwudziestolecia międzywojennego.

Dzień dzisiejszy wypełniają Adamowi Bieniowi liczne spotkania, w których stara się przekazać swoje świadectwo historii.

Poniższy tekst jest rezultatem wielogodzinnych spotkań z Adamem Bieniem. Rozmowy te miały miejsce w Ossali między grudniem 1986 roku a grudniem roku następnego. Kompozycja tekstu nie odpowiada rzeczywistemu porządkowi rozmów, jak również pomija partie zapisu stanowiące powtórzenia, aluzje, luźne skoja-

rzenia, tematyczne odstępstwa od głównej osi dyskursu itp. Przeniesiony na papier materiał jest na dodatek małą częścią utrwalonej na przeszło dwudziestu godzinach taśm magnetofonowych narracji naszego sędziwego rozmówcy. Jak to zazwyczaj bywa, ostateczny kształt tekstu jest kompromisem między właściwościami wypowiedzi mówionej a wymogami stawianymi przez formę pisaną. Dla porządku dodać tu jeszcze należy, że uwagi pomieszczone w nawiasach kwadratowych pochodzą od redaktorów wywiadu.

Mniej więcej jedna czwarta objętości poniższego tekstu ukazała się w piśmie *Czas. Pismo społeczno-polityczne* nr 8-9, 1987, pod tytułem „Adam Bień: o Delegaturze, Powstaniu Warszawskim i sprawie 'szesnastu' ".

Rozmowę prowadzili: Włodzimierz Filipek i Marcin Kęszycki. Tekst opracowała Barbara Fabiańska.

I

REDAKCJA: — *Był Pan aktywnym uczestnikiem ruchu ludowego niemal od jego początków. Jak wyglądał ten ruch za czasów Pańskiej młodości?*

ADAM BIEŃ: — Obejmował właściwie trzy nurty: gospodarczy, społeczno-oświatowy i polityczny. Ja wtedy pracowałem w związkach młodzieży wiejskiej. Pisałem reportaże, artykuły, ale była to działalność oświatowa, coś w rodzaju edukacji obywatelskiej młodych ludzi, którzy przedtem na kursach dla analfabetów zdobyli umiejętność czytania i pisania.

Kolebką ruchu na terenie Kongresówki, a więc tego, w którym ja uczestniczyłem, było Centralne Towarzystwo Rolnicze [CTR] — organizacja ziemiańska. Od ostatnich lat XIX wieku miała ona przybudówkę w postaci Związku Kółek Rolniczych [ZKR]. Kółka Rolnicze były już organizacją chłopską. I tam również, przy CTR, zrodziła się sekcja młodzieżowa Związku Kółek Rolniczych, działająca później w Polsce niepodległej pod nazwą Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej. Chyba od 1919 roku.

RED.: — *Co zadecydowało o Pańskiej przynależności do ruchu ludowego, poza pochodzeniem oczywiście?*

A.B.: — Zaraz. Powiem o tym, ale nie spieszmy się.

Jeszcze za czasów carskich powstało na terenie Kongresówki pismo *Drużyna*. Poświęcone ono było oświacie młodzieży wiejskiej. Przemycano w nim różne treści o charakterze ściśle polskim i patriotycznym. Młodzież pismo czytała, korespondowała z nim i w ten sposób tworzył się zawiązek organizacji młodzieży wiejskiej. W roku 1917, gdy byłem w klasie VI, zorganizowaliśmy w okolicznych wsiach wiele kół z odczytami na temat Polski. Moja edukacja sandomierska, poczynając od klasy IV, przebiegała pod okupacją austriacką, w pełni liberalistyczną. Gdy w 1917 roku podpisano sławetne „traktaty brzeskie", w Sandomierzu publicznie krzyczeliśmy: „Precz z Austrią! Precz z Niemcami! Precz z trepakami!". Żandarmeria austriacka gdzieś się chowała, nie było jej na ulicach ani na placach...

RED.: — *Jaka była Wasza szkoła?*

A.B.: — Będzie zapewne bardzo dziwnym dla Polaków dzisiejszych, że pod ową „okupacją" szkoła była bardziej polska i bardziej wolna w programach i działaniach niż są szkoły teraz. Nie ciążył nad nią żaden obcy przymus ani żadna obca doktryna. Podręczniki, znakomite i pięknie ilustrowane, mieliśmy z Krakowa i Lwowa, a były to wtedy stolice ducha i kultury polskiej.

Szkoła uczyła nas wszelakiej wiedzy, ale uczyła również życia, współżycia i współpracy w wolnym społeczeństwie uczniowskim. (Nad naszym samorządem czuwał sławny i szlachetny nauczyciel nasz i pedagog, Aleksander Patkowski). Nauczyliśmy się tam wszystkiego, co obywatel wolnego kraju — a już wtedy czuliśmy się wolni! — z zakresu życia i działania społecznego wiedzieć powinien. Widzę teraz, że młodzież polska wychodząca ze szkół dzisiejszych pod tym względem nie wie po prostu nic...

RED.: — *Wracając do Pańskiej działalności, jaka była tematyka Waszych odczytów?*

A.B.: — Istniało w Sandomierzu Towarzystwo Krajoznawcze, które miało wypożyczalnię przezroczy. Były wśród nich obrazy z historii Polski. Z lampą projekcyjną jeździłem furką wiejską od szkoły do szkoły. W ten obrazowy sposób przedstawialiśmy epizody z historii Polski.

RED.: — *Powstanie Styczniowe było wtedy jeszcze żywą tradycją, prawda?*

A.B.: — Powstanie Styczniowe było dla nas świętością...

RED.: — *Czy były jakieś postaci ważniejsze niż inne? Dla Pana.*

A.B.: — Dla mnie legendarnym bohaterem był Langiewicz, ale teraz dokładnie tego nie pamiętam.

RED.: — *Czy naświetlaliście również pewne bieżące kwestie polityczne?*

A.B.: — Nie.

RED.: — *Czyli elementarz? Poczet królów polskich?*

A.B.: — Tak, raczej elementarz. Przecież mieliśmy do czynienia prawie z analfabetami.

RED.: — *Ale jednak na historię Polski można spojrzeć w dwojaki sposób: wskazując na winy własne lub na siłę wyższą. O jakiej historii Pan mówił?*

A.B.: — Winni byli sąsiedzi. Czy i kto z Polaków — nie dociekaliśmy.

RED.: — *Pytam o to nie bez powodu. W ruchu ludowym podkreślano silnie, że nieszczęściom Polski winna jest warstwa szlachecka, która doprowadziła do anarchii, nie wywłaszczyła się w porę i nie dopuściła warstwy chłopskiej do świadomego udziału w losie Polski.*

A.B.: — Myśmy to wiedzieli. Ale nie robiliśmy z tego problemu, na przykład żeby chcieć usprawiedliwić Szelę! Nawet Józef Niećko — jeden z czołowych „wiciarzy", który, jak sądzę, chętnie by się rozliczył ze szlachtą — nie widział takiej chęci w warstwie chłopskiej. Nie widział i wyraźnie o tym pisał.

RED.: — *Jakie były dalsze losy pisma, z którym Pan się związał, czyli* Drużyny?

A.B.: — Gdy wybuchła niepodległość, *Drużyna* istniała dalej, ale miała już charakter jawnie polski, patriotyczno-polski, taki jaki być powinien i musiał. W 1919 roku na zjeździe organizacyjnym utworzono Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej [CZMW], ciągle jednak przylepiony do CTR razem z Centralnym Związkiem Kółek Rolniczych [CZKR].

Potem nastąpiły rozłamy. Politycznie to wszystko nie mogło współistnieć. Najpierw wyłamały się kółka rolnicze, a wraz z nimi, niejako automatycznie, my, zorganizowana młodzież. W roku 1926, po zamachu majowym, CZKR wstąpił do powstałego wtedy

Związku Naprawy Rzeczpospolitej (chodziło o sojusz z Marszałkiem Piłsudskim przeciwko endecji). Oznaczało to upolitycznienie CZKR, a młodzież nie chciała się upolitycznić; nie chciała mieć nad sobą żadnego patrona. Właśnie wtedy powstały „Wici", 29 czerwca 1928, uchwałą Nadzwyczajnego Zjazdu Związku Młodzieży Wiejskiej. Był to bunt przeciwko CZKR. Zabraliśmy swoje lary i penaty z ich budynku. Mieliśmy potem sprawę o kradzież sztandaru, spisów, rejestrów itd. Sąd, który nas sądził, potknął się na pytaniu o wartość materialną sztandaru. Odpowiedziałem: „Nie znam jej i nikt jej nie zna. Z punktu widzenia naszej ideologii sztandar jest bezcenny". Sędzia pokręcił głową i umorzył sprawę...

„Wici" powstały więc 29 czerwca 1928 roku. Chcę się pochwalić, że właśnie ja wygłosiłem na tym Zjeździe referat programowy.

RED.: — *Jakie były jego tezy?*

A.B.: — Generalnie chodziło o wychowanie młodego człowieka w atmosferze demokracji. Uważałem to za podstawowe zadanie Związku. Młodzież wiejska miała nad sobą zbyt wielu patronów. Był patronat dworu, kleru a nawet rodziców. Postanowiliśmy pozbyć się tego cienia. Uważaliśmy, że życie młodego człowieka musi być związane z postępem, postępem możliwym tylko wtedy, gdy nowe pokolenia mają wolność wyboru swoich działań, które nie mogą podlegać żadnemu testamentowi przeszłości. Chcieliśmy budować Polskę według naszej recepty. Chcieliśmy tworzyć model życia, nie tylko chłopa, ale każdego człowieka, każdego Polaka. Wolność, sprawiedliwość społeczna, równość wszystkich, brak jakichkolwiek hamulców pokoleniowych, ideologicznych, religijnych.

Więc dlaczego byłem „wiciarzem"? Bo byłem właśnie taki. I taki chciałem być. I wszyscy inni — i Niećko, i Bień, i Załęski, i Zieliński, i niezmiernie jeszcze wielka liczba młodzieży wiejskiej.

I powiem Wam jeszcze jedno. Dominantą życia „wiciarzy" była dyskusja. Referaty wygłaszaliśmy na swoją własną odpowiedzialność. Reprezentowaliśmy w nich tylko siebie. To co mówiliśmy, poddawane było szerokiej dyskusji.

RED.: — *Jaki był Pana stosunek do partii chłopskich, działających w Polsce międzywojennej?*

A.B.: — Uznawaliśmy wszystko, co legalne. N i e u s t o s u n k o w y w a l i ś m y s i ę p o l i t y c z n i e d o n i c z e g o!

RED.: — *Ale mieliście w „Wiciach" pewne sympatie. Na przykład większą sympatią cieszyło się „Wyzwolenie" niż witosowy „Piast".*

A.B.: — Prawdą jest, że byłem bliższy „Wyzwolenia" niż „Piasta", ale tylko dlatego, że tu, na tym terenie po prostu nie mieliśmy do czynienia z „piastowcami". Ich tu nie było.

RED.: — *Ale Witos był premierem.*

A.B.: — A tak, Witos był naszym premierem.

RED.: — *A jak się Pan zapatrywał na powiązania „Piasta" i Witosa z endecją?*

A.B.: — Nam, młodzieży, to nie przeszkadzało. Skoro było to legalne i skoro była to polska władza... Nie wtykaliśmy nosów do tych spraw.

RED.: — *Mówi się, że „Wici" były silnie lewicowe. Czy zgodziłby się Pan z tą opinią?*

A.B.: — To jest powierzchowne uproszczenie. Powiem tak... Przede wszystkim byliśmy chrześcijanami, katolikami. Na pewno w naszym gronie znajdowali się ludzie różni, ale nam to nie przeszkadzało. Toczyliśmy dyskusje, namiętne dyskusje na tematy religijne i wszelkie inne, i to nie tylko w gronie naszych kół młodzieży. Mieliśmy rodziców bardzo pobożnych, choćby ja. Dyskutowaliśmy i z nimi.

Teraz niejaki Borkowski doszukuje się wśród „wiciarzy" prymitywnego, na dzisiejszą modłę „lewactwa". Proszę Pana. Tego wtedy nie było. Zupełnie!

RED.: — *Czy nie utożsamiano jednak lewicowości z bezbożnictwem? Czy nie byliście posądzani o bezbożnictwo? Bo skąd ta etykietka lewicowości?*

A.B.: — Kler — muszę przyznać — trochę nas tak traktował. Jeszcze w 1922 roku, w czasie wyborów do Sejmu, miałem konflikt z księdzem. Istniała wtedy silna polityczna walka stronnictw. Kler popierał endecję i w ogóle stronnictwa zachowawcze, a młodzież wiejska w Kongresówce sympatyzowała z „Wyzwoleniem". Pewnej niedzieli w kościele ksiądz wygłosił kazanie *par exellence* polityczne, nawołujące do głosowania na stronnictwa reakcyjne... Wyobraźcie sobie jak to musiało wyglądać w

okresie międzywojennym: przecież wszyscy w kościele byli pobożni! Proboszcz stał na ambonie, głosił kazanie i w pewnym momencie powiedział coś, co było nieprawdziwe. Powiedziałem głośno: „To jest nieprawda!". Posądzał nas o jakieś propagandowe kombinacje. Ksiądz odpowiedział: „Ja mam dowody!". Ja mu na to: „Proszę je przedstawić!".

RED.: — *To było w czasie kazania?*

A.B.: — Tak, w czasie kazania. On stał na ambonie, a ja w tłumie wiernych. Więc mówię: „Proszę przedstawić dowody! Dopóki nie będą przedstawione, pozostanie to nieprawdą". I wiecie, co on zrobił? Zszedł z ambony. Przerwał kazanie i zaczął odprawiać mszę. Potem szedłem do domu. Bałem się wracać, bo przecież moi rodzice byli w kościele. Ale mama powiedziała: „Dobrześ zrobił. Niech się w czasie kazania do polityki nie zabiera".

RED.: — *Czyli Pana mama była z Wami?*

A.B.: — Moja matka była po naszej stronie. Matka i ojciec. A kler nas nie lubił. Mówili o nas z ambony, że jesteśmy bezbożni, że się tylko bawimy.

Kler toczył wtedy walkę o duszę młodzieży wiejskiej. Organizował w ramach działalności duszpasterskiej endekujące Koła Młodzieży Polskiej [KMP], ale jak organizował! Ksiądz zapisywał na papierze kogo chciał i twierdził, że to jest KMP. A ta sama młodzież często należała do nas.

RED.: — *Znaczy, taka fikcyjna sprawozdawczość?*

A.B.: — Tak. Natomiast nas — w kołach niezależnych — już przez sam fakt, że nie podległych księdzu, kler uważał za jakichś apostatów. Ale np. w biskupie Władysławie Bandurskim z Wilna, kapelanie Legionów, mieliśmy przyjaciela.

RED.: — *A czy było coś w Waszym programie społecznym, co mogło się nie podobać?*

A.B.: — Nie mieliśmy wtedy radykalnego programu społecznego. Nie mieliśmy też w programie niczego, co mogłoby uzasadniać obawy Kościoła i kleru. Poza tym wszyscyśmy się wywodzili z rodzin wiejskich, bardzo pobożnych i b y l i ś m y bardzo pobożni.

RED.: — *Czy o komunizm też Was oskarżano?*

A.B.: — Na tym terenie nie. Ale gdzieś na Kujawach endeckie pismo *ABC* nazwało nas ukrytymi komunistami. (Endecy generalnie mieli nas za bezbożników). Zaskarżyliśmy redaktora do sądu, ale sprawy nie wygraliśmy — Sąd Najwyższy orzekł (sprawa dotarła aż do Sądu Najwyższego), że nie powstał występek zniewagi. Zarzut komunizmu zniewagą nie był. Byłby nią zarzut przynależności do partii komunistycznej.

RED.: — *Jakby Pan szerzej określił swój stosunek do Kościoła?*

A.B.: — Zawsze taki sam: co innego kler, co innego Kościół jako instytucja z całym swoim bogatym dziedzictwem. Niektórych księży lubię, szanuję, innych nie. Jestem chrześcijaninem. I jestem dumny z Kościoła katolickiego, bo to jest olbrzymia historia, to ogromna kultura, to jest — powiedziałbym — klejnot kultury ludzkiej.

RED.: — *Wracając do ruchu ludowego: jaką rolę przypisywał Pan warstwie chłopskiej?*

A.B.: — Przypisywałem chłopom rolę wiodącą, tak, wiodącą rolę w narodzie polskim. Przede wszystkim było ich najwięcej, bo około 70 %. Następnie byli autentycznymi Polakami, nieskażonymi byle jaką ideologią. Po prostu sól narodu. Uznawaliśmy ich za warstwę, którą bezwzględnie należy powołać do działania i dać jej odpowiednie prawa, żeby żywiła i broniła Polski.

RED.: — *Co należało do zakresu tych praw?*

A.B.: — Uważałem, że chłopi przede wszystkim powinni być czynnikiem rządzącym krajem. Tak myśleli „wiciarze". A oto fragment filozofii społeczno-politycznej czołowego „wiciarza", Józefa Niećki, wyłożonej przez niego samego w zapowiedzi programowej nowego miesięcznika *Chłopski świat,* powstałego w lutym 1939 roku: „... Mus nastał, aby z polskiego chaosu i nijactwa wyciosać taki kształt narodu, który gdy się uniesie, uchroni nasze niebo i naszą ziemię od obcego zalewu. (...) Ten kształt może być wyciosany tylko z wielkiej, pewnej bryły, aby się mógł zwycięski ostać przeciw obcym, najgwałtowniejszym gromom. (...) Więc, przede wszystkim z chłopa ma być Polska, jeżeli chce mieć znamię wielkiej trwałej budowy, z chłopa ma być Polska od dołu do góry, z chłopa wzdłuż i wszerz, z chłopa na wszelki ukos".

II

RED.: — *Czy Witos był moralnym przywódcą ruchu ludowego?*

A.B.: — Nie sądzę, by był przywódcą całego ruchu ludowego. Był przywódcą swego stronnictwa. Witos był galicyjskim politykiem.

RED.: — *Czy znaczy to tyle samo co galicyjskie gadanie?*

A.B.: — Tak nie myślałem. Był zręcznym politykiem galicyjskim, zgrabnie mówiącym, ale nie mężem stanu. Uważam, że szczyt jego kariery to premierostwo w roku 1920.

RED.: — *W czasie wojny?*

A.B.: — Tak. Ale cóż po tej wojnie? Skoro był premierem rządu, który zwyciężył Rosję, to dalej należało brnąć w jakimś rozumnym kierunku politycznym. Należało tworzyć taką Polskę, aby drugi raz nie wpadła w tarapaty, w jakich była w roku 1920. On nie miał koncepcji — dobry taktyk, żaden strateg.

RED.: — *A dlaczego działacze, którzy wyszli z „Wici" i objęli ster ruchu ludowego, w tej liczbie ceniony przez Pana Józef Niećko, podkreślali później autorytet Witosa? Jak wyglądało to na początku lat dwudziestych? Czy nie mieliśmy poczucia wspólnego sukcesu?*

A.B.: — Nie tylko nie mieliśmy poczucia wspólnego sukcesu, ale wręcz odwrotnie. On odebrał CZKR-owi i CZMW-owi dotacje pieniężne, które otrzymywaliśmy od roku 1919 jako instytucje kulturalne działające na wsi. Na przykład Józef Niećko był etatowym kierownikiem biura CZMW. Latami otrzymywał wysokie wynagrodzenie. Skąd? Z kasy państwowej oczywiście. Otóż gdy Witos doszedł jesienią 1923 roku do władzy, razem z endecją, odebrał te zasiłki. On!

RED.: — *Czy mógłby Pan bliżej określić swój stosunek do Witosa?*

A.B.: — Taki sam, proszę Pana, jak do Juliusza Poniatowskiego z „Wyzwolenia" lub innych przedstawicieli stronnictw.

RED.: — *To znaczy jaki? Czy mógłby Pan to rozwinąć?*

A.B.: — Tak, mogę rozwinąć. Nie był przywódcą wielkiego for-

matu ten, kto nie miał w programie kluczowego problemu niepodległej, zagrożonej przez Rosję i Niemcy Polski. A Witos nie miał. Nie miał żadnego stosunku do Wschodu. Zresztą nie tylko on. Żadne ze stronnictw chłopskich nie powiedziało niczego na temat rozwiązania problemów wschodnich. A był to dla Polski problem być albo nie być! Z tego punktu widzenia wszystkie te stronnictwa nie dorosły do roli, która im przypadła.

RED.: — *Dostrzegał Pan to już wtedy?*

A.B.: — Nie, za głupi byłem wtedy! Ale w tej chwili mam pełną tego świadomość. Już wtedy dostrzegałem jednak we wszystkich stronnictwach ludzi, którzy dopominali się, aby kwestię wschodu Polski rozwiązać. Ale każdy, kto z tym przychodził, słyszał odpowiedź mniej więcej taką: „Nie rusz tego, bo to śmierdzi". Właściwie ta myśl przyszła mi do głowy teraz, kiedy piszę moje książki: sprawa wschodnia była do rozstrzygnięcia przez chłopów polskich. Bo nienawiść między Polakami a Ukraińcami miała podkład nie tylko narodowy, ale głównie społeczny. Polacy byli tam dziedzicami, a Ukraińcy — chłopami. A chłopi polscy nie mieli sprzecznych interesów z chłopami ukraińskimi. Chłopi mogą istnieć jeden obok drugiego, bo nie muszą sobie nawzajem przeszkadzać.

RED.: — *A jak chłopi polscy mieli to rozstrzygnąć?*

A.B.: — Po prostu zacząć rozmawiać z Ukraińcami.

RED.: — *Od czego zacząć?*

A.B.: — W moim przekonaniu Polacy powinni byli wziąć jako punkt wyjścia koncepcję Piłsudskiego z 1919 roku, to znaczy koncepcję federacji z Republiką Ukraińską. Nie udało się to w 1920 roku; może nie pertraktowano z właściwymi Ukraińcami, ale nie znaczy to, że nie można było podjąć tego później. To jest sprawa, która musi być rozwiązana.

RED.: — *Czy teraz też?*

A.B.: — Teraz też. W moim przekonaniu nie do utrzymania jest sprawa Lwowa... Szczególnie Lwowa.

RED.: — *W jakim sensie nie do utrzymania?*

A.B.: — To znaczy, żeby Lwów został rosyjski. Byłbym nawet

zdania: niech Lwów ~~nie~~ będzie polski, ale niech będzie ukraiński w Ukrainie wolnej i przyjaznej.

RED.: — *Czy wtedy często zajmowaliśmy się tym, co dzieje się w Związku Sowieckim?*

A.B.: — Na pewno za mało. Po prostu bardzo szybko zapomnieliśmy o najeździe sowieckim na Polskę, o tym, że z takim trudem wywalczyliśmy zwycięstwo. Ale ja nie mogłem o tym zapomnieć. Przez całe dwudziestolecie trwożyła mnie „ściana wschodnia". Dziwna rzecz, że Polacy o tym zapomnieli. A dlaczego? Bo lekceważyli Rosję, a zwłaszcza bolszewików. Przyzwyczailiśmy się, że podczas wojny szli naprzód, wtedy gdy nie natrafili na żaden opór. A gdy strzelały nasze karabiny maszynowe — już ich nie było!

RED.: — *A jak w kręgu „wiciarzy" widziano możliwość ułożenia stosunków Polski z Rosją sowiecką?*

A.B.: — Przede wszystkim Rosja od wieków — nieważne, czy carska, czy bolszewicka — jest tą samą Rosją. Rosją zaborczą. Zwróćcie uwagę, że na wszystkich swoich granicach ma konflikty z każdym narodem. A to dlatego, że przeszkadza jej niepodległość i niezależność każdego narodu (Łotwa, Estonia, Finlandia, Afganistan). W moim przeświadczeniu — chyba w Polsce powszechnym — jest to kraj, który zagraża każdemu.

Były w Polsce tylko dwa obozy — dwie jednostki, które problem wschodni widziały: Piłsudski i Dmowski. Los koncepcji Piłsudskiego znacie. Zaś koncepcja Dmowskiego w wyniku rewolucji w Rosji upadła. Partner, którego Dmowski sobie wymyślił (niezależnie od tego, że w moim przekonaniu wymyślił błędnie) po prostu przestał istnieć. A jego zwolennicy — endecy — zawiśli w próżni. I cóż się z Dmowskim stało, gdy przyszła wolna Polska? Co zdziałał Dmowski? Walka z Żydami, z postępem, z „komuną", z „masonerią", słynny *numerus clausus* na uczelniach. A jaka była koncepcja, jeśli chodzi o Wschód? Mówiło się, że nie ma narodu ukraińskiego, że ci, którzy tam hałasują, to nie naród, a Polska ich spolonizuje. Za Dmowskim poszła cała ciemna kołtuneria. Tak to wyglądało wtedy.

RED.: — *Czy wśród endeków byli również chłopi?*

A.B.: — Tu nie było, ale w Galicji i Wielkopolsce chyba byli.

RED.: — *Endecja miała również pewne zasługi...*

A.B.: — Miała wielkie zasługi. To było środowisko bardzo polskie, ale zacofane i ciemne. Jeszcze przed odzyskaniem niepodległości niewątpliwie rozbudzili polską świadomość narodową. Było to stronnictwo inteligencji polskiej. Jeśli inteligent nie był socjalistą, to był endekiem. I endecja miała ogromne wpływy u progu II Rzeczpospolitej. Wielki to dramat, że właśnie endecja z powodu swego zacofania stanęła przeciwko Piłsudskiemu. Gdyby Piłsudski był również wodzem dla endecji, historia Polski poszłaby inną drogą.

RED.: — *A jak Pan ocenia polityczny ruch ludowy?*

A.B.: — Niewątpliwym atutem politycznego ruchu ludowego było to, że w ogóle zaistniał. Jednak brakowało mu koncepcji wielkiej miary, która mogłaby skupić przy ludowcach całe społeczeństwo — nie tylko chłopów. Nie widziałem takiej koncepcji u ludowców, a zresztą u nikogo.

Stronnictwa chłopskie pod adresem własnego państwa stawiały tylko chłopskie żądania (ziemia dla ludu, wiedza dla ludu, władza dla ludu), a nie zdobyły się na całościową koncepcję Polski mądrej, wolnej, sprawiedliwej i dla całego narodu bezpiecznej. I dlatego — co wydaje się oczywiste — nie zaskarbiły sobie zaufania ani szacunku Polaków. Ta niechęć do ludowców i lekceważenie ludowców trwają do dziś.

RED.: — *A socjaliści?*

A.B.: — Też nie mieli koncepcji. Gubili się w drobnych sprawach robotniczych. W czasie wojny również pomysłów nie mieli. Bali się ludowców. Bali się, ponieważ ludowców było dużo, mieli Bataliony Chłopskie. Bali się, że ludowcy mogą ich zdominować w momencie powstania Polski, robiąc Polskę chłopską, a oni nie chcieli takiej Polski.

Niestety poza Piłsudskim innych koncepcji nie było.

RED.: — *Czy określiłby Pan siebie jako piłsudczyka?*

AB.: — Byłem piłsudczykiem.

RED.: — *Nawet w momencie zamachu majowego?*

A.B.: Tak! Zamach był potrzebny! Piłsudski został rozgrzeszony za ten zamach.

RED.: — *A Brześć?*

A.B.: — Otóż właśnie. Brześć to nie Piłsudski, to jego ludzie.

RED.: — *Ale Piłsudski o tym wiedział.*

A.B.: — Marszałek kiedyś powiedział o sobie, że wszystkim może być, tylko nie wychowawcą. „Wychowawcą to ja nie jestem, bo bardzo szybko się wściekam". I nie wychował swoich ludzi.

Więc byłem zwolennikiem Piłsudskiego i jednocześnie nie mogę mu darować polityki wewnętrznej i tego, że dopuścił do odegrania tak marnej roli przez swoich przecież, piłsudczyków... Tak, w polityce wewnętrznej Piłsudski popełnił błędy. Ale nie wiem, czy się orientujecie, co to była skonstruowana przez endecję sejmokracja? Przecież nie mógł istnieć silny rząd, bo wszyscy chcieli rządzić. Żaden minister nie miał dnia, żeby mu ze wszystkich stron nie włazili w kaloszach w sprawy rządzenia. Wreszcie Piłsudski powiedział: „Za wiele jest w Polsce nieprawości". I dlatego musiał wystąpić.

RED.: — *Koniec końców jednak dokonując zamachu uderzył w demokrację. Czy Pan uważa, że istnieją sytuacje, w których takie posunięcia są uzasadnione?*

A.B.: — Tak. Taka sytuacja miała miejsce wtedy. Taka była też w listopadzie 1918 roku. W listopadzie 1918 objął niepodzielną pełną władzę, której mu nikt nie zakwestionował, a oddał ją 20 lutego 1919 roku. To świadczy o nim jako o demokracie.

Piłsudski był dziewiętnastowiecznym demokratą i romantykiem. Myślę, że wierzył niezachwianie i bezkrytycznie w lud. A tymczasem lud polski okazał się ciemny. Masy uległy demagogii ludzi nieuczciwych. Na gruncie stworzonej przez Piłsudskiego demokracji powstały partie, które wykorzystywały elementy najciemniejsze do załatwiania prywatnych interesów, często szkodzących polskiej racji stanu. Szczególnie dotyczyło to ludowców, bo przecież wśród chłopów było najwięcej elementów najciemniejszych. Ale wszystko to spowodowała endecja, która była bardzo silną partią.

Najsilniejszą, ale nie na tyle silną, by rządzić samodzielnie. Wystarczyło jednak, żeby połączyła się z Witosem, z „Piastem", i zaraz w kraju zapanowała najczarniejsza reakcja. Ta reakcja wyeliminowała możliwość działania Piłsudskiego. Endecy usiłowali pogrzebać Piłsudskiego — męża stanu.

Zamach Piłsudskiego był gwałtem, ale ten gwałt ocalił Polskę przed gwałtem większym. Zgromadzenie Narodowe rozgrzeszyło Piłsudskiego za ten gwałt.

RED.: — *Kiedy stało się dla Pana jasne, że Piłsudski musi dokonać jakiegoś radykalnego posunięcia? Czy już po zamachu na prezydenta Narutowicza?*

A.B.: — Nie! Zamach na Narutowicza wyszedł od endecji i jej przede wszystkim zaszkodził.

RED.: — *W takim razie, kiedy napięcie — w Pana świadomości — osiągnęło punkt krytyczny?*

A.B.: — W maju 1926, gdy zamach na demokrację polską już był przygotowany. Musicie jednak pamiętać, że byłem wtedy aplikantem sądowym, a nie mężem stanu, nie musiałem i nie umiałem wszystkiego oceniać z pełną świadomością wszystkich skutków. Czułem jednak, że dobrze się stało. Nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, iż twórcą II Rzeczpospolitej Polskiej był Marszałek. To on zbudował to państwo.

Obecnie analizuję akty prawne, które on jako Naczelnik Państwa wydał, i myślę, że wtedy zostało zrobione to, czego nam dzisiaj brak.

RED.: — *Pytam tyle o Piłsudskiego...*

A.B.: — Dobrze, że Pan pyta.

RED.: — *... ponieważ Piłsudski obalił rząd Witosa — chłopskiego przywódcy. Czy Pana ocenę postaci Piłsudskiego dzielili „wiciarze" — Pańscy koledzy?*

A.B.: — Generalnie byliśmy po jego stronie.

RED.: — *No, ale potem rozstajecie się z CZMW wobec zakusów uczynienia z Was piłsudczykowskiej, sanacyjnej przybudówki.*

A.B.: — Tak, ale nie Marszałek to robił.

RED.: — *Ale za jego wiedzą.*

A.B.: — Chyba nie bardzo. Piłsudski był naszym przyjacielem. Przecież był ojcem chrzestnym naszego sztandaru. Czy wiedział Pan o tym?

RED.: — *Nie, nie wiedziałem. Czy zetknął się Pan z nim kiedyś osobiście?*

A.B.: — Tak, właśnie wtedy, podczas uroczystości poświęcenia sztandaru w kościele ss. Wizytek w Warszawie. Przyszedł, przy-

jechał pewno! Mówił takim grubym głosem, zapytał: „Gdzie się to wszystko będzie działo?".

RED.: — *A jak wyglądały Wasze stosunki z sanacją?*

A.B.: — Mieliśmy z nimi konflikt. Prasa sanacyjna zwalczała Sejm. Wtedy w *Siewie* — naszym piśmie — napisał artykuł Zygmunt Załęski... Nie pamiętam tytułu. Załęski wypowiedział się w obronie Sejmu. Tego nie darował nam CZKR, który wyraźnie był już związany z obozem sanacyjnym. Była to jedna z głównych, bezpośrednich przyczyn powstania „Wici". A potem, gdy „Wici" już powstały, musieliśmy je zarejestrować. Rejestr organizacji prowadziło MSW. Pamiętam, że ja i Załęski poszliśmy z projektem statutu i wnioskiem o rejestrację. I tam wysokiej rangi urzędnik powiedział do nas: „Nieprawda, że nie jesteście polityczni. Polityczne jest wszystko, co robicie. Już sam fakt waszego istnienia jest wysoce polityczny". Ale zarejestrował!

RED.: — *Proszę Pana, w 1929 roku został Pan prezesem „Wici". Jaki był Pana program jako prezesa?*

A.B.: — Trudno mi teraz odpowiedzieć na to pytanie. Przeżywaliśmy kryzys, ponieważ „wiciarze", którzy tworzyli nową organizację, nie objęli całej młodzieży z prosanacyjnego „Siewu". Nie objęli jej, a ta młodzież była również młodzieżą wiejską. O ile pamiętam, najważniejsze było dla nas połączenie tych dwóch grup młodzieży wiejskiej. Prowadziliśmy długie rokowania z przywódcami „siewowców". Pamiętam, że rozmowy odbywały się w Ministerstwie Rolnictwa, a patronował im wiceminister rolnictwa, pan Mikułowski-Pomorski — wysokiej kultury starszy pan, bardzo zainteresowany tym, żeby doszło do porozumienia. Porozumienie nie miało jednak popularności w naszych, „wiciowych" kręgach.

Pamiętam zabawną sytuację. Nasi radykałowie — w pojęciu ideologicznym — uważali, że reprezentujemy czystą ideę „wiciową" i że nie wypada nam przyjmować tamtych ludzi. Na jakimś zebraniu zarzucono mnie i Załęskiemu (byliśmy za połączeniem) brak czystości ideowej. Wówczas Maria Szczawińska, taka nasza Dolores Ibarruri *[śmiech...]* powiedziała, że „ryba psuje się od głowy".

RED.: — *A kto był głową?*

A.B.: — Ja i Załęski. Ja byłem prezesem, a Załęski wiceprezesem.

Potem Szczawińska i Niećko utworzyli tak zwaną „wiciową kapliczkę": arcykapłan i westalka. W 1949 roku, gdy wróciłem z Moskwy, okazało się, że właśnie Niećko oraz Szczawińska wystąpili z mikołajczykowskiego PSL-u, a Niećko został wiceprezydentem. Nasuwa się refleksja, jak łatwo ideologia absolutnej czystości przeistacza się w ideologię „przystosowaną"!

Więc sprawa połączenia nurtów „wiciowych" była najważniejsza. Poza tym robiliśmy konkursy rolnicze oraz doświadczenia praktyczne z zakresu przodującego rolnictwa (dotowało je ministerstwo i to były jedyne dotacje, któreśmy wtedy otrzymywali). Nadto kwestią agrarną zajmowało się środowisko krakowskie — twór „wiciarza" Miłkowskiego. Chodziło o uprzemysłowienie, które uwzględniałoby fakt, że Polska jest przede wszystkim krajem rolniczym, że konieczna reforma musi zmierzać do utworzenia odpowiedniej struktury agrarnej. Do tej struktury należy przymierzyć przemysł, w którym ludzie zbędni na wsi znajdą zatrudnienie.

RED.: — *Jak widzieliście reformę rolną?*

A.B.: — Nie zajmowaliśmy się tym. Od tego były stronnictwa polityczne, zostawialiśmy to po prostu dorosłym, czynnym politykom. Natomiast my staliśmy oczywiście na gruncie ogólnych interesów chłopskich. Uważaliśmy, że trzeba dać chłopom taką ilość ziemi, żeby mogli prawidłowo prowadzić gospodarstwo i prawidłowo pracować dla Polski.

RED.: — *No tak, ale rządy sanacyjne tej reformy nie przeprowadziły. Jakie wyciągnęliście z tego wnioski, tym bardziej, że reformę uważaliście za konieczną? Co robić, jeśli dorośli zawodzą?*

A.B.: — Czy Pan chce przez to powiedzieć, że powinniśmy byli zrobić rewolucję?

RED.: — *Nic nie chcę powiedzieć, zastanawiam się tylko, jakie sobie zadawaliście pytania. Byliście krytycznie nastawieni wobec wszystkich rządów, łącznie z chłopskimi, które sprawowały władzę w II Rzeczpospolitej.*

A.B.: — Nie mówię, że byliśmy nastawieni krytycznie. Do wszystkich rządów polskich byliśmy nastawieni pozytywnie, a to dlatego, że miały za sobą poparcie sejmowej większości.

RED.: — *No, wie Pan, z tą większością różnie bywało, na przykład fałszowane wybory po zamachu majowym.*

A.B.: — To było później, kiedy powstał Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem [BBWR]. Wtedy nastąpiły różne manipulacje robione przez ministra Sprawiedliwości, pana Cara. Oczywiście: do wszystkiego, co było przestępstwem, co było błędem, mieliśmy stosunek krytyczny, ale to nie znaczy, że kroczyliśmy w pierwszym szeregu wojowników przeciwko władzy. Mieliśmy swój normalny program działania, taki jak zawsze.

RED.: — *Czyli działalność oświatowa, kulturalna...*

A.B.: — Oczywiście, pisaliśmy o wszystkim co się dzieje. Pisaliśmy o tym, jaki jest Sejm, ocenialiśmy jego uchwały. Sam napisałem wiele artykułów w *Wiciach*. Prowadziłem na przykład kronikę zdarzeń w kraju i na świecie. Byliśmy świadomi tego, co się dzieje, ale nie przystępowaliśmy do walki, do której powołani byli, w naszym odczuciu, politycy — posłowie, ministrowie, członkowie stronnictw.

RED.: — *Jednak w latach trzydziestych „wiciarze" przejęli i zdominowali ruch ludowy, a w czasie okupacji rządzili nim niepodzielnie.*

A.B.: — Jeśli Pan powie, że w czasie okupacji, to się zgodzę. Wtedy „wiciarze" przeszli do polityki i ja też przeszedłem.

RED.: — *Stanisław Mikołajczyk był już w Sejmie przed 1939 rokiem.*

A.B.: — Poszedł rządzić wtedy, kiedy już wyszedł z „Wici". Tak zwykle postępowali „wiciarze" — kiedy dorośli, to szli do polityki.

RED.: — *Wnosili jednak jakieś doświadczenia z „Wici"...*

A.B.: — Wnosili doświadczenie, które nabyli i tak jak je rozumieli. Uważaliśmy się za narybek politycznego ruchu ludowego. Interesowała nas polityka, ale narybek, dopóki pozostaje narybkiem, nie rządzi.

RED.: — *Jak by Pan podsumował działalność „Wici"? Co „Wici" zrobiły dla ruchu ludowego?*

A.B.: — „Wiciarze" zajmowali się nie tylko koncepcją ruchu

ludowego. Widzieliśmy przed sobą Polskę w świecie, widzieliśmy urodę życia człowieka wolnego: zgoda pomiędzy narodami, zgoda w narodzie, sprawiedliwość społeczna, równy start dla wszystkich.

RED.: — *Tak była rozumiana sprawiedliwość społeczna — jako równy start?*

A.B.: — Tak. Ponieważ jeśli chodzi o działanie, to uważaliśmy, że do działania należy powoływać tych, którzy są najlepsi, najmądrzejsi, najszlachetniejsi i najzdolniejsi.

RED.: — *Czy mógłby Pan wymienić trwałe osiągnięcia „Wici"?*

A.B.: — Kilka pokoleń młodzieży polskiej zaraziło się wielkością i wolnością myślenia, wolnością wypowiedzi i wolnością działania. Nie ma teraz ludzi, którzy czują, że są w pełni wolni, że mogą wolno myśleć, swobodnie się wypowiadać, że potrafią to robić. Taka wiara została chyba zmarnowana.

To była koncepcja człowieka jako całości, człowieka wobec świata, tego, który jest tu, nad Wisłą, który żyje od tysiąclecia w kulturze chrześcijańskiej, rzymskiej. To jest ta kolebka, to jest ten korzeń. Polacy są tacy od wieków i tacy być muszą.

III

RED.: — *Dlaczego przegraliśmy wojnę?*

A.B.: — To, co zrobiono w XVI wieku, trzeba było zrobić w latach powstającej II Rzeczypospolitej — oczywiście na innych zasadach. Skoro istniały narody, które nabrały samodzielności politycznej, trzeba było z nimi się dogadać i próbować współpracy. Ale nie miał kto tego zrobić. Piłsudski był stary, chorował i umarł, a to sprawiło, że w roku 1939 stanęliśmy przeciwko Niemcom zupełnie samotnie. Ta wojna, uważam, była zupełnie niedorzeczna. Tak uważam. Nie wolno było dopuścić do wojny, kiedy z góry było jasne, że musimy przegrać.

RED.: — *A można było nie dopuścić?*

A.B.: — Chyba tak. Trzeba było zacząć politykować nie w roku 1939, a w latach dwudziestych. Politykować tak, jak politykowano podczas wielkiej wojny.

RED.: — *Ale jak to wtedy wyglądało? Podpisano traktat ryski i co dalej? Czy Polska miała sposobić się do następnej wojny z Rosją?*

A.B.: — Od zarania Drugiej Polski należało środkami politycznymi, ekonomicznymi i wszelkimi innymi, tu, na „międzymorzu" bałtycko-czarnomorskim, montować jakąś przekonywującą koalicję i w tej koalicji — zależnie od realiów czasu i okoliczności — działać przeciw Wschodowi lub Zachodowi...

RED.: — *Chciałbym jednak zapytać Pana, jak wówczas młode pokolenie ludowców zapatrywało się na problem ułożenia stosunków z sąsiadami, a zwłaszcza z Rosją? Lwów może być dla jednych polski, dla innych ukraiński, ale w tej chwili...*

A.B.: — W każdym razie dla mnie jedno było jasne, że w 1920 roku skończyła się wojna z Rosją. Niestety, nie skończył się również konflikt z Niemcami.

RED.: — *Czyli problem na dwóch frontach...*

A.B.: — Nie, w moim przekonaniu trzeba było wybrać zło mniejsze.

RED.: — *To znaczy?*

A.B.: — To znaczy albo z Rosją przeciwko Niemcom, albo z Niemcami przeciwko Rosji. Proszę Panów, gdyby Polska poszła w 1939 roku z Niemcami, to by nie było teraz Rosji bolszewickiej. Nie byłoby!

RED.: — *Ale mogliśmy znaleźć się w sytuacji Rumunii, która marnie skończyła jako były satelita Niemiec. A poza tym wybór pomiędzy reżimem Hitlera...*

A.B.: — Rumunia lepiej wyszła na II wojnie niż Polska! A co się stało z Węgrami? Co im Niemcy zrobili? Czy ich mordowali?

RED.: — *No, po prostu w pewnym momencie weszli na terytorium węgierskie, dokonując m.in. w ciągu niewielu tygodni zagłady Żydów.*

A.B.: — A dlaczego Niemcy nie mordowali w latach I wojny światowej? Czy musieli? Miał miejsce wtedy co prawda oburzający incydent — Kalisz. Ale był to jedyny, przynajmniej tak powszechnie znany, wypadek. A poza tym Niemcy otworzyli Uni-

wersytet Warszawski i Politechnikę Warszawską z językiem polskim jako wykładowym. Okupację niemiecko-austriacką w porównaniu z okupacją carską można nazwać absolutną wolnością: istniały stronnictwa, organizowane były manifestacje...

Widzi Pan, to jest tak: my nie umiemy myśleć, że można się dogadać z Niemcami, bo zdaje nam się, że przyjdą i nas wymordują. A przecież Piłsudski współpracował z nimi, Beseler rządził w Warszawie i nie mordował Polaków.

RED.: — *To były inne czasy. Dwadzieścia lat później...*

A.B.: — Niech Pan się przyjrzy takiej sytuacji. Istnieją dwa mocarstwa wrogie Polsce, wrogie absolutnie, i oto nadchodzi błogosławiona chwila, gdy są ze sobą skłócone. Hitler przygotowywał się do marszu na Rosję i gdybyśmy mu nie przeszkodzili, Rosja przestałaby istnieć i nie byłoby jej dzisiaj. I gdyby, jestem przekonany, że gdyby Piłsudski żył, to by tak było. Zdaje Pan sobie sprawę z nieistnienia Rosji dzisiaj na świecie?

RED.: — *Ale Piłsudski rozpatrywał przecież możliwość prewencyjnego uderzenia na Niemcy.*

A.B.: — Nie wtedy. Nie wtedy, kiedy zrodziła się w Niemczech koncepcja marszu na Rosję.

RED.: — *Powiedział Pan, że Rosja carska czy bolszewicka to obojętne. Czy wtedy też tak myślano?*

A.B.: — Istotą zmiany był dla nas wówczas jedynie fakt, że Rosja komunistyczna drąży Polskę od wewnątrz, stąd szczególnie wielkie niebezpieczeństwo. To gangrena. I nie dlatego gangrena, że komunistów u nas dużo, tylko dlatego, że są tacy, jacy są, że sprzymierzają się z tym, co najgorsze w każdym kraju.

RED.: — *Czy zastanawialiście się, dlaczego doszło w Rosji do nowej społecznej i politycznej sytuacji?*

A.B.: — Nie zajmowaliśmy się tym. Uważaliśmy, że to, co się w Rosji dzieje, jest tak kuriozalne, patologiczne, że nie ma sensu się temu przyglądać.

RED.: — *Czy to nie był błąd?*

A.B.: — Bardzo możliwe, ale ja Panu mówię jak było.

RED.: — *Czy nie był to błąd polskich ugrupowań politycznych,*

który spowodował umysłowe i duchowe nieprzygotowanie społeczeństwa do tego, co się stało w latach 1944-1945?

A.B.: — Cóż poradzę na to, skorośmy tego nie robili. Może to był błąd. Ale w ogóle znaliśmy Rosję, wiedzieliśmy, co się tam dzieje. Niećko nazywał bolszewików „wściekłymi psami".

RED.: — *Nieczęsto się zdarza, że „wściekłe psy" opanowują cały naród.*

A.B.: — Czy Pan przypuszcza, że Polacy ulegli na skutek nieznajomości Rosji? Mnie się zdaje, że Polacy ulegli nie dlatego, że tu przyszła ideologia rosyjska, tylko dlatego, że przyszła armia rosyjska. Czy przypuszcza Pan, że gdyby Polacy znali Rosję, to by mniej było zwolenników komunizmu w Polsce?

RED.: — *Ale przynajmniej więcej rozumielibyśmy na temat działania systemu sowieckiego.*

A.B.: — No i co byśmy zrobili? Co można było zrobić?

RED.: — *Na przykład Pan w 1945 roku być może nie nastawałby na rozmowy.*

A.B.: — Na te rozmowy nastawałem z przymusu i nie chodziło mi o dogadanie się, wiedziałem, że się nie dogadamy, ale o to, żeby odium niedojścia do rozmów nie spadło na nas.

RED.:— *Mówił Pan o tym, że Polska powinna uczynić bardziej zdecydowany krok w kierunku Niemiec. Czy wtedy też Pan tak sądził?*

A.B.: — Nie.

RED.: — *Mógłby Pan wyjaśnić, dlaczego?*

A.B.: — Po pierwsze byłem młodym człowiekiem, nie martwiłem się tak o to wszystko, o czym teraz rozmawiamy. Było tak świetnie w Polsce! Studiowałem, potem zdobyłem stanowisko w sądownictwie, stanowisko wysokie i pożyteczne, dobrze mi się powodziło. Było mi dobrze i myślałem, że w ogóle jest dobrze.

RED.: — *A co wiedzieliście o sytuacji w Niemczech? Jaki był Wasz stosunek do niemieckiego faszyzmu?*

A.B.: — Polacy nie ustosunkowywali się do faszyzmu, ale do Niemców. Teraz ciągle pisze się, że to byli hitlerowcy. Ja nie

piszę o hitlerowcach. Ja zawsze piszę o Niemcach, ponieważ nie była to wojna z Hitlerem, a z Niemcami! Przecież Hitler realizował program niemieckiego Sztabu Generalnego.

RED.: — *Czy zastanawialiście się nad stosunkiem nazistów do demokracji? Jak zareagowaliście na pożar w Reichstagu?*

A.B.: — Ależ to były wewnętrzne sprawy niemieckie! Dlaczego mieliśmy im zaglądać za kulisy!? My mieliśmy drugiego, o wiele groźniejszego wroga i oto jeden z nich mógł rozbić drugiego. Powinniśmy wtedy prowadzić swoją politykę. Mieliśmy dwumilionową armię. Hitler nie miałby tych kłopotów zimą pod Moskwą, gdyby tam była polska kawaleria. Bo polscy chłopi-kawalerzyści w każdą pogodę pojadą na koniach. Ja tu widzę chłopów ossalskich, którzy wożą mleko do zlewni. Nie ma zamieci ani takiego mrozu, żeby im w tym przeszkodził.

Przejeżdżałem przez Niemcy w 1935 roku, po podpisaniu przez Piłsudskiego paktu o nieagresji. Byłem wówczas prezesem Związku Teatrów Ludowych, w ramach którego działał zespół artystyczny, taki jak dzisiejsze „Mazowsze". Przejeżdżaliśmy przez Niemcy w drodze do Anglii na Kongres Pieśni Ludowej i Tańca i czy Pan uwierzy, że Niemcy witali nas na stacjach, a na peronie w Berlinie tańczyliśmy kujawiaka. Mam przez siebie zrobione zdjęcie!

A stali się naszymi wrogami, gdy Beck stanął im na drodze! Z powodów bzdurnych dla nich. Wtedy, kiedy rzeczywiście chcieli iść na Rosję, należało iść z nimi.

RED.: — *A ludobójstwo?*

A.B.: — Skąd się wzięło ludobójstwo, trudno powiedzieć. Trudno to zrozumieć. Nie mieściło się przecież w logice i tradycji historycznej Niemców. To była jakaś patologia. A ludobójstwo widzieliśmy i na wschodzie!

RED.: — *Kiedy we wrześniu 1939 roku zobaczył Pan armię niemiecką, czy oczekiwał Pan wariantu okupacji z I wojny światowej?*

A.B.: — Nie! Bałem się. Baliśmy się wszyscy, bo wiedzieliśmy, że Hitler na odprawie dowódców, którzy mieli prowadzić wojnę, powiedział: „Zabijajcie każdego kogo spotkacie, i kobiety, i dzieci itd. — wszystkich, bo to są wrogowie". Baliśmy się oczywiście.

RED.: — *A atak 17 września — był zaskoczeniem czy nie?*

A.B.: — Był.

RED.: — *Pana też zaskoczył?*

A.B.: — Tak, mnie też.

RED.: — *Mimo, że nie miał Pan żadnych złudzeń co do Rosji?*

A.B.: — Nie miałem złudzeń, ale nie przypuszczałem, że poważy się tak wyraźnie przejść na stronę Niemiec. Szczególnie wobec rokowań w Moskwie, w sierpniu 1939 roku.

RED.: — *Ribbentrop - Mołotow?*

A.B.: — Nie. Najpierw rokowały przecież Rosja, Francja i Anglia. W pierwszej chwili nawet nie odniosłem wrażenia, że układ Ribbentrop - Mołotow oznacza dla Polski wojnę. Znaliśmy tylko traktat o nieagresji, tzn. część jawną. Tajny protokół o rozbiorze Polski był nieznany. Przynajmniej ja go nie znałem.

Pamiętam, w niedzielę 17 września nasz pochód wyłapanych i pędzonych przez Niemców uciekinierów zatrzymał się w Siedlcach, w katedrze. Były to tysiące ludzi. Miejscowy biskup odprawił nabożeństwo, potem popędzono nas dalej. Jeszcze nie wiedzieliśmy o zdarzeniach na wschodzie Polski. Dowiedziałem się o tym dopiero w Węgrowie, miasteczku, w którym się schroniłem po ucieczce z obozu. Gdy dowiedziałem się, że te tereny mają przejść do Rosji, zrozumiałem, że muszę zwiać. Więc piechotą poszedłem do Pułtuska. Musiałem przeprawić się przez Narew, która miała być rzeką graniczną między Niemcami a Rosją.

RED.: — *1 września uciekał Pan przed Niemcami na wschód, a po 17 zmienił Pan kierunek dokładnie o 180 stopni. Wygląda na to, że lepszy był Niemiec niż Rosjanin.*

A.B.: — Na wschód uciekałem, bo otrzymałem pismo od prezesa Sądu Apelacyjnego, w którym pracowałem, z poleceniem ewakuacji do Lublina. Tam ewakuowano mój sąd. 10 września dojechałem do Lublina i zaraz ruszyłem w drogę powrotną, bo mi oznajmiono, że mężczyźni z Warszawy mogą i powinni wrócić. W drodze powrotnej dowiedziałem się, że Rosja idzie na zachód i wtedy wiałem przed Rosją.

RED.: — *A dokładnie przed czym Pan uciekał?*

A.B.: — Przed czym? Przed niebezpieczeństwem zagarnięcia przez

Rosję. Wiedziałem, że inteligencja polska będzie prześladowana i była prześladowana.

RED.: — *Ale przez Niemców też była prześladowana.*

A.B.: — Przez Niemców? Tak! Ale to było inaczej.

RED.: — *Dostrzegam pewien paradoks, w Pańskiej wypowiedzi również. Nikt nie miał złudzeń co do Rosji, natomiast wszystkich zaskoczył 17 września.*

A.B.: — Proszę Panów, czym była Rosja, ludzie wiedzieli, tylko nie wiedzieli, czy Rosja zaraz zacznie działać, czy również rozpocznie agresję na Polskę. I dlatego w momencie gdy zaatakowała, zaczęli przed nią uciekać. Podam Panom przykład, ilustrujący, jak wyglądał stosunek i do Niemców, i do Rosjan. Mianowicie Polacy, którym udało się uciec z terenów wschodnich i znaleźć się na brzegu niemieckim, oklaskiwali spotykanych Niemców.

RED.: — *A niech Pan opowie o spotkaniu z Rosjanami po 17 września.*

A.B.: — Nie natknąłem się wtedy na Rosjan. Pierwszych Rosjan spotkałem 16 albo 17 stycznia 1945 roku w Milanówku.

Niemcy byli zagrożeniem stałym, ale dalszym, zaś Rosjanie niebezpieczeństwem bliskim i natychmiastowym.

RED.: — *Jeśli idzie jeszcze o wrzesień... W momencie kiedy się Pan dowiedział o wybuchu wojny, czy wierzył Pan w zwycięstwo?*

A.B.: — Tak. Wierzyłem, że zwycięży Polska wespół z zachodnimi sprzymierzeńcami.

RED.: — *A kiedy przestał Pan wierzyć?*

A.B.: — Mniej więcej około 8 września. Przestałem wierzyć drugiego dnia ucieczki. Wtedy, kiedy po udanej przeprawie przez Wisłę w okolicach Góry Kalwarii znalazłem się w zagrodzie chłopskiej w Warszawicach i potem na szosie wiodącej z Góry Kalwarii do Garwolina. Zobaczyłem Armię Polską, resztki Armii Polskiej uciekającej przed Niemcami. Gdy zobaczyłem, w jakiej formie ta armia była, zrozumiałem, że to już nie jakiś manewr taktyczny, ale po prostu „uciekaj, gdzie możesz i jak się daje". Wtedy przestałem wierzyć.

IV

RED.: — *Jakie były początki Pańskiej działalności konspiracyjnej?*

A.B.: — Najpierw napisałem książkę „Jaka ma być trzecia Polska?". Wiem, że została wydrukowana w Londynie. Nawet ktoś obiecał, że przywiezie mi egzemplarz, podobno jest w jakimś archiwum. O geograficznym kształcie Polski pisałem tak: wschód — granica ryska, a na zachodzie — wał słowiańszczyzny, tj. Odra - Nysa Łużycka i oczywiście całe Prusy Wschodnie dla Polski. Napisałem to w pierwszą zimę wojny, z 1939 roku na 1940. Wskazałem na Nysę Łużycką dlatego, że razem z Odrą tworzy ona najkrótszą, naturalną granicę Polski z Niemcami. Następnie — ogólny, wewnętrzny kształt Polski: Polska jako kraj, w którym panować winny wolność, sprawiedliwość i dobrobyt.

RED.: — *Szkoda, że się nie ziściło.*

A.B.: — Słucham?

RED.: — *Nie ma ani wolności, ani dobrobytu.*

A.B.: — Tak, nie ziściło się.

O ustroju napisałem, że wszelka władza pochodzi od narodu i powstaje z wyborów pięcioprzymiotnikowych. Pomny jednak żałosnej międzywojennej sejmokracji (a sejmokracja była skutkiem nadmiernej ilości partii), uznałem, że demokrację należy przestylizować poprzez uprzywilejowanie partii wielkich i popularnych, przyznając im z listy państwowej mandaty d o d a t k o w e — proporcjonalnie do wyników głosowania w skali krajowej. Zdegradować natomiast partie drobne i pozbawić mandatów te z nich, które w głosowaniu powszechnym uzyskały mniej niż 5 % głosów.

Proponowałem również parlament dwuizbowy, z Senatem i Izbą Poselską. Sejm miał pochodzić z wyboru, natomiast Senat miał być wyłaniany w zupełnie innej procedurze. Pewien procent miejsc przeznaczyłem mianowicie dla tzw. wirylistów — powoływanych przez Prezydenta Rzeczpospolitej spośród ludzi szczególnie zasłużonych. Miejscem w Senacie miały być uhonorowane samorządy, wszelkie samorządy, łącznie z pracowniczymi. Miały być również upoważnione do wskazywania kandydatów do Senatu wszystkie uczelnie wyższe. Przypominam sobie, że Izba Poselska miała liczyć 300 posłów, a senatorów miało być 100. Senat miał mieć kontrolę nad Sejmem w zakresie zgodności aktów

prawnych z Konstytucją, ale miał być pozbawiony inicjatywy ustawodawczej.

Prezydent Rzeczpospolitej miał być wybierany przez cały naród, z tym że kandydatów zgłaszać miały stronnictwa polityczne, istniejące co najmniej rok przed wyborami lub obywatele — pod warunkiem, że wniosek byłby podpisany przez 10 tys. wyborców. Rząd miał być typu amerykańskiego: prezydent mianuje i zwalnia rząd. Votum nieufności dla rządu nie może być poddawane głosowaniu na tym samym posiedzeniu, na którym zostało zgłoszone, natomiast decyzja prezydenta mogła to posiedzenie odroczyć na sześć tygodni.

W sumie chodziło mi o to, by rządy były silne i nie mogły być zwalniane z dnia na dzień, z byle jakiego powodu.

RED.: — *Rozumiem, że ta książka była wynikiem analizy negatywnych zjawisk dwudziestolecia międzywojennego.*

A.B.: — Tak, i mojego rozeznania w tym przedmiocie.

RED.: — *Jak Pan sądził, kiedy Pańska koncepcja miała szanse wejść w życie?*

A.B.: — Była to pierwsza zima wojenna. Myślałem, że sojusz z Anglią i Francją doprowadzi do pobicia Niemców i wyzwolenia Polski; do powstania państwa polskiego, jak przypuszczałem, w roku 1940, najdalej w 1941, no i że wtedy będzie miejsce na realizację tych wszystkich koncepcji.

RED.: — *Czyli zimą 1940 roku wiara w zwycięstwo była niezachwiana?*

A.B.: — Oczywiście. Gdy wybuchła wojna, byłem pewien, że mamy sojuszników, którzy będą walczyli z Niemcami. Gdyby nie ta wiara — nie wiem, co by się z nami stało.

RED.: — *A w pół roku później?*

A.B.: — Ha, pół roku później nastąpiła klęska absolutna, w czerwcu 1940 roku. To było, powiedziałbym, dno. Choć nie, prawdziwe dno było po Jałcie. Bo wtedy, w czterdziestym roku, dowiedzieliśmy się, że nasz rząd przeniósł się do Anglii i że Anglia będzie walczyła, nawet gdyby miała się wyprowadzić do Kanady, jak to powiedział Churchill... Natomiast klęska Francji to był szok. Mimo to cały okres wojny wierzyliśmy, że „im słoneczko wyżej, tym Sikorski bliżej". Tak było.

RED.: — *„Zima wasza, wiosna nasza". Takie powiedzenie też było. Wracając do wątku konspiracyjnego: działalność konspiracyjną rozpoczął Pan od napisania książki. A jakie były Pana dalsze okupacyjne losy?*

A.B.: — „ROCH". Ruch Oporu Chłopskiego postawił przede mną zadanie zorganizowania konspiracji chłopskiej na terenie powiatu błońskiego, a to dlatego, że mieszkałem w Milanówku. Wsiadłem na rower, jeździłem po wsiach, spotykałem się z chłopami, organizowaliśmy trójki powiatowe, gminne. Tak się zaczęło. Wkrótce przeniesiono mnie do Centrali Ruchu Ludowego i zlecono utworzenie komisji prawnej. Do udziału w niej zaprosiłem znanych mi adwokatów Józefa Fabiańskiego, Tadeusza Reka, który zresztą był „wiciarzem" (później PRL-owskim wiceministrem sprawiedliwości), Stanisława Piotrowskiego i działacza samorządu Piotra Typiaka. Opracowaliśmy tezy konstytucyjne oscylujące wokół koncepcji, które opisałem w swojej książce. Pamiętam, miałem zabawną rozmowę z członkiem kierownictwa Ruchu Ludowego, Stanisławem Osieckim. Otóż ja w „moim" Senacie widziałem również prezesa Sądu Najwyższego, niektórych profesorów ze wszystkich polskich uniwersytetów. Na tezy owe Osiecki zareagował uwagą: „Co? Kolega będzie nam wprowadzał do Senatu profesorów uniwersyteckich, kiedy my przekonaliśmy się, że są nimi zawsze endecy?". Więc ja mu na to: „Myślę, że przyjdzie czas, gdy profesorami będą ludowcy".

RED.: — *I co dalej się z Panem działo?*

A.B.: — Wkrótce znalazłem się w Delegaturze Rządu. Na początku roku 1943 Józef Grudziński, członek Centralnego Kierownictwa Ruchu Ludowego i znany „wiciarz" — znaliśmy się dobrze — wezwał mnie do siebie i zaproponował, bym objął stanowisko pierwszego zastępcy Delegata Rządu na Kraj. Z początku nie chciałem się zgodzić. Nigdy nie brałem udziału w polityce i zdawało mi się, że po prostu nie umiem politykować. Zresztą to przekonanie mam do dzisiaj.

RED.: — *Czy propozycja ta Pana zaskoczyła?*

A.B.: — Zaskoczyła mnie, bo przecież nie należałem do Stronnictwa Ludowego. Byłem tylko „wiciarzem". Więc odpowiedziałem: „Weźcie ludowca". Proponowałem, żeby wzięli Załęskiego, on na pewno bardziej nadawał się na to stanowisko niż ja, ale na niego nie chciał zgodzić się Niećko...

RED.: — *Dlaczego?*

A.B.: — Może dlatego, że Załęski był szlachcicem. Było, według mnie, trzech „wiciarzy" największego kalibru — Niećko, Załęski i Solarz. Dwaj z nich, Niećko i Załęski, nie mogli jakoś ze sobą współżyć. Szczególnie dotyczyło to Niećki, bo Załęski ze swej strony uznawał Niećkę za człowieka najodpowiedniejszego do najwyższych godności wśród „wiciarzy". Natomiast Niećko nie mógł nigdy darować Załęskiemu jego szlachectwa. No, i co zrobić?

RED.: — *Konflikt trochę anachroniczny. Proszę Pana, wróćmy do spraw w Delegaturze.*

A.B.: — Wiosną 1943 roku zostałem I zastępcą Delegata. O czym się przekonałem, pełniąc tę funkcję? Po pierwsze, że czwórporozumienie [Stronnictwo Narodowe (SN), Stronnictwo Pracy (SP), Stronnictwo Ludowe (SL), Polska Partia Socjalistyczna (PPS)] były to ośrodki ideowo-politycznie bardzo różne i skonfliktowane. Tymczasem jakakolwiek uchwała mogła zapaść tylko jednomyślnie. Istniało założenie, że w przypadku braku porozumienia nie ma uchwały. Rozważanie jakiegokolwiek problemu było bardzo trudne. Wynikało to, myślę, stąd, że przed wojną wszystkie te stronnictwa były w opozycji i nie nabyły umiejętności rządzenia.

Drugie moje spostrzeżenie to to, że ludowców po prostu nienawidzono. Nie cieszyliśmy się zaufaniem i ciągle podejrzewano, że w naszym gronie lęgnie się zdrada, że jesteśmy ukrytymi komunistami. Chyba dlatego, że byliśmy przeważnie z „Wici", a „Wici" ciągle uchodziły za komunistyczne, choć komunistyczne nie były.

RED.: — *Ale był taki okres, w czterdziestym i czterdziestym pierwszym roku, kiedy PPS bardzo zbliżyła się do ROCH-u i nawet zaproponowała zjednoczenie.*

A.B.: — Tak, chyba tak. Ja Panu powiem, może to był chwyt polityczny, bo przecież oni przede wszystkim ludowcami gardzili. Uważali siebie za coś nieskończenie wyższego i byli bliżsi endekom niż my, o wiele bliżsi. Z nimi się dogadywali, z nami nie.

RED.: — *Na zdrowy rozum spośród wszystkich stronnictw właśnie z nimi powinniście mieć szanse się dogadać. Co stało na przeszkodzie?*

A.B.: — Stosunek tych jaśnie robotników, a właściwie jaśnie

robotnikomanów do nas (przecież to byli inteligenci). Gardzili nami, ciągle odczuwałem ich lekceważący stosunek.

Gdy skończyło się Powstanie, wszyscy prominenci z Delegatury Rządu, i endecy, i Stronnictwo Pracy, i pepesiaki przywdziali kitle sanitariuszy i wyjechali samochodami RGO [Rady Głównej Opiekuńczej]. A ja normalnie przeszedłem przez niemiecki obóz w Ursusie i nikt mi nie zaproponował pośrednictwa RGO.

RED.: — *Pan te napięcia uzasadnia względami psychologicznymi. A merytorycznie jakie były rozbieżności?*

A.B.: — Powiem szczerze: zważywszy na to, co się działo w wielkiej polityce, nieporozumienia w kwestii reformy rolnej, spraw socjalnych, rad robotniczych były drobiazgami.

RED.: *Czy socjaliści byli przeciwnikami reformy rolnej?*

A.B.: — Na temat reformy rolnej nastąpiła w końcu zgoda, i to wszystkich, całego czwórporozumienia. Załatwił to Załęski — dyrektor Departamentu Rolnictwa. On też był autorem koncepcji tej reformy.

RED.: — *W sprawach ustawodawstwa pracy też nie było punktów wspólnych między Wami a PPS-em?*

A.B.: — W tej kwestii dogadałem się ze Stefanem Mateją, również jak ja sędzią, dyrektorem Departamentu Pracy. Ale mieliśmy z kolei endeków przeciwko sobie.

RED.: — *O co chodziło?*

A.B.: — O rady zakładowe. Endecy się temu sprzeciwiali, bo nie chcieli przedstawicielstw robotników w zakładach pracy.

RED.: — *Z jakimi pepesowcami Pan się zetknął?*

A.B.: — Stykałem się z Zarembą, Pużakiem i z Pajdakiem. Pajdak był, mogę powiedzieć, naszym przeciwnikiem absolutnym. W żadnej prawie sprawie nie zabierał głosu, ale głosował zawsze przeciw. Gdy ja stawiałem jakiś wniosek — może to robiłem głupio i naiwnie, różne pomysły dotyczące działań Delegatury przychodziły mi do głowy — on był zawsze przeciw. Może powinienem był najpierw z którymś z tych panów porozmawiać prywatnie, żeby go sobie zjednać. Sądziłem jednak, że jeśli pomysł, który mi przyszedł do głowy, jest słuszny i prawidłowy, to powin-

no się go rozważyć. Tymczasem okazało się, że to nie tak. Gdy tylko stawiałem jakiś wniosek, najpierw nie było reakcji, potem mówiono najczęściej: „No, to odroczymy do następnego posiedzenia, bo nie mamy dzisiaj czasu". Na następnym posiedzeniu: „Przeniesiemy to na Komisję". A na Komisji wszyscy byli przeciwko mnie.

RED.: — *Mówi Pan o konflikcie, jaki istniał pomiędzy ludowcami a pozostałymi stronnictwami. Czy ten konflikt został jakoś nazwany, tzn. jakie formułowano zarzuty?*

A.B.: — Najpoważniejszy konflikt dotyczył Departamentu Spraw Wewnętrznych — chcieliśmy, aby podlegał zastępcy, ludowcowi, czyli mnie. Drugi dotyczył stworzenia w Delegaturze Rządu Departamentu Spraw Wojskowych. Była to nasza koncepcja. Słuszna koncepcja, bo w istniejącej sytuacji konkurowały dwie władze całkowicie od siebie niezależne, mianowicie Delegatura Rządu, podlegająca bezpośrednio prezydentowi Rzeczypospolitej i AK podlegająca Naczelnemu Wodzowi. Te dwie instytucje były od siebie zupełnie niezależne. I tak np. gdy doszło do dyskusji — przed Powstaniem — czy Powstanie już, czy jeszcze, czy w ogóle, wyglądało to następująco. Rozpoczęcie Powstania zależało od pewnych elementów politycznych i o nich Delegatura Rządu miała pojęcie, miała przecież najlepsze rozeznanie. Ale w sprawach ściśle wojskowych Delegatura się nie orientowała, bo w tym zakresie nie prowadziła żadnej działalności. Gdyby istniał przy Delegaturze Departament Spraw Wojskowych, to pracowaliby tam ludzie znający się na wojskowości, którzy musieliby otrzymywać informacje o bieżącej sytuacji wojskowej.

Gdy 31 lipca wezwano Delegata do Komendy Głównej AK: „Proszę Pana, sytuacja jest taka, jaka jest. Czy Pan uważa, że powinniśmy robić powstanie?", on musiał wydać opinię, gdyż był przez Rząd, przez prezydenta upoważniony do opiniowania wniosku sztabu AK dotyczącego wybuchu Powstania. A on co? On przecież nic nie wiedział. Powiedzieliśmy, że dzieje się to i to, działo się natomiast zupełnie coś innego. Powiedziano wtedy Delegatowi, że czołgi sowieckie są już na Pradze, co przecież można było sprawdzić przez telefon (zadzwonić po prostu na Pragę, do kogoś — telefony były czynne). Więc powiedziano mu, że czołgi są na Pradze, że wszystko wskazuje na wycofywanie się Niemców. Delegat zadał jeszcze kilka pytań szefom różnych służb w sztabie AK i powiedział: „Cóż, jeżeli tak jest, to zaczynajcie".

RED.: — *Bez konsultacji z Wami?*

A.B.: — My nic nie wiedzieliśmy.

Tak więc, ponieważ nie było formalnego porozumienia pomiędzy tymi dwiema konkurującymi władzami, wojowaliśmy o dwa Departamenty: Spraw Wewnętrznych i Spraw Wojskowych. Delegat wszystko załatwił negatywnie, ale i wszyscy moi koledzy, zastępcy Delegata — było nas w sumie trzech — byli tak samo przeciwni, oczywiście z wyjątkiem mnie. Departament Spraw Wojskowych organizowano dopiero po Powstaniu.

RED.: — *Czyli wtedy, gdy było* de facto *po wszystkim? Czyli Pana koncepcja była słuszna i uznana trochę za późno?*

A.B.: — Tak.

RED.: — *Czy dlatego przepadła, że została przedstawiona przez Pana, ludowca?*

A.B.: — Tak.

RED.: — *Jakie były wobec tego podstawy tego konfliktu? Jakie zarzuty? Czego oni od Was chcieli?*

A.B.: — Nie powiedzieli mi tego. A co do ludowców, w centralnym kierownictwie ruchu ludowego wiedziano o konflikcie, ale traktowano go jako zwykłe komeraże, wynikające z ogólnego wzajemnego braku zaufania. Wszyscy się ciągle o coś podejrzewali. Ludowcy znowu podejrzewali wszystkich o chęć dopuszczenia do rządów sanacji. Na tym punkcie ludowcy byli najbardziej wrażliwi.

RED.: — *A co może Pan powiedzieć o niektórych postaciach z Delegatury, na przykład o Pużaku?*

A.B.: — Mój Boże, on nie żyje. Nie chcę nic mówić o umarłych.

RED.: — *Rozumiem, ale pytam gwoli prawdy. Pużak pozostawił po sobie relację opublikowaną w* Zeszytach Historycznych, *w której pisze o ludowcach dokładnie tak, jak Pan mówi: „Myśmy po prostu ludowcom nie ufali".*

A.B.: — Powiedział to? No, widzi Pan, zapisuję to na jego dobro. Dlaczego, do diabła, nie powiedział tego Niećce albo... Przecież jeśli sobie nawzajem nie ufali, to powinni ze sobą porozmawiać i wyjaśnić, o co chodzi.

Tak, były konflikty i przypuszczam, że najczęściej dlatego, iż

rzeczywiście panowała głęboka nieufność do ludowców. Byłem raz na ważnym posiedzeniu Rady Jedności Narodowej, w trakcie którego rozstrzygano pewną koncepcję, dotyczącą spraw narodowościowych w Polsce. Nie wiem, czy znacie tę sprawę?

RED.: — *Słuchamy.*

A.B.: — Delegat zlecił mi, jako swemu zastępcy, bym wziął pod swoją opiekę komisję narodowościową, istniejącą przy Delegaturze Rządu. Komisja ta przedtem nie wypracowała niczego konkretnego — głównie chodziło o nasze mniejszości wschodnie. Był to problem olbrzymi, a poza tym Ukraińcy wyrzynali Polaków na wschodzie. Problem mniejszości stał nie tylko przed Polską, ale i przed całym wojującym światem. Anglosasom sprawa się tym bardziej nie podobała, że głośne było zwalczanie Polaków przez tych naszych „niby" obywateli. Delegatura Rządu zamiast uciszać całą sprawę, nadawała jej niepotrzebny rozgłos. I w takiej sytuacji Delegat Rządu powierzył mi to zagadnienie. Grudziński, gdy się o tym ode mnie dowiedział, tak to skomentował: „Słuchaj bracie, niedobrze, żeś się tego podjął; na sprawie mniejszości w Polsce każdy polityk się przewracał". *[śmiech].*

I na tej radzie — byli tam przedstawiciele wszystkich stronnictw czwórporozumienia — wystąpiłem z wnioskiem, którego główną myśl tak oto można streścić: problem narodowości wschodnich (mniejszości wschodnich) nie może być rozwiązany w ramach państwa polskiego — jest to zagadnienie o charakterze międzynarodowym; Polacy muszą wyjść z koncepcją rozstrzygnięcia tego zagadnienia z innymi narodami Wschodniej Europy jako równoprawnymi partnerami. Wszyscy się na to zgodzili z wyjątkiem endeków, ale i przedstawiciela endeków w końcu przekonałem. Był nim światły adwokat Stanisław Zieliński, i jakoś ja — sędzia — adwokata przekonałem.

RED.: — *Po linii służbowej.*

A.B.: — Tak. *[śmiech]* Podjęliśmy uchwałę: Polska musi postawić przed sobą zadanie zjednoczenia narodów wschodnich po to, by stały się naszymi sojusznikami. Naszą uchwałę referowałem potem w Delegaturze Rządu. Wszyscy się ze mną zgodzili z wyjątkiem Jasiukowicza, endeka, który nie uwierzył, iż przekonałem adwokata Zielińskiego. Potem problem dyskutowano na posiedzeniu całej RJN. Zygmunt Załęski zaproponował tam, aby w istniejącym polsko-rosyjskim konflikcie o ziemie wschodnie zastosować pewien chwyt. Mianowicie, aby przeprowadzić refe-

rendum, w którym mieszkańcy ziem spornych wskazaliby kraj, którego chcą być obywatelami i aby ewentualnie, zgodnie z wynikami referendum, podzielić ten teren. Otóż, moi drodzy, z moją koncepcją (partnerskiego traktowania mniejszości wschodnich) wszyscy się zgodzili z wyjątkiem endeków, ale o dziwo, pomysłu Załęskiego o referendum nikt z Rady zrozumieć nie mógł. A przecież był to chwyt prosty i politycznie bardzo mądry, bo Anglosasi lubią przecież stosować plebiscyty. Bez plebiscytu nie mieliśmy w stosunku do Anglosasów żadnych argumentów uzasadniających nasze aspiracje do tych ziem. Gdybyśmy dali Churchillowi do ręki taki argument, Anglicy na pewno zgodziliby się, a przynajmniej odroczyliby całą sprawę. Byłoby im trudno nie zbadać opinii mieszkańców tych ziem.

RED.: — *Czy sądzi Pan, że taki argument mógłby być istotny w rozmowach Anglosasów ze Stalinem?*

A.B.: — Tak, mógłby.

RED.: — *A dlaczego reszta tego nie potrafiła zrozumieć? Czyżby dlatego, że obawiali się negatywnego wyniku plebiscytu?*

A.B.: — W takim razie potwierdziłaby się tylko Jałta. Ale to był argument przemawiający do umysłów Anglosasów.

RED.: — *Kiedy ta dyskusja miała miejsce?*

A.B.: — Działo się to na wiosnę 1944 roku.

RED.: — *Czyli po Teheranie, a przed Jałtą.*

A.B.: — Tak, przed Jałtą.

RED.: — *Jakie argumenty wysuwano przeciwko tej propozycji?*

A.B.: — Twierdzili, że nie widzą takiej potrzeby.

RED.: — *A jaką oni mieli koncepcję?*

A.B.: — Nie mieli żadnej, wyszliśmy bez jakiejkolwiek uchwały na ten temat. Dla mnie było to wprost oburzające. Myślę, że przeważyła nieufność do ludowców, podejrzenie, że kryje się w tym wszystkim jakiś chwyt, na razie dla nich niejasny...

RED.: — *... i na wszelki wypadek należy pomysł odrzucić?*

A.B.: — No tak. Powiem Wam, Panowie, jeszcze jedną rzecz.

Siedziałem potem w więzieniu z Jasiukowiczem i ciągle rozmawialiśmy na te tematy. Jasiukowicz wreszcie wykrztusił: „Miałeś wtedy rację. Ale wy, ludowcy, jesteście winni, bo nie potrafiliście nas przekonać".

RED.: — *Pan mówi głównie o problemie kresowym, a tymczasem w centrum Polski też istniał problem mniejszości, myślę o Żydach.*

A.B.: — Nie zajmowaliśmy się Żydami w owej „małej radzie".

RED.: — *W ogóle!? Dlaczego!?*

A.B.: — Nie wiem dlaczego.

RED.: — *Czy dlatego, że wiadomo było, iż ich los jest już przesądzony?*

A.B.: — Nie, nie dlatego! Mnie się wydaje, że ta komisja była przeznaczona — nie umiem w tej chwili stwierdzić tego na pewno — była jednak przeznaczona tylko dla mniejszości wschodnich.

RED.: — *W jakim stopniu zagłada Żydów była problemem w pracach ROCH-a, Delegatury, poszczególnych stronnictw?*

A.B.: — Istniała przy Delegaturze Rządu komórka „Żegota". Na pomoc Żydom przeznaczono specjalne fundusze. Dane dotyczące Żydów, zbierane przez Biuro Informacji i Propagandy przy AK BIP wysyłano na Zachód, informowano Rząd polski.

RED.: — *A jak Pan ocenia stosunek Polaków do Żydów?*

A.B.: — Polacy nie byli całkiem bez winy. Sam widziałem, że w wielu wypadkach ludzie byli obojętni na ich, przecież bardzo tragiczny, los. Inna rzecz, że pomaganie groziło natychmiastową śmiercią.

RED.: — *Czy może Pan powiedzieć, jak w praktyce wyglądała Pańska działalność w Delegaturze?*

A.B.: — Musiałem mieć kontakty z wszystkimi dyrektorami Departamentów. Oni mi bezpośrednio podlegali w zakresie techniki ustawodawstwa.

RED.: — *A czym z kolei oni się zajmowali?*

A.B.: — Swoimi resortami.

RED.: — *Ale, wie Pan, chciałbym, żeby mi Pan np. wytłumaczył, czym zajmował się dyrektor Departamentu Rolnictwa Delegatury?*

A.B.: — Departamenty Delegatury generalnie zajmowały się opracowywaniem przepisów prawnych na moment odrodzenia Polski. A więc wszystkich przepisów, które należało wydać i ogłosić natychmiast po wyzwoleniu jakiegokolwiek obszaru spod władzy Niemców.

RED.: — *To znaczy, że było to przygotowywane na ewentualność zwycięstwa.*

A.B.: — Tak, spodziewaliśmy się np., że Warszawa zostanie wyzwolona i natychmiast będzie musiał działać Rząd z wszystkimi jego agendami.

RED.: — *I do tego się przygotowywaliście?*

A.B.: — Do tego przygotowywaliśmy wszystkie Departamenty w Delegaturze.

RED.: — *Jaki był Pański stosunek do wyższych dowódców AK? Z kim się Pan zetknął osobiście? Jak by Pan scharakteryzował działanie Komendy Głównej czy całej AK?*

A.B.: — Wiem na ten temat niewiele. AK nie podlegała Delegaturze Rządu. Jedynie ci, których znałem mogli mi coś powiedzieć, jeżeli mogli. Znałem gen. Okulickiego. Poznałem go (i nawet się z nim zaprzyjaźniłem) dopiero w czasie Powstania. Było to chyba w pierwszych dwóch dniach. Przyszedł razem z Rzepeckim do miejsca urzędowania Krajowej Rady Ministrów i złożył nam sprawozdanie o stanie działań wojennych w Warszawie. Przyszli chyba ze dwa razy.

Przychodził również na zebranie Bór-Komorowski. Działo się to po jego przejściu do Śródmieścia, w trzecim tygodniu Powstania. Prawie codziennie tam urzędowaliśmy. Na jednym spotkaniu nastąpiło między nami starcie. Skoro Powstanie wybuchło i nie zwyciężyło od razu, to — przynajmniej dla mnie — było jasne, że już nie zwycięży. Warszawa była wtedy kotłem, oblężonym kotłem, w którym pozostawali tylko ci żywi ludzie, którzy rozpoczynali walkę i tylko ten sprzęt, który znalazł się tam na początku. Ubywało i ludzi i sprzętu. Gdy parę razy usiłowałem o tym rozmawiać, spotykało mnie wyniosłe oświadczenie Jankowskiego, że o tych kwestiach nam dyskutować nie wolno. Wtedy

w Warszawie takie rozmowy były źle widziane. W parę dni po zdobyciu przez Rosjan Pragi Bór-Komorowski przyszedł do nas na posiedzenie KRM. Jankowski, a może kto inny, zapytał go, czy nie widać jakichś oznak rosyjskich przygotowań do akcji na Warszawę. Bór-Komorowski odparł, że jego obserwatorzy siedzą na dachach najwyższych kamienic i przez lornetki obserwują, co się na Pradze dzieje. Więc zapytałem — może było to niegrzeczne pytanie — „Panie Generale, czy 31 lipca, gdy podejmował Pan decyzję o rozpoczęciu Powstania, również korzystał Pan z takich informacji?".

RED.: — *Co on na to odpowiedział?*

A.B.: — Nic nie odpowiedział, za to Jankowski i Jasiukowicz byli oburzeni. Wówczas ja pytałem dalej: „Czy Panu wiadomo, że w dniu wybuchu Powstania ludzie w kolejce EKD opowiadali, że właśnie w przeddzień rozpoczęła się kontrofensywa niemiecka z Pragi na Wschód?". Usłyszałem to od przygodnych przechodniów i prawdą jest, że taka kontrofensywa miała miejsce — pisze o tym Ciechanowski. Bór znowu nic nie odpowiedział, natomiast Jankowski po prostu się na mnie rzucił: „Jak śmie Pan zadawać tak zuchwałe pytania!?".

RED.: — *Jak Pan ocenia działalność AK i poszczególnych dowódców, np. Grota-Roweckiego czy Rzepeckiego?*

A.B.: — Z gen. Grotem-Roweckim nie zetknąłem się osobiście, natomiast z płk. Rzepeckim spotykałem się wiele razy, przede wszystkim na posiedzeniach „małej rady". To był w sprawach politycznych człowiek ścisły, śmiały; był — powiedziałbym — postępowy i miał pewien dystans również do AK, acz dystansu tego nie zdradzał. Był szefem BIP-u; był tym, który prowadził politykę AK, bo AK przecież politykowała. Ale z nim się rozmawiało łatwo i przyjemnie. Należał do tych, którzy spieszyli do Powstania. Poza tym strzegł swojej polityki. Na przykład — to była znana sprawa — Delegatura Rządu tworzyła swoją siatkę organizacyjną na terenie całego kraju. Cywilną siatkę organizacyjną robił również BIP. Chociaż Bór-Komorowski wydał na życzenie Jankowskiego rozkaz zaprzestania w AK pracy administracyjno-cywilnej i przekazania teczek Delegaturze, to w rzeczywistości nigdy do końca tego nie przeprowadzono. A już szczególnie jasno wyszło to w sprawie tzw. Korpusu Bezpieczeństwa. Istniały dwa takie korpusy, jeden akowski i drugi delegacki, różnica między nimi polegała na tym, że akowski miał lokale,

broń, zaopatrzenie itd., natomiast delegacki nie posiadał prawie nic. Nigdy się nie doczekaliśmy pełnego uzbrojenia korpusu delegackiego.

RED.: — *Co w ogóle Delegatura miała, w sensie stanu posiadania?*

A.B.: — Miała drukarnie. Drukarnie były pod władzą Departamentu Informacji, którym kierował Dołęga.

RED.: — *A budżet?*

A.B.: — Budżet? Też.

RED.: — *Jakiego rzędu i jakie były jego źródła, czy tylko Londyn?*

A.B.: — Londyn.

RED.: — *A składki społeczne?*

A.B.: — Nie, chyba nie.

RED.: — *A jaki Pan — pierwszy zastępca Delegata — miał budżet?*

A.B.: — Nie miałem budżetu. Budżetem dysponował Jankowski.

RED.: — *A takie rzeczy jak lokale itd.?*

A.B.: — Wszystko to załatwiało Biuro Prezydialne Delegatury. Ja miałem trzy lokale w Warszawie — normalne mieszkania, w których można było w każdej chwili z kimś się spotkać.

RED.: — *Ale stale mieszkał Pan w Milanówku?*

A.B.: — Tak, stale mieszkałem w Milanówku. Do Warszawy przyjeżdżałem codziennie. Przebywałem głównie w sądzie i tam miałem najwięcej spotkań — wspaniałe miejsce, bo do sądu przychodzili ludzie w różnych sprawach i wszystko wyglądało bardzo niewinnie.

RED.: — *Proszę Pana, czy wymiana informacji, wiadomości, zaleceń między Londynem a krajem, w jedną lub drugą stronę, przebiegała prawidłowo?*

A.B.: — No cóż. Gdy przystąpiłem do Delegatury Rządu, Jan-

kowski zobowiązał się z całej otrzymywanej korespondencji robić dla mnie odpisy. Korespondencję więc otrzymywałem. Czy całą, trudno mi powiedzieć. Ale powiem tak: w efekcie informowano mnie o wszystkim *ex post,* tzn. z pewnym marginesem czasu. W sprawach nagłych, szczególnie ważnych, nigdy nie miałem informacji na tyle szybko, bym mógł zająć stanowisko.

RED.: — *Czy Pan uważał tę sytuację za prawidłową?*

A.B.: — Nie. Oczywiście nie. A szczytem wszystkiego była sprawa Powstania. Dzień przed planowanym wybuchem mieliśmy zebranie Rady Ministrów. Przerwaliśmy je, ponieważ Jankowski został wezwany do Komendy Głównej AK. Wtedy właśnie, w Komendzie Głównej, zadecydowano, że Powstanie ma się rozpocząć następnego dnia. Zdawałoby się — tak myślałem — że Jankowski powinien był wrócić do nas, zwłaszcza że na niego czekaliśmy. On jednak nie wrócił i w ogóle nie usiłował się z nami porozumieć. A o tym, że mam objąć urzędowanie w całej Delegaturze, w zastępstwie Jankowskiego, dowiedziałem się dwie godziny przed wybuchem Powstania. Ledwo zdążyłem zabrać swoje rzeczy z ul. Miodowej — materiały ustawodawcze, maszynę do pisania itd. — i przenieść to wszystko na Kruczą. Uważam, że zostaliśmy potraktowani lekceważąco i po prostu niedbale.

RED.: — *Chcielibyśmy zapytać Pana o stosunek do rządów emigracyjnych. Jak Pan ocenia postać generała Sikorskiego?*

A.B. — Sikorski był tą postacią, która budziła nadzieję w sercach Polaków. Był znany w świecie, szczególnie we Francji, i był przekonującym reprezentantem Polski. Dopóki żył Sikorski, ludzie w kraju wierzyli, że sprawa Polski jest najlepiej reprezentowana — szczególnie wśród naszych zachodnich sprzymierzeńców. Gdy Sikorski utonął, czy też został zabity, pewność ta ustała.

RED.: — *Twierdzi Pan, że śmierć Sikorskiego była przełomem?*

A.B.: — Czy była przełomem?! To była po prostu klęska sprawy polskiej. Szczerze powiem, choć nie mam na to żadnych dowodów, że Sikorski na pewno został zabity. Był kłopotliwy i dla Anglii, i dla Rosji. Z chwilą kiedy Niemcy uderzyły na Rosję, Anglicy mieli dwóch sprzymierzeńców w Europie, mianowicie Polskę Walczącą i Rosję. W momencie pojawienia się Rosji jako sprzymierzeńca Anglicy zrozumieli, że jest ona czymś znacznie poważniejszym niż Polska. Dlatego oziębili znacznie swoje stosunki z nami i wszystkie swoje interesy oraz całą swoją pomoc

zogniskowali na Rosji. Polska w tym momencie poniosła ogromną klęskę, która w sumie doprowadziła do takiego skutku wojny, jaki w istocie miał miejsce.

Angielska opinia publiczna nie pogodziłaby się jednak z nonszalancją okazywaną Sikorskiemu. I dlatego Sikorski był dla Churchilla niewygodny. Stalin zaś doskonale rozumiał, że Sikorski jest politykiem najlepiej reprezentującym interesy polskie. Dlatego sądzę, że Sikorski został zabity. Nie ma na to dowodów, ale istnieją pewne poszlaki.

RED.: — *Co Pan może powiedzieć o Mikołajczyku i jego rządzie?*

A.B.: — Przede wszystkim doszedł do władzy w wyniku inteligentnych posunięć Churchilla; Polacy nie chcieli Mikołajczyka, a przynajmniej nie było jednolitej opinii życzliwej Mikołajczykowi. Najpierw prezydent Rzeczypospolitej mianował kogoś innego, a Churchill się nie zgodził i wtedy dopiero na jego żądanie mianowano Mikołajczyka. Mikołajczyk nie miał miru wśród „londyńskich Polaków".

RED.: — *A jak w kraju odebraliście tę nominację? W końcu to Pański kolega.*

A.B.: — My, ludowcy, popieraliśmy go, ale poza tym, tu w kraju, nikt więcej.

RED.: — *Tradycyjna niechęć do ludowców?*

A.B.: — Chyba tak. Jednak przede wszystkim Mikołajczyka lekceważono. Szczególnie socjaliści. Gdy zrezygnował z premierostwa, na skutek konfliktu na tle stosunków z Rosją, socjaliści się ucieszyli — premierem został przecież socjalista Arciszewski.

RED.: — *To był rząd bez ludowców. Jak Pan go odbierał?*

A.B.: — Podałem się do dymisji, zresztą wszyscy ludowcy chcieli ustąpić. Byliśmy oburzeni, naprawdę oburzeni. Wszystkie inne stronnictwa były również oburzone... ale tylko oficjalnie. W rzeczywistości zacierały ręce: ludowcy dostali przytyczka. Tak było! Wcale się nie palili do reaktywowania rządu pełnej jedności. Natomiast mojej dymisji nie przyjęto. Cała RJN wypowiedziała opinię, że co innego Londyn, a co innego kraj. Tutaj, w kraju, jest inna sytuacja, w kraju współpraca jest na dobrej drodze. Zdecydowano, że ludowcy będą nadal tkwili w RJN, a ja w KRM. Zostałem i to m.in. zaprowadziło mnie potem do Moskwy.

Mnie się jednak wydaje, że był to już czas (to wszystko działo się na jesieni 1944), taki moment historyczny, kiedy te wszystkie komeraże w obozie polskim nie miały już znaczenia, choć jeszcze nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. W szczególności nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że w styczniu będzie nowa ofensywa sowiecka i że będzie to tak stanowcze i szybkie posunięcie Sowietów. Mam wrażenie, iż nasze komeraże były burzą w szklance wody.

RED.: — *Od którego momentu Pan oceniał, że sytuacja jest przesądzona?*

A.B.: — Od lutego.

RED.: — *Roku 1944 czy 1945?*

A.B.: — Roku 1945. Przecież w 1944 było Powstanie itd... Przecież ofensywa sowiecka zatrzymała się na linii Wisły i wojska tkwiły tam aż do stycznia 1945 roku, kiedy to nastąpił następny rzut ofensywy — 16 stycznia 1945 roku. Tak, do stycznia nie wyglądało na to, że tak bardzo rychło nastąpi zmiana stanu okupacji Polski.

RED.: — *Chciałem jeszcze wrócić do kwestii Rządu emigracyjnego. Czy Pan dostrzega jakiś wyraźny błąd w jego polityce?*

A.B.: — Myślę, że tak. Rząd polski nie mógł zrobić niczego takiego, co mogłoby odwrócić agresję sowiecką. Niczego! Dlatego, że cel, który Rosjanie chcieli osiągnąć i osiągnęli, osiągnęliby niezależnie od jakiejkolwiek linii polityki Polski. Zwycięstwo Rosji nad Niemcami stało się klęską dla całej Europy i dla całego świata. Klęską, którą przeżywamy wszyscy do dnia dzisiejszego. Nie widzę teraz na świecie nikogo, kto mógłby się z tym uporać. Może Amerykanie, ale Amerykanie to kraj wielu możliwości. Przyjdą demokraci, diabli wiedzą co będą myśleli i co zrobią. W Anglii obserwujemy teraz prądy zmierzające do rozbrojenia. Czy to się wszystko nagrywa?

RED.: — *Tak.*

A.B.: — To dobrze.

RED.: — *Chciałbym zapytać Pana, jak wyglądała Wasza ocena polityki Rządu londyńskiego w odniesieniu do Rosji? Jak na przykład zapatrywał się kraj na pakt Majski - Sikorski?*

A.B.: — Postanowienia tego paktu sformułowano w taki sposób, że nie każdy od razu dostrzegł, że jest on niedobry dla Polski. Nie każdy! Gdy go po raz pierwszy czytałem, nie zauważyłem, że w nim czegoś brak. Niby wszystko było: pakt Ribbentrop - Mołotow zostaje unieważniony, powstaje niepodległa Polska, nawiązuje stosunki dyplomatyczne z Rosją. Ale nie ma tam postanowienia, że przywrócona jest granica ryska. Rząd polski żądał tego, ale ambasador Majski się nie zgodził i twardo stał na swoim stanowisku. Anglia zaś nie chciała zmuszać Rosji.

RED.: — *Tak. Ale jak to było odczytywane wtedy, gdy pakt ten został zawarty?*

A.B.: — Proszę Pana, ocenialiśmy tę umowę taką, jaką była: coś lepszego niż nic. A poza tym zdawało nam się, że Rosja, bita dotąd... Pakt był z lipca, to gdzież już byli Niemcy w swoim pochodzie! Mówię o tym, co myślałem wtedy, a myślałem, że Rosja zostanie pobita i cała ta sprawa przestanie być aktualna. Ale już w grudniu tegoż roku okazało się, że Niemcy zostali zahamowani pod Moskwą.

RED.: — *A jak zapatrywał się Pan na zerwanie stosunków dyplomatycznych z Rosją? Czy był to krok konieczny?*

A.B.: — Był to niewątpliwy cios dla Polski, niewątpliwy cios. Ale dlaczego? Przecież przyczyną była sprawa katyńska. Rozumieliśmy sens tego posunięcia Londynu, ale wiedzieliśmy też, że Rosja przechodzi na wrogie nam pozycje, nie licząc się już z naszymi sprzymierzeńcami — Anglią i Stanami Zjednoczonymi. Sprzymierzeńcy coraz wyraźniej brali stronę Rosji, szczególnie Anglia, która na skutek zaangażowania się Niemców w Rosji natychmiast odczuła dobrodziejstwa tego zaangażowania: ustały bombardowania Wysp Brytyjskich. I cała opinia publiczna w Anglii patrzyła na Rosję już pod tym kątem.

A poza tym Rosja wzięła na siebie — cóż tu dużo mówić — główny ciężar walki z Niemcami, łamania wojennej machiny niemieckiej i płaciła za to ogromną daninę krwi. Uniknęli tego Anglosasi. Wiadomo, Anglosasi lubią się bić ale cudzymi wojskami. Potem już Anglicy i Amerykanie popierali Rosję w takim stopniu, w jakim tego chciała. Churchill obawiał się też, że Stalin — chytry i niegłupi facet — może zastopować wojnę z Niemcami i dogadać się z nimi, a wtedy Anglia stanęłaby przed groźbą wojny, którą musiałaby prowadzić sama. Churchill bał się tego nawet w dobie Jałty. Stany Zjednoczone natomiast miały na głowie wojnę z Japonią i Rosja była im także potrzebna.

RED.: — *Wspomniał Pan, że wojna niemiecko-rosyjska napawała Was nadzieją pokonania Sowietów. Na co liczyliście? Czy wówczas sytuacja Polski nie byłaby jednak katastrofalna?*

A.B.: — W sumie wszyscy chcieliśmy, aby Niemcy podbiły Rosję i byliśmy pewni, że tak się stanie, i to szybko. To byłby początek ich końca. Zwróćcie uwagę, Panowie, co to jest Rosja. Rosja to olbrzymi kraj. Ilu ludzi trzeba tam umieścić po jego pokonaniu? Sama administracja! A poza tym Niemcy zagroziłyby Bliskiemu Wschodowi. Mieliby przez Rosję otwartą drogę na Bliski i Środkowy Wschód. Francja i Anglia nie chciały walczyć w 1939 roku w obronie Polski, ponieważ nie był to ich interes, ale gdyby Niemcy zagroziły nafcie, która i teraz gra tak wielką rolę, wówczas wszystkie kraje zachodnie poczułyby się zagrożone i musiałyby rozprawić się z Niemcami. A to byłaby woda na nasz młyn!

RED.: — *Jak odebraliście wycofanie armii Andersa z ZSSR?*

A.B.: — Jako konieczne, absolutnie konieczne, jako że nieprawdą jest, by Rosja układ o organizacji wojska polskiego chciała wykonać z dobrą wolą. Nie dali mieszkań i żołnierze polscy musieli spać na mrozie w letnich namiotach. Nie dali żywności, nie dali broni.

RED.: — *Gdyby armia Andersa, nawet źle zaopatrzona, gorzej uzbrojona, dotarła do Polski od Wschodu, czy nasza sytuacja nie byłaby inna? Jak Pan to widział wtedy i jak Pan to widzi dziś?*

A.B.: — Myślę, że w Rosji nigdy — nawet przy najlepszych stosunkach — nie powstałaby Armia Polska, która mogłaby w jakikolwiek sposób szachować Rosję. Nie miałaby żadnych szans na niezależność.

RED.: — *Jedynym wariantem był berlingowski rodzaj armii?*

A.B.: — Tak! Nie daliby broni, bo tworzyliby sobie pod bokiem wroga. Zrobiliby potem to, co z AK w Wilnie, Grodnie czy Lublinie. Dziwię się, że istnieje na ten temat jakakolwiek dyskusja.

RED.: — *Jaką wagę przywiązywaliście do faktu utworzenia Związku Patriotów Polskich?*

A.B.: — Stworzył Rosji pretekst, wygodny pretekst do ingerencji w sprawy Polski.

RED.: — *Czy wtedy tak to widzieliście?*

A.B.: — A tak. Tośmy wiedzieli bardzo dobrze.

RED.: — *Czy uważaliście, że jest to początek końca, że formuje się grupa przygotowująca się do objęcia władzy?*

A.B.: — Tak, tak, zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Mówię „zdawaliśmy", bo przypuszczam, że wszyscy tak myśleli. Ale muszę zrobić tu uwagę. Symbolem wszystkiego była Wasilewska. Wychowanka Wycecha. On był nauczycielem i w jakiś sposób się z nią przyjaźnił. Na niektórych spotkaniach podrwiwaliśmy sobie z niego w gorzki sposób: on ze swoją demokracją (był demokratą lewicującym) wyhodował takiego ptaszka, jakim jest Wandzia. Jednak muszę tu powiedzieć, że Wycech nie był komunistą. Został raczej w to wplątany przy okazji afery z „sowieckim" numerem *Płomyka.* [W 1935 roku ukazał się numer młodzieżowego pisma *Płomyk,* poświęcony w całości Związkowi Sowieckiemu. Widoczne było przychylne nastawienie redakcji do rzeczywistości sowieckiej. Wydanie tego numeru rozpętało burzę w ówczesnej prasie polskiej].

RED.: — *Czy orientowaliście się w składzie ZPP?*

A.B.: — Nic nie umiem powiedzieć na ten temat. Symbolem wszystkiego dla nas, szczególnie dla mnie, była Wasilewska. Poza tym Niećko znał Bieruta.

RED.: — *Jak zareagowaliście na wiadomość o utworzeniu armii Berlinga? Czy zdawaliście sobie sprawę, że było to już posunięcie Stalina, odsłaniające jego zamysły?*

A.B.: — Tak. Ja nie miałem żadnych wątpliwości. Nigdy. I gdy utworzyli rząd lubelski, i gdy powstała armia Berlinga — kolejne kroki w kierunku opanowania Polski — przypuszczałem, że to wszystko mieści się w ramach głównego ich zamysłu.

RED.: — *A na ile działalność komunistów z PPR-u była widoczna w Warszawie?*

A.B.: — Dla warszawskiego przechodnia było to absolutnie nie do zauważenia. Proszę Pana, komuniści byli zupełnie znikomą grupą. Zostali rozreklamowani w trakcie Powstania, przez dopiero co powstałą radiostację. Słuchaliśmy jej. Następnie zaczęła wychodzić prasa, różne oświadczenia itd.

RED.: — *A jak byli traktowani w świadomości społecznej: czy jako agenci, czy raczej...?*

A.B.: — Na terenie Warszawy działała AL. Działali na Starym Mieście, mieli tam swoją kwaterę. Ale była to grupka bardzo niewielka, dokładnie nie wiem, ale chyba nie więcej niż dwie setki.

RED.: — *Zdajemy sobie sprawę z ich małej liczebności. Stanowili jednak problem polityczny.*

A.B.: — Oczywiście. Problemem politycznym byli ciągle. Byli zorganizowani, mieli prasę, kontakty. Ale z drugiej strony, jak miała się przedstawiać współpraca AK i jakiegoś małego oddziałku? Oddziałku nikt nie nagabywał, nie molestował, a w czasie Powstania miał on swój odcinek frontu, więc i współpraca istniała.

RED.: — *A czy na przykład zastanawialiście się, choćby w najbardziej kuluarowych rozmowach, nad możliwością wciągnięcia PPR do Delegatury? PPR się tym interesowała.*

A.B.: — Wiem, że komuniści usiłowali nawiązać kontakty z Delegaturą Rządu i z Komendą Główną. Wiem też, że do niczego nie doszło, ale jaki był mechanizm, tego nie wiem.

RED.: — *Jak konkretnie zareagowaliście na powstanie PKWN-u?*

A.B.: — No... pisaliśmy o tym dużo, między innymi Dołęga pisał w organie Delegatury, *Rzeczypospolitej*. Poza tym, no cóż, to był akt przecież nielegalny. Przecież legalna była cała nasza administracja oparta o prezydenta Rzeczypospolitej, legalnego suwerena państwa polskiego. Grupa lubelska nie reprezentowała żadnego prawa.

RED.: — *Ale to był fakt! Taki fakt zwykle doprowadza do jakichś konsekwencji.*

A.B.: — Jednak w tym momencie był to fakt bez znaczenia prawnego.

RED.: — *Rozumiem, ale nie chodzi mi tu o prawne znaczenie, tylko o to, czy zdawaliście sobie sprawę, że Rosjanie i komuniści zrobili kolejny krok naprzód?*

A.B.: — Najpoważniejszy krok naprzód zrobili wtedy, gdy przekroczyli granicę ryską. Wtedy wkroczyli na obszar państwa, którego granica powstała na skutek traktatu ryskiego i była uznana przez Rosję. Mikołajczyk wysłał wówczas depeszę do Mołotowa,

w której zaprotestował przeciwko przekroczeniu granicy bez porozumienia z Rządem polskim. Mołotow odparł: „Macie ziemie piastowskie na Zachodzie, nad Odrą, to je weźcie".

RED.: — *Jeśli dobrze rozumiem, istniała pełna świadomość co do politycznych planów Rosji. Jakie były wobec tego drogi poszukiwań politycznej odpowiedzi na ich posunięcia? Czy przypadkiem — tutaj się zwierzę, że mam takie podejrzenie — nie istniało przekonanie, że jakiś cud się zdarzy.*

A.B.: — Proszę Pana, o cudzie to ja myślałem, ale o cudzie!

RED.: — *Ale jaki to miał być cud?*

A.B.: — Nie wiem. Jak cud, to cud.

RED.: — *Jeżeli Pan i Pańscy koledzy z Delegatury, czy też wojskowi, wiedzieli, że Rosja szykuje się do zagarnięcia Polski, to musieliście sobie zadawać pytanie o sens tego, co robicie. Zdaję sobie sprawę, że wobec tamtej beznadziejnej sytuacji trudno było reagować. Czy była to już tylko kwestia honoru, czy tkwił tam jeszcze jakiś polityczny sens?*

A.B.: — Mogę powiedzieć, co ja myślałem. Myślałem, że nasi sprzymierzeńcy nie oddadzą nas na pożarcie Rosji. Ale straciłem tę wiarę po Jałcie.

RED.: — *A jakie dopuszczaliście granice ustępstw wobec strony sowieckiej, granice kompromisu, warunki dogadania się z nimi?*

A.B.: — Mówicie: „jakie dopuszczaliście?". Kto miał dopuszczać?

RED.: — *Mówimy o politykach.*

A.B.: — To zależy, z kim będziecie rozmawiać. Byli przecież Polacy ustępujący wobec wszystkich żądań Stalina. A ja stałem na stanowisku, że nie pójdę na takie ustępstwa i będę protestował... Jeśli coś oddawać na Wschodzie, to na pewno nie Rosji, lecz Litwie i Ukrainie. Nawiasem dodam, że przy okazji zawierania traktatu ryskiego powinniśmy byli oderwać jak największe obszary z dziedzictwa Jagiellonów właśnie po to, aby stworzyć podstawy egzystencji niezawisłej Litwy i Ukrainy. I można to było zrobić, gdyż Rosja — wtedy, w 1921 roku — skłonna była oddać nam większe terytoria, a my tego nie wykorzystaliśmy. Myślę, że są to skutki przejęcia koncepcji endeckiej. Oni uważali,

że nie należy iść dalej na Wschód w roszczeniach terytorialnych, gdyż byłoby więcej Ukraińców i Litwinów, i przez to stanowiliby większy problem.

RED.: — *A jaki sens polityczny miało istnienie Delegatury?*

A.B.: — Delegatura Rządu przez sam fakt swego istnienia była przedstawicielką kraju, Polski okupowanej, i chyba już samo to miało znaczenie.

RED.: — *Wartość symboliczną?*

A.B.: — Tak i nie tylko. Departamenty w kraju robiły to samo, co robił Rząd w Londynie. Z tym, że tu, w kraju, znaliśmy realia miejscowe, mieliśmy lepszą pozycję do wykonywania pracy ustawodawczej (były przecież potrzebne archiwa; żeby tworzyć nowe prawo, trzeba znać i mieć przed sobą stare ustawy). Taka praca powinna być wykonywana w kraju.

RED.: — *Czyli Delegatura Rządu była potrzebna?*

A.B.: — Tak, bo istniała potrzeba instytucji przygotowującej start nowej Polski. Delegatura to zrobiła. Wykonała ogrom pracy. Jaki ogrom — pozwoliło mi ocenić koordynowanie ustawodawstwa. Wielokrotnie dokumenty tworzone przez cały szereg departamentów nachodziły na siebie problemowo lub tę samą sprawę regulowały w różny sposób. Ja to porządkowałem — na zlecenie wicepremiera — i miałem sposobność zobaczyć, jak ogromną pracę wykonano.

RED.: — *Może to prawda brutalna, ale efekty tej pracy nie zostały wcielone w życie.*

A.B.: — Nie zostały wcielone, bo przegraliśmy Polskę. Powstanie upadło i wszystkie nasze materiały zapewne się spopieliły. A może gdzieś coś ocalało? Nie wiem. To jest sprawa, którą ktoś powinien się zająć.

V

RED.: — *Czy wybuch Powstania Pana zaskoczył?*

A.B.: — Spodziewałem się, że wybuchnie, ale nie wiedziałem, którego dnia. Widzieliśmy przecież odwrót Niemców i sądziliśmy,

że musi on doprowadzić do Powstania. Informację o rozpoczęciu dostałem 1 sierpnia; przedtem w naszym gronie delegackim o żadnym terminie nigdy nie rozmawialiśmy. Delegat dopiero o godz. 13-tej przekazał mi całą swoją władzę cywilną i powiedział, że idzie do kwatery dowódcy AK. Wkrótce znalazłem się w swoim lokalu konspiracyjnym na Kruczej 17. Nie miałem tam z nikim kontaktu — wszystkimi moimi kontaktami dysponowała łączniczka. Pamiętam, że wtedy bardzo szybko i niezawodnie zorganizował mi kontakt z Londynem mecenas Korboński, którego znałem jeszcze sprzed wojny.

RED.: — *W jakim celu kontaktował się Pan z Londynem?*

A.B.: — Oddano mi przecież całą władzę cywilną!

RED.: — *Czy było to w tamtej sytuacji dużo, czy mało?*

A.B.: — Była to po prostu cała Delegatura Rządu. Powstanie miało wybuchnąć, gdy Rosjanie przystąpią do forsowania mostów. Co prawda taka decyzja na posiedzeniach sztabu nie zapadła, ale wniosek taki został zgłoszony i taka była powszechna opinia Warszawy. Również dyrektorzy departamentów tak uważali. Wydawało nam się wtedy — i wydaje mi się teraz — że był to jedyny moment, w którym można było rozpoczynać. Natomiast pogląd sformułowany przez Bora-Komorowskiego w „Armii Podziemnej" uważam za nonsensowny. AK sama nie miała szans zdobyć Warszawy, nie dysponowała przecież wystarczającymi siłami. Mogło się to powieść, gdyby walkę rozpoczęto z jakimś — powiedziałbym — absolutnym zaskoczeniem. Ale przecież Powstanie nie było dla Niemców żadną tajemnicą. Niemcy już rano 1 sierpnia o nim wiedzieli.

RED.: — *O ile wiem, 70 % zatrudnionych Polaków nie przyszło w tym dniu do pracy.*

A.B.: — Tak, nie przyszli do pracy. Ale przede wszystkim nie cała AK, która powinna była wystąpić, wystąpiła, bo po prostu nie wszyscy znaleźli się na swoich stanowiskach wyjściowych. Następnie nie mieli broni — nie dotarto do wszystkich magazynów. Na broni siedzieli Niemcy; najpierw więc trzeba było ich zwyciężyć w tym lub innym miejscu, by broń zabrać. Nie było mowy o żadnym zaskoczeniu.

Akcja zaczęła się w dzień, w biały dzień. Młodzież atakowała wszystkie ważniejsze instytucje niemieckie, a te miały zasieki z drutu kolczastego, żelbetowe schrony, żelbetowe osłony wejść

do budynków. Zdobywanie tego rewolwerami lub granatami było niesłychanie krwawe. Straty pierwszego popołudnia i nocy okazały się tak wielkie, że na drugi dzień sztab AK rozważał kwestię kapitulacji. Na drugi dzień po wybuchu Powstania. Ja to wyczytałem dopiero u Pobóg-Malinowskiego. W czasie Powstania nie wiedzieliśmy, że AK przeżywa jakiś kryzys. A to był kryzys! Wynikał również z tego, że Bór-Komorowski z Delegatem Rządu, z Pużakiem, z szefem Biura Prezydialnego Delegatury no i z całym swoim sztabem siedzieli w miejscu, które natychmiast znalazło się na linii ognia. Cały sztab. Z wielkim trudem zdołali stamtąd uciec i już to ogromnie ich zniechęciło.

Można powiedzieć o Powstaniu, że się nie udało. Miało dwa cele: polityczny i wojskowy. Nie osiągnęło żadnego! Skapitulowało. A więc było operacją chybioną. Można się teraz zastanowić dalej: jeżeli było operacją chybioną, to czy potrzebną? I na ten temat istnieją dwa zdania. Jedno górnolotne, mówiące tak: „Powstanie powinno było być, bo istniała potrzeba pokazania raz jeszcze światu, że Polska walczy o swoją niepodległość". Ja uważałem i uważam, że wykazaliśmy już przedtem wystarczająco wiele woli walki i pragnienia niepodległości. Powstanie było operacją chybioną, mało tego, biorąc pod uwagę jak wybuchło, operacją lekkomyślną i karygodną. Decyzja o wybuchu Powstania została podjęta wtedy, gdy wiadomo było, iż Rosjanie nie chcą wcale atakować Warszawy.

RED.: — *A komu było to wtedy wiadome? Panu?*

A.B.: — Mnie nie było wiadome, ale ja nie wydawałem decyzji. Wydawali ją ci, którzy powinni byli to wiedzieć. Gdyby Pan widział, kto ginął w Warszawie, ilu ludzi ginęło, nie miałby Pan innego zdania, a właśnie takie. Młodzi chłopcy atakujący żelbetowe bunkry butelkami z benzyną byli wystrzeliwani jak ptaki.

Niezmiernie charakterystyczna jest dla mnie narada z 27 września — walczyć czy kapitulować? Wtedy kilku wojskowych przedstawiło sytuację panującą na froncie niemiecko-rosyjskim, bo przecież to decydowało o losie Warszawy. Jeden z wojskowych — spec od obserwacji frontu — w ostatnich dniach Powstania powiedział, że według wszelkich oznak bolszewicy nie zaatakują Warszawy, że są zajęci na innych frontach, tam trzymają swoje główne siły, a pod Warszawą tylko kilka dywizji. Potem zapytano gen. Montera o sytuację w Warszawie. Powiedział tak: „Duch bardzo dobry, żołnierz chce walczyć, ale sprzętu i amunicji ma na trzy dni, a jeżeli chodzi o wyżywienie, w ciągu kilku dni nastąpi regularny głód". Delegat Rządu, wicepremier — jedyny cywil

zaproszony na to zebranie, jakkolwiek cała RJN siedziała na sąsiedniej ulicy — zapytany czy należy kapitulować, odpowiedział „Musimy" i uzasadnił to tym, że trzeba ratować ten kwiat inteligencji, który jeszcze w Warszawie pozostał i że należy kapitulować szybko, by Niemcy nie powzięli podejrzenia, iż gramy na zwłokę. Tymczasem nieprawdą jest, że Powstanie miało obiecaną przez kogokolwiek pomoc. Nie miało! Przeciwnie, jeszcze w październiku 1943 roku Anglicy uprzedzali, że w razie powstania na żadną pomoc drogą powietrzną nie można liczyć! Zresztą Warszawa była w ogóle poza zasięgiem możliwości technicznych ówczesnych samolotów. Bez międzylądowania, gdzieś na lotniskach sowieckich, skuteczna pomoc była niemożliwa. A Rosja jeszcze na samym początku Powstania, 16 sierpnia, odmówiła Churchillowi, gdy ten upomniał się o lądowiska. Oto co powiedział Stalin: „Nie chcę mieć nic wspólnego ani bezpośrednio, ani pośrednio z akowską awanturą w Warszawie". Jest więc legendą twierdzenie Jankowskiego, że Powstanie miało obiecaną pomoc.

RED.: — *Czy Jankowski tak twierdził w rozmowach z Panami?*

A.B.: — Pisze o tym Borkiewicz. Jankowski użył tego argumentu na posiedzeniu, gdzie dyskutowano sprawę kapitulacji. Mówił dwa razy na temat Powstania: przed jego rozpoczęciem i przed jego zakończeniem. Był tym jedynym cywilem, który załatwiał tę sprawę w jedną i w drugą stronę.

RED.: — *Pan powołuje się w tym miejscu na relację Borkiewicza. A czy po wybuchu Powstania rozmawiał Pan z Jankowskim na ten temat i czy on twierdził, że Powstanie ma obiecaną pomoc?*

A.B.: — Rozmawialiśmy potem wiele razy w więzieniu na Łubiance, mieliśmy wiele czasu. Ale nasze rozmowy nie prowadziły do niczego — był wściekły na mnie, że się w tej sprawie odzywałem.

RED.: — *A z Pużakiem, Jasiukowiczem...*

A.B.: — Z Pużakiem... nie. I tak samo z Jasiukowiczem czy Pajdakiem — ci zawsze milczeli...

RED.: — *Nawet w celi?*

A.B.: — Nawet w celi.

RED.: — *Czy w sprawie Powstania miał Pan okazję rozmowy z Okulickim?*

A.B.: — Spotykaliśmy się często, ale o tym nie rozmawialiśmy. Wtedy nie znałem roli, jaką Okulicki odegrał w decyzji o wybuchu Powstania.

RED.: — *A o czym rozmawialiście?*

A.B.: — Zanim weszli Rosjanie, Niećko, Bagiński i ja spotykaliśmy się z nim w sprawie Departamentu Spraw Wojskowych. On zgodził się na powołanie tego Departamentu i w ogóle zachowywał się wobec nas przyjaźnie. Bywał u mnie w Milanówku, ale o Powstaniu nie rozmawialiśmy.

RED.: — *Czy dlatego, że był to temat wstydliwy?*

A.B.: — Wie Pan... On nie wszczynał takiej rozmowy, a gdybym ja miał ją rozpocząć, to powiedziałbym, co myślę. A poza tym nie on wydał rozkaz wybuchu Powstania, tylko Bór-Komorowski. Dopiero później dowiedziałem się, czytając różne relacje, że Okulicki był tym, który najbardziej ze wszystkich na Powstanie nastawał i to jak najwcześniejsze. Wiedział, że zostaną poniesione ogromne straty, uważał, że powinna nastąpić hekatomba, aby poruszyć sumieniem świata.

RED.: — *Czym się Pan konkretnie zajmował w trakcie Powstania?*

A.B.: — Opracowywaniem przepisów prawnych — *Dzienników Ustaw.*

RED.: — *A jaką mieliście możliwość druku?*

A.B.: — Mieliśmy drukarnię...

RED.: — *Mieliście wszystko przygotowane?*

A.B.: — Tak. Osobiście to załatwiałem w małej drukarni na Hożej. Wydawanie *Dzienników Ustaw* w czasie Powstania było moją koncepcją, z którą nie zgadzał się dyrektor Departamentu Sprawiedliwości.

RED.: — *A czym swoje stanowisko uzasadniał?*

A.B.: — Tym, że publikowanie ustaw leżało jakoby tylko w gestii premiera, a ten był w Londynie. Ale dyrektor Departamentu Sprawiedliwości przeoczył, albo nie wiedział, że prezydent Raczkiewicz wydał dekret, w którym przewidziana została możliwość wydawania *Dzienników Ustaw Rzeczpospolitej Polskiej* w kraju.

Znalazłem więc drukarnię, zebrałem wszystkie teksty, opracowane wcześniej, i je wydrukowałem.

RED.: — *Czego dotyczyła treść* Dzienników Ustaw? *Czy się rozeszły?*

A.B.: — Rozeszły się w Warszawie. Przecież na ich podstawie działały władze powstańcze. One właśnie ustalały prawa dla władz wyzwolonej Warszawy i każdego wyzwolonego obszaru Polski. Było tam 18 różnych przepisów, m.in. dekret o organizacji władz cywilnych, o powołaniu Krajowej Rady Ministrów, o sądownictwie, adwokaturze, samorządach, o kasacji granatowej policji.

RED.: — *To wszystko?*

A.B.: — Nie. Był tam jeszcze przepis dotyczący reformy rolnej, mówiący, że majątki ziemskie zabrane przez Niemców nie wrócą w ręce poprzednich właścicieli. To się bardzo nie podobało endekom. Ponadto były regulacje z zakresu prawa pracy, przepis normujący zasady wysiedlania Niemców.

RED.: — *Czy program zawarty w* Dziennikach Ustaw, *w których przygotowaniu odegrał Pan znaczącą rolę, był radykalniejszy niż program „Wici" sprzed wojny?*

A.B.: — Był radykalniejszy. Był w nim wyraźny ukłon pod adresem chłopów i robotników.

RED.: — *Jak wówczas układała się współpraca stronnictw?*

A.B.: — Skoro się zgodzili? Nie brałem udziału w pertraktacjach między stronnictwami.

Jeśli chodzi o pozyskanie chłopów, uchwalono opracowaną przez Zygmunta Załęskiego przebudowę ustroju rolnego. Wszystkie stronnictwa się na nią zgodziły. Przewidywano parcelację wszystkich gospodarstw powyżej 100 hektarów oprócz 6 % szczególnie wyróżniających się wysoką kulturą rolną.

RED.: — *Jak wyobrażał Pan sobie swoją sytuację po Powstaniu?*

A.B.: — To znaczy sytuację władzy cywilnej Delegatury?

RED.: — *Powiedzmy...*

A.B.: — Niczego sobie nie wyobrażaliśmy. Niemniej istniało

przekonanie, że rzecz jest zbyt wielkiej, światowej wagi, aby mogły nastąpić jakieś gwałty ze strony sowieckiej — jawne gwałty. Przewidywaliśmy gwałty ukryte, ale z czasem, nie natychmiast.

RED.: — *A czy liczył się Pan z możliwością aresztowania przez Rosjan?*

A.B.: — Tak.

RED.: — *A czy, gdyby Powstanie zwyciężyło... czy zastanawiał się Pan nad ewentualnością wystąpienia oficjalnego jako...?*

A.B.: — Ja bym nie występował, występowałby Delegat Rządu.

RED.: — *Ale Pan był jego zastępcą.*

A.B.: — Tak, oczywiście. Wszyscy gremialnie stanęlibyśmy w jakimś ustalonym miejscu, gdzie byśmy ich witali.

RED.: — *Jakie byłoby to miejsce?*

A.B.: — No, bo ja wiem? Może gdzieś w jakimś ratuszu, może... Pan Bóg raczy wiedzieć. Nie wiem nawet, gdzie urzędowały władze miejskie.

VI

RED.: — *A dalsze losy po upadku Powstania...?*

A.B.: — Z Delegatury Rządu ja pierwszy wydostałem się z Warszawy. Zaraz nawiązałem kontakt z Londynem. Moja szyfrantka mieszkała w Podkowie Leśnej i tam ją znalazłem. Przygotowywała depesze — miała szyfr do Mikołajczyka — a radiostacja wojskowa w Brwinowie depesze te nam przesyłała. Delegat Rządu i Jasiukowicz byli na mnie bardzo obrażeni, gdy przybyli — w jakiś tydzień później — z Warszawy. Ich wywiozła ciężarówka RGO. Ja wyszedłem z miasta razem z moją łączniczką Bogną, jako zwykły cywil. Przeszedłem przez obóz w Ursusie. Dzięki siostrze Czerwonego Krzyża szybko stamtąd uciekłem, podobnie moja łączniczka.

RED.: — *Kiedy dokładnie opuścił Pan Warszawę?*

A.B.: — Wyszedłem 4 października. Ale Panowie szanowni, czy to są ważne rzeczy? To są drobiazgi.

RED.: — *A dlaczego Jasiukowicz i Jankowski mieli do Pana pretensje?*

A.B.: — Chodziło o kontakt z Londynem. Ja wszystko zorganizowałem, a oni uważali, że należy to do nich. Wysłałem kilka depesz do Mikołajczyka, sprawozdanie z ostatnich dni Powstania, opisałem moje wyjście, opisałem jak traktowano ludność itd. Mikołajczyk wysyłał do mnie swoje depesze. Dałem im wszystkie odpisy, a oni byli na mnie obrażeni.

RED.: — *Czy uczulaliście społeczeństwo, że nadchodzi okupacja sowiecka, że należy do niej inaczej się przygotować niż do niemieckiej?*

A.B.: — Mnie się zdaje, że wszyscy Polacy to wiedzieli.

RED.: — *Pytam dlatego, że odnoszę wrażenie, iż to tak, jak z Powstaniem Warszawskim: niby wszystkie warianty przewidziano, z wyjątkiem tego, który się niestety sprawdził. Jak to się stało, że Rosjanie mieli natychmiast sukcesy? Likwidowali grupy mające niesłychaną zaprawę konspiracyjną. Chodzi o to, czy Delegatura w ogóle się przygotowywała do nowej okupacji?*

A.B.: — Nie, my byliśmy nastawieni przeciw Niemcom.

RED.: — *Czyli przygotowywaliście się raczej do objęcia władzy?*

A.B.: — Tak, oczywiście. Przecież po to byliśmy.

RED.: — *Proszę Pana, od jakiego momentu Pan osobiście liczył się z inwazją rosyjską, z tym że milionowa Armia Czerwona wkroczy na ziemię polską i się z niej nie wycofa, że zainstaluje rząd który będzie posłuszny Moskwie? Od którego momentu?*

A.B.: — Od początku 1944 roku.

RED.: — *Czy Pana pogląd w tej sprawie podzielała reszta kolegów z Delegatury? Czy np. Jankowski twierdził to samo?*

A.B.: — Mnie się zdaje, że wszyscy byliśmy tego samego zdania.

RED.: — *Ale co robiono, żeby się na to jakoś przygotować,*

choćby od początku 1944 roku? Znamy beznadziejność tamtej sytuacji, ale czy się na nią godziliście?

A.B.: — No dobrze, nikt się nie godził na to, co miało nastąpić, bo nikogo o zgodę nie pytano, ale powiedzcie Panowie, co trzeba było robić...

RED.: — *My jesteśmy w takiej sytuacji, że możemy już tylko stawiać pytania... Proszę Pana, widoczny był podział w podziemiu w kwestii ujawnienia, np. część ROCH-a ujawniła się jeszcze przed Pruszkowem.*

A.B.: — Nie, to nie tak było. Uchwałą centralnego kierownictwa w Warszawie ludowcy postanowili ujawnić się w kwietniu. W kwietniu! Wcześniej ujawniła się Łódź i Kraków. Tamtym się spieszyło, jednak wtedy jeszcze nie było znaku ze strony centrali. Przecież w momencie wkroczenia Rosjan znajdowaliśmy się tam, gdzie oni nas zastali, to znaczy w konspiracji.

RED.: — *Ale jaką miał Pan koncepcję konspirowania w tamtej sytuacji?*

A.B.: — Nie miałem żadnej. Z chwilą naszego wyjścia z Warszawy 90 % agend Delegatury rozpadło się. Zostali tylko dyrektorzy departamentów, ośrodek prezydialny tzn. Delegat, Krajowa Rada Ministrów, kierownik Sekretariatu Delegata Rządu i... zaraz, szef Departamentu Spraw Wewnętrznych — Bagiński.

RED.: — *A dlaczego 90 % Delegatury się rozproszyło?*

A.B.: — Dlatego, że już nie mieli co robić, już nie mieli gdzie mieszkać (po wysiedleniu z Warszawy). Pojawił się jeszcze problem wymiany pieniędzy. Przez tydzień — zanim przyszły nowe fundusze — głodowaliśmy.

Był to okres, kiedy gromadziliśmy się głównie na terenie podwarszawskim, którego stolicą był Milanówek. Warszawiacy pochowali się w różnych konspiracyjnych lokalach w Brwinowie, Grodzisku, Błoniu, Podkowie Leśnej, Komorowie, Zalesiu Górnym, na terenie grójeckiego, w Pruszkowie. Delegatura zlikwidowała swoje agendy, z wyjątkiem Biura Prezydialnego i Departamentu Spraw Wewnętrznych. Poza tym działała Krajowa Rada Ministrów i Rada Jedności Narodowej. Tyle tylko, że osoby zatrudnione w tych wszystkich funkcjonujących nadal komórkach były rozproszone. W okolicach 8 grudnia 1944 roku mieliśmy w klasztorze Bernardynów w Piotrkowie zebrania związane z pro-

blemem dymisji Mikołajczyka. Zastanawialiśmy się, co ma robić Delegatura Rządu i RJN wobec rozbicia głównych ośrodków, wobec generalnego obniżenia aktywności wszystkich instytucji. Ale najważniejszą sprawą było obsadzenie stanowiska Komendanta Głównego AK, którym został Okulicki, jakkolwiek nie bez oporu Londynu...

RED.: — *Dlaczego?*

A.B.: — Trudno nam było zrozumieć, dlaczego. Wtedy nie wiedzieliśmy. Niektóre ośrodki nie chciały się nawet — jak już został Komendantem — z nim porozumieć, nie uznawały go i porozumiewały się bezpośrednio z Londynem.

RED.: — *Czyli rzeczywiście chaos. Nie był przygotowany żaden wariant zapasowy na wypadek przegranego Powstania?*

A.B.: — Powstała organizacja „NIE". Jaki był jej kościec wojskowy, nie wiem. Przecież chodziło o konspirację bardzo głęboką, nie masową. Oddelegowano jednego człowieka z naszego stronnictwa do zaplecza politycznego. I to było wszystko. A ludność... no cóż można zrobić z ludnością? Ludność musi zostać!

RED.: — *Jak Pan przyjął wcześniejszą decyzję o rozwiązaniu AK? Czy uważał Pan ją za słuszną?*

A.B.: — Wie Pan, nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi, gdyż w moim przekonaniu AK i jej rola się skończyły. To, że została rozwiązana, to było *signum temporis,* jakkolwiek nie wierzę, aby całkiem się rozwiązała. Nie wyobrażam sobie rozwiązania jakiegokolwiek wojska tak, aby nic po nim nie zostało.

RED.: — *Czy zatem, według Pana, AK miała rozwiązać się formalnie i przekształcić w nową organizację, taką jak organizacja „NIE"?*

A.B.: — Nie znałem żadnego mechanizmu automatycznego. O „NIE" dowiedziałem się dopiero w Piotrkowie, w grudniu 1944 roku. Organizacja ta nie miała jeszcze wtedy statutu. Statut ułożył dopiero — w styczniu 1945 roku — Okulicki. Przysłał mi jego odpis. To była organizacja ściśle wojskowa z zapleczem politycznym w postaci bardzo wąskiego grona. Organizacja „NIE" powinna była szykować się do walki z sowiecką okupacją, ale przede wszystkim miała być wysublimowanym ośrodkiem politycznym, ideowo-politycznym.

RED.: *A nie wojskowym?*

A.B.: — W sumie z dyscypliną wojskową.

RED.: — *Czy Pan uważał, że ten pomysł był trafny?*

A.B.: — Tak, dlatego że chodziło o organizację elitarną. Wejść do niej miała elita społeczeństwa polskiego. I wokół niej miały powstać instytucje przeciwdziałające wpływom komunizmu.

RED.: — *A czy już wówczas wykluczał Pan walkę zbrojną?*

A.B.: — Niczego nie wykluczaliśmy, ale nie było mowy o jakichkolwiek oddziałach. „NIE" miała najpierw przyjrzeć się metodom działania rusyfikacyjnego, komunizującego i na tej podstawie wypracować metody przeciwdziałania ideologicznego i politycznego wszystkim zakusom rosyjskim.

RED.: — *Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślano, przecież były już choćby doświadczenia z lat 1939-1941 na ziemiach wschodnich?*

A.B.: — Pan mnie pyta, dlaczego nie wcześniej? Nie wiem. Dziwię się, ale nie wiem.

RED.: — *Jak zareagowaliście na postanowienia jałtańskie?*

A.B.: — RJN i KRM zaakceptowały uchwały jałtańskie i przygotowywaliśmy się do tworzenia Rządu Tymczasowego. Miał być tworzony w Moskwie przez trzyosobową komisję: dwóch ambasadorów i ministra Mołotowa. Wszyscy uważaliśmy, że postanowienia Jałty są niesprawiedliwe, jednak podjęliśmy uchwałę, że należy je przyjąć, bo taki chyba był mus...

RED.: — *Wszystkie stronnictwa były co do tego zgodne?*

A.B.: — Wszystkie stronnictwa i Komendant AK.

RED.: — *Czy liczyliście wtedy na respektowanie postanowień jałtańskich w punkcie dotyczącym wolnych, nieskrępowanych wyborów?*

A.B.: — Mieliśmy taką nadzieję.

RED.: — *I nie spodziewaliście się żadnego zagrożenia?*

A.B.: — Proszę Pana, co do przyszłości w stosunkach z Rosją

nigdy nie wierzyłem, że zrobi cokolwiek z dobrą wolą. Zresztą wszyscy, którzy pertraktują z Rosją, doszli już do tego samego wniosku: nigdy nie należy się spodziewać, że dotrzyma układów, które podpisuje.

RED.: — *Ale wierzyliście w gwarancje brytyjskie i amerykańskie?*

A.B.: — Wierzyliśmy w gwarancje brytyjskie i amerykańskie, no i w to, że ci dwaj panowie w Moskwie, przedstawiciele tych państw, będą pilnowali całej sprawy.

RED.: — *Czyli z tamtej perspektywy to jeszcze nie było takie drastyczne? Nie wyglądało na to, że zostaliśmy sprzedani?*

A.B.: — Zapadło, co zapadło... Oczywiście, z samego faktu powstania takiego układu było jasne, że Zachód umył ręce w stosunku do Polski. Oddał Polskę w sferę interesów rosyjskich, uwzględniając rosyjskie żądania terytorialne, a także prawno-polityczne. Taka była rzeczywistość i było dla nas jasne, że jest to dyktat, przed którym stanęliśmy wszyscy.

RED.: — *Jaka wyłoniła się koncepcja Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej [TRJN] z Waszej strony?*

A.B.: — Co to znaczy koncepcja? To przecież ludzie, których typuje się do rządu. Jak myślały inne stronnictwa, nie wiem. Nie mieliśmy przygotowanego sztabu do TRJN. Pierwszą sprawą było jego utworzenie, na które czekaliśmy od lutego do 28 marca, tj. do momentu aresztowania. W TRJN mieli się znaleźć Polacy z kraju i „londyńscy". Gdy pojawił się problem rozmów z Rosjanami, wtedy my, ludowcy, na dzień przed naszym wyjazdem do Moskwy, czyli 27 marca wieczorem, spotkaliśmy się i ustaliliśmy, czego będziemy żądać. Uważaliśmy, że musi być Witos, że musi być Mikołajczyk i tego mieliśmy się trzymać.

RED.: — *A kogo dopuszczaliście z Lublina?*

A.B.: — Nie było postanowień co do Lublina. Nie znaliśmy tych Panów.

RED.: — *A dlaczego Witos miał być oczywisty, skoro przedtem mówił nam Pan, że miał pewne zastrzeżenia do Witosa?*

A.B.: — Bo mimo tego, co mówiłem, Witos był osobistością najważniejszą wśród Polaków. Witos i Mikołajczyk. Wie Pan,

można różnie mówić o swoim gronie, swoim obozie, ale w Moskwie chcieliśmy wysunąć osobistości niewątpliwe, sztandarowe. Takie, którym trudno się przeciwstawić.

RED.: — *Czy mieliście z Witosem stały kontakt?*

A.B.: — Stały dostęp do niego miał Mierzwa i jeżeli z kimkolwiek Witos się porozumiewał, to za jego pośrednictwem. W czasie okupacji się nie udzielał. Był pod silnym nadzorem gestapo. Po Powstaniu, ale jeszcze przed wkroczeniem Rosjan, usiłowano nakłonić go do wyjazdu do Londynu i wejścia do Rządu, ale nie zgodził się na to. Wszyscy, którzy się z nim stykali twierdzili, że nie ma dobrego rozeznania i nie widzi żadnych perspektyw. Nie otrzymali od niego żadnej pomocy. Zasłaniał się chorobą.

RED.: — *A kogo proponowano z innych stronnictw? Nie zastanawialiście się nad tym?*

A.B.: — Nie.

RED.: — *Nie było żadnych rozmów, nawet zakulisowych? Nie rozważaliście tej sprawy wspólnie?*

A.B.: — Nie rozważaliśmy. Niczego takiego nie pamiętam.

RED.: — *Ale dlaczego? Czy uważaliście, że nie ma takiej potrzeby?*

A.B.: — Nie. Tylko to, o co Pan pyta, było wtedy absolutnym drobiazgiem. Po ogłoszeniu wyników konferencji jałtańskiej zapanowała zupełna cisza. Nie było żadnych oświadczeń, czy konsultacji na temat osób, które miałyby wejść do Rządu.

RED.: — *Proszę Pana, nie wiem, czy Pan słyszał o książce Teresy Torańskiej pt. „Oni". W tej książce są wywiady z czołowymi przedstawicielami drugiej strony, m.in. z Jakubem Bermanem. Berman operuje tam takim argumentem: gdyby nie było w Polsce komunistów, to Polska byłaby siedemnastą republiką. Istnienie komunistów umożliwiło jego zdaniem zachowanie minimum — niewątpliwego dla nas zysku w porównaniu z Ukrainą, Litwą czy Białorusią. Dodam tu, że Berman twierdzi dokładnie to samo, co Pan: żadne stronnictwo w Polsce nie miało wizji polityki wschodniej i dlatego oni — komuniści, którzy taką wizję mieli — są rozgrzeszeni z popełnionych przy okazji zbrodni. Co Pan na to?*

A.B.: — Nie czytałem tej książki, nie wiem co mówił Berman i nie interesuje mnie to. W roku 1944 nic nie wiedziałem o Bermanie, natomiast co do Rosji nie widziałem możliwości zaspokojenia jej innym, lżejszym kosztem niż to, co się stało.

RED.: — *Inaczej potoczyły się jednak losy Austrii, również zajętej przez wojska sowieckie, Finlandii — państwa zależnego od Związku Sowieckiego, ale w dużym stopniu suwerennego w polityce wewnętrznej. Wygrali więcej niż my.*

A.B.: — Na pewno więcej. Tak. Finlandia ma więcej niż my. Ale nie wiem, czy u nas można było zrobić to, co zrobiono w Finlandii. Nie wiem. Myślę, że jak się spojrzy na mapę, sprawa będzie jaśniejsza.

RED.: — *To co można było zrobić? Czy liczyliście — na przykład — że bezpośrednio po wojnie będzie generalna rozprawa ze Związkiem Sowieckim?*

A.B.: — W natychmiastową rozprawę ja osobiście nie wierzyłem. Nie wierzyłem jednak również, by Europa, powstała po drugiej wojnie, mogła istnieć długo.

RED.: — *Istnieje ponad czterdzieści lat.*

A.B.: — To nic nie szkodzi. W historii nie jest to okres długi.

RED.: — *Ale w historii jednego człowieka i jednego pokolenia szalenie długi.*

A.B.: — Tak, jednak w historii narodów jeden człowiek się nie liczy, proszę Pana.

RED.: — *Jan Pan ocenia Stalina?*

A.B.: — Zazdroszczę Rosji... Polska nie miała takiego mądrego polityka, jakim był Stalin. Zazdroszczę! Stalin był mądrym człowiekiem. Był okrutny, ale mądry. Wykorzystywał wszystko, doskonale znał wszystkie interesy i dążenia, szczególnie Churchilla i tego głupiego Roosevelta. Wiedział, że jest od nich o wiele mądrzejszy. Grał i wygrał wszystko, co tylko można było wygrać. Zazdroszczę!

RED.: — *I co Wy wobec jego polityki, czy mieliście jakąś wizję stosunków polsko-sowieckich?*

A.B.: — Ale co mieliśmy zrobić!? Witać ich na białych koniach wjeżdżających do Polski!? Zresztą, czy z Niemcami mieliśmy *modus vivendi?*

RED.: — *Jeśli chodzi o Niemców, to raczej zarzut do polityki międzywojennej, natomiast dla towarzysza Jakuba odpowiedzi nie mamy.*

A.B.: — A Pan zna odpowiedź? Nie dziwię się ich twierdzeniu, że uratowali Polskę. Oni chcą w ten sposób wybielić siebie. Nie dziwię się wcale! Przecież Bierut to był facet, który byłby oddał więcej, niż by Stalin chciał. I cóż mają innego do powiedzenia? To tego samego typu argument jak ten, który ma usprawiedliwić wojnę polsko-jaruzelską. Przecież Jaruzelski powiedział: „Dlatego zrobiłem to ja, gdyż inaczej zrobiliby to Moskale". Tak, to taki sam argument.

VII

RED.: — *Wiedzieliście, że Rosja nie dotrzymuje układów, a jednak na spotkanie z Pimienowem się zgodziliście? Jak do tego doszło?*

A.B.: — Ten problem pojawił się w marcu, gdy Okulicki przyszedł z pismem zapraszającym na rozmowę. Tu mówią [A.B. pokazuje książkę „Proces szesnastu w dokumentach", Kraków 1986], że istnieją dwa listy. Dalibóg, nigdy nie słyszałem, że były dwa listy, że Jankowski także dostał list. Dziwi mnie ta sprawa. Okulicki przyszedł do nas z jednym listem, drugiego nigdy nie widziałem. Jankowski nigdy go nie pokazał i nigdy o nim nie mówił. Nigdy! Rozpoczęła się dyskusja na temat: iść czy nie iść, czego żądać itd.

RED.: — *Jak się te głosy rozkładały?*

A.B.: — Wszyscy chcieli iść, nawet ci, którzy nie musieli. Na przykład Stypułkowski poszedł zupełnie niepotrzebnie.

RED.: — *Co to znaczy „niepotrzebnie"?*

A.B.: — Jaki był mechanizm jego pojawienia się wśród nas, tego nie wiem. Zresztą w większości nie znaliśmy się osobiście.

Z każdego stronnictwa miały iść maksymalnie trzy osoby. Obecność Stypułkowskiego spowodowała naruszenie tej zasady — był czwartym z SN obok Jasiukowicza, Zwierzyńskiego i Kobylańskiego.

RED.: — *Jaka była główna motywacja Waszej decyzji, żeby pójść?*

A.B.: — Nie chcieliśmy dać Rosjanom argumentu, że zrywamy rozmowy, że rezygnujemy z tej możliwości.

RED.: — *Czy było to posunięcie mające przekonać Sowietów o Waszej dobrej woli, czy też bardziej chodziło o Anglosasów? Czy Londyn upoważnił Panów do tych rozmów?*

A.B.: — Nic nie wiem o upoważnieniu Londynu. Pozbawienie Rosji możliwości argumentowania na naszą niekorzyść przychodzi mi do głowy jako rzecz najważniejsza. Myślę, że ważne też dla nas było stanowisko Churchilla, który gorąco zachęcał, szczególnie Mikołajczyka, do wzięcia udziału we wszystkich działaniach na rzecz utworzenia TRJN i do zawarcia kompromisu z Rosją. To, że on do tego namawiał, było dla mnie poważnym argumentem. Inni — przypuszczalnie — z tego samego powodu chcieli przystąpić do pertraktacji, jakkolwiek wszyscy z wielkim sceptycyzmem wypowiadali się co do ich skutku. Wszyscy byliśmy nieufni. Tym bardziej, że w przeddzień, 27 marca, otrzymaliśmy anonim ostrzegający przed aresztowaniem. Anonim ten doręczono Bagińskiemu.

RED.: — *Czy mieliście opracowany wspólny front, przyjęliście jakąś taktykę?*

A.B.: — Taktyka była taka: do TRJN ma wejść jak najmniej Polaków „lubelskich", a jak najwięcej z kraju i z Londynu. I dlatego my, ludowcy, wysuwaliśmy kandydatury przekonywujące przede wszystkim Anglosasów — Witosa i Mikołajczyka.

RED.: — *Proszę Pana, Okulicki wchodzi na posiedzenie i zaczyna się dyskusja...*

A.B.: — Wszyscy — KRM była wtedy w komplecie — natychmiast uznaliśmy, że należy iść na te rokowania i że on również powinien tam pójść. Okulicki wzbraniał się: „Siedziałem już u nich w więzieniu i jestem przekonany, że drugi raz mnie nie wypuszczą". Ja osobiście mocno zaangażowałem się, aby go prze-

konać. Wydawało mi się — wszyscy chyba tak myśleli — że to zbyt duża sprawa, aby Rosjanie poważyli się na jakieś oszustwo. Tak dalece zawierzyliśmy, że nawet gdy otrzymaliśmy anonim: „Nie idźcie, bo was zamkną", doszliśmy do wniosku, że tym bardziej trzeba iść. Przypuszczaliśmy bowiem, że napisał to ktoś z „lubelskich" Polaków — oni byli niechętni tym rozmowom, chcieli rozmawiać z Rosjanami sami.

RED.: — *Skąd akurat taki skład delegacji, która udała się do Pruszkowa?*

A.B.: — Poszli Okulicki, Jankowski jako Delegat i członek SP, Pużak jako przewodniczący RJN i członek PPS, Bagiński i Mierzwa — SL, Czarnowski i Michałowski — „Związek Demokratów", Zwierzyński, Stypułkowski i Kobylański — członkowie SN, Chaciński i Urbański — SP, Stemler-Dąbski jako sekretarz naszej delegacji i Bień jako minister z ramienia SL.

RED.: — *Dlaczego tak dużo osób?*

A.B.: — Bo nam się wydawało, że im więcej Polaków przyjedzie, tym będzie lepiej.

RED.: — *Bezpieczniej? Przecież mogło być po jednym z każdego stronnictwa!*

A.B.: — Tak, mogło tak być.

RED.: — *Tego klucza nikt nie proponował?*

A.B.: — Nie. Pimienow niczego nie proponował ani przeciw niczemu nie oponował. Powiedzieliśmy mu, że przyjedziemy i w porządku.

RED.: — *Ale upierał się przy Delegacie i Okulickim.*

A.B.: — Nie musiał się upierać.

RED.: — *Czyli dla niego było i tak oczywiste, że Okulicki i Jankowski będą — oni byli adresatami listu.*

A.B.: — Tylko do Okulickiego adresował. Jankowski nigdy, ani przed Moskwą, ani w Moskwie nie powiedział, że otrzymał list i nigdy go nie pokazał. Ktoś tu stwarza, potrzebną może komuś, legendę.

RED.: — *I co się dalej dzieje?*

A.B.: — Potem wszystkie stronnictwa chodziły do Pimienowa. Z SL — Bagiński, Mierzwa, Tadzio Wyrzykowski (ludowiec z Ciechanowa) i ja. Była druga niedziela marca, kiedy przyjechaliśmy do Pruszkowa.

RED.: — *Pierwsza konferencja...*

A.B.: — Najpierw poszedł Okulicki i wrócił zadowolony, potem Delegat i wrócił zadowolony. Potem my poszliśmy i też wróciliśmy zadowoleni.

RED.: — *Jak to wyglądało, prosimy o szczegóły.*

A.B.: — Weszliśmy do domu. W dużej izbie stał tylko stół na środku. Siedział za nim Pimienow, a my we czterech naprzeciwko.

RED.: — *Jakie Pimienow zrobił na Panu wrażenie?*

A.B.: — Dobrodusznego Moskala. Rozmawiał przyjemnie, uśmiechał się, żartował.

RED.: — *Herbata?*

A.B.: — Nie... Czaju nie było. To ciekawe, rzeczywiście.

RED.: — *Samogon?*

A.B.: — Nie, nic.

RED.: — *Jak długo trwała rozmowa?*

A.B.: — Jakieś czterdzieści minut.

RED.: — *O czym mówił Pimienow?*

A.B.: — Rozmawialiśmy mało. Mieliśmy przecież list od niego. Przyjechaliśmy przedstawić się mu jako ludowcy.

RED.: — *Czyli spotkanie stronnictw było Waszą inicjatywą, a nie Pimienowa?*

A.B.: — My, ludowcy, mieliśmy zaproszenie. Przyjechał z nim Wyrzykowski. Miał pismo. Nawet go wypytywałem, w jaki sposób dotarło do niego, ale on nic nie chciał powiedzieć. Otrzymał

je w Ciechanowie — tam, gdzie mieszkał. Potem jakby się wstydził trochę, że ludowcy zostali specjalnie zaproszeni. Czy inne stronnictwa zostały zaproszone, nie wiem, ale chodzili wszyscy. No i rozmawialiśmy.

RED.: — *O czym? Czego się spodziewaliście po tych wstępnych rozmowach? Czy mieliście do Pimienowa jakieś pytania?*

A.B.: — On miał pytania do nas. „Kim jesteśmy?" — powiedzieliśmy, że jesteśmy ludowcami. „Jakimi ludowcami? Jaki jest nasz program?". Najpierw Bagiński usiłował coś powiedzieć. Potem również ja mówiłem. W każdym razie była to rozmowa niezobowiązująca. Jedyne, co się stało to to, że przedstawiliśmy się prawdziwymi nazwiskami.

RED.: — *Musieliście to zrobić?*

A.B.: — Nie musieliśmy... No, zrobiliśmy.

RED.: — *Czy kręciło się tam więcej wojskowych?*

A.B.: — Nikogo nie widzieliśmy. Był jedynie płk Pimienow siedzący za stołem.

RED.: — *Czy był uzbrojony?*

A.B.: — Spluwę na pewno miał w kieszeni. Na zewnątrz — nie.

RED.: — *W jakim był wieku?*

A.B.: — Mógł mieć czterdzieści pięć lat. Taki dobroduszny Moskal. (Naczelnik Łubianki był też dość przyjemnym facetem. Jak już wiedział, że mnie zwalniają — ja jeszcze nie wiedziałem — zaprosił mnie do swojego gabinetu. Przywitał się ze mną, posadził, podał czaj. Wszystko było ładnie). Pimienow był bardzo uprzejmy, bardzo rzeczowy i stawiał sprawę tak, że przychodziła nam do głowy nawet taka myśl, że Rosja wolałaby rozmawiać z innymi Polakami, a nie z „lubelskimi". I merytorycznie na pewno by tak było, tylko czy akurat Pimienow tak myślał, to ja raczej wątpię.

RED.: — *Mówił Pan, że Pimienow żartował.*

A.B.: — Najwięcej żartował na temat języka rosyjskiego, którego używał Bagiński. Bagiński sądził, że zna rosyjski, a Rosjanie go nie rozumieli. Wie Pan, jak zabawne mogą być takie sytuacje.

RED.: — *Czy Pimienow powiedział kim jest?*

A.B.: — Nie.

RED.: — *Czy powoływał się na jakieś polecenia, na przykład od Stalina, albo na to, że Stalin wie, iż takie rozmowy mają się odbyć? Stanowiłoby to jakąś rękojmię, zabezpieczenie.*

A.B.: — Jedynym zabezpieczeniem był jego list. Proszę Panów, to jeszcze nie była oficjalna rozmowa, a ot, ... jak teraz nasza.

RED.: — *Towarzyska?*

A.B.: — Tak, towarzyska.

RED.: — *Kolejne etapy, bezpośrednio przed Pruszkowem?*

A.B.: — Powstała kwestia naszego wyjazdu do Londynu. Skoro Rząd polski miał być legalny, musiał zostać zaaprobowany przez prezydenta Rzeczypospolitej. Uznaliśmy więc, że nasza delegacja pojedzie do Londynu. Z tym wiązały się dokumenty do paszportów zagranicznych. Wówczas Pimienow powiedział, że nie ma czasu na zajęcie się tym i Jankowski oddelegował do tej sekretarskiej roboty Stemler-Dąbskiego, zastępcę dyrektora Departamentu Informacji Delegatury Rządu. Właśnie z tego powodu Stemler-Dąbski trafił do naszego grona.

RED.: — *Czy zechciałby Pan opowiedzieć nam szczegółowo wejście do willi w Pruszkowie? Jak to wyglądało?*

A.B.: — Moi drodzy, jeśli ktoś ten burdel nazywa willą, to nie wiem dlaczego. Był to dom z czerwonej cegły, bez ogrodzenia, stojący w zupełnie pustym miejscu. Tylko droga, pola i wygon.

RED.: — *Czy jest tam nadal?*

A.B.: — Jeździłem parę razy kolejką EKD, by go znaleźć, ujrzeć to miejsce. Nic takiego nie widziałem, wszystko jest zabudowane blokami. Wtedy był to dom widoczny z linii EKD.

RED.: — *Czy pamięta Pan adres?*

A.B.: — Nie, nie było tam żadnej ulicy — pustkowie. Poza tym adresu nigdy nie potrzebowałem, za pierwszym razem jechaliśmy łazikiem sowieckim, który podjechał pod sam dom.

RED.: — *A 28 marca?*

A.B.: — Przyjechałem z Warszawy kolejką ok. godz. 11-tej. Najpierw poszedłem do WC i wrzuciłem do kloaki całą dokumentację. Nie chciałem mieć przy sobie żadnych delegackich dokumentów. Szedłem na to spotkanie nieufnie. Kilka stojących przed domem osób wyglądało na zakłopotanych. Do wejścia ostatecznie zachęcił nas Stemler-Dąbski, który wyszedł z budynku i szerokim ruchem wskazał, żeby iść. Weszliśmy. Po chwili wszedł Pimienow i dał nam znak, że jedziemy na konferencję. Przed budynkiem stało kilka samochodów — czarnych, pięknych, lśniących limuzyn. Może ich było... nie wiem... w każdym razie, kilka. Pojechaliśmy nimi prosto do Włoch, a więc niedaleko. Zatrzymaliśmy się przy dwóch willach piętrowych, zupełnie identycznych. Tak się jakoś stało, że część z nas weszła do jednej, a pozostali do drugiej willi. W jednym z pomieszczeń siedział za biurkiem oficer NKWD. Powitał nas siedząc.

RED.: — *A Pimienow wstawał, podawał rękę?*

A.B.: — Tak. Z tym, że ten major, gdy weszliśmy, akurat telefonował. Odłożył słuchawkę i powiedział: „Przed chwilą rozmawiałem z Moskwą i dowiedziałem się, że Okulicki, Jankowski i Pużak (oni wcześniej wyszli na konferencję) wylądowali na wnukowskim aerodromie". Niepokoiliśmy się o nich, ponieważ mieli jeszcze wrócić i powiedzieć, czego dokonali.

W mieszkaniu kręcili się podejrzani cywile, bardzo, ponad miarę uprzejmi. Atmosfera była dziwna: nikt nas niby nie pilnował, ale domu nie wolno było opuścić.

RED.: — *Czy nie byliście zaniepokojeni?*

A.B.: — Nic nie rozumieliśmy. Nie wiedziałem, że piwnice obu domów były pełne uwięzionych żołnierzy Armii Krajowej, pracowników Delegatury i niezależnych stronnictw.

RED.: — *Jak długo tam byliście?*

A.B.: — Do rana dnia następnego. Noc spędziliśmy w ubraniach na zgromadzonych tam w dużej ilości fotelach i otomanach. Rano przyszedł po nas generał z oddziałem wojska. Znowu czekały limuzyny. Zawieźli nas na lotnisko Okęcie, na którym stał tylko jeden samolot. Wewnątrz zobaczyliśmy okutanego łachmanami starucha. Z trudem rozpoznałem w nim wcześniej aresztowanego Aleksandra Zwierzyńskiego z SN. Wypuszczenie go było jednym z naszych warunków pójścia na konferencję.

RED.: — *Dokąd lecieliście?*

A.B.: — Mieliśmy lecieć do Radomia, gdzie w sztabie gen. Iwanowa miała odbyć się konferencja. Ale patrząc przez okno, szybko się przekonałem, że lecimy na Wschód, w kierunku Rosji. Minęliśmy Wisłę.

RED.: — *Koledzy też to widzieli?*

A.B.: — Nie, ale poinformowałem ich i zapytałem siedzącego na podłodze majora NKWD — tam nie było na czym siedzieć, siedziało się na podłodze — skąd ta zmiana. A on odpowiada tak: „Tak Panowie. Lecicie do Moskwy. Do towarzysza Stalina! Czyż nie lepiej, żebyście rozmawiali z samym Stalinem, niż z jakimś tam generałem?".

RED.: — *Co Wy na to?*

A.B.: — No cóż, dobrze. Potem przelecieliśmy Moskwę. Gdy się upominaliśmy o lądowanie, major powiedział, że z powodu mgły Moskwa nie przyjmuje, a nasz samolot wyląduje na innym lotnisku. Lecieliśmy jeszcze parę godzin, co najmniej dwie. Wylądowaliśmy, gdy już robił się mrok.

Ale wylądowaliśmy dziwnie. Samolot najpierw zrobił gwałtowny zakręt i jednocześnie mocno przyhamował, a potem wpadł jak pocisk w głęboki śnieg. O mało się nie wywrócił, nie skapotował. Z kabiny pilota wyskoczył młody mężczyzna, zupełnie młody, ręce mu się trzęsły i krzyczał prawie, że miał jeszcze benzyny na dwadzieścia minut lotu. I zaraz wyskoczył. Już go więcej nie widzieliśmy. Dwaj oficerowie też zniknęli i też na zawsze.

RED.: — *A Wy?*

A.B.: — Siedzieliśmy zupełnie sami. Przyszło mi wtedy do głowy, że może lądowanie samolotu w ogóle nie było zaplanowane.

RED.: — *Mówiliście coś?*

A.B.: — Nie. Milczeliśmy.

RED.: — *Jak długo siedzieliście sami?*

A.B.: — Około godziny. Potem przyszedł po nas oddział wojska z oficerem i pomaszerowaliśmy w głębokim śniegu do dość daleko stojącego budynku. Było już zupełnie ciemno.

RED.: — *Zorientowaliście się, gdzie jesteście?*

A.B.: — Było to nędzne miasto, pełne wody, błota. Jak się nazywało, dowiedziałem się dopiero na stacji, na którą, znowu limuzynami, zajechaliśmy po jakimś czasie. Nazywało się Iwanowo-Wozniesiensk. Tak Panowie. I w a n o w o. Nie dotarliśmy do gen. Iwanowa w polskim Radomiu, ale dotarliśmy do miasta Iwanowo.

RED.: — *Sądzi Pan, że to celowa zbieżność?*

A.B.: — Nie wiem i nigdy tego nie będę wiedział.

RED.: — *Jesteśmy na stacji...*

A.B.: — Zajęliśmy specjalnie dla nas opróżnione przedziały. Po nocy na sypialnych, twardych siedzeniach radziliśmy — w oddzielnych grupach według przynależności politycznej — nad sprawami, które miały być przedmiotem zbliżającej się konferencji.

RED.: — *Jechaliście do Moskwy?*

A.B.: — Tak. W Moskwie czekały na nas znowu czarne limuzyny. Znalazłem się z dwoma jeszcze kolegami w pierwszej z nich. Siedziałem koło kierowcy, a za mną Kobylański z SN. Jechaliśmy bardzo szybko. Nagle przed nami wyrosła w odległości 30 metrów ogromna, zamknięta, żelazna, czarna brama. A kierowca jechał z całą szybkością. Wprost na bramę! Myślałem, że z nami koniec. I kiedy samochód niemal dotykał bramy, rozwarła się momentalnie na dwie strony. Wpadliśmy na wielkie podwórze, okolone murem wielopiętrowych budynków. Kierowca ostro zahamował przed wejściem do jednego z nich. Powiedział: *Prijechali.* Ledwie wyszedłem z samochodu, coś mnie podbiło od tyłu i rzuciło na znajdującą się tuż przede mną ścianę. To samo z Kobylańskim. *Ruki w wierch! Stat' pod stienku!* (Ręce do góry! Stanąć pod ścianą!). Przycisnęli nas brzuchami. Potem wepchnęli najpierw w drzwi wejściowe, a zaraz potem w coś w rodzaju szafy. Kobylańskiego i mnie. Było tam ciemno i ciasno. Nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa, dopiero gdy po dwóch, trzech minutach jakiś olbrzym wyciągnął mnie stamtąd, Kobylański westchnął: „Koniec".

RED.: — *Osobliwe powitanie. Wiedział Pan, że to Łubianka?*

A.B.: — Dziwna rzecz, wiedziałem od razu, choć nikt mi tego nie powiedział. A równie osobliwie powitano mnie w celi. Gdy

się tam znalazłem, przeszedłszy uprzednio przez drobiazgową rewizję, rzuciłem tobół — miałem przecież różne rzeczy — na podłogę i stanąłem na środku celi. Długo tak stałem. W pewnym momencie otwarły się drzwi i stanął w nich absolutny Mongoł z ponurą twarzą. Patrzył na mnie, patrzył i w końcu powiedział: *Da, wy nie tużytie. Nu szto, takaja sud'ba.* (Niech Pan się nie martwi. Taki już los).

RED.: — *Chciałbym wrócić jeszcze do sytuacji przed Pruszkowem. Czy Pimienow mówił o terminie rozmów, nalegał na ten a nie na inny termin?*

A.B.: — Nie!

RED.: — *Czy nie trzeba było faktu przystąpienia do rozmów rozgłosić przez Londyn?*

A.B.: — Londyn został zawiadomiony przez Jankowskiego.

RED.: — *Ale chodzi o rozgłoszenie w świecie. Tymczasem z dokumentów wynika, że Londyn nie posiadał w tej sprawie dokładnych wiadomości.*

A.B.: — Przecież mówię, że Jankowski zawiadomił Londyn.

RED.: — *Czy nie daliście zatem Londynowi za mało czasu na rozpropagowanie faktu przystąpienia do rozmów? Depesza Pimienowa, tzn. list do Okulickiego jest datowany 6 marca, czyli upłynął niespełna miesiąc, gdy stanęliście jako reprezentacja polityczna, a jeszcze przedtem rozmawialiście jako przedstawiciele poszczególnych stronnictw. Czy nie można było nadać temu większego rozgłosu, a do rozmów przystąpić — powiedzmy — po dwóch miesiącach?*

A.B.: — No cóż, nic na to nie poradzę, że było tak jak było. Szczerze powiedziawszy, wszyscy byliśmy zdania, że należy to zrobić jak najprędzej — ludzie wpadali i chcieliśmy, aby ustało to polowanie.

RED.: — *Czy miało to być jednym z przedmiotów Waszych rozmów?*

A.B.: — Widzieliśmy to jako jeden z celów tej całej operacji. Przecież Zwierzyński wpadł!

RED.: — *A kiedy sformułowaliście żądanie jego wypuszczenia?*

A.B.: — W trakcie pierwszych spotkań z Pimienowem.

RED.: — *A sprawa innych aresztowań, np. żołnierzy AK?*

A.B.: — Nie. Nie przypominam sobie żadnej innej interwencji na tym etapie. Zwierzyński w samolocie opowiadał o brutalności i uciążliwości aresztu, ale my byliśmy zadowoleni, że nasza interwencja okazała się skuteczna. A to było przejście z jednego więzienia do drugiego.

RED.: — *Czy nie ma Pan pretensji do Londynu, że nie nadał rozgłosu?*

A.B.: — Pan mnie pyta, czy nie mam pretensji. Takim już jestem człowiekiem, który nie ma pretensji. Nie mam pretensji również o to, że tam się znalazłem. Jestem dumny, że tam byłem. Wiele się nauczyłem, także praktycznych rzeczy — języków obcych, francuskiego i niemieckiego. Ułożyłem tam dwa słowniki, francusko-polski i niemiecko-polski. Czytałem literaturę.

RED.: — *Jaką strategię obrał Pan w śledztwie? Czy rozumiał Pan w ogóle, do czego śledztwo zmierza?*

A.B.: — Żądano od nas kapitulacji. Tymczasem myśmy już skapitulowali. Przecież kapitulacją była uchwała o akceptacji postanowień jałtańskich. Jadąc, chcieliśmy tylko wyłudzić jakieś łagodniejsze warunki, ale pojechaliśmy już z grzechem pierworodnym.

Oczywiście najmądrzej byłoby upierać się, że z więzienia nie będziemy rozmawiać. Ale nikt tak nie postąpił. Ja najpierw ułożyłem oświadczenie, które złożyłem pierwszemu funkcjonariuszowi, podpułkownikowi Sorokinowi: „Jestem ministrem Rządu polskiego, Rządu, który nie ma co prawda uregulowanych stosunków dyplomatycznych z Rosją, ale współpracujemy ze sobą jako wrogowie naszego nieprzyjaciela. Protestuję przeciwko aresztowaniu mnie i proszę o tym zawiadomić ministra Mołotowa". Odpowiedział: *Ja dołożu* (Zamelduję). Potem, biorąc pod uwagę, że przyjechaliśmy przecież się porozumiewać i że nasza konspiracja w zasadzie akceptowała wszystkie żądania Stalina, postanowiłem, że będę z Sorokinem rozmawiał.

RED.: — *Co Pan zamierzał mówić, a co Pan chciał ukryć?*

A.B.: — W Delegaturze Rządu podlegała mi oświata i sprawiedliwość. No cóż, o tym mogłem powiedzieć wszystko. Nie polityczne to były sprawy i nie konfliktowe w stosunku do Rosji. Ale

podlegały mi również sprawy narodowościowe. To już było niebezpieczne. No i organizacja „NIE". To były moje dwie tajemnice. Bałem się, żeby tego kto nie powiedział.

RED.: — *Czy ustaliliście wcześniej jakiś scenariusz na wypadek aresztowania?*

A.B.: — Nie. Właśnie nic nie ustaliliśmy. Nie mieliśmy żadnej legendy.

Okazało się, że taką postawę jak moja przyjęli wszyscy koledzy. Była to ogólna postawa w śledztwie i w trakcie całego procesu.

RED.: — *Jakie wysunięto zarzuty wobec Pana?*

A.B.: — Mnie i wszystkich... Były dwie grupy. Jedna z Okulickim, Jankowskim i mną, którą oskarżono o najgorsze przestępstwa. Nie będę tu wymieniał zarzutów, bo one nic nie mówią. Tekstów tych artykułów nie mieliśmy. Generalnie chodziło o to, że zabijaliśmy żołnierzy sowieckich — no, nie my osobiście, chodziło o zwierzchnictwo. Następnie — zarzucano nam prowadzenie kampanii przeciwko Rosji, zmierzającej do jej oczernienia. Okulickiego oskarżono jeszcze o to, że prowadził robotę wywiadowczą. Druga grupa — liczniejsza — była oskarżana o współdziałanie z nami i współuczestnictwo w zbrodniach, o które nas oskarżano.

RED.: — *Jak Was traktowano?*

A.B.: — Byliśmy traktowani bardzo formalnie, ale przyzwoicie.

RED.: — *Próby bicia?*

A.B.: — Nie było. Nic z tych rzeczy. Przynajmniej w stosunku do mnie.

RED.: — *Jakie stosowano naciski?*

A.B.: — Opowiem jak było, a Pan oceni czy to naciski. Podam fakty.

Po pierwsze cele były zimne. To był koniec marca 1945 roku, a to jest przecież głęboka Rosja. W nocy spaliśmy na żelaznych łóżkach, tzw. kojkach, z prętami trochę cieńszymi niż mój palec. Na tych prętach leżał materac grubości przeciętnej kołdry, więc powstawały od prętów odciski. Był koc, a właściwie taki bawełniany gałgan. Niczym innym nie wolno było się przykryć.

Ja miałem futro, ale w tej sytuacji bezużyteczne. W dzień jeszcze można było się rozgrzać chodząc po celi. Ale w nocy... Spać trzeba było przykrytym tylko do piersi z rękami na wierzchu, całymi. Więzień musiał spać twarzą do drzwi, nad którymi świecił przez całą noc silny biały reflektor.

Teraz żywność: kostka cukru na dwa dni, chleba było najwięcej, ok. 400 g. Na obiad tzw. *szczi,* tzn. zupa gotowana na przemian raz na mięsie, raz na rybie. Ale co to była za ryba i co to było za mięso! Ryba: ogony lub łby śledzi, mięso zaś — kawałek wielkości kostki maggi, długo gotowany, a mimo to nie do pogryzienia. Drugie danie to trochę rozgotowanych ziemniaków; ilość taka, jak w tej szklance. Na śniadanie chleb i tzw. czaj. W rzeczywistości była to kawa zbożowa — berbełucha bez cukru. Na kolację też dostawaliśmy czaj, czasem kaszę, groch, ziemniaki, też w ilości, jak w tej szklance. Więzień zawsze był na pograniczu głodu, jednak żył i jakoś się trzymał.

Przez cały czas trwały przesłuchania. Więzień miał prawo spać od godziny 22-ej do 6-tej i od 14-tej do 17-tej. Wtedy wolno było się położyć, nakryć kocem i spać. A przesłuchania wypadały właśnie w tych porach. Po dwóch takich dniach więzień chodził jak błędny. To była tortura.

RED.: — *A jak sobie radziliście: spaliście siedząc?*

A.B.: — Tak, ale drzemać też nie było wolno. Brałem więc książkę, siadałem na kojce i pochylałem się w taki sposób, aby wyglądało, że czytam. Ale jak sołdat na korytarzu spostrzegł, że drzemię, otwierał drzwi i wchodził do celi: *U nas spat' nielzja!* (U nas spać nie wolno!).

RED.: — *Opieka lekarska?*

A.B.: — Pozór. Lekarz zwykle rozkładał ręce. „Cóż ja Panu pomogę, nie mam żadnych leków".

RED.: — *Czy protestowaliście?*

A.B.: — Tak, meldowaliśmy. Meldowaliśmy na przykład o tym, że jest zimno. Sołdat odpowiadał: „W Moskwie w zimie zawsze jest zimno".

RED.: — *A funkcjonariusz prowadzący śledztwo?*

A.B.: — Oni byli uprzejmi. Sorokin przynajmniej — mówię tu o sobie, nie wiem jak inni — był nawet nadmiernie uprzejmy.

Gdy wchodziłem do celi, gdzie odbywało się przesłuchanie, wstawał zza biurka, podchodził do drzwi, witał się i prowadził na stołek, na którym siedziałem podczas przesłuchań. Tylko sposób rozmowy: siedziałem w takiej odległości od niego jak od tej ściany do tamtej (ok. 4 m). Między nami był długi stół stojący sztorcem do mnie, u szczytu tego stołu stał następny stół tak, że razem tworzyły literę „T". Moskal siedział z przeciwnej strony za tymi dwoma stołami. I tak rozmawialiśmy.

RED.: — *O czym?*

A.B.: — No, o wszystkim. To były rozmowy zadziwiające, wyglądały jak pogawędki. On pytał o różne rzeczy nie dotyczące śledztwa. Pytał, jak w Polsce jest, czy są śledzie, piwo, czy można jeździć, gdzie kto chce — wystarczy kupić bilet. Również nie wierzył, że w Polsce jest piwo.

RED.: — *Jak długo trwało śledztwo?*

A.B.: — Kwiecień i maj.

RED.: — *I przez dwa miesiące tak codziennie?*

A.B.: — Nie. Codziennie przez pierwsze dwa tygodnie. A potem coraz rzadziej.

RED.: — *I w zasadzie rozmowy te nie dotyczyły aktu oskarżenia?*

A.B.: — Trzy czwarte nie dotyczyło, stanowiło tylko jakby ogólne rozpoznanie sytuacji wewnętrznej. On zasięgał informacji. Od czasu do czasu i ja go o coś pytałem, ale on już był mniej wymowny.

RED.: — *Czy nie drażnił Pana taki przebieg śledztwa, fakt że śledczy nie napierał, nie wymuszał, zdawał się nie interesować tym, co było najważniejsze?*

A.B.: — Nie był zainteresowany, bo pisał, co chciał. Potem, gdy już się zbliżał proces, udostępniono mi te akta. Było ich — dotyczących mnie — jakieś 300 kart. Ale wszystko androny.

W kraju praworządnym śledztwo, to protokołowane pytania i odpowiedzi. Protokół powstaje równolegle ze składaniem zeznań. Otóż tam nic z tego. Wprawdzie śledczy coś pisał, ale mogły to być tylko notatki. Zresztą nie wiem, bo przecież siedział w sporej odległości ode mnie. Dopiero po długim czasie

dał mi niektóre, nie wszystkie, protokoły do podpisu, ale nie pozwolił na przeglądnięcie. Nie chciałem podpisać, nie nalegał na to.

RED.: — *I nie podpisał ich Pan?*

A.B.: — Niektóre podpisałem — te, które pozwolił mi przeczytać — a tych, których czytania mi zabronił nie podpisałem.

RED.: — *W jakim języku rozmawialiście?*

A.B.: — Po rosyjsku.

RED.: — *Nie mógł Pan zażądać tłumacza?*

A.B.: — Tak, mogłem. Przez pewien czas zastanawiałem się nawet, czy nie popełniłem błędu, przyznając się do znajomości rosyjskiego. Jednak potem przekonałem się, że postąpiłem słusznie. Na rozprawie widziałem, że koledzy, którzy mieli tłumaczy, źle na tym wyszli. Wersja polska nie była wcale protokołowana, protokołowano jedynie wersję rosyjską, przekręconą i pogmatwaną przez tłumacza. Tłumacze byli skończonymi łotrami. Natomiast ja sam powiedziałem, co chciałem. Jeśli chodzi o ten proces, nie powstał ani jeden dokument tchnący prawdą. Nawet jeżeli sędzia śledczy (właściwie nie żaden sędzia śledczy, to ja go tak nazywam) nie kłamał ewidentnie, to posługiwał się takim rosyjskim, który zupełnie zmieniał sens wypowiedzi polskiej. U niego nigdy nie było określenia „patriota polski" tylko *„nacjonalist"*, nie było polityki polskiej wolnej, tylko *„priedatielskaja"* (zdradziecka), nie było prasy polskiej prawdziwej, tylko *„kliewietniczeskaja"* (oszczercza).

RED.: — *Jak przetłumaczono „Armia Krajowa"?*

A.B.: — Armia...? *„Nielegalnaja"* (nielegalna), albo nasza Delegatura: *„podpolnaja"* (podziemna), *„bezprawnaja"* (bezprawna).

RED.: — *Powiedział Pan, że teraz, z perspektywy wielu lat widzi Pan, że najlepszą metodą była odmowa zeznań...*

A.B.: — Tak.

RED.: — *To dlaczego 21 czerwca, gdy proces się zaczął, nie odwołano zeznań złożonych w śledztwie, nie podkreślono nielegalności procedury sądowej oraz nie zaniechano składania dalszych wyjaśnień?*

A.B.: — Trzeba było tak postąpić, ale nikt z nas tego nie zrobił.

RED.: — *A dlaczego Pan tego nie zrobił?*

A.B.: — Nie byłem tym, który pierwszy zeznawał, zresztą nie przywiązywałem do tego wagi.

RED.: — *Czy zna Pan książkę Jerzego Krzyżanowskiego pt. „Generał", wydaną w Londynie w 1980 roku?*

A.B.: — Nie znam. Ciekaw jestem...

RED.: — *Tutaj są m.in. uwagi o procesie — zapis wrażeń autora z samego doprowadzenia Panów do Pałacu Związków Zawodowych, w którym toczył się proces.*

A.B.: — To znaczy, on tam był?

RED.: — *Jego tam nie było. On to pisze na podstawie licznych relacji. Przytaczamy fragment dlatego, że ciekawi jesteśmy Pańskiego punktu widzenia — świadka i uczestnika. Krzyżanowski pisze tak: „Czternastu pozostałych więźniów oprócz Okulickiego..." — wyróżnia Okulickiego — „... podzielonych kolorowymi mundurami konwojentów, wchodziło za nim na wewnętrzne pałacowe schody. Trudno jednak było dopatrzeć się w ich postaciach tej siły i odwagi, jakie cechowały postać generała. Przypominali raczej gromadkę przestraszonych cywilów. Przesuwając się niepewnie wśród groźnego splendoru, rzucali na boki spojrzenia, mrużyli odwykłe od dziennego światła oczy. Tylko wicepremier Jankowski dostojnie błyskał szkłami okularów, jakby odgrodził się nimi od postaci wartowników. Tylko zadumany Pużak uśmiechał się do swych myśli i wspomnień, tylko Stypułkowski marszczył spokojnie brwi, wysilając się do zdeterminowanej obrony. Pozostali Polacy wyglądali na ludzi złamanych, pozbawionych woli walki i straconych. (...) Przystąpiono do badania ministrów Jasiukowicza, Bienia oraz wicepremiera Jankowskiego. Ponury pojedynek między napastliwymi prokuratorami a umęczonymi politykami ciągnął się przez długie godziny. Niektórzy, jak prof. Jasiukowicz, bronili się dzielnie, z godnością odpierając fantastyczne zgoła zarzuty. Inni, Jankowski, Bień plątali się i chwilami w swej postawie zapominali fakty, mylili wydarzenia i nazwiska. Dopiero w konfrontacji ze współoskarżonymi, gdy stawiano im wprost pytania o poszczególne punkty, swoje poprzednie zeznania cofali i odwoływali... W sumie było to widowisko upokarzające i straszne".*

A.B.: — Proszę Panów, ta wylukrowana relacja nie zawiera słowa prawdy, jest relacją człowieka, który tego nie widział. Choćby to: przeciwstawia postawę Stypułkowskiego postawie Jankowskiego, że Stypułkowski patrzał jakoś tak, Proszę Panów.. zwycięsko, czy coś w tym rodzaju. Wiecie, kim był Stypułkowski? Był przecież członkiem międzywojennego Obozu Narodowo-Radykalnego, czyli autentycznym polskim faszystą. To on oskarżał nas, „wiciarzy", o komunizm. W naszym delegackim gronie był człowiekiem zupełnie przypadkowym. Nic nie wiedział, nie miał nic do powiedzenia.

RED.: — *Ale tak czy inaczej, znalazł się pomiędzy Wami.*

A.B.: — Ale na przykład w jego, Stypułkowskiego książce jest fałsz. Pisze, że został uniewinniony, a nie został. No, dlaczego tak jest?

RED.: — *Wiemy, że relacja Krzyżanowskiego jest jednostronna i z drugiej ręki. Ale czy nie uznaliście się za pokonanych?*

A.B.: — Nie! Wie Pan, co powiedziałem? I to, wyjątkowo, jest zapisane w protokole: „Jako minister Rządu polskiego jestem moralnie i politycznie odpowiedzialny za to, co robiło wojsko, bo takie jest prawo na całym świecie, że za wojsko odpowiada Rząd. AK zabijała Rosjan i to jest bezsporne. Wiedzieliśmy o tym — od kwietnia 1944 roku — że miały miejsce walki AK z armią rosyjską, bo nas o tym Bór-Komorowski informował. Prawdą jest, że AK została oszukana, została rozbrojona. To prawda. Więc jeżeli te fakty miały miejsce, to ja za nie odpowiadam, nie kryminalnie, ale moralnie i politycznie".

RED.: — *Ale czy mówił Pan w swoich zeznaniach o bezprawiach armii rosyjskiej?*

A.B.: — Mówiłem...

RED.: — *O aresztowaniach akowców, o tym, że Majdanek znów się zapełnił?*

A.B.: — Tak! Tak! Mówiłem, mówiłem, ale czy Pan myśli, że to jest gdzieś zapisane!? W tym procesie, w materiałach zapisanych nie ma cienia prawdy. Tam nikt się nie kajał ani nie przyznawał do jakiejś winy. Rozumiecie Panowie!? Mówiliśmy raczej o walkach AK z wojskami rosyjskimi.

RED.: — *Ale, na Boga, ponawiam pytanie — dlaczego w ogóle mówiliście?*

A.B.: — Dlaczego w ogóle mówiliśmy? To już powiedziałem. Zdecydowaliśmy, że musimy odpowiadać i odpowiadaliśmy. I nikt nie postąpił inaczej.

RED.: — *Proces „szesnastu" się zaczyna, a jednocześnie Mikołajczyk przystępuje do rozmów w Moskwie...*

A.B.: — Wiedzieliśmy o tym. Dowiedzieliśmy się, ponieważ jeden z nas — nie pamiętam już kto — miał obrońcę Polaka zamieszkałego w Moskwie. I on mu o tym powiedział.

RED.: — *Jak Pan zareagował na tę wiadomość?*

A.B.: — No, jak Panowie myślą? W moim przekonaniu nie powinien był Mikołajczyk przybywać do Moskwy. Jego przyjazd był jego kapitulacją. Dlaczego tego Pan nie potępia!? Witosa w Moskwie nie było, ponieważ nie chciał tam pojechać. Witos rozumiał, że jako premier Rządu, który niegdyś Rosję pokonał nie powinien i nie wypada mu jechać tam w charakterze petenta. Mikołajczyk prędzej mógł to zrobić, bo nie miał takiej przeszłości. Jednak trudno mi jednoznacznie rozstrzygnąć, czy rzeczywiście polityka polska wymagała obecności w Moskwie Mikołajczyka, bo nie wiem, jakie były wówczas warunki. Czy byśmy coś zyskali? Może powinien pojechać ktoś inny? Nie wiem. Ale na pewno zupełnie niepotrzebne były oświadczenia KRM i innych ciał naszej konspiracji, akceptujące uchwały jałtańskie, bo w istocie bezpożytecznie akceptowały sowiecką agresję.

RED.: — *W jakich kategoriach te oświadczenia były niepotrzebne?*

A.B.: — I politycznych, i moralnych. Ale rozumuję tak teraz, bo teraz wiemy już wszystko, a wtedy nie wiedzieliśmy nic.

RED.: — *A nie miał Pan pretensji do Mikołajczyka?*

A.B.: — Nie.

RED.: — *Czy spodziewał się Pan z jego strony pomocy?*

A.B.: — Nie!

RED.: — *Nie czuł się Pan oszukany?*

A.B.: — Nie czułem się oszukany przez nikogo!

RED.: — *Czy jednak nie spodziewał się Pan jakiejś interwencji mocarstw zachodnich?*

A.B.: — Nie!

RED.: — *Ale o tym, że taka interwencja miała miejsce, wiedział Pan?*

A.B.: — Nie wiedziałem, ale mogłem się jej domyślać. Sędzia śledczy mówił mi, że radioodbiorniki trzeszczą na cały świat o procesie, o aresztowanych Polakach. Stąd domyślałem się, że były jakieś interwencje i to było zupełnie naturalne. Jednak nie spodziewałem się interwencji na wyższym szczeblu, bo kogóż to obchodziło na tyle, aby psuć sobie z tego powodu stosunki z Rosją?

RED.: — *Jakiego wyroku się Pan spodziewał?*

A.B.: — Jakiego spodziewałem się wyroku?... Proszę Panów, nam groziła kara śmierci!

RED.: — *Czy liczyliście się z tym?*

A.B.: — Oczywiście! Chociaż Sorokin powiedział do mnie, że wniosek o karę główną nie będzie chyba postawiony przez prokuratora.

RED.: — *Czy te stosunkowo niskie wyroki — jak na rosyjskie zwyczaje — były zaskoczeniem?*

A.B.: — Nie, dlatego że wysokie wyroki byłyby dla Rosji politycznie szkodliwe.

RED.: — *Dlaczego jednak w Moskwie, przy pełnej sali dziennikarzy, wtedy gdy Sowieci chcieli pokazać światu, że oni mają nie prawne, ale faktyczne racje decydowania o losie Polski, dlaczego wtedy nie pokrzyżowaliście im planów? Dlaczego nie krzyczeliście na cały świat?*

A.B.: — Czy Pan przypuszcza, że się do tego nadawaliśmy?

RED.: — *Tak!*

A.B.: — Tak Pan uważa, bo Pana tam nie było.

RED.: — *Nie byliśmy, ale pytamy dlatego, że wiemy, kto tam był.*

A.B.: — Po to, żeby coś powiedzieć, trzeba mieć ołówek, usiąść przy stoliku, zrobić notatki i następnie przemówić. Trzeba być przygotowanym. My natomiast nie mieliśmy nic. My byliśmy w lesie. Rozumiecie to Panowie?

RED.: — *W Waszych osobach sądzono II Rzeczpospolitą. Broniliście nie tylko siebie, ale tego zespołu wartości, jakie Rzeczpospolita uosabiała.*

A.B.: — Chyba już sam fakt, że nas wywieziono i sądzono za to, że byliśmy Polakami... Samo to już chyba przemawiało na cały świat.

RED.: — *Czy później w celi, gdy siedział Pan z Jankowskim, Pajdakiem, Jasiukowiczem, czy rozmawialiście o tym? I do jakich doszliście wniosków?*

A.B.: — Jak Panowie myślą, do jakich wniosków mogliśmy dojść?

RED.: — *Właśnie tego nie wiemy. Czy zdobyliście się na dystans pozwalający Wam na krytyczne spojrzenie na własną koncepcję obrony, na własną postawę?*

A.B.: — Przychodziło mi do głowy, że trzeba było odmówić zeznań. Aleśmy tego nie zrobili.

RED.: — *A Jankowski, Pajdak, Jasiukowicz czy też mieli takie myśli?*

A.B.: — Właściwie nigdy potem nie rozstrzygaliśmy sprawy tego procesu. Nie chciało nam się tego robić. Rozstrzygaliśmy Powstanie Warszawskie, Wrzesień...

RED.: — *Wspomniał Pan wcześniej, że jest Pan dumny z faktu, iż Pan tam był. Ale czy to, że nie mówiliście w celi o przebiegu procesu, że nie chcieliście do tego wracać, czy nie świadczy to o tym, że odczuwaliście to jako upokorzenie?*

A.B.: — Wie Pan, cośmy czuli? Czuliśmy smak gówna! Zamiast nurzać się w gównie, czytałem książki. Niezliczone książki. To mi pozwoliło zachować tożsamość i rozmawiać teraz z Panem.

VIII

RED.: — *Powiedział Pan wcześniej, że pobyt w więzieniu wiele Pana nauczył. Czy mógłby Pan opowiedzieć o tej szkole?*

A.B.: — Wiecie Panowie... Poczułem urodę życia. Jak urocze jest życie powszednie, to poza murami... Głębię i urodę życia najlepiej odczuwa się z dna.

RED.: — *Czy widział Pan chociaż kawałek nieba?*

A.B.: — Tak, widać było kawałek nieba, jak się doszło do samego okna i spojrzało pionowo w górę. Do okna podchodzić nie było wolno, jednak w końcu zdarzało się.

RED.: — *A jakie wiadomości dochodziły z Polski?*

A.B.: — Tylko to, co nasze rodziny pisały.

RED.: — *Czy orientował się Pan w sytuacji panującej w kraju?*

A.B.: — Bardzo słabo, zresztą moim dzieciom i żonie nie chciało się o tych sprawach pisać.

RED.: — *A powrót do kraju w 1949 roku...*

A.B.: — Nie wiedziałem, co to jest Polska, po prostu nie wiedziałem. Jednym z pierwszych, którzy mnie odwiedzili w Milanówku, był wspomniany tutaj parokrotnie Zygmunt Załęski. Przywitał się ze mną bardzo serdecznie. Przyniósł mi w prezencie ładną książkę, coś o Warszawie. Zapytałem go: „Słuchaj Zygmunt, czy tu jest Polska, czy tu nie ma Polski?". On mi odpowiedział: „Przypatrz się i jak uwierzysz, to masz Polskę, a jak nie będziesz wierzył, to Polski nie ma".

RED.: — *Czy Pan uwierzył?*

A.B.: — Nie.

RED.: — *Jaka to była Polska w porównaniu z tą, w której Pan wyrastał?*

A.B.: — To nie była Polska z naszej historii, z naszej kultury.

RED.: — *Ale czy spodziewał się Pan, że jest tu gorzej czy lepiej?*

A.B.: — Myślałem, że jest lepiej. Bo, widzi Pan, czytałem tylko *Prawdę*, a tam pisano, że wszystko jest jak najlepiej — rzecz jasna głównie w Związku Sowieckim, ale tak samo pisano o Polsce. Chociaż na dobrą sprawę, o Polsce pisano bardzo mało. Bardzo mało.

RED.: — *Czy ta nowa Polska była dla Pana szokiem?*

A.B.: — Najbardziej uderzyło mnie to, że można tak absolutnie zakłamać życie publiczne kraju, że wszystko było zakłamane. Nie wyobrażałem sobie, że coś takiego jest możliwe.

RED.: — *Dlaczego wobec tego nie wyemigrował Pan, tak jak na przykład Stypułkowski?*

A.B.: — Dlaczego nie wyemigrowałem? Dlatego, że kocham tę ziemię i tych ludzi... tych swoich, których tutaj mam i z którymi bym się nie rozstał — nie mógłbym bez nich żyć. Zresztą, czy wszyscy mają emigrować tak jak trzy miliony Afgańczyków?

RED.: — *Wspominał Pan o rozczarowaniu Niećką...*

A.B.: — Gdy wróciłem, był wiceprezydentem, dygnitarzem. To on pierwszy mnie w Polsce witał. Opowiem Wam o tym spotkaniu. Po tygodniowej kwarantannie na Koszykowej zawieziono mnie na Mazowiecką, mówiąc że jadę na spotkanie z Niećką. Wysiadłem i dopiero po chwili zorientowałem się, że jest tam księgarnia ludowa. I tam wewnątrz czekali Niećko, Szczawińska i inni koledzy z dawnych czasów. Specjalnie zebrali się, żeby mnie powitać. Niećko szybko zebranie rozwiązał, rozumiejąc, że chcę jak najszybciej dotrzeć do domu. Zresztą rozmowa się nie kleiła. Zaproponował, że zorganizujemy kiedyś spotkanie poświęcone relacji z moich przeżyć moskiewskich. Wiózł mnie potem swoim służbowym chevroletem z Warszawy do Milanówka. On sam milczał — zrobił się człowiekiem małomównym — ale Szczawińska mówiła, że dopiero teraz jest Polska ludowa. Władza należy do ludu, prezydentem jest robotnik Bierut, a jego zastępcą chłop Niećko. Tłumaczyła, że Polska nigdy jeszcze nie miała tak dobrej władzy.

RED.: — *A co na to Niećko?*

A.B.: — Był właśnie zakłopotany. Przecież on tak jak i ja był w organizacji „NIE", czego się absolutnie wyparł. I wiecie, przez cały czas mojego pobytu w Moskwie bał się, że to wyjawię. Ale muszę powiedzieć, że to z pewnością on spowodował wypuszczenie mnie kilka miesięcy wcześniej.

RED.: — *Kogo jeszcze poza Niećką Pan widywał?*

A.B.: — Wycecha i Banacha. Z Banachem bardzo rychło się pogryzłem. Wygłaszał straszliwe prokomunistyczne przemówienia, a ja wprost nie mogłem tego znieść. Doszło do tego, że nie mogłem już znieść jego obecności w domu. Natomiast Wycech był zakłopotany, podobnie jak Niećko. Byłem osobą obserwowaną przez UB i do związków ze mną bał się przyznawać. Zresztą nie tylko on. Zabawne, gdy chciał ze mną pogadać, umawialiśmy się w lesie. Wtedy, kiedy wróciłem w roku 1949, Wycech był ważną osobistością w spółdzielczości rolniczej.

RED.: — *Jak oni motywowali swój wybór? Czy mówiliście o tym? No bo przyzna Pan, sytuacja była jak z literatury. Pan po pięciu latach wraca z Moskwy z więzienia, wita Pana wiceprezydent Rzeczpospolitej Polskiej, krótko mówiąc druga osoba w kraju, wiezie Pana służbowym chevroletem do mieszkania i chce rozmawiać o Pana przeżyciach w Moskwie...*

A.B.: — Oni twierdzili, że w ten sposób uratowali przed więzieniem wielu ludzi, bo PSL-lewica wzięła ich pod swoją opiekę. Mnie się jednak zdaje, że najbardziej pomogli samym sobie.

RED.: — *No i czy doszło do rozmowy na temat Pańskich moskiewskich przeżyć?*

A.B.: — Nigdy.

RED.: — *Czy w tym okresie i później, na przykład po 1956 roku, ktokolwiek z nich próbował Pana wciągnąć do ówczesnego życia politycznego?*

A.B.: — Nie, oni chyba nie wierzyli w moją zgodę i nie próbowali. Dla mnie najważniejsze — po powrocie — było zdobycie pracy. Nigdzie mnie nie chciano przyjąć, oni mi nie pomogli. Mówili, że to niemożliwe i chyba tak było. Pisałem do wicemi-

nistra Reka (kolegi z „Wici") w sprawie uzyskania stanowiska sędziego; odpisał, że mam złą opinię.

RED.: — *Z czego Pan żył?*

A.B.: — Pomógł mi przyjaciel z okresu jeszcze „wiciowego", Jan Dec. Był wtedy dyrektorem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Tłumaczyłem dla niego literaturę rosyjską.

RED.: — *Lat pięćdziesiątych?*

A.B.: — Tak. Mam tu kilka z tych książek: „Świt wielkiej budowy" Gałatkina i Agranowskiego, „Maszynka elektryczna" Katajewa, „Człowiek gór" Leo Kiaceliego. Wydałem chyba dwanaście tytułów.

RED.: — *Czy Pana przeszłość polityczna była znana w Pana miejscu pracy, w Przasnyszu? Czy to Panu pomagało, czy nie?*

A.B.: — Pojawiłem się w Przasnyszu w grudniu 1953 roku. Właśnie wtedy uciekł Światło. Roztrząsała to Wolna Europa. Przy tej okazji mówiono o procesie „szesnastu", wymieniono wszystkie nazwiska oskarżonych. Wielu ludzi zaczepiało mnie chyłkiem na ulicy, pytając nieśmiało: „Panie, czy to Pan jest ten Bień?". To mi zrobiło ogromną reklamę wśród chłopów. Chłopi ciągle byli duchem wolni, absolutnie nie do przekonania co do tej Polski. Ani jedna warstwa społeczeństwa nie była tak kontra, jak chłopi. Hurmem szli do mnie ze swoimi sprawami. Mieli trudne sprawy, nieraz z czynnikami rządowymi, z urzędnikami miejskimi. Pamiętam, gdy wniosłem sprawę jednego ogrodnika przeciwko gminie miasta Przasnysza o kawał ziemi, cała Rada Narodowa poszła pytać sędziego, czy mi na to pozwolił. *[śmiech].*

RED.: — *A koledzy adwokaci i sąd jak na Pana przeszłość reagowali?*

A.B.: — Zaczęli się mnie bać.

RED.: — *Czy po powrocie nie bał się Pan powtórnego aresztowania?*

A.B.: — Tu w kraju, nie.

RED.: — *Pużak wrócił i został aresztowany.*

A.B.: — W styczniu 1953 roku zatrzymało mnie UB. Przedstawiono mi zarzut, że jestem szefem krajowej konspiracji kierowanej przez Mikołajczyka. Akurat znałem aresztowane „wiciarki" panie Matusową i Osiejową. Ubek powiedział mi, że przyznały się do udziału w tej konspiracji i wskazały mnie jako swojego szefa. Żądał, żebym i ja się przyznał. Nie przyznałem się do niczego. Potrzymał mnie chyba cały dzień i wypuścił.

RED.: — *Więcej Pana nie nagabywano?*

A.B.: — Wzywano mnie jeszcze wiele razy na UB, ale nie imputowano już żadnej konspiracji. Usiłowano tylko namówić do współpracy. Najczęściej pytano mnie wtedy o moich kolegów, mianowicie o Niećkę, Wycecha i Banacha. Chciano, żebym napisał o każdym wszystko, co wiem. Więc im powiedziałem, że ja tego robić nie będę, bo się do tego nie nadaję. Machnęli w końcu ręką, ale po jakimś czasie zaproponowali, żebym napisał wspomnienia z okresu okupacji. Napisałem. To było ciągle w 1953 roku. Pamiętam, trzy miesiące pisałem, ale tak piąte przez dwudzieste. Ani prawda cała, ani nawet pół. Dałem im trzy egzemplarze, jeden zostawiłem sobie.

RED.: — *Ma Pan go jeszcze?*

A.B.: — Tak, mam... I potem ni z tego, ni z owego okazało się, że jeden egzemplarz znalazł się w *Kulturze* paryskiej. Drugi egzemplarz jest w Warszawie, w Zakładzie Historii Ruchu Ludowego. Ale kto dał do *Kultury?* W każdym razie wspomnienia te są bezwartościowe.

RED.: — *Czy w UB obiecywali publikację Pańskiej pracy?*

A.B.: — Nie, oni potrzebowali jej dla swoich celów, żeby się zorientować, kto był zaangażowany w konspirację. Gdy to pisałem, nadzorowali co piszę. Musiałem do nich jeździć, pokazywać. A oni zawsze mieli jakieś uwagi... Pisałem tylko to, co wiedzieli wszyscy. Mam ten rękopis i notatki ubeka. Pisał: „Więcej szczegółów".

RED.: — *Czyli raczej nie bał się Pan aresztowania?*

A.B.: — Nie. Myślałem, że boją się rozgłosu, jaki mogłoby spowodować moje aresztowanie. Tak się złożyło, że Wolna Europa śledziła moje losy. Gdy dostałem adwokaturę — pod warunkiem,

że nie będę miał kancelarii w Warszawie — i wyjechałem do Przasnysza, RWE natychmiast mnie wykryła.

RED.: — *Mówił Pan, że nie jest to Polska z naszej historii...*

A.B.: — Tak i do dziś nie wierzę, że się to zmieni.

RED.: — *Jednak tutaj żyją Polacy, ludzie, którzy podejmują określone decyzje, nie poddają się, szukają dróg życia. Co mógłby Pan im powiedzieć?*

A.B.: .....

RED.: — *A co może Pan powiedzieć po prostu nam?*

A.B.: — Patrz w przeszłość Polski, to znaczy swojego kraju i nie rób niczego, co byłoby sprzeczne z duchem tej przeszłości.

RED.: — *Jaki ten duch jest?*

A.B.: — Kultura chrześcijańska, proszę Panów, moralność chrześcijańska, prawda, miłość bliźniego...

RED.: — *Czy to wystarczy, aby zachować własną tożsamość i się nie sprzedać?*

A.B.: — Tak, to prawda, jest za co się sprzedać...

RED.: — *Ale i jest za co się poświęcić.*

A.B.: — Poświęcić się, żeby co?

RED.: — *Powiedzmy to tak ogólnie — żeby się „wybić na wolność".*

A.B.: — Żeby kto się wybił na wolność?

RED.: — *No, my.*

A.B.: — Proszę Pana, w tym kraju jaki jest teraz na pewno na wolność się nie wybijemy.

RED.: — *Ale zakres tej wolności wyraźnie się poszerza, wyznaczają go kolejne daty: 1956, ...*

A.B.: — Październik to była taka sama bujda, jak z Gorbaczowem.

RED.: — *Co było bujdą?*

A.B.: — Gomułka był kłamcą...

RED.: — *Jednak ludzi wypuszczono z więzień...*

A.B.: — Tak. Ja pojmuję tok Pańskiego rozumowania: bierz to, co jest, bo zawsze w jakiś sposób poprawisz swoje życie i losy swojego kraju. Po trochu, po trochu... A, widzi Pan, ja jestem takiego usposobienia, że chcę mieć całą prawdę i to zaraz, i chcę mieć całą wolność i to zaraz, całą! A nie rozmienioną na drobne, taką kapaninę. A zanosi się na długą kapaninę. Gdzieś ktoś powiedział: „Jeżeli mamy być szczęśliwi dopiero w przyszłości, to po co żyjemy teraz!?".

RED.: — *Jaka jest odpowiedź?*

A.B.: — Nonsens jest. Jeżeli mam być szczęśliwy dopiero, dajmy na to, jak przejdą jeszcze cztery odwilże, to czym mam żyć w Polsce?

RED.: — *Na przykład przybliżaniem tej odwilży.*

A.B.: — Nie lubię takiej kapaniny, nie lubię, chociaż doceniam, że kapaniną można otrzymać pewne dobra. Róbcie co chcecie. Jesteście młodzi, przed Wami kawał życia. Nie dajcie się zmarnować. Dam Wam przykład. Zawsze będzie tak, jak było z „Solidarnością". Człowiek kiedy widzi, że jest okazja do tego, żeby być wolnym, chce być wolny cały. „Solidarność" zrobiła, co zrobić mogła i co zrobić musiała. Wtedy postawiła cały pakiet żądań, jaki Polacy mogą mieć do władzy. I to było dobre, bo nawet jeśli się to nie udało, to jednak otworzyło w umysłach ludzi widzenie obrazu wolności, który całe pokolenia już zatraciły.

RED.: — *Przed powstaniem „Solidarności" funkcjonowały ruchy niezależne, które w pewien sposób przybliżyły perspektywę „Solidarności". Jaki Pan ma do tych ugrupowań i tego rodzaju działalności stosunek?*

A.B.: — Cieszę się... dlatego, że na pewno to coś dobrego przyniosło. Ja również sądzę, że był to jeden z elementów później-

szej „Solidarności", jeden z przyczynków do jej powstania. Zgromadzili się tam ludzie, którzy potem mogli zostać ekspertami w różnych sprawach, na których robotnicy się nie znali.

RED.: — *A czy Pan nie myślał, aby się włączyć do tego typu działalności?*

A.B.: — Nie, nie myślałem.

RED.: — *Dlaczego?*

A.B.: — Bo mi się jakoś nie chciało, bo byłem zajęty pisaniem.

RED.: — *Czym jest dla Pana pisanie?*

A.B.: — To jest życie dla mnie.

RED.: — *Od kiedy stało się to Pańską pasją?*

A.B.: — Odkąd tu powróciłem, po zakończeniu praktyki adwokackiej z końcem 1974 roku. Wtedy przystąpiłem do pisania „Bóg wysoko, dom daleko". A sztuka prawa pomaga mi pisać. Bo co to jest prawo i co to jest pisarstwo? To sztuka zwięzłości i precyzji.

RED.: — *Czy takie wizyty jak nasza są częste?*

A.B.: — Częste, za częste. Ale te wizyty zaczęły się po ukazaniu się mojej książki. Moi drodzy, najmilszym mi zajęciem jest pisanie, a Wy mi okropnie w tym przeszkadzacie. Tak Wam mówię szczerze. Zajmuję się pogaduszkami z Wami, dlatego że na pewno jestem świadkiem historii, jednym z nielicznych żyjących. Czuję się w obowiązku odpowiadać na każde żądanie Polaka, który chce wiedzieć o przeszłości coś autentycznego i prawdziwego. Każdy może do mnie przyjechać. Bóg dał mi ten dar, że żyję tak długo, że zachowałem władze umysłowe, które pozwalają mi mówić, pamiętać, obserwować. Chociaż już bvle jak mówię, bo mam kiepską pamięć. I znoszę to cierpliwie. Moje pisanie czeka jednak spokojnie na tamtym biurku. A podejmuję Panów tak, jak mogę, bo w sumie lubię Was, do licha! Chociaż czasami jesteście nudni.

RED.: — *Jutro rano nas tu już nie będzie. Dziękujemy.*

Helge TRAMSEN

WRAŻENIA Z PODRÓŻY DO KATYNIA W 1943 ROKU

Garść wrażeń z podróży, którą odbyłem jako niedobrowolny członek Komisji, która na „zaproszenie" rządu niemieckiego przebywała w dniach 20 kwietnia do 5 maja 1943 w Katyniu, aby zbadać szereg masowych grobów polskich oficerów.

1. *Berlin.* Przeważająca część całej pracy dla frontu dokonuje się dzięki kolosalnemu wysiłkowi cudzoziemskiej siły roboczej, którą zmusza się do pracy dla niemieckiego *Arbeitsdienst*'u w ten sposób, że odmawia jej się przydziałów żywności. Są to szczególnie Francuzi, Polacy, Rosjanki *(Mark OST)*, a także Holendrzy, Belgowie i inni. Plakaty propagandowe upajają pewnością zwycięstwa: na lokomotywach napisy: *erst siegen, dann reisen,* na drzwiach zamkniętych sklepów: *geschlossen wegen Krieg, kommt wieder nach dem Sieg.* Ogromne szkody spowodowane nalotami R.A.F.-u 1 marca. Ministerstwo Lotnictwa, ogromna ilość budynków z dużymi sklepami na Unter den Linden. Na przemysłowych przedmieściach elektrownie, a także liczne budynki narożne (absolutnie pewne cele nalotów na skrzyżowaniach ulic). Sami Niemcy podają: 5.000 domów i 2.000 zabitych i rannych, spora ilość trupów ciągle leży między gruzami. Około 400 tysięcy bezdomnych mieszka w przytułkach.

2. *Warszawa.* Całe centrum miasta, ogromne getto, które niedawno liczyło 450 tysięcy Żydów, teraz zaledwie 75 tysięcy, spowite ciężkim dymem z szeroko rozprzestrzenionych pożarów; w niektórych miejscach widać języki ognia i strzelające w górę płomienie. Podobno getto zostało zbombardowane 19 kwietnia 1943 roku przez niemieckie Stukasy, kiedy Niemcy po zastrzeleniu niemieckiego komisarza policji przeprowadzili obławę i spotkali się z ogniem karabinów maszynowych. Podobno getto od dnia bombardowania zostało całkowicie odizolowane.

3. *Mińsk* i inne, mniejsze i większe miasta Białorusi: całkowicie w ruinach. Pola zasypane strzaskanymi materiałami wojennymi.

4. *Smoleńsk.* Całkowicie w ruinach, z wyjątkiem domów naprawionych przez Niemców (około 20-30 domów). Jak okiem sięgnąć niezliczona ilość wypalonej broni i ekwipunku wojennego.

5. *Katyń.* Las około 16 kilometrów na zachód od Smoleńska (około 60 kilometrów za linią frontu). Wieś o tej samej nazwie leży 2 km dalej na zachód, tam też znajduje się dworzec kolejowy Gniezdowo, położony nad zakolem Dniepru.

1 kwietnia 1943 roku polscy jeńcy wojenni, którzy pracowali za linią frontu, dowiedzieli się od ludności miejscowej o Polakach pogrzebanych w lesie. Zaczęli kopać i rzeczywiście znaleźli tam trupy ubrane w polskie mundury. Zasypali grób z powrotem i postawili krzyż z polskim napisem. Wkrótce zobaczyli to Niemcy i natychmiast rozpoczęli odgrzebywanie. Odgrzebano siedem grobów, z których największy miał 28 na 16 metrów i był głęboki na 6 metrów, a najmniejszy — 10 na 14 metrów. We wszystkich grobach znajdowały się trupy ubrane w polskie mundury; przy samych brzegach grobów były mocno wysuszone i szkieletowate, w głębi wilgotne i wyjątkowo dobrze zachowane. Trupy leżały warstwami, z głowami ułożonymi w tym samym kierunku i można je było policzyć. W największym z grobów znaleziono około 2.500 trupów. Przy wykopywaniu stwierdzono, że 90 % miało ręce związane z tyłu sznurem służącym do wznoszenia i opuszczania sztandaru. Wszystkie trupy bez wyjątku miały jedyną widoczną ranę od strzałów w głowę: najczęściej jednego, a w niektórych wypadkach dwóch lub trzech. Kule przechodziły głęboko w tył głowy, najczęściej aż w pobliże karku. Dziury od kul znajdowały się wysoko w okolicy czoła. Znaleziono wiele kul karabinowych w czaszkach — wszystkie kalibru 8 milimetrów.

Przy identyfikacji znaleziono sporo dokumentów osobistych, jak paszporty, papiery wojskowe, nakazy mobilizacji, listy, dzienniki, gazety, notatki itp., a także dużo przedmiotów osobistego użytku: fajki, tytoń, karty do gry, święte obrazki itd. Przy niektórych lekarzach znaleziono stetoskopy i jeden termometr. Księdza rozpoznano po czarnym kołnierzu i krzyżu pod peleryną. Wszyscy byli ubrani w futra lub grube peleryny wojskowe. Po papierach, odznakach wojskowych i guzikach można było natychmiast poznać mundury polskie, chyba szyte na miarę. Sprawiały wrażenie, jakby znajdowały się w ziemi równie długo, jak trupy. [?!] Z osobistych notatek wynikało, że więźniowie znajdowali się w obozie w Kozielsku i w marcu i kwietniu 1940 roku zostali przeniesieni na zachód, przez Smoleńsk do Gniezdowa. Wszystkie datowane notatki pochodzą sprzed 22 kwietnia 1940 roku i miało się wyraźne wrażenie, że im głębiej docierało się do pokładów trupów, tym dawniejsze były daty. Znaleziono wiele dzienników z notatkami prowadzonymi z dnia na dzień, które urywały się nagle z końcem kwietnia 1940 roku, ale nie wyglądało na to, żeby z nich wyrwano strony, albo też wklejono inne, aby ewentualnie ukryć moment egzekucji. W związku z tym należy przyjąć jako najbardziej prawdopodobne, że egzekucja miała miejsce wkrótce po [ostatniej] dacie [w notatkach] znalezionych przy trupach. Zgadza się to po części z porą roku, w czasie której doszło do egzekucji (zimowe ubrania, brak oznak gnicia i brak robactwa); na to samo wskazuje roślinność znaleziona na grobach: młode przesadzone sosny rosnące w równych rzędach. Ze słojów można przypuścić, że miały 5 do 6 lat. Na wszystkich

przebadanych drzewkach odkryto zmiany rozwoju słojów, powstałe dwa lata wcześniej, z czego można wywnioskować, że ich rozwój został znacznie zahamowany bądź warunkami klimatycznymi, bądź przesadzeniem.

Rozpoznano dwóch polskich generałów: Smorawińskiego (z Lublina) i Bojatowskiego (z Warszawy). Tego ostatniego rozpoznał brat, który przyjechał na miejsce. Rozpoznał go po rysach twarzy i po pierścieniu z brylantem znalezionym w kieszeni. W chwili zakończenia prac przez Komisję, które m.in. objęły zbadanie sporej ilości czaszek i kompletną obdukcję 9 trupów, odgrzebano 982 ciała, z których 70 % zidentyfikowano.

Las koło Katynia został określony jako stare miejsce egzekucji przeprowadzonych przez komisarzy GPU. Z otrzymanych objaśnień wynika, że od wielu lat był zamknięty i że ludność cywilna nie miała do niego dostępu. Wniosek, że rzeczywiście było to miejsce egzekucji, można było wysnuć także z faktu, iż znaleziono wiele trupów również w miejscach wybranych zupełnie przypadkowo. W jednym z nich odgrzebano szczątki kobiety, które prawdopodobnie znajdowały się w ziemi 10 do 15 lat. Ręce były związane z tyłu i ślad po jednym jedynym strzale: w tył głowy do skroni.

W rozmowach z oficerami niemieckimi (najczęściej lekarzami wojskowymi) trudno było zauważyć jakąkolwiek pewność zwycięstwa; poprzez ciężką mgłę ostrożnych sformułowań wyczuwało się brak nadziei i strach przed przyszłością. Zaopatrzenie frontu pochodziło w dużym stopniu z magazynów wymiany i z krajów okupowanych (przede wszystkim z Francji). Bardzo chwalono wolę walki Rosjan i jakość ich broni (szczególnie min polowych), nadmieniano, że tylko niewielka ilość broni zdobytej na Rosjanach na froncie środkowym pochodziła z Ameryki lub z Anglii.

Helge TRAMSEN

DOKUMENTY

OSTATNIA MISJA HOPKINSA W MOSKWIE

Nr 20

Archiwa Trumana: Telegram

Prezydent Truman do Marszałka Stalina[1]

ŚCIŚLE TAJNE
PRIORYTET [WASZYNGTON,] 19 maja 1945.

Osobiste i ściśle tajne od Prezydenta do Marszałka Stalina, numer 267.

Jestem pewien, że jest Pan równie świadomy jak ja trudności w rokowaniach za pomocą wymiany depesz ze skomplikowanymi i ważnymi kwestiami, jakie stoją przed nami. Do czasu możliwości naszego spotkania wysyłam p. Harry'ego Hopkinsa z ambasadorem Harrimanem do Moskwy, by mieli oni możliwość osobistego przedyskutowania z Panem tych spraw. Po tych rozmowach P. Hopkins powróci natychmiast do Waszyngtonu, aby osobiście zdać mi relację. Planują oni przybycie do Moskwy ok. 26 maja. Będę wdzięczny za powiadomienie, czy data Panu odpowiada.

TRUMAN

1. **Wysłane do *attaché* Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych w Moskwie, kanałami Marynarki. Nieco odmienna wersja włączona do noty nr 266 z 20 maja od George'a F. Kennana, amerykańskiego *chargé d'affaires* w Związku Sowieckim do komisarza Spraw Zagranicznych Mołotowa w celu dostarczenia Stalinowi.**

Nr 21

Marszałek Stalin do Prezydenta Trumana[1]
(Przekład)

Osobiste i tajne od Premiera J. W. Stalina do Prezydenta H. S. Trumana.

Otrzymałem Pańską wiadomość[2] dotyczącą przybycia p. Hopkinsa i ambasadora Harrimana do Moskwy 26 maja. Z gotowością przyjmuję Pana propozycję spotkania p. Hopkinsa i ambasadora Harrimana. Data — 26 maja — jest dla mnie dość odpowiednia.

Moskwa, 20 maja 1945.

---

1. Oryginał w języku rosyjskim z załączonym przekładem przekazany przez ambasadę sowiecką w Waszyngtonie. Tekst rosyjski w: *Pieriepiska Priedsiedatiela Sowieta Ministrow SSSR s Prezidentami SSZA i Premjer-Ministrami Wielikobrytanii wo wremja Wielikoj Oteczestwiennoj Wojny, 1941-1945 gg.* (Moskwa, Państwowe Wydawnictwa Literatury Politycznej, 1957, publikacja MSZ), tom II, str. 231. Teksty rosyjskie innych depesz Stalin - Truman ogłoszone w tej części w przekładzie na angielski można również znaleźć w tomie II *Pieriepiski...*
2. Dokument nr 20.

Nr 23

Archiwa Trumana: Telegram

Prezydent Truman do Marszałka Stalina[1]

ŚCIŚLE TAJNE
PRIORYTET [WASZYNGTON,] 22 maja 1945.

Numer 271, osobiste i ściśle tajne od Prezydenta do Marszałka Stalina.

Jestem ogromnie zadowolony z otrzymania Pańskiej depeszy[2] dotyczącej wizyty p. Hopkinsa. Myślę, że będzie rozsądniej, jeśli ogłoszę jego proponowaną wizytę w Moskwie raczej po jego wyjeździe ze Stanów Zjednoczonych, by nie ryzykować przecieku

---

1. Wysłane do *attaché* Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych w Moskwie, kanałami Marynarki.
2. Dokument nr 21.

wiadomości, co stałoby się przedmiotem spekulacji w prasie. P. Hopkins planuje odlot jutro rano, 23 maja, i nieco później tegoż dnia proponuję powiadomienie prasy, że udaje się on do Moskwy z ambasadorem Harrimanem, aby omówić z Panem sprawy będące obecnie tematem dyskusji między rządem sowieckim i amerykańskim[3].

TRUMAN

---

3. Biały Dom ogłosił następujący komunikat prasowy 23 maja (przedruk z *Biuletynu* Departamentu Stanu, tom XII, str. 953):

„Prezydent zwrócił się do Harry'ego Hopkinsa i Josepha E. Daviesa o podjęcie się dla niego misji specjalnych.

P. Hopkins uda się do Moskwy w towarzystwie ambasadora Averella Harrimana, aby omówić z marszałkiem Stalinem sprawy będące obecnie tematem dyskusji między rządem sowieckim i rządem Stanów Zjednoczonych.

P. Davies uda się bezpośrednio do Londynu, aby przedyskutować z premierem Churchillem i innymi członkami rządu brytyjskiego pewne sprawy obopólnie interesujące Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię, wynikające z wojny...".

Co do celu misji Hopkinsa i Daviesa, patrz także *Year of Decisions* Trumana, str. 110 i 257-259.

Nr 24

Memorandum asystenta sekretarza stanu (Bohlena)

ŚCIŚLE TAJNE [MOSKWA,] 26 maja 1945.

MEMORANDUM Z PIERWSZEJ ROZMOWY NA KREMLU, 26 maja, godz. 20.00.

Obecni: p. Hopkins, ambasador Harriman, p. Bohlen, marszałek Stalin, p. Mołotow, p. Pawłow.
Tematy: Śmierć prezydenta Roosevelta,
Stosunki sowiecko-amerykańskie,
Spotkanie głów państw,
Niemcy,
Daleki Wschód,
Polacy,
Hitler.

[...] P. Hopkins powiedział, że nie jest ani proste ani łatwe wskazać palcem na dokładne przyczyny tego pogorszenia (stanowiska amerykańskiej opinii publicznej w odniesieniu do ZSSR — przyp. tłum.), ale podkreślił, że bez poparcia opinii publicznej,

a szczególnie stronników prezydenta Roosevelta, prezydentowi Trumanowi byłoby bardzo trudno kontynuować linię polityki prezydenta Roosevelta. Powiedział, że jak Marszałek zdaje sobie sprawę, kardynalną podstawą polityki prezydenta Roosevelta — co naród amerykański w pełni popierał — była koncepcja światowych interesów Stanów Zjednoczonych, nie ograniczonych do Ameryki Północnej, Południowej i do Pacyfiku; że ta właśnie koncepcja doprowadziła do licznych konferencji dotyczących pokoju w świecie, jakie prezydent Roosevelt odbył z marszałkiem Stalinem. Prezydent Roosevelt wierzył, że Związek Sowiecki ma również ogólnoświatowe interesy i że oba kraje mogą wspólnie rozwiązać wszelkie polityczne lub gospodarcze kwestie sporne istniejące między nimi. Po konferencji jałtańskiej wyglądało na to, że znajdowaliśmy się na dobrej drodze do osiągnięcia zasadniczego porozumienia we wszystkich kwestiach spraw zagranicznych interesujących oba nasze kraje, w odniesieniu do potraktowania Niemiec, Japonii, do kwestii powołania światowej organizacji bezpieczeństwa, by nie wspomnieć o długofalowych interesach między Stanami Zjednoczonymi i ZSSR. [Hopkins] powiedział, że w takim kraju jak nasz opinia publiczna reaguje na specyficzne incydenty i że w tym wypadku pogorszenie stanowiska opinii publicznej odnośnie naszych stosunków ze Związkiem Sowieckim koncentruje się przede wszystkim na naszej niezdolności do wprowadzenia w życie postanowień jałtańskich w sprawie Polski[1]. Powstał również ciąg wydarzeń, nieważnych samych w sobie, jakie narosły wokół kwestii polskiej i przyczyniły się do pogorszenia stanowiska opinii publicznej. Prezydent Truman, jak i naród amerykański, choć nieświadomy wszystkich szczegółów, odczuwają dezorientację w związku z naszą niemożnością rozwiązania kwestii polskiej.

MARSZAŁEK STALIN odpowiedział, że przyczyna niepowodzenia w rozwiązaniu kwestii polskiej polega na tym, że Związek Sowiecki pragnie mieć przyjazną Polskę, Wielka Brytania natomiast pragnie przywrócić system *cordon sanitaire* na granicy sowieckiej.

P. HOPKINS odparł, że ani rząd amerykański, ani naród amerykański nie mają takich intencji.

MARSZAŁEK STALIN odparł, że mówi tylko o Anglii i powiedział, że brytyjscy konserwatyści nie chcą widzieć Polski przyjaznej względem Związku Sowieckiego.

P. HOPKINS stwierdził, że Stany Zjednoczone pragnęłyby

1. Patrz tom II, dokument nr 1417, część VI.

Polski przyjaznej wobec Związku Sowieckiego i faktycznie pragnęłyby widzieć przyjazne kraje wzdłuż wszystkich granic sowieckich.

MARSZAŁEK STALIN odparł, że skoro tak jest, to możemy łatwo dojść do ugody w sprawie Polski.

P. HOPKINS powiedział, że w czasie trwania obecnej wizyty istnieje szereg kwestii, jakie on i p. Harriman mają nadzieję przedyskutować z marszałkiem Stalinem i p. Mołotowem, ale że generalne oświadczenie, które właśnie złożył, dotyczące opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych, było głównym powodem jego przybycia i zasadniczą przyczyną niepokoju w obecnym czasie. Stwierdził, że chciałby powiadomić marszałka Stalina szczerze i z pełną mocą o wadze, jaką on osobiście przykłada do obecnego rozwoju wydarzeń i że w jego odczuciu sytuacja gwałtownie się pogorszy, jeśli nie wyjaśnimy sprawy polskiej. Będzie zatem rad usłyszeć od Marszałka, co on myśli na temat rozwiązania tej kwestii.

MARSZAŁEK STALIN odpowiedział, że w jego opinii będzie najlepiej, gdy się ją rozwiąże, ale nie wtedy, gdy brytyjscy konserwatyści będą próbowali przywrócić *cordon sanitaire*. [...]

Nr 25

Memorandum asystenta sekretarza stanu (Bohlena)

ŚCIŚLE TAJNE [MOSKWA,] 27 maja 1945.

MEMORANDUM Z DRUGIEJ ROZMOWY NA KREMLU, 27 maja, godz. 20.00.

Obecni: p. Hopkins, ambasador Harriman, p. Bohlen, marszałek Stalin, p. Mołotow, p. Pawłow.

Tematy: Sprawy co do których Stalin wyraził zaniepokojenie:
Zaproszenie Argentyny do San Francisco,
Komisja d/s Odszkodowań Wojennych,
Kwestia polska,
Ograniczenie pożyczek,
Rozdział okrętów Marynarki Niemieckiej i floty handlowej,
Polska.

P. HOPKINS powiedział, że poprzedniego wieczoru Marszałek zauważył, iż istnieje szereg kwestii dotyczących Stanów Zjednoczonych, które go niepokoją. Poprosił zatem marszałka Stalina, aby zechciał zacząć od tych kwestii.

MARSZAŁEK STALIN powiedział, że nie będzie starał się używać sowieckiej opinii publicznej jako parawanu, ale będzie mówił o nastrojach, jakie zrodziły się w sowieckich kręgach rządowych wskutek ostatnich posunięć rządu Stanów Zjednoczonych. Powiedział, że te koła są zaalarmowane podejściem rządu Stanów Zjednoczonych. W ich odczuciu stanowisko amerykańskie uległo wyraźnemu ochłodzeniu z chwilą, gdy stało się jasne, że Niemcy zostały pokonane i odnosi się wrażenie, jakby Amerykanie mówili, że Rosjanie nie są już więcej potrzebni. Powiedział, że poda następujące przykłady: [...]

(3) Stanowisko rządu Stanów Zjednoczonych wobec kwestii polskiej. [Stalin] powiedział, że w Jałcie uzgodniono, iż istniejący rząd ma być przekształcony[1] i że dla każdego kto ma zdrowy rozsądek oznacza to, że obecny rząd ma tworzyć podstawę nowego. Oświadczył, że żadne inne zrozumienie deklaracji jałtańskiej nie jest możliwe. Choć Rosjanie są prostymi ludźmi, nie należy ich traktować jak głupców, co jest błędem często popełnianym przez Zachód; nie są także ślepi i dobrze widzą, co się dzieje na oczach. To prawda, że Rosjanie są cierpliwi w interesie wspólnej sprawy, ale ich cierpliwość ma swoje granice. [...]

P. HOPKINS powiedział, że za pozwoleniem Marszałka chciałby przedstawić stanowisko Stanów Zjednoczonych wobec Polski. Stwierdził przede wszystkim, że chciałby zapewnić Marszałka, iż nie myślał, a nawet nie miał prawa liczyć na rozwiązanie problemu polskiego w czasie obecnej wizyty w Moskwie, ani nie zamierzał się również zasłaniać amerykańską opinią publiczną przedstawiając stanowisko Stanów Zjednoczonych.

MARSZAŁEK STALIN oznajmił, że obawia się, iż jego uwaga na temat sowieckiej opinii publicznej dotknęła p. Hopkinsa i że wcale nie zamierzał dać do zrozumienia, że p. Hopkins chowa się za parawanem amerykańskiej opinii publicznej. W istocie [Stalin] uważa p. Hopkinsa za uczciwego i szczerego człowieka.

P. HOPKINS powiedział, że pragnie przedstawić to stanowisko tak jasno i mocno, jak tylko może. Stwierdził, że kwestia Polski *per se* nie jest tak ważna jak fakt, że stała się ona symbolem naszej zdolności do rozwiązywania problemów ze Związkiem Sowieckim. Powiedział, że nie mamy specjalnych interesów co

1. **Patrz tom II, dokument nr 1417, część VI.**

do Polski, ani specjalnych pragnień co do szczególnego rodzaju rządu. Że zaakceptujemy każdy rząd w Polsce, jakiego pragnie naród polski i jaki zarazem będzie przyjazny wobec rządu sowieckiego. Stwierdził, że w mniemaniu społeczeństwa i rządu Stanów Zjednoczonych jest to problem, który powinien być wspólnie rozwiązany przez Stany Zjednoczone, Związek Sowiecki i Wielką Brytanię, że narodowi polskiemu należy zapewnić prawo do wolnych wyborów w celu wybrania własnego rządu i własnego ustroju i że Polska powinna być autentycznie niepodległa. Rząd i społeczeństwo Stanów Zjednoczonych są zaniepokojone, ponieważ wstępne kroki zmierzające do odrodzenia Polski wydawały się być podjęte jednostronnie przez Związek Sowiecki wespół z obecnym rządem warszawskim i że *de facto* Stany Zjednoczone zostały z tego całkowicie wykluczone. P. Hopkins wyraził nadzieję, że Stalin uwierzy mu, gdy mu zakomunikuje, że takie odczucia były faktem. Stwierdził, że pragnie skłonić Marszałka, aby ten osądzał linię polityki amerykańskiej na podstawie działalności samego rządu USA, a nie na podstawie stanowiska i publicznych wypowiedzi gazet [koncernu prasowego] Hearsta i *Chicago Tribune*. Wyraził nadzieję, że Marszałek wysili swój umysł, by wymyślić, jakie metody dyplomatyczne można by zastosować do rozwiązania tej kwestii, mając na względzie odczucia narodu amerykańskiego. Stwierdził, że on sam nie czuje się przygotowany do powiedzenia jak to można zrobić, ale w jego mniemaniu musi się to uczynić. Polska stała się symbolem w tym sensie, iż wiąże się bezpośrednio z gotowością Stanów Zjednoczonych do udziału w sprawach międzynarodowych na skalę globalną i że nasze społeczeństwo musi uwierzyć, że łączy swe siły z siłami w Związku Sowieckim i w Wielkiej Brytanii w dziele krzewienia pokoju między narodami, dla dobra ludzkości. P. Hopkins powiedział następnie, że w jego odczuciu przeważająca większość społeczeństwa Stanów Zjednoczonych uważa, że stosunki między USA i ZSSR mogą się ułożyć w duchu współpracy, mimo różnic w ideologii, i że biorąc pod uwagę wszystkie korzystne czynniki w tej sprawie, pragnie zaapelować do Marszałka o pomoc w znalezieniu drogi do rozwiązania problemu polskiego.

MARSZAŁEK STALIN odparł, aby p. Hopkins wziął pod uwagę następujące czynniki: Powiedział, że może wydać się dziwne, choć jak można wnosić, uznały to i koła amerykańskie, i Churchill w swoich wystąpieniach także to uznał, iż rząd sowiecki pragnie przyjaznej Polski. W ciągu dwudziestu pięciu lat Niemcy dwukrotnie napadli na Rosję *via* Polska. Ani naród brytyjski ani amerykański nie doświadczyły takich inwazji niemieckich, które były straszną rzeczą do wytrzymania i których skutków nie-

łatwo się zapomina. Powiedział, że inwazje niemieckie nie były działaniami wojennymi, lecz jakby najazdami Hunów. Stwierdził, że Niemcy dopuściły się tego, ponieważ Polskę uważano za część *cordon sanitaire* wokół Związku Sowieckiego i wedle poprzedniego kursu polityki europejskiej rząd polski musiał być wrogi wobec Rosji. W tych okolicznościach albo Polska była za słaba, aby przeciwstawić się Niemcom, albo pozwoliła Niemcom na przemarsz. Tak więc Polska służyła jako korytarz dla ataków niemieckich na Rosję. Powiedział, że słabość i wrogość Polski były wielkim źródłem słabości dla Związku Sowieckiego i że pozwoliło to Niemcom uczynić to, czego pragnęli na Wschodzie, a także i na Zachodzie, bo to się potem połączyło. Leży zatem w żywotnym interesie Rosji, aby Polska była zarazem silna i przyjazna. Powiedział, że nie jest intencją Związku Sowieckiego mieszać się w wewnętrzne sprawy Polski, że będzie ona żyła w ustroju parlamentarnym jak Czechosłowacja, Belgia i Holandia, że wszelka gadanina o zamiarze sowietyzacji Polski jest głupia. Powiedział dalej, że nawet przywódcy polscy, z których część jest komunistami, są przeciwni systemowi sowieckiemu u siebie, ponieważ naród polski nie życzy sobie kolektywizacji lub innych form ustroju sowieckiego. Pod tym względem przywódcy polscy mają słuszność, ponieważ system sowiecki nie jest na eksport — musi rozwijać się od wewnątrz, w oparciu o dane warunki, które nie występują w Polsce. [Stalin] powiedział, że Związek Sowiecki pragnie jedynie, aby Polska nie znalazła się w sytuacji zmuszającej ją do otwarcia bram Niemcom, i że w celu niedopuszczenia do tego musi być silna i demokratyczna. Stalin oznajmił następnie, że zanim przedstawi swoje sugestie praktycznego rozwiązania tej kwestii, chciałby skomentować uwagi p. Hopkinsa dotyczące przyszłych interesów Stanów Zjednoczonych w świecie. Powiedział, że czy Stany Zjednoczone pragną tego, czy też nie, są mocarstwem i muszą zaakceptować interesy w skali światowej. Nie tylko obecna wojna ale i poprzednia wykazała, że bez interwencji Stanów Zjednoczonych Niemcy nie zostałyby pokonane oraz że wszystkie wydarzenia oraz rozwój wypadków w ciągu ostatnich trzydziestu lat tylko to potwierdzają. Faktycznie Stany Zjednoczone mają więcej powodów, by stać się mocarstwem, niż jakiekolwiek inne państwo. Z tego powodu [Stalin] w pełni uznaje prawo USA jako mocarstwa do udziału w kwestii polskiej, jak również i to, że interesy sowieckie co do Polski w żadnym wypadku nie wykluczają interesów Anglii i Stanów Zjednoczonych. P. Hopkins [ciągnął Stalin] mówił o jednostronnej akcji rosyjskiej w Polsce i zaniepokojeniu tym amerykańskiej opinii publicznej. To prawda, że Rosja podjęła taką jednostronną akcję,

ale była do tego zmuszona. Stwierdził, że rząd sowiecki uznał rząd warszawski i zawarł z nim układ[2] w czasie, gdy Sprzymierzeni nie uznawali tego rządu. To były jednostronne, trzeba przyznać, akty, i byłoby dużo lepiej, aby nie zostały poczynione, ale faktem jest, że nie spotkały się z żadnym zrozumieniem ze strony Sprzymierzonych. Potrzeba takich akcji wyniknęła z obecności wojsk sowieckich w Polsce i było niemożliwością czekać tak długo, aż państwa sojusznicze dojdą do porozumienia w sprawie Polski. Logika wojny z Niemcami wymagała, aby tyły sowieckie były zabezpieczone, a Komitet Lubelski stanowił wielką pomoc dla Armii Czerwonej przez cały czas i był powodem, dla którego rząd sowiecki podjął tę akcję. [Stalin] powiedział, że jest sprzeczne z linią polityki sowieckiej ustanawianie sowieckiej administracji na obcej ziemi, bo mogłoby to wyglądać jak okupacja i spotkać się z niechęcią miejscowej ludności. Z tego powodu trzeba było utworzyć jakiś rząd polski w Polsce, a to można było uczynić wyłącznie z tymi, którzy pomagali Armii Czerwonej. [Stalin] powiedział, że pragnie podkreślić, iż te kroki nie były podjęte z jakimkolwiek zamiarem wyeliminowania lub wykluczenia sojuszników Rosji. Musi jednak wskazać, że akcja sowiecka w Polsce była bardziej udana niż brytyjska akcja w Grecji i że Rosjanie nigdy nie byli zmuszeni do podjęcia środków, jakie [Anglicy] zastosowali w Grecji. Stalin następnie powrócił do swojej sugestii rozwiązania problemu polskiego.

MARSZAŁEK STALIN oznajmił, że jego zdaniem powinniśmy zastanowić się nad składem przyszłego Rządu Jedności Narodowej. Powiedział, że w obecnym rządzie polskim istnieje osiemnaście do dwudziestu stanowisk ministerialnych, i że cztery do pięciu tek należy dać przedstawicielom innych ugrupowań polskich, wziętym z listy przedłożonej przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone. (Mołotow szepnął coś do Stalina i ten ostatni dodał, że myśli o czterech a nie o pięciu stanowiskach w rządzie). Stwierdził, że w jego mniemaniu warszawscy Polacy nie zgodzą się na więcej niż na czterech ministrów z innych ugrupowań demokratycznych. Dodał, że jeśli to wydaje się odpowiednią bazą, możemy następnie rozważyć, jakie osoby powinny być wytypowane na te stanowiska. Powiedział, że muszą one być oczywiście przyjazne wobec ZSSR i wobec Sojuszników. Nadmienił, że sugerowano Mikołajczyka, i że jego zdaniem jest on do zaakceptowania, a teraz pozostaje pytanie kogo jeszcze wziąć pod uwagę.

---

2. **Podpisany w Moskwie 21 kwietnia 1945. Tekst w *United Nations Treaty Series*, tom XII, str. 391.**

Zapytał p. Hopkinsa, czy może profesor Lange byłby gotów wejść do rządu.

P. HOPKINS odparł, że wątpi czy profesor Lange, który jest obywatelem amerykańskim dałby się przekonać do zrzeczenia się obywatelstwa amerykańskiego w tym celu, ale że oczywiście jest to wyłącznie jego prywatna opinia.

MARSZAŁEK STALIN powiedział na to, że byłoby może rozsądnie zaprosić teraz niektórych przywódców warszawskich do Moskwy, wysłuchać co mają do powiedzenia i dowiedzieć się czegoś więcej o ich decyzjach. Dodał, że jeśli zdołamy uzgodnić skład nowego rządu, to w jego odczuciu nie pozostaną inne różnice, ponieważ wszyscy zgodziliśmy się na wolne i nieskrępowane wybory, i nikt nie zamierza się wtrącać do narodu polskiego.

P. HOPKINS odparł, że chciałby mieć nieco czasu na rozważenie sugestii Marszałka. [...]

Nr 27

Memorandum asystenta sekretarza stanu (Bohlena)

ŚCIŚLE TAJNE [MOSKWA,] 30 maja 1945.

MEMORANDUM Z CZWARTEJ ROZMOWY NA KREMLU, 30 maja, godz. 18.00.

Obecni: p. Hopkins, ambasador Harriman, p. Bohlen, marszałek Stalin, p. Mołotow, p. Pawłow.
Tematy: Rozdział floty niemieckiej,
Spotkanie głów państw,
Polska.

[...] P. HOPKINS powiedział następnie, że chciałby kontynuować dyskusję na temat Polski. Stwierdził, że wygłosi najpierw uwagę generalną. Historycznie ujmując, naród rosyjski, a od rewolucji narody Związku Sowieckiego nie ufały kolejnym rządom polskim i do pewnego stopnia narodowi polskiemu. Podobnie przez wiele lat naród polski obawiał się Rosji, a od rewolucji — Związku Sowieckiego. Powiedział, że na pierwszym spotkaniu wskazał Marszałkowi tak jasno jak tylko mógł, że Stany Zjednoczone nie tylko nie są zainteresowane utworzeniem *cordon sanitaire* wokół Rosji, ale że odwrotnie, są temu gwałtownie przeciwne, że Stany Zjednoczone nie mają interesów gospodarczych

o istotnym znaczeniu odnośnie Polski i że uważamy, iż USA, Związek Sowiecki i Wielka Brytania, pracując wspólnie nad utworzeniem nowego państwa polskiego przyjaznego względem Rosji mogłyby osiągnąć ogromne moralne i polityczne rezultaty w wysiłku na rzecz stworzenia autentycznej przyjaźni polsko-sowieckiej. Powiedział, że Związek Sowiecki, działając z Polską w pojedynkę, miałby o wiele trudniejsze zadanie i w tych okolicznościach Polska mogłaby pozostać kłopotliwym, a nawet zagrażającym obszarem dla Rosji. Jednakże gdy te trzy państwa autentycznie zbiorą się i będą współdziałały nad utworzeniem nowego państwa polskiego, uważamy, że będzie to miało najbardziej pomocny skutek w utworzeniu przyjaznej i niepodległej Polski, która byłaby prawdziwie przyjazna Związkowi Sowieckiemu.

MARSZAŁEK STALIN odparł, że się z tym zgadza. Nie było zamiarem ze strony rządu sowieckiego wykluczać Sojuszników — Anglii i Stanów Zjednoczonych — z udziału nad rozwiązaniem tego problemu.

P. HOPKINS zapytał, czy Marszałek przyjmuje za fakt, że udział USA i Wielkiej Brytanii będzie pomocny.

MARSZAŁEK STALIN odparł, że bez wątpienia, rozwiązanie będzie miało większą wagę, jeśli nastąpi przy współudziale trzech stron.

P. HOPKINS powiedział, że chciałby jeszcze raz zaakcentować powody naszej troski co do Polski, i w rzeczywistości do innych krajów, które geograficznie znajdują się z dala od naszych granic. Powiedział, że istnieją pewne fundamentalne prawa które, w razie ich ograniczenia lub odebrania, wywołują niepokój w Stanach Zjednoczonych. Stanowią one kardynalne elementy, które muszą istnieć, by stworzyć i utrzymać ustrój parlamentarny. Wymienił na przykład:

(1) Musi istnieć prawo swobody wypowiedzi, aby ludzie mogli mówić to, co pragną, prawo do zgromadzeń, prawo do swobodnego poruszania się, i prawo do praktyk religijnych w takim obrządku, jakiego ludzie pragną.

(2) Wszystkie partie polityczne prócz partii faszystowskiej i elementów faszystowskich, które reprezentują lub mogłyby reprezentować rządy demokratyczne, powinny mieć zapewniony dostęp, bez żadnego wyróżniania, do prasy, radia, do zebrań i innych form ekspresji politycznej.

(3) Wszyscy obywatele muszą mieć zapewnione prawo do procesów publicznych, obrony przez adwokata wedle własnego wyboru i prawo *habeas corpus*.

[Hopkins] stwierdził na koniec, że jeśli przyjmiemy te zasady

generalne, które byłyby podstawą przyszłych wolnych wyborów, jest przekonany, że znajdziemy sposoby i środki, aby uzgodnić metody wprowadzenia ich w życie. Zwrócił się następnie do Marszałka z pytaniem, czy zechciałby on skomentować ogólnie lub może bardziej szczegółowo owe uwagi generalne, które przedstawił w odniesieniu do podstaw nowego państwa polskiego.

MARSZAŁEK STALIN odparł, że te zasady demokracji są dobrze znane i że nie spotkają się one ze sprzeciwem ze strony rządu sowieckiego. Jest pewien, że rząd polski, który w swojej deklaracji[1] wymienił te właśnie zasady nie tylko nie zaoponuje, ale przyjmie je z zadowoleniem. Stwierdził jednak, że w odniesieniu do specyficznych swobód wspomnianych przez P. Hopkinsa, to mogłyby one obowiązywać tylko w czasach całkowitego pokoju, a wówczas także z pewnymi ograniczeniami. Powiedział, że na przykład partia faszystowska, której intencją jest obalenie rządów demokratycznych, nie może się w pełni cieszyć takimi swobodami. Po drugie, stwierdził, istnieją ograniczenia narzucone przez wojnę. Wszystkie państwa, gdy grozi im wojna, albo gdy ich granice nie są bezpieczne, uważają za konieczne wprowadzenie pewnych restrykcji. Tak czyniono w Anglii, we Francji, w Związku Sowieckim i gdzie indziej, i może w mniejszym stopniu w Stanach Zjednoczonych, które chronią szerokie oceany. Z tych powodów tylko w czasach pokoju można by rozważać pełne zastosowanie tych swobód. Na przykład, powiedział, w czasie wojny żadne państwo nie zezwoli na swobodne, nieograniczone korzystanie z nadajników radiowych, które można używać do przekazywania informacji wrogowi. Co do swobody wypowiedzi, pewne ograniczenia muszą być narzucone z uwagi na ochronę tajemnicy wojskowej. Co do aresztowań, to w Anglii w czasie wojny osobnicy niebezpieczni dla państwa byli aresztowani i sądzeni potajemnie; ograniczenia zostały nieco złagodzone, ale nie całkowicie w Anglii odwołane, ponieważ wojna w rejonie Pacyfiku nadal trwa.

Stalin oświadczył zatem, reasumując: (1) w czasie wojny swobody polityczne nie mogą obowiązywać w pełnym wymiarze. (2) Nie mogą one również dotyczyć bez zastrzeżeń partii faszystowskich pragnących obalić rząd.

MARSZAŁEK STALIN kontynuował, powołując się na przykłady z historii Rosji. Powiedział, że w czasie rewolucji rosyjska partia komunistyczna ogłosiła prawo do swobody wyznania jako jeden z punktów swojego programu. Patriarcha rosyjski[2] i cała

1. Dotychczas nie udało się ustalić, do jakiej deklaracji odnosiła się uwaga Stalina.
2. Tichon (Wasyli Iwanowicz Bieliawin).

istniejąca wówczas (hierarchia) kościelna obłożyli rząd sowiecki anatemą i zaapelowali do wszystkich członków Kościoła, aby nie płacili podatków, sprzeciwiali się poborowi do Armii Czerwonej, opierali się mobilizacji, nie pracowali, itd. Powiedział, że rząd sowiecki mógł jedynie wypowiedzieć wojnę Kościołowi, który zajął taką postawę. Dodał, że obecna wojna zmiotła ten antagonizm i teraz swobodę praktyk religijnych, jak obiecano, można Kościołowi przyznać.

P. HOPKINS powiedział, że w pełni rozumie opinie Marszałka. Dodał, że gdy prezydent Roosevelt odjechał po konferencji krymskiej, sądził że sprawa polska była praktycznie rozwiązana. Był więc uspokojony i zadowolony z sytuacji. P. Hopkins powiedział, że on i wszyscy inni przedstawiciele amerykańscy myśleli tak samo i wierzyli, że w bardzo krótkim czasie p. Mołotow, p. Harriman i Sir Archibald Clark Kerr będą mogli wprowadzić w życie decyzję krymską. Od tego czasu chorował, nie miał kontaktu z Waszyngtonem i jedynie śledził wydarzenia na podstawie doniesień prasowych oraz listów osobistych, jakie od czasu do czasu otrzymywał. Musi wyznać, że był zdezorientowany i zaniepokojony tym, że zdawały się następować jedne po drugich wydarzenia nie dopuszczające do wprowadzenia w życie decyzji, które dla wszystkich były jasne i pewne. Powiedział, że skoro ze swoją wiedzą czuł się zupełnie zdezorientowany co do prawdziwych tego przyczyn, łatwo sobie wyobrazić, jak zdezorientowane i zaniepokojone były masy społeczeństwa w Stanach Zjednoczonych. P. Hopkins stwierdził, że musi powiedzieć, słusznie lub niesłusznie, iż w silnym odczuciu społeczeństwa amerykańskiego Związek Sowiecki pragnie zdominować Polskę. Dodał, że nie jest to jego punkt widzenia, ale że jest on szeroko rozpowszechniony w Stanach Zjednoczonych i że zwolennicy współpracy międzynarodowej zastanawiają się, jak można dojść do porozumienia ze Związkiem Sowieckim, skoro nie możemy zgodzić się na kwestię polską. P. Hopkins dodał, że co do niego, to wierzy zdecydowanie, iż jeśli zdołamy ustalić wspólnie istotę tego, co chcemy widzieć w nowym państwie polskim, będziemy mogli pokonać trudności. On sam ma kłopoty w zrozumieniu bezpośrednich przyczyn niezgody, to jest interpretacji takich sformułowań jak rola istniejącego rządu w przyszłym Rządzie Tymczasowym Polski. Hopkins zakończył stwierdzeniem, że w jego mniemaniu trzy mocarstwa powinny zdołać w krótkim czasie rozwiązać sprawę.

MARSZAŁEK STALIN odparł, że jest to prawda, ale że jest niezbędne, aby trzy rządy autentycznie pragnęły rozwiązać tę sprawę. Jeśli któryś z nich potajemnie nie pragnie jej rozwiązania, wówczas powstają realne trudności.

P. Hopkins odpowiedział, że jeśli chodzi o rząd Stanów Zjednoczonych, nie mamy interesu w tym, aby widzieć kogoś związanego z obecnym Rządem Polskim w Londynie w składzie nowego Rządu Tymczasowego Polski i że on osobiście nie wierzy, aby Anglicy mieli taką ideę.

Nr 28

Memorandum doradcy Prezydenta i asystenta (Hopkinsa)

ŚCIŚLE TAJNE [MOSKWA,] 1 czerwca 1945.

MEMORANDUM Z ROZMOWY PODCZAS BANKIETU NA KREMLU, 1 czerwca 1945, godz. 20.00.

Obecni: p. Hopkins,
marszałek Stalin, p. Pawłow.
Temat: Polska.

Wczoraj wieczorem widziałem Stalina samego z tłumaczem — p. Pawłowem. Powiedziałem mu, że pragnę wryć mu usilnie w pamięć, jak nieprzychylne konsekwencje w Ameryce wywołało aresztowanie czternastu Polaków w Polsce, i specyficznie, że zostali oni oskarżeni jedynie za posiadanie nielegalnych nadajników radiowych. Przedstawiłem mu jasno sprawę, że nie mówię o innych oskarżonych o cięższe przestępstwa. Powiedziałem mu, że w moim mniemaniu nie będziemy mieć większych trudności z zaaprobowaniem listy nazwisk tych, którzy mogliby przybyć do Moskwy na konsultacje z komisją moskiewską, jeśli rozwiąże się tę sprawę. Dałem jasno do zrozumienia, że choć nic nie wiem na temat tej sprawy, to nawet jeśli Marszałek uważa, iż przestępstwo jest dużo poważniejsze niż nam się ono wydaje, byłoby w interesie dobrych stosunków rosyjsko-amerykańskich, gdyby zwolnił tych więźniów.

Powiedziałem marszałkowi Stalinowi, że jeśli rozwiązanie sprawy polskiej odłoży się do konferencji w Berlinie w dniu 15 lipca, wywoła to niekończące się kłopoty i przypuszczalnie pochłonie większość czasu na obradach berlińskich. Przedstawiłem stanowisko Ameryki wobec Związku Sowieckiego po wojnie i powiedziałem, że wierzymy jego licznym zapewnieniom, jakie nam przekazał, że Związek Sowiecki także pragnie mieć z nami trwałe

i przyjazne porozumienie, że my to przyjęliśmy za właściwe. Ale jeśli mamy to osiągnąć, powiedziałem mu, że musi się to odbyć w warunkach, które pozwolą prezydentowi Trumanowi na przekonanie amerykańskiej opinii publicznej.

Przypomniałem mu ponownie o licznych grupach mniejszości etnicznych w Ameryce, które nie są przychylne Związkowi Sowieckiemu i oświadczyłem z wielką mocą, że musi mi wierzyć, gdy mu powiadam, że całość naszych stosunków jest zagrożona impasem w sprawie Polski. Dałem Stalinowi ponownie jasno do zrozumienia, że Polska jest tylko symbolem, że Stany Zjednoczone mają równe interesy w odniesieniu do wszystkich krajów w tej części świata i jeśli mamy działać lub utrzymać nasze interesy na bazie trójstronnej, będzie to beznadziejne bez silnego poparcia ze strony amerykańskiej opinii publicznej. Powiedziałem mu, że nie ma nadziei na zjednanie przychylności pewnych grup mniejszości etnicznych na rzecz tego stanowiska przez wiele lat, może nawet nigdy to nie nastąpi, i jeszcze raz mu przypomniałem, że nie powinien zakładać, iż *Chicago Tribune* lub gazety Hearsta mają jakiś autentyczny wpływ na amerykańską opinię publiczną. Że mówię za miliony Amerykanów i w ich imieniu, którzy popierają politykę współpracy ze Związkiem Sowieckim.

Powiedziałem Stalinowi następnie, że w moim osobistym odczuciu nasze stosunki są zagrożone i że szczerze mówiąc, mam na ten temat wiele wątpliwości, oraz że nawet z moją głęboką znajomością sytuacji jestem szczerze mówiąc zdezorientowany pewnymi sprawami które się dzieją.

Stalin powiedział na to, że nie jest skłonny nakazać, aby zwolniono tych Polaków, którzy są jedynie oskarżeni o posiadanie nielegalnych nadajników radiowych. Oświadczył, że ma informacje dotyczące tych więźniów, niedostępne dla nas, i stwierdził, że wszyscy oni byli zaangażowani w to, co określił mianem działalności dywersyjnej. Oświadczył, że w jego mniemaniu Churchill wprowadził w błąd Stany Zjednoczone co do faktów i przekonał rząd amerykański, że oświadczenie londyńskiego rządu polskiego było ścisłe. Było akurat na odwrót.

Marszałek Stalin oświadczył, że nie dopuści, aby Anglicy kierowali sprawami Polski, a tego właśnie chcą. Niemniej stwierdził, że wierzy mi, gdy mu powiedziałem, że sprawa ta ma niekorzystny wpływ na opinię publiczną w Ameryce i że przyjmuje, iż jest to prawdą również w odniesieniu do opinii w Wielkiej Brytanii, a zatem jest skłonny uczynić co jest w jego mocy, aby ułatwić Churchillowi wyjście ze złej sytuacji, ponieważ jeśli i gdy wszystkie dowody zostaną ogłoszone, będzie to wyglądało bardzo

źle dla Anglików, a on nie chce jeszcze pogarszać sytuacji. Oświadczył, że ci ludzie muszą być sądzeni, ale że będą traktowani łagodnie, i wyraźnie dał do zrozumienia, że zamierza natychmiast rozważyć, co można by było uczynić w sprawie więźniów którymi się niepokoję, w celu wyjaśnienia całej sprawy.

W żadnym wypadku nie stwierdził on jednak, że nie zamierza ich sądzić. Zapytałem go, skoro zdecydował się na procesy, kiedy się one odbędą, przypominając, że jak długo sprawy będą w takim stanie, będzie to powodowało tarcia między nami wszystkimi[1].

Odpowiedział mi, że nie wie, ale że dowie się i da mi znać jutro. Powiedział, że musimy brać pod uwagę zarówno rosyjską opinię publiczną jak i amerykańską, że to rosyjskie siły zbrojne wyzwoliły Polskę, i że gdyby nie osiągnęły one zwycięstwa w Polsce z tak wielkimi stratami w ludziach, nikt by nie mówił o nowej Polsce. Powtórzył wielokrotnie, że wini Anglików za zmowę z londyńskimi Polakami, a ja za każdym razem mu przypominałem, że nie pragniemy popierać w jakikolwiek sposób Rządu Polskiego w Londynie.

Zakończyłem rozmowę mówiąc mu, że w moim mniemaniu realne rozwiązanie polega na całkowitym zwolnieniu tych ludzi, co oczyściłoby atmosferę nie tylko dla natychmiastowych dyskusji w sprawie Polski, ale i przygotowań do konferencji berlińskiej.

Powtórzył, że ci ludzie będą sądzeni, ale że da mi znać.

---

1. **Hopkins poruszył tę sprawę ze Stalinem ponownie 6 czerwca. Stalin odparł, że oświadczenia Hopkinsa weźmie w pełni pod rozwagę.**

Nr 30

Ambasador w Związku Sowieckim (Harriman) do Prezydenta

ŚCIŚLE TAJNE [MOSKWA,] 8 czerwca 1945.

Teraz, gdy Harry odjechał, sądzę, że spodziewa się Pan ode mnie krótkiego raportu z tej wizyty.

Nie ulega wątpliwości, że gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się ze Stalinem, był on głęboko zaniepokojony niekorzystnym rozwojem wydarzeń w ciągu trzech ostatnich miesięcy w stosunkach między naszymi krajami. Zdecydowane stanowisko, jakie prezydent Roosevelt zajął przed śmiercią i jakie Pan zajął w szeregu

kwestii, przyniosło rezultaty. [Stalin] ujawnił jednak, że nie rozumie w pełni przyczyn tych trudności. Na początku rozmów przystąpił do ataku, skarżąc się na nasze karygodne czyny i agresywnie twierdził, że jeśli nie zamierzamy rokować na przyjaznych podstawach ze Związkiem Sowieckim, jest to kraj wystarczająco silny, aby troszczył się o siebie sam. Był wyraźnie zadowolony widząc Harry'ego i przyjął bez zastrzeżeń, że wysłał go Pan, by wykazać pragnienie współpracy z nim (Stalinem). Harry doskonale się spisał przy prezentacji Pana poglądów i w wyjaśnieniu najważniejszych spraw, szczególnie Polski, która powoduje tyle niepokoju.

Obawiam się, że Stalin nie rozumie i nigdy w pełni nie zrozumie naszych interesów odnośnie wolnej Polski jako kwestii zasad. Jest on realistą we wszystkich swych działaniach i jest mu trudno docenić naszą wiarę w abstrakcyjne zasady. Jest mu trudno zrozumieć dlaczego pragniemy mieszać się do polityki sowieckiej wobec takiego kraju jak Polska, którą on uważa za tak ważną dla bezpieczeństwa Rosji, chyba że mamy ukryte motywy. Uznał jednak, że musimy działać z pozycji jaką zajęliśmy i ponadto, jak wynika ze wszystkich raportów, jakie otrzymujemy z terytorium Polski, potrzebuje on naszej pomocy i pomocy Wielkiej Brytanii w osiągnięciu stabilnej sytuacji politycznej w tym kraju.

Jak już Panu chyba powiedziałem, byłem pewien, że Mołotow nie informował Stalina dokładnie, i w rzeczywistości zgodnie z prawdą, we wszystkich wypadkach. To znów wyszło w naszych rozmowach. Jest także oczywiste, że Mołotow jest dużo bardziej podejrzliwy względem nas niż Stalin i mniej gotowy do omówienia kwestii naszych wzajemnych stosunków z szerokiej perspektywy. Fakt, że mogliśmy zobaczyć się ze Stalinem sześć razy i bezpośrednio z nim rozmawiać, był wielką pomocą. Jeśli można by go było widywać częściej, wiele naszych trudności dałoby się pokonać.

Chociaż zgoda na rozpoczęcie konsultacji z Polakami w Moskwie jest wielkim krokiem naprzód, obawiam się, że będziemy mieć kłopoty z Mołotowem, kiedy dojdzie do rozwiązywania szczegółów dotyczących reorganizacji rządu warszawskiego. On przypuszczalnie nie będzie kontynuował [obrad] w duchu naszych ostatnich rozmów, a i sami Polacy też będą trudni. Jednakże mam nadzieję prowadzić konsultacje z mojej strony w taki sposób, że albo dojdziemy do konkluzji, albo na tyle jasno wskażemy trudności, aby umożliwić Panu osiągnięcie ostatecznych wniosków ze Stalinem, kiedy spotka go Pan z Churchillem. [...]

Oryginał w archiwum Franklin Delano Roosevelt, Hyde Park, NY USA

MEMORANDUM HARRY L. HOPKINSA, DORADCY PREZYDENTA TRUMANA

13 czerwca 1945

Jedną z trudności w układach na temat Polski w Moskwie był fakt, że prezydent Truman posłał mnie [tam] bez uprzedniego omówienia [polskiego problemu] z Churchillem.

Mimo, że [Truman] poinformował go [Churchilla] o zbliżającej się mojej podróży do Moskwy, żaden z przedstawicieli rządu brytyjskiego nie był obecny w czasie moich rozmów ze Stalinem, a ja też nie byłem w sytuacji pozwalającej na bezpośrednie konwersacje z Churchillem.

Na szczęście, Clark Kerr, brytyjski ambasador w Moskwie, był moim starym przyjacielem i życzliwie odnosił się do mojej wizyty w Moskwie; jestem pewien, że raportował wszystko z detalami brytyjskiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych i Churchillowi. Co więcej, on [Kerr] sugerował Churchillowi dopingując go, aby Brytyjczycy nas popierali. Kerr powiedział mi, że Churchill był bardzo poruszony tą całą sprawą, ale że sam niewiele mógł powiedzieć [na ten temat], gdyż było w jego interesie politycznym, aby układy dotyczące polskiego problemu [zostały załatwione] przed brytyjskimi wyborami.

Kiedy przyjechałem do Frankfurtu [w drodze powrotnej z Moskwy], oczekiwał na mnie pilny telefon od Churchilla, na który odpowiedziałem. On [Churchill] zażądał, abym przyjechał do Londynu. Ja się ociągałem, mówiąc mu, że nie jestem zdrów i że powinienem wrócić natychmiast [do Waszyngtonu], ale że go poinformuję, i że w żadnym wypadku nie pojadę [do Anglii] bez uprzedniej aprobaty prezydenta [Trumana]. Czułem, że to nie byłoby rozsądne abym najpierw pojechał do Anglii i widział się z Churchillem zanim zdam raport Trumanowi [i dlatego] nie zachęcałem do tego Churchilla.

Churchill zatelegrafował do Trumana, który odpowiedział negatywnie. Ja o tym dowiedziałem się dopiero po przyjeździe do Paryża. Churchill zatelefonował do mnie jeszcze raz do Paryża i powiedział mi, że Truman [przesłał mu odpowiedź]. [Churchill] był tym bardzo zawiedziony. Powiedziałem mu, że w tej sprawie nic więcej nie mogę zrobić, i że w każdym wypadku moje zdrowie

jest w takim stanie, że powinienem zakończyć jakąkolwiek działalność i jechać wprost do domu.

◆

Scenariusz okoliczności: Hopkins był w ZSSR trzy raz w czasie wojny. Memorandum dotyczy trzeciej i ostatniej wizyty.

1. Przyleciał do Moskwy 26 maja 1945, odleciał 7 czerwca 1945.
2. Miał sześć spotkań ze Stalinem plus prywatne kolacje.
3. Wrócił do Waszyngtonu via Frankfurt i Paryż 12 czerwca 1945.
4. Na drugi dzień rano jadł śniadanie z Trumanem.
5. Tego samego dnia podyktował memorandum.

Kazimierz NARUTOWICZ

RELACJA O DZIAŁALNOŚCI NA POLU STOSUNKÓW POLSKO-LITEWSKICH W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

(datowana 10 listopada 1980 roku)

Przedmiotem niniejszej relacji jest podjęta przeze mnie w latach 1934-1937 próba kontynuowania wysiłków mojego ojca, Stanisława Narutowicza, nad „pogodzeniem Litwy z Polską". Dotyczyła ona zatem problemu wyjątkowo trudnego i skomplikowanego. Zdaję sobie w pełni sprawę, jak bardzo niełatwe będzie dla ewentualnego czytelnika należyte zrozumienie omówionych poniżej wydarzeń. Należy jednak pamiętać, że w tamtych latach korzystałem z nieograniczonego *kredytu zaufania osobistego* obu stron. Było to możliwe dzięki wysokiemu, nigdy przez nikogo nie kwestionowanemu *autorytetowi moralnemu* zarówno mojego ojca, jak i jego brata, Gabriela Narutowicza, pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej. Do nazwisk ich obu musiałem się bowiem odwoływać w trakcie moich poczynań. Życiorys Stanisława Narutowicza i Jego charakterystyka jest podana w moim opracowaniu pt. „Próba naszkicowania sylwetki mojego ojca, Stanisława Narutowicza, jakim Go pamiętam".

Wspomniany powyżej list Ojca stał się dla mnie jak gdyby *testamentem*. Nie od razu jednak zacząłem go realizować; zbyt wiele przyczyn stało temu na przeszkodzie. Trudno je wymienić w skrócie.

Przede wszystkim zbyt mocno tkwiła we mnie *polskość*. I to od czasów najwcześniejszego dzieciństwa. Była ona wtedy na tyle silna, że nawet moją nianię, rodowitą Żmudzinkę, do której byłem bardzo przywiązany, nauczyłem mówić po polsku, zamiast — odwrotnie — nauczyć się od niej po żmudzku. Przyczyniła się do tego, być może, również wrodzona przekora. Poza tym od wczesnego dzieciństwa wytworzył się we mnie kult mojego stryja Gabriela, któremu towarzyszył wzrastający krytycyzm wobec poglądów i kierunku działalności mojego Ojca.

W czasie pierwszej wojny światowej wyjechaliśmy z matką i pozostałym rodzeństwem do Rosji, gdzie spędziliśmy trzy lata (w mieście Rosławl, guberni smoleńskiej). Tam obracaliśmy się w otoczeniu wyłącznie polskim. Mieszkaliśmy pod jednym dachem (u mojego wujostwa Zajkowskich) z rodziną Wojciechowskich. Z synem drugiego prezydenta Polski, Stanisława Wojciechowskiego, Mundkiem (Edmundem), byłem wtedy blisko zaprzyjaźniony. Siostra moja Zofia była w tym czasie „prawą ręką" S. Wojciechowskiego, wybitnego działacza Centralnego Komitetu Obywatelskiego, który opiekował się uchodźcami z Polski. Moja siostra zorganizowała wówczas m.in. szkołę rzemiosł dla dziewcząt polskich, szereg ochronek dla dzieci itd. Po powrocie z Rosji uczęszczałem do gimnazjum polskiego im. Adama Mickiewicza w Kownie, w którym uzyskałem maturę (w roku 1924). Tam też poznałem moją żonę, Krystynę Ławcewiczównę. Dom nasz był zdecydowanie polski.

Działalność polityczną (nad „pogodzeniem Litwy z Polską") podjąłem z dużymi oporami. Na decyzję tę złożyło się kilka okoliczności. Przede wszystkim wspomniany już list przedśmiertny Ojca. Śmierć Jego przeżyłem bardzo głęboko. Było mi Go bardzo żal; tyle wysiłków złożonych w ofierze sprawie, w którą wierzył tak mocno, podejmowanych w najczystszych intencjach i na najwyższym poziomie moralnym. Rozterkę moją pogłębiała świadomość krzywdy, jaką wyrządzałem w przeszłości mojemu Ojcu, ustosunkowując się krytycznie do Jego poglądów i pozwalając sobie równocześnie w mojej świadomości na wzrost kultu dla stryja, Gabriela Narutowicza.

Następnie dość ciekawa okoliczność, którą warto przytoczyć. Otóż po tragicznej śmierci Ojca moja Matka otrzymała list kondolencyjny od A. Smetony, ówczesnego prezydenta Litwy, napisany w bardzo przyjemnej formie. Należał on, obok ks. Mironasa i kilku innych osób, do najzagorzalszych przeciwników politycznych Ojca z czasów Taryby. Nasi krewni, Litwini (z rodziny Zubowów) przekonali mnie, że powinienem podziękować — w imieniu Matki — prezydentowi Smetonie za ten list. Przyjął mnie bardzo uprzejmie, wspominając o współpracy z moim Ojcem w Tarybie. Wspomniałem mu wówczas, że gdyby uważał to za potrzebne, i obecnie zawsze jestem gotów się przyczynić do wysiłków mojego Ojca nad „pogodzeniem Litwy z Polską". Prezydent Smetona uśmiechnął się na to, później się zamyślił i pa-

trząc przez okno, po dłuższej chwili milczenia powiedział: „Tak trudno jest zapomnieć, gdy się doznało kiedyś dużo upokorzenia...". Pożegnałem się z nim i odszedłem. Wizyta ta i rozmowa wpłynęły również na moją decyzję.

W marcu 1933 roku wyjeżdżał do Polski mój kuzyn, Włodzimierz Zubow (syn Włodzimierza, żonatego z Zofią Billewiczówną, starszą siostrą mojej Matki). Zasięgał on mojej rady, zarówno przed wyjazdem do Polski, układając treść przewidywanej rozmowy z Marszałkiem Piłsudskim, jak i po powrocie na Litwę. Rozmowy te nie przyniosły, jak wiadomo, żadnych konkretnych wyników.

W listopadzie 1934 roku zdecydowałem się na wyjazd do Warszawy. Zamieszkałem tam u mojej siostry, Zofii Krassowskiej, która pomagała mi z dużym zaangażowaniem w stawianiu pierwszych kroków nad spełnieniem moich zadań. Za pośrednictwem mojej kuzynki, Marii Juchniewiczówny (córki rodzonej siostry Marszałka Piłsudskiego) rozpocząłem starania o spotkanie z nim samym. Poznałem w tym czasie panią Piłsudską, która również dużo mi pomagała. Byłem w towarzystwie mojej siostry na tzw. „czwartku" w Belwederze, mając nadzieję, że mi się uda zostać przedstawionym Marszałkowi Piłsudskiemu. Jednakże wbrew ogólnemu oczekiwaniu Marszałek nie ukazał się tego wieczoru. Podobno czuł się już wtedy niedobrze. Jak się dowiedziałem później, był to początek Jego choroby, na którą zmarł w dniu 12 maja 1935 roku.

Za radą i pośrednictwem pani marszałkowej Piłsudskiej zawarłem później znajomość z pułkownikiem Walerym Sławkiem. Skierował on mnie do Michała Romera, który był wówczas rektorem Uniwersytetu im. Witolda Wielkiego w Kownie. Ten ostatni nie chciał w ogóle rozmawiać ze mną o stosunkach polsko-litewskich. Po rozejrzeniu się następnie w Warszawie i w Kownie, zatrzymałem się na myśli o konieczności nawiązania *kontaktów handlowych* pomiędzy Polską a Litwą.

Rozpoczął się okres, który określiłem kiedyś w rozmowie z moją żoną jako okres „drapania się po stromej ścianie na wieżę szklaną"; nie było nic, za co można było się uchwycić. Szukałem — w Kownie i w Warszawie — odpowiednich ludzi, których by można było zainteresować obchodzącą mnie sprawą i którym by można było zaufać. Powstała wtedy myśl utworzenia w Kownie i w Warszawie dwóch współpracujących ze sobą grup typu — modnego wówczas — „G.M.b.H." (Towarzystwa z Ograniczoną Odpowiedzialnością). W poszukiwaniu odpowiednich ludzi kierowałem się następującymi kryteriami: zrozumienie dla potrzeby odprężenia w stosunkach polsko-litewskich oraz zaufanie do dobrej woli i rzetelności wytypowanych osób. Chodziło o ludzi mających odpowiednie powiązania i wpływy, uczulonych przy tym na możliwości pewnego zarobku, a zarazem bardzo uczciwych.

W trakcie rozglądania się i rozmów (w Kownie) z osobami wytypowanymi, a zwłaszcza w rozmowie z jedną z nich padło, zdanie: „Przecie ja dobrze się orientuję, o co Panu chodzi. Panu nie chodzi wcale o zarobek, ani o handel w ogóle. Panu chodzi o coś głębszego. Niech Pan porozmawia z moim wujem, Tadeuszem Pietkiewiczem (Tadas Petkevičius). Podam Panu jego adres i numer telefonu". Był to znany na Litwie prawnik, doradca prawny MSZ i osobiście bliski ministrowi Łozorajtisowi. Był on w tym czasie wykładowcą na Uniwersytecie Kowieńskim (docentem). Długie rozmowy jakie z nim prowadziliśmy przekonały mnie, że do tego człowieka można mieć pełne zaufanie. Stał się on z czasem moim stałym łącznikiem z ministrem Łozorajtisem.

W Warszawie, w której byłem znowu wiosną 1935 roku, szukałem również odpowiednich ludzi i kontaktów. Pomagała mi w tym pani marszałkowa Piłsudska. Skontaktowała mnie z generałem Głuchowskim. Przyjął mnie bardzo uprzejmie, ale powiedział, że niewiele może mi pomóc, bo mało się zna na sprawach, które mnie interesują i skierował mnie do swego dobrego znajomego, ówczesnego pułkownika T. Pełczyńskiego. I tu mną zatrzęsło, bo był to (jak się dowiedziałem później) szef II Oddziału Sztabu. Pomyślałem wtedy: „Ładnie trafiłem". Po pierwszej rozmowie z nim zatrzęsło mnie jeszcze mocniej. Zaczęła się ona w sposób następujący: on posadził mnie na krzesełku i zaczął pytać — data urodzenia, życiorys itd. Musiał wypełnić „ankietę personalną". Mówiłem coraz gorzej i drętwiejąc w środku myślałem tylko, jak się stąd wydostać i więcej nie pokazać. W pewnej chwili, po wypełnieniu „ankiety", p. Pełczyński zupełnie się odmienił. I poczułem, że jest to człowiek, do którego można się odnosić z zupełnym zaufaniem. Był to odpowiednik doc. Pietkiewicza w Kownie. Przyszłość potwierdziła moje wrażenie. I tych dwóch ludzi, nazwiskiem na „P", stało się moimi doradcami duchowymi w Warszawie i w Kownie.

Pełczyński występował nie jako szef „dwójki", lecz zajął się gruntownie sprawą, którą żyłem, po prostu jako człowiek rozumiejący mnie i moje dążenia. I tak samo jak w Kownie z Pietkiewiczem, nastąpiły z Pełczyńskim wielogodzinne rozmowy, u niego w domu. Dał się wciągnąć, zapalił się osobiście do sprawy. W Warszawie nazywano go wtedy „polską Joanną d'Arc" za jego wysokie morale. To był naprawdę wyjątkowy człowiek, można mu było zupełnie zaufać.

Miałem jeszcze kontakt za pośrednictwem pani Piłsudskiej z Marianem Kościałkowskim, ówczesnym premierem. Ten się bardzo zapalił do moich projektów, zaczął się gorąco opiekować mną i moimi poczynaniami. Bardzo mu odpowiadała moja koncepcja utworzenia dwóch „Spółek z Ograniczoną Odpowiedzialnością" — ze strony polskiej i litewskiej — i nawiązania kontaktów handlowych. Obiecał wszelką pomoc. Wyznaczył swojego szwagra, czy kuzyna, mecenasa Raczkiewicza, który miał przyjechać do Gdańska.

I była taka chwila, że w Kownie, po bardzo wielu rozmowach z doc. Pietkiewiczem i po bardzo wielu naradach — brał w nich także udział dyrektor Departamentu Handlowego MSZ, Norkajtis i poważnie był już informowany min. Łozorajtis — ustalono *pułap wymiany handlowej i szczegółowy wykaz towarów.* Kosztowało to dużo wysiłków; były to tygodnie nerwowej i wysilonej pracy. Nareszcie udało się do tego doprowadzić, bo wtedy był *moment właśnie sprzyjający,* zaczęło się bowiem *zagrożenie Kłajpedy.* Litwini, zwłaszcza rząd Smetony, byliby skłonni już nawiązać kontakt z Polską, ażeby znaleźć *ochronę przed zakusami niemieckimi.* Udało mi się doprowadzić do mojego wyjazdu do Gdańska w towarzystwie naczelnego dyrektora Lietukisa (była to centrala handlowa), Dagysa. Lecieliśmy z nim razem samolotem do Gdańska, gdzie miał przyjechać mecenas Raczkiewicz. Ten przyjechał, ale nie przywiózł nic. Można sobie wyobrazić moją sytuację. Chciałbym w tym momencie zapaść się pod ziemię, na to p. Dagys powiedział: „Panie Narutowicz, niech się pan nie martwi, jedź pan do Warszawy i staraj się tam wszystko naprawić, a ja pojadę do Kowna i powiem p. Łozorajtisowi i innym, że pan starał się zrobić wszystko co możliwe". Jak widać, był to przyzwoity człowiek.

Pojechałem więc z Gdańska do Warszawy. Opowiedziałem wszystko pułkownikowi Pełczyńskiemu. Rozmawiałem z nim bardzo długo i opowiedziałem szczerze o całym niepowodzeniu. On się przejął i tu zrozumiałem, że obaj popełniliśmy błąd taktyczny, starając się „obejść" min. Becka. Nie wiedziałem wówczas, z kim mamy do czynienia. Za poradą i pośrednictwem pułkownika Pełczyńskiego rozmawiałem dwukrotnie z marszałkiem Śmigłym-Rydzem. Opowiedziałem o niepowodzeniu w Gdańsku. Obiecał porozmawiać z Beckiem. Pojechałem do Kowna i po raz drugi przyjechałem do Warszawy — po odpowiedź marszałka Śmigłego. Było to pod koniec roku 1936. Marszałek Śmigły-Rydz był bardzo miły w obejściu, rozłożył ręce i powiedział z czarującym uśmiechem, że nic nie może wskórać u ministra Becka.

Z Beckiem rozmawiałem w ogóle pięciokrotnie (zawsze na Krakowskim Przedmieściu 5). Rozmowy te należały do najtrudniejszych. Litwinom chodziło o spełnienie przez stronę polską tylko jednego warunku wstępnego, mianowicie przepuszczenie przez terytorium Polski kilku pociągów z Litwy z bekonami do Czechosłowacji. Minister Łozorajtis dawał przy tym do zrozumienia, że sama sprawa przepuszczenia transportu z bekonami merytorycznie nie ma decydującego znaczenia. Chodzi natomiast o stworzenie na Litwie odpowiedniego klimatu, który jest mu osobiście potrzebny dla pchnięcia z martwego punktu sprawy nawiązania stosunków z Polską.

Wiedziałem, że nieprzejednane stanowisko ministra Becka wiązało się z tym, że Marszałek Piłsudski miał oświadczyć kiedyś, że w stosunkach z Litwinami nie może być „żadnych furtek ubocz-

nych"; albo wszystko (to znaczy nawiązanie stosunków dyplomatycznych), albo nic. Zasady tej trzymał się — w stosunkach z rządem litewskim — minister Beck.

W międzyczasie do Kowna przybył Tadeusz Katelbach, korespondent *Gazety Polskiej;* jego odpowiednikiem w Warszawie był Walentinas Gustainis, korespondent „Lietuvos Aidas". Jeden i drugi starali się być nieoficjalnymi reprezentantami w krajach, między którymi nie było żadnych stosunków. Poznałem jednego i drugiego, bardzo często rozmawialiśmy i byliśmy nawet zaprzyjaźnieni — zarówno z panem Katelbachem, jak i z panem Gustainisem. Jeden i drugi znali moje dążenia.

Przy końcu 1936 roku czy na początku roku 1937 (nie pamiętam dokładnej daty) nastąpiło zerwanie i wyjazd Katelbacha z Kowna, Gustainisa z Warszawy i zaczęła się na całego polityka obustronnych retorsji.

Wtedy za pośrednictwem pana Pietkiewicza poprosił mnie do siebie minister Łozorajtis i zapytał, czy nie podjąłbym się — wobec braku innych możliwości — roli „ostatniej, jeszcze nie zerwanej, niteczki". Po namyśle wyraziłem zgodę na propozycję ministra Łozorajtisa i rozpoczęła się moja rola łącznika między ministrem Beckiem a ministrem Łozorajtisem. Wtedy — był to rok 1937 — jeden i drugi przyjmowali mnie już bezpośrednio w ministerstwie. Był to okres może najtrudniejszy dla mnie. U ministra Becka po raz ostatni byłem w końcu roku 1937. Jadąc na tę rozmowę miałem kartkę z napisanymi ręką ministra Łozorajtisa propozycjami formuły nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską i pewnych warunków obejścia sprawy Wilna. To była jeszcze nieśmiała próba. Na tej kartce była mowa o tym, że Litwa zamierza dążyć do odzyskania Wilna tylko w drodze środków pokojowych; to zdanie zapamiętałem. Minister Łozorajtis prosił mnie, żeby to przed doręczeniem ministrowi Beckowi przepisać na maszynie i żeby to przepisywała osoba bardzo zaufana w Warszawie. Przepisywała to moja kuzynka, obecnie już nieżyjąca. Kartkę tę przekazałem ministrowi Beckowi. Nie pamiętam dokładnie treści rozmowy. Niestety, nie mam żadnych notatek — wszystko mi zaginęło w czasie drugiej wojny.

Nic nie wiedziałem, że w tym czasie były rozpoczęte rozmowy innym kanałem, między Tyszkiewiczem a księdzem Mironasem. Zwykle jeden kanał nic nie wie o drugim. Piszą o tym liczni historycy, między innymi prof. P. Łossowski, H. Wizner i inni. Pisze o tym także historyk litewski K. Navickas. Ja nic o tym nie wiedziałem i spokojnie czekałem w domu na telefon z Kowna. Wróciłem do domu tuż przed świętami Bożego Narodzenia po doręczeniu ministrowi Łozorajtisowi odpowiedzi ministra Becka. Odpowiedź ta była nieokreślona, nie pamiętam jej treści. W każdym razie coś tam było, skoro miałem uzyskać odpowiedź na nią z Kowna. Odpowiedź nie nadeszła, gdyż w międzyczasie było oczekiwanie na wynik rozmowy tym drugim kanałem, Tyszkiewicza i Mironasa. Jak się potem dowiedziałem, mieli się spotkać

w Gdańsku. Miał tam przyjechać przedstawiciel Litwy, ale nie przyjechał.

Ultimatum w marcu 1938 roku spadło jak piorun z jasnego nieba. Po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między Polską a Litwą przebywałem często w Warszawie, bo uważałem, że niezależnie od niepowodzenia moich poczynań muszę doprowadzić do utrwalenia stosunków handlowych. Pilnowałem tych spraw, gdyż uważałem, że mogą się przydać. Chciałem dopilnować po prostu, żeby sprawy te rozwijały się w odpowiednim kierunku.

Kazimierz NARUTOWICZ

Kazimierz Narutowicz urodził się 7 lutego 1904 roku w Kaliszu. Był synem Stanisława, działacza społecznego i gospodarczego na Żmudzi, oraz bratankiem Gabriela, pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej. Ukończył polskie gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Kownie, praktykę rolniczą odbył w Danii, a studia rolnicze w Nancy we Francji, po czym objął rodzinne Brewiki koło Tolsz na Żmudzi. Spełniając wolę ojca, pracował na rzecz porozumienia polsko-litewskiego.

W czasie wojny został zesłany do Ałtajskiego Kraju, a następnie za koło podbiegunowe; trudził się rybołówstwem.

Po powrocie do kraju w 1947 roku pracował naukowo jako docent w Instytucie Krajowych Włókien Naturalnych, będąc autorem prac z zakresu normalizacji surowców włókienniczych i twórcą systemu klasyfikacji włókien łykowych.

Prawdziwy naukowiec, człowiek wielkiej kultury, powagi i rzetelności, ceniony partner we współpracy krajowej i zagranicznej, przysporzył krajowi licznych kontaktów dzięki swej bogatej osobowości i znajomości wielu języków. Był gorącym patriotą, wzorem zachowania i szlachetności w postępowaniu.

Ożeniony z Krystyną z Ławcewiczów, miał dwie córki, Wandę i Annę, którą stracił na Sybirze, gdy miała 8 lat.

Zmarł 22 maja 1987 roku w Poznaniu.

Krystyna RAWA,
Jadwiga FĘGLERSKA

POLEMIKI

Bogdan STACHIEWICZ

GEN. W. STACHIEWICZ A KAMPANIA WRZEŚNIOWA[1]

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 84 *Zeszytów Historycznych* ukazał się artykuł p. Z. S. Siemaszki zatytułowany „O Kampanii Wrześniowej". Spowodowany on został ukazaniem się czwartej części tomu I-go wydawnictwa Komisji Historycznej Sztabu Głównego w Londynie „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej[2]".

Artykułu p. Siemaszki nie można nazwać recenzją tej ostatniej części „Kampanii Wrześniowej". Są to raczej jego osobiste poglądy zawierające, jak to często u nas bywa, subiektywną krytykę polskiego wysiłku wojskowego nie popartą odpowiednią dokumentacją, która daje raczej jednostronny obraz tego, jak to naprawdę było.

Zanim przystąpię do komentowania zapatrywań p. Siemaszki, chcę przytoczyć parę szczegółów dotyczących pracy Komisji Historycznej nad „Kampanią Wrześniową".

Rozpoczęto te prace już w roku 1945. Początki nie były

1. Autor tego tekstu, Bogdan Stachiewicz, jest synem śp. gen. Wacława Stachiewicza, Szefa Sztabu Głównego w latach 1935-1939.

2. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, tom I, *Kampania wrześniowa*, część 4-ta — Instytut Polski, Londyn 1986.

obiecujące. Klimat zacietrzewienia politycznego panujący wówczas w Londynie i chęć pozostawienia w historii ujemnych ocen o przeciwnikach politycznych, to jest o kierownictwie Polski przedwojennej, nie sprzyjały obiektywności w pierwszych opracowaniach o naszych przygotowaniach do wojny. Sytuację pogarszał częsty brak materiałów źródłowych i skłonność niektórych autorów do wydawania sądów przed ustaleniem faktów. Opierano się wtedy często na dużej ilości relacji napisanych przez oficerów, którzy przybyli do Francji po kampanii wrześniowej w latach 1939-1940. Relacje te w dużej większości nie przedstawiały żadnej wartości historycznej, gdyż były obowiązkowo wymagane przez rząd gen. Sikorskiego i decydowały o przydziałach i często nawet o przyjęciu do Armii Polskiej we Francji. Pułkownik dypl. Józef Jaklicz, zastępca Szefa Sztabu do spraw operacyjnych, tak pisze w swoich pamiętnikach[3]:

(Sikorski) „... Zmuszał wojskowych... do sprawozdań, z których wynikałaby wina ich przełożonych. Im więcej opluty został przełożony, tym szybsza była weryfikacja, tym szybszy przydział, tym wyższe dostojeństwo... Wewnętrzna wartość moralna armii polskiej odtwarzanej we Francji — przedstawiała obraz gangreny...".

O przyjęciu, jakiego doznał po przyjeździe do Francji w listopadzie 1939 roku gen. Jaklicz w swym liście do gen. Sikorskiego tak pisze[4]:

„... W tym czasie gen. Modelski niedwuznacznie dał mi do zrozumienia, że przyjęcie mnie do wojska uzależnione jest od stopnia spodziewanego u mnie upodlenia, tj. treści mego sprawozdania. które ma dać argumenty dla sformułowania oskarżenia pod adresem Szefa Sztabu Głównego, gen. Stachiewicza i Naczelnego Wodza, Marszałka Rydz-Śmigłego...".

Gen. Jaklicz miał dość charakteru, aby oprzeć się temu naciskowi, ale wielu innych uległo i napisali relacje, które niektórzy z nich chcieli po wojnie wycofać z archiwów.

Komisja Historyczna miała również dostęp do wielu artykułów i publikacji, które zaczęły się pojawiać zaraz po skończeniu wojny. Były one pisane przeważnie przez oficerów niższych stopni, którzy nie mieli żadnych kwalifikacji do wydawania sądów o naszym wysiłku wojskowym, ale którzy bez umiaru szafowali zarzutami i krytyką, przeważnie powodowaną ich zapatrywaniami politycznymi lub osobistymi pretensjami.

3. J. Jaklicz, „Z zeszytów gen. Józefa Jaklicza" — *Zeszyty Historyczne* nr 82, listopad 1987, str. 143.

4. Prywatny list gen. Jaklicza do gen. Sikorskiego pod datą 20 grudnia 1940 — moje archiwum.

Niektórzy dowódcy armii z kampanii wrześniowej również napisali swoje relacje, które ukazywały się potem w kraju w formie książek. Starali się oni usprawiedliwić swoje postępowanie w czasie kampanii. W wypadku gen. J. Rómmla[5] doprowadziło to do wypaczania prawdy i fałszowania dat[6].

Toteż pierwsze opracowania „Kampanii Wrześniowej" przez Komisję Historyczną nie były obiektywne i wymagały poprawek.

Sytuacja zmieniła się pod koniec 1946 roku, kiedy kierownictwo prac objął gen. S. Kopański, wyznaczając na przewodniczącego Komisji płk. dypl. S. Lityńskiego. Dobrano nowy skład Komisji, który z czasem chlubnie osiągnął postawiony sobie cel, że:

„... Opracowanie ma dać wierny obraz wysiłku Polskich Sił Zbrojnych dokonanego dla obrony i odzyskania niepodległości Rzeczypospolitej, podając tylko bezsporne fakty i ich związki przyczynowe[7]...".

Aby wykonać swe zadanie i uniknąć kontrowersji, Komisja słusznie zdecydowała, że jej praca obejmie początkowo jedynie stwierdzenie „bezspornych faktów", a oceny i opinie będą przedstawione w przyszłości w osobnym opracowaniu. Jeszcze w roku 1960 mówił mi płk dypl. Henryk Piątkowski, że mają zamiar zabrać się do pisania ocen, jak tylko sytuacja finansowa się poprawi.

Nie dało się tego zrealizować, ale może dzięki temu dzieło Komisji Historycznej[8] stanowi jedną z bardzo niewielu prac, które uczciwie i bezstronnie przedstawiają przebieg wszystkich działań na froncie polskim i przygotowanie naszej armii do wojny.

Chcę tu podkreślić olbrzymią zasługę wszystkich autorów „Kampanii Wrześniowej", a przede wszystkim pułkowników Stanisława Lityńskiego i Adama Sawczyńskiego, którzy w niezmiernie ciężkich okolicznościach dokonali pracy o pierwszorzędnej wartości historycznej.

Część 4-ta „Kampanii Wrześniowej" opisująca okres 14-18 września 1939 roku, która ukazała się w roku 1986, była zasadniczo wykończona już w roku 1964. O ile mogę się zorientować,

---

5. J. Rómmel, *Za Honor i Ojczyznę*, Warszawa 1958. Patrz także *Zeszyty Historyczne* nr 50, grudzień 1979, str. 127.

6. Notatka rozmowy z płk. A. Sawczyńskim z Komisji Historycznej w styczniu 1960 — moje archiwum.

7. Dyrektywa Szefa Sztabu Głównego l. dz. 709/s.s./46 z dnia 10 grudnia 1946 dla przewodniczącego Komisji Historycznej.

8. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, tom I, *Kampania wrześniowa*.

nie porobiono przed publikacją żadnych zmian w tekście, do tego stopnia, że wydawcy nie uważali nawet za stosowne uwzględnić komentarzy osób, do których płk Sawczyński zwrócił się w roku 1964 z prośbą o opinie i uwagi. Pominięcie jednej z tych uwag rzuca nieprzyjemny cień na chwalebną opinię obiektywizmu, jaką cieszą się pierwsze 3 części „Kampanii Wrześniowej". Na stronach 50 i 51 części 4-tej znajdujemy następujące stwierdzenie:

„... W polskiej publicystyce i powojennej historiografii wyrażane są nieraz poglądy, że w sprawie internowania polskich naczelnych władz państwowych i wojskowych w Rumunii dużą rolę odegrała akcja polskich czynników opozycyjnych, mająca na celu niedopuszczenie do Francji przedstawicielstwa Państwa Polskiego wyłonionego po zamachu majowym. Sprawa ta nie jest dotychczas wyjaśniona. W każdym razie nie ma, jak dotąd, dowodów, że akcja tego rodzaju odegrała w tej sprawie rolę decydującą...".

Były Szef Sztabu Głównego, gen. W. Stachiewicz, odpowiedział na to listem do przewodniczącego Komisji Historycznej, który został opublikowany w numerze 40 *Zeszytów Historycznych* na stronie 298, w którym tak pisze:

„Akcję tych czynników w owym czasie i później odczuło gorzko na własnej skórze zbyt wielu ludzi, żeby można ją było zbagatelizować i w historii przejść nad nią do porządku dziennego w jednym ogólnikowym zdaniu...".

Dziś rola gen. Sikorskiego, naszej ambasady w Bukareszcie, a zwłaszcza *attaché* wojskowego ppłk. Zakrzewskiego w internowaniu naszych władz cywilnych i wojskowych w roku 1939 jest już dobrze znana, twierdzenie autorów części 4-tej, przytoczone powyżej, powinno było być skorygowane.

Jestem przekonany, że nie było to rozmyślne zignorowanie tej sprawy przez wydawców części 4-tej. Sądzę, że po prostu nikt nie pomyślał o tym, aby sprawdzić jakie były odpowiedzi na inicjatywę płk. Sawczyńskiego i uwzględnić te odpowiedzi.

Wyjaśnia to również sprawę, dlaczego nie zamieszczono nowych materiałów, które się ukazały w ostatnich latach, na co skarży się p. Siemaszko. W rok przed śmiercią mówił mi płk Sawczyński, że w świetle nowych dokumentów widzi szereg usterek w redakcji części 4-tej „Kampanii Wrześniowej", ale nie ma już sił ani pieniędzy, aby je skorygować. Czekał wtedy na wykończenie szkiców, ale widoczne było, że nie był już w stanie kontynuować swej pracy. Miałem nawet wrażenie, że wolałby nie publikować tej części „Kampanii Wrześniowej" bez uwzględnienia nowych materiałów.

Przejdźmy teraz do kolejnego rozpatrywania opinii p. Siemaszki co do przyczyn „gwałtownej rozsypki" Armii Polskiej we

wrześniu 1939 roku. P. Siemaszko uważa, że kampania wrześniowa mogła być lepiej rozegrana, gdyby uniknięto „pomyłek", które według niego były następujące:

1) „... Sztab Polski w roku 1939 zastosował taktykę obrony całego terenu państwowego i rozmieścił swe siły równomiernie wzdłuż granic państwa... Polscy sztabowcy nie zastosowali wskazań Piłsudskiego i Faury'ego, aby nie lokować wojsk w Poznańskim...".
2) Nasza taktyka obronna „... była całkowicie niedopasowana do metod niemieckich..." polegających na „... silnych uderzeniach na paru kierunkach...".
3) Powodu powyższych „pomyłek" należy szukać w tym, że Szef Sztabu Głównego (gen. W. Stachiewicz), jego zastępca do prac operacyjnych (płk dypl. Jaklicz) i szef oddziału III — operacyjnego (płk dypl. S. Kopański) byli absolwentami francuskiej wyższej szkoły wojskowej (która uchodziła między wojnami za najlepszą na świecie)... a uczyła... defensywy opartej na zasadach walki pozycyjnej, tzw. obrony terenu, a nie operacji opartych na manewrze i ruchu".

Nie znam p. Siemaszki, więc nie wiem, na jakich podstawach opiera swoje kategoryczne opinie o naszym planie obrony i powodach klęski wrześniowej, bo nie popiera ich żadną poważną dokumentacją. Myślę, że nie należy krytykować bez dokładnej znajomości całokształtu problemów związanych z tym zagadnieniem i bez dokładnego zapoznania się ze źródłowymi opracowaniami i dokumentami, które zawierają odpowiedź na wszystkie kwestie poruszone przez p. Siemaszkę. Przytoczę tylko kilka najważniejszych:

1) „Polskie Siły Zbrojne w Kampanii Wrześniowej", tom I, część 1, rozdział VI;
2) Gen. W. Stachiewicz, „Pisma", tom I, rozdział V — *Zeszyty Historyczne* nr 40, czerwiec 1977;
3) Instrukcja Marszałka Śmigłego-Rydza dla rozmów z francuskim Sztabem Generalnym — *Zeszyty Historyczne* nr 84, maj 1988, str. 207.
4) Protokoły z posiedzeń Komisji Historycznej.

Ponieważ sprawa naszego planu obronnego jest widocznie ciągle kontrowersyjna, postaram się pokrótce przedstawić najważniejsze elementy polityczne i wojskowe, na jakich był oparty.

Nasze przygotowania do wojny i kampania wrześniowa są na ogół przedstawiane w publicystyce i historiografii zachodniej w bardzo krytycznym i nieprzychylnym świetle. Gen. Józef Jaklicz pisze w swych pamiętnikach, że były dwie tego przyczyny:

Pierwsza „... to zarozumiałe przekonanie władz francuskich, że wojnę przegraliśmy z naszej winy. Nie byliśmy uzbrojeni, nie umieliśmy się bić, nie umieliśmy dowodzić.

Lecz istnieje druga, nie do darowania, wina (nowego) Naczelnego Wodza, gen. Sikorskiego. Zohydził nas wobec świata i utrwalił pogląd, że wojny nie przygotowaliśmy, plan nasz był fatalny, kierownictwo wojny pod psem, a wszyscy wyżsi dowódcy począwszy od Marszałka, to durnie wojskowi[9]...".

Ten pogląd podzielali i skwapliwie rozpowszechniali wszyscy przeciwnicy polityczni przedwojennych władz polskich i nasi alianci, którym bardzo zależało na usprawiedliwieniu niewykonania ich formalnych zobowiązań w stosunku do Polski.

Na pierwszy ogień krytyki poszedł nasz plan operacyjny i plan wstępnego rozwinięcia sił po zachodniej stronie Wisły. Pomimo, że dokładny przebieg kampanii, dotychczas niedocenione możliwości taktyczne użycia broni pancernej i lotnictwa przez Niemców i niemiecki plan ataku na Polskę były już wtedy, po kampanii wrześniowej, ogólnie znane, żaden z krytyków nie zaproponował lepszego planu obrony. Najwięcej rozgłosu nabrał pomysł, aby od razu skoncentrować wojska na Narwi, Wiśle i Sanie, a tym samym oddać Niemcom zachodnią część Polski bez walki.

Pomysł ten dyskutowano od czasu ukazania się artykułu francuskiego generała Nissela, już po kampanii wrześniowej. Generał Rómmel pisze w swej książce[10], że doradzał to marszałkowi Śmigłemu w roku 1938. Niemiecki autor, płk Schneider, przypisuje ten pomysł gen. Weygandowi itd. Krytyka wstępnego rozwinięcia wymaga gruntownej i fachowej znajomości wszystkich czynników wojskowych, politycznych, ekonomicznych i transportowych, które na taką decyzję wpływają.

Powody rozwinięcia po zachodniej stronie Wisły są przedstawione przez Komisję Historyczną jak następuje:

„... analiza zmobilizowania rezerw ludzkich oraz zapewnienia materiałowego żywienia wojny doprowadziła do następującego ogólnego poglądu, wyrażonego przez szefa sztabu głównego w jego relacji:

« Ogólnie biorąc... bazą mobilizacyjną i wojenną Polski tak pod względem personalnym jak i materiałowym była zachodnia jej część.

---

9. Gen. J. Jaklicz, „Z zeszytów gen. Józefa Jaklicza", *Zeszyty Historyczne* nr 82, listopad 1978, str. 139.
10. J. Rómmel, *Za honor i Ojczyznę*, Warszawa 1958.

Usiłowania nasze, ażeby tę, tak niekorzystną w wypadku wojny z Niemcami, sytuację strategiczną częściowo, w granicach możliwości, poprawić, i stworzyć na wschodnim brzegu Wisły bazy materiałowego zaopatrzenia, dały do roku 1939 jedynie słabe rezultaty. Toteż położenie nasze w tej wojnie było *zaprzeczeniem najbardziej podstawowych wymagań strategicznych* (podkreślenie Redakcji), gdyż od samego początku najbardziej zagrożoną częścią kraju była ta, która stanowiła jego bazę mobilizacyjną i wojenną.

W razie przeniesienia walki na wschód od Wisły, uzależnialiśmy się w bardzo krótkim czasie od zagranicy, operacyjnie zaś głębokość naszego zaplecza zmniejszała się bardzo znacznie, co przy niemożności pewnego oparcia się o Rosję, komplikowało w wysokim stopniu ogólne położenie strategiczne [11] ».

Słowa powyższe dają miarę trudności, przed którymi stanął generalny inspektor, gdy musiał się decydować, w jaki sposób i gdzie stawić zasadniczy opór wkraczającemu do Polski wrogowi. Liczenie się z sytuacją mobilizacyjną i materiałową (nie mówiąc o politycznej) zmuszało go do wysunięcia koncentracji swych wojsk ku zachodnim granicom państwa, a więc jeszcze głębiej pod uderzenie flankowe przeciwnika, który dzięki konfiguracji granic i sytuacji wytworzonej zajęciem Czechosłowacji, miał pod tym względem prawie nieograniczone możliwości".

Nawet historycy reżimowi, tak skorzy do krytykowania wszystkich posunięć Naczelnego Dowództwa, nie traktują pomysłu rozwinięcia na Wiśle poważnie. Marian Porwit w swym dużym studium tak o tym pisze [12]:

„... Nie uważam pomysłu za godny, by mu poświęcić obecnie więcej miejsca wśród komentarzy. Po pierwsze dlatego, że oddawał bez walki Niemcom te wszystkie obszary, które według swych pierwotnych zamiarów chcieli zagarnąć. Pozbawił ten pomysł stronę polską od razu głębokiej przestrzeni do walki. Był jeszcze jedną odmianą linearnego ugrupowania operacyjnego. Był zresztą niewykonalny".

Rozmieszczenie sił na wielkiej przestrzeni we wstępnym rozwinięciu było sytuacją przymusową, do której zmusiły Generalnego Inspektora względy polityczne, mobilizacyjne i transportowe. Należy pamiętać, że Sztab Główny liczył się z możliwością, że wojna wybuchnie natychmiast po ogłoszeniu przez nas mobilizacji powszechnej i że lotnictwo niemieckie będzie się starało wszelkimi środkami uniemożliwić koncentrację wojsk. W swym artykule [13] płk dypl. H. Piątkowski pisze, że:

„... ze względów techniczno-komunikacyjnych niemożliwe byłoby prze-

11. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, tom I, *Kampania wrześniowa*, część 1, str. 269.

12. M. Porwit, *Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku*, tom I, str. 13.

13. H. Piątkowski, „Polski plan operacyjny zachodni", *Bellona* III, lipiec 1949.

prowadzenie koncentracji za Wisłą, jak to udowodnił ppłk dypl. L. Nowosielski w swym artykule 'Koncentracja na Wiśle' [14] ".

List gen. W. Stachiewicza do Komisji Historycznej przedstawia czynniki polityczne, które odgrywały tak wielką rolę w decyzjach Generalnego Inspektora [15]:

„... W każdym planie strategicznym obowiązuje uwzględnienie zarówno politycznej jak i wojskowej sytuacji w kraju. Zwłaszcza w przygotowaniu się do defensywnej wojny koalicyjnej (jaka miała być nasza) moment polityczny odgrywa zasadniczą rolę, szczególnie krępującą słabszego członka koalicji.

Typowe szkolne rozwiązania nie mogą tego momentu brać pod uwagę w dostatecznym stopniu, gdyż poza zupełnie ogólnikowymi założeniami politycznymi nie mogą znać szczególnych komplikacji politycznych, przed którymi w konkretnym wypadku stoi rząd i wódz naczelny.

Dlatego przy omawianiu naszego planu na tle typowych rozwiązań szkolnych trzeba być bardzo ostrożnym, by nie popaść w rozważania czysto teoretyczne i oderwane od rzeczywistości, jaka istniała w tym momencie historycznym.

Generalny Inspektor wychodził z założenia, że wobec przygniatającej przewagi sił i położenia, jaką npl. będzie miał nad nami — nie będziemy mieli żadnych szans rozprawienia się z jego głównymi siłami samodzielnie. Innymi słowy, ofensywę npla potrafimy zatrzymać i ewentualnie przejść sami do ofensywy dopiero wtedy gdy nastąpi zmiana niekorzystnego dla nas stosunku sił, w związku z odciążeniem naszego frontu przez ofensywę na zachodzie.

To założenie miało poważne konsekwencje w przygotowaniach wojennych, gdyż zmuszało Gen. Insp. do liczenia się bardzo z Zachodem, i przy zdecydowanej obronie praw Rzplitej unikać jednak wszystkiego, co mogłoby spowodować nieprzychylne dla nas decyzje Zachodu, czy to w formie opóźniania tego wystąpienia zbrojnego w razie ataku niemieckiego, czy nawet odizolowania nas od Zachodu (do czego Hitler przez cały czas usilnie dążył).

Gen. Insp. przewidywał dwa możliwe sposoby wystąpienia Niemców. (Co zupełnie nie jest brane pod uwagę w krytykach, również i w opracowaniach Waszych, a co miało bardzo duży wpływ na wstępne rozwinięcie sił).

Jednym było zwyczajne i jasne uderzenie w celu zniszczenia naszych sił i zajęcie Kraju. Byłaby to otwarta agresja, która, mimo że z pewnością byłaby połączona z odpowiednią propagandą dla umotywowania jej 'konieczności', to jednak nie mogłaby przedstawiać dla świata, a przede wszystkim dla naszych sojuszników żadnych wątpliwości co do tego, kto wojnę rozpoczął i kto jest agresorem.

Jednakowoż wyraźne dążenie Hitlera do odizolowania Polski od sojuszników i uniknięcia wojny na dwa fronty, oraz taktyka zastosowana w podboju Czechosłowacji nakazywały przypuszczać, że Hitler zastosować może taką metodę działania, która z początku przynajmniej nie dostarczyłaby państwom zachodnim drastycznego powodu do zbrojnej interwencji, Niemcom dałaby nowy sukces, nas izolowałaby od Zachodu i stworzyła dogodną sytuację do

14. L. Nowosielski, „Koncentracja na Wiśle", *Bellona*, maj 1943.

15. List gen. W. Stachiewicza do członków Komisji Historycznej — moje archiwum.

późniejszego opanowania Kraju. Ta metoda 'kolejnego wyłamywania oporów', tak skutecznie zastosowana wobec Czechosłowacji, mogła, zależnie od oceny przez Hitlera ogólnej sytuacji politycznej i wojskowej, ograniczyć się do — na razie — włączenia Gdańska do Rzeszy (akcja od wewnątrz czy od zewnątrz), bądź też mogła być posunięta dalej do zajęcia Pomorza, względnie nawet Poznańskiego, terenów dawniej do Rzeszy należących. Po błyskawicznym przeprowadzeniu takiej akcji, nastąpiłoby, według starej recepty, ogłoszenie światu, że jest to definitywny koniec rewindykacji terytorialnych Niemiec, że odebrano jedynie to, co im się 'słusznie należy', itp.

Przy ówczesnych pacyfistycznych nastrojach opinii Zachodu tego rodzaju taktyka niemiecka mogła mieć duże szanse powodzenia. Wiadomym było, że wysuwaną przez Niemców rewindykację Gdańska i 'Korytarza' opinia Zachodu uważała od dawna za słuszną i umotywowaną. *Mourir pour Dantzig!* — nie uśmiechało się jej całkiem... Rozszalała propaganda niemiecka, przedstawiająca Polskę jako mąciciela pokoju i prowokatora awantury wojennej mogła tylko pogłębiać nieprzychylne dla nas nastroje.

W tych warunkach fakt dokonany, osiągnięty bez poważnej natychmiastowej walki z naszej strony, postawiłby nas w sytuacji, z której nie mielibyśmy wyjścia. Gdybyśmy na zajęcie Gdańska nie reagowali zbrojnie natychmiast i na miejscu, gdybyśmy z góry opuścili 'Korytarz' czy w ogóle wysunięte zachodnie części kraju, pozostawiając tam jedynie słabą osłonę kawaleryjską, zaś wstępne ugrupowanie sił zbrojnych cofnęli mniej lub więcej w głąb kraju, nie mielibyśmy jakiejkolwiek możliwości poważnej, zbrojnej reakcji na tego rodzaju formę działania niemieckiego. Po wycofaniu osłony kawaleryjskiej bylibyśmy skazani na bezczynne stanie z bronią u nogi, bo o jakiejś kontrofensywie mowy być nie mogło.

Wobec Zachodu podważylibyśmy nasze stanowisko polityczne, w którym stale podkreślaliśmy, że zamach na Gdańsk (nie mówiąc już o Pomorzu) uważać będziemy za pogwałcenie żywotnych interesów państwa i naszej niepodległości, o którą byliśmy zdecydowani walczyć całością naszych sił. Na tej podstawie otrzymaliśmy daleko idące zobowiązania Wielkiej Brytanii i Francji.

Zachód bez wątpienia zareagowałby natychmiastowym zwołaniem jakiejś konferencji typu monachijskiego, dla 'ratowania pokoju świata'. Niepogodzenie się z taką konferencją, czy jej decyzjami, poróżniłoby nas z Zachodem i mogło mu dać pretekst do wycofania się z jego zobowiązań. Hitler osiągnąłby to do czego dążył, odosobniłby nas od Zachodu, a Polska pozostałaby w sytuacji beznadziejnej.

Możliwość takiej metody działania ze strony Niemców była bardzo poważnie brana pod uwagę tak przez Ministra Spraw Zagranicznych, jak i G.I. i miała bardzo poważny wpływ na jego decyzje i wstępne ugrupowanie sił, wciągając ich część w południowozachodni kąt Polski.

Dziś, gdy wiadomo, że taka akcja nie nastąpiła, w krytykach albo się o jej możliwości w ogóle nie wspomina, albo niekiedy przedstawia się branie jej pod uwagę, bez równoczesnego uderzenia na całą Polskę, jako zupełnie nierealne.

Tymczasem znane dziś dokumenty niemieckie (norymberskie) wskazują, że odnośnie Gdańska akcja taka (bez równoczesnego ataku na całą Polskę) była nie tylko przewidywana, ale szczegółowo, wojskowo przygotowana, i odpowiednie rozkazy (w których pozostawało tylko wstawienie dat i godzin) obowiązywały do ostatniej chwili. Przestały być aktualne dopiero 31 sierpnia, gdy zapadła ostateczna decyzja rozpoczęcia ogólnego uderzenia na Polskę.

Zatrzymałem się dłużej nad tym zagadnieniem, aby Panom uświadomić, jakie były powody wysunięcia sił naszych do 'Korytarza' i w ogóle północno-

zachodniej części Kraju. Przy ocenie naszego wstępnego ugrupowania sił pomijać tej sprawy nie można. Podkreślam bardzo dobitnie, że w wypadku uderzenia ogólnego na Polskę, obrona 'Korytarza' i wysunięcie tam sił nigdy nie było przewidywane. Najlepszy dowód, że, gdy sytuacja dojrzała, G.I. wydał rozkaz wycofania 'Korpusu Interwencyjnego' z 'Korytarza'. Odpowiedni rozkaz D-two Armii Pomorze otrzymało 31 sierpnia o godz. 8-mej rano. Na podstawie obowiązujących instrukcji powinno było go wykonać natychmiast. Miałoby wystarczający czas do wycofania sił i uniknięcia tego, co potem nastąpiło. Z niewiadomych do dzisiaj przyczyn rozkazy D-twa Armii wyszły dopiero i 1 września...".

◆

W związku z umieszczeniem silnej armii w Poznańskiem, należy pamiętać, że przewidywania sztabu co do głównych kierunków natarć niemieckich były na ogół bardzo trafne. Natarcie z niemieckiego Pomorza po osi Bydgoszcz-Kutno, lewym brzegiem Wisły, uważano za jedno z najgroźniejszych. Zagrażało ono, w połączeniu z siłami działającymi z Prus Wschodnich, otoczeniem od północy wszystkich sił polskich walczących na zachód od Wisły. Toteż jednym z głównych zadań Armii „Poznań", działającej wspólnie z Armią „Pomorze" było przeciwstawienie się próbom połączenia się sił niemieckich z Prus Zachodnich i z Prus Wschodnich, i osłona polskiego frontu od północy. Poważnego natarcia w kierunku Bydgoszcz-Kutno Niemcy w roku 1939 nie wykonali, co krytycy wykorzystują *post factum* jako uzasadnienie, że nie należało trzymać wojsk w Poznańskiem.

Co by się stało, gdyby wojsk w Poznańskiem nie było, a Niemcy uderzyliby na Kutno — o tym krytycy nie mówią. Zapomnijmy również, jak bardzo przeciwne naszej psychice i opinii publicznej było oddawanie rdzennie polskich ziem Hitlerowi bez walki. Opór gen. Kutrzeby, gdy otrzymał rozkaz wycofania się z Poznańskiego, dobrze o tym świadczy.

Wszystkie te podstawowe elementy, na których opierał się nasz plan operacyjny, plan wstępnego rozwinięcia i plan koncentracji, są bezstronnie przedstawione w pierwszej części tomu I „Polskich Sił Zbrojnych"[16] i w „Pismach" gen. Stachiewicza. Bez dokładnej znajomości tych czynników nie należy wydawać ocen o tak skomplikowanych sprawach.

Pozostaje teraz do omówienia twierdzenie p. Siemaszki, że możliwym jest, że przyczyny złego ugrupowania wyjściowego „należy szukać w tym, że Szef Sztabu, jego zastępca do spraw operacyjnych i Szef Oddziału III Sztabu byli absolwentami fran-

16. W. Stachiewicz, *Naczelne władze wojskowe — w 50-lecie powstania Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie*, Londyn 1969, str. 60 i 61.

cuskiej wyższej szkoły wojennej (która uchodziła między wojnami za najlepszą na świecie), a która uczyła... defensywy... a nie manewru i ruchu...".

To twierdzenie wykazuje całkowite niezrozumienie roli Sztabu Głównego w genezie planu operacyjnego. Przyzwyczajeni jesteśmy myśleć, że Polski Sztab Główny miał takie same kompetencje w tych sprawach co sztaby w innych krajach Zachodu, gdzie zagadnienia operacyjne były odpowiedzialnością sztabu. W Polsce było inaczej. Sprawy operacyjne były wyłączną prerogatywą Naczelnego Wodza i Inspektorów Armii, i były skoncentrowane w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych (GISZ). Sztab Główny nic z tym nie miał wspólnego.

Plan operacyjny i plan rozwinięcia wstępnego był zadecydowany w GISZ-u i sztab dostał go do rozpracowania w formie dyrektywy Naczelnego Wodza[17] — gdy Szef Sztabu i jego zastępca starali się przekonać Naczelnego Wodza, że rozmieszczenie odwodów powinno być zmienione — Marszałek nie wyraził swej zgody[18]. Toteż nie można krytykować Sztabu, obarczając go odpowiedzialnością za decyzje dotyczące planu operacyjnego. Kwestia, czy wyszkolenie oficerów Sztabu Głównego zaważyło na tych decyzjach, którą podnosi p. Siemaszko, nie odgrywa tu roli.

Pan Siemaszko również krytykuje metodę dowodzenia przez Sztab Rydza-Śmigłego i przypisuje sukcesy szybkiego poruszania się wojsk niemieckich, które zaskakiwało nasze oddziały, słabej łączności między polskimi ośrodkami dowódczymi.

Ta sprawa jest omówiona dokładnie przez gen. Stachiewicza. Brak funduszy i dostawców na sprzęt łączności i koszt wystawienia dowództw korpusów i grup armii nie pozwolił na stworzenie tych szczebli dowodzenia. Odbiło się to ujemnie na sprężystości dowodzenia. Dużą trudnością był także fakt, że Szef Sztabu nie mógł wydawać rozkazów dowódcom Armii, gdyż był od nich młodszy stopniem i starszeństwem. Ani gen. Kutrzeba, któremu Szef Sztabu pod nieobecność Naczelnego Wodza polecił objąć dowództwo nad dwiema armiami w bitwie nad Bzurą, ani gen. J. Rómmel, którego Szef Sztabu mianował dowódcą obrony Warszawy, nie chcieli uznać ważności tych poleceń, aż do czasu potwierdzenia ich przez Marszałka.

Toteż powiedzenie p. Siemaszki, że Sztab skoncentrował de-

17. W. Stachiewicz, „Pisma", tom I, str. 188, *Zeszyty Historyczne* nr 40.
18. J. Jaklicz, „Mózg Armii", *Zeszyty Historyczne* nr 18, sierpień 1970, str. 201.

cyzje dowódcze w swych rękach, nie naświetla stosunków, jakie wtedy istniały na najwyższych szczeblach wojskowych.

◆

Pan Siemaszko krytykuje również taktykę kawalerii.

Sprawa użycia kawalerii w wojsku polskim była przedmiotem licznych rozważań i studiów przedwojennych. Twierdzenie p. Siemaszki, że „uziemienie" kawalerii było błędem i że brygady kawalerii były „przywiązane" do dywizji piechoty i dlatego nie mogły działać niezależnie, nie jest poparte żadną fachową dokumentacją i nie odpowiada rzeczywistości. Już w latach 30-tych w Niemczech, Francji, Anglii, Włoszech i Rosji motoryzacja i mechanizacja kawalerii była uważana za jak najbardziej wskazaną. W Polsce już w roku 1934 zdawano sobie sprawę, że kawaleria może konno tylko manewrować, ale walczyć musi pieszo. E. Kozłowski w swej książce[19] „Wojsko Polskie" pisze, że doświadczenia pierwszej wojny światowej „... wykazały, że kawaleria przestała odgrywać dominującą rolę na polach bitew, gdyż masowe użycie broni maszynowej oraz nowoczesnej artylerii skazało ją na zagładę...".

Słaba siła przebojowa jednostek kawalerii powodowała, że kawaleria była bronią zbyt kosztowną „... w stosunku do efektu bojowego, którego wyższy dowódca może się od niej spodziewać[20]...".

W kampanii wrześniowej szarże naszej kawalerii na jednostki piechoty niemieckiej były wyśmiewane w prasie zachodniej jako objaw zacofania, toteż twierdzenie p. Siemaszki, że „uziemienie" kawalerii było błędem, jest trudne do przyjęcia, a sugestia, że powinniśmy mieć więcej kawalerii, brzmi dziwnie w obliczu ostrej krytyki wypowiadanej po wrześniu, że kawalerii było za wiele. Pan Siemaszko zastanawia się także, czy były jakieś możliwości bronienia się na przyczółku rumuńskim i czy:

„... po początkowym szoku Armia Polska dostatecznie okrzepła, aby stawić przez dłuższy czas opór w południowo-wschodniej Polsce...".

Nie powinniśmy zapomnieć tak łatwo, że armia polska walczyła przez cały okres kampanii wrześniowej dzielniej i skuteczniej niż armia francusko-brytyjska w roku 1940 i rosyjska w roku 1941. Niemcy ponieśli w Polsce większe straty w ludziach i

19. E. Kozłowski, *Wojsko Polskie*, Warszawa 1964.
20. Projekt Reorganizacji Kawalerii — L.dz. 85/10B z 16. VI. 1939 cytowany przez Kozłowskiego, str. 116.

w sprzęcie niż podczas kampanii francuskiej i rosyjskiej. Opór stawiany przez Wojsko Polskie w roku 1939, w obliczu olbrzymiej dysproporcji sił, był bez porównania twardszy niż francuski, czy początkowo rosyjski. W latach następnych w przeciągu dwudziestu kilku dni armia niemiecka rozbiła w maju 1940 roku 30 dywizji francuskich, uważanych wtedy za najlepsze na świecie, 9 dywizji brytyjskich i holenderskich i doszła do kanału La Manche. Czy krytycy polskiego wysiłku wojskowego mogą z czystym sumieniem wymagać, żeby nasze wojsko uzyskało lepsze rezultaty od naszych sprzymierzeńców?

Straty w ludziach i sprzęcie zadane Niemcom podczas kampanii wrześniowej były powodem zahamowania tempa ofensywy niemieckiej. Drugim powodem był brak zaopatrzenia dywizji niemieckich w benzynę i amunicję, spowodowany gwałtownym wydłużeniem ich linii aprowizacyjnych.

Nasi dowódcy i żołnierze, którzy pierwsi w historii wojen stanęli oko w oko z nową metodą walki dotychczas nieznanej, świetnie spełnili swój obowiązek. 16 września istniała nikła możliwość zgromadzenia 10-12 jednostek na przyczółku rumuńskim i dalszej walki w oczekiwaniu ruszenia ofensywy alianckiej na Zachodzie[21]. Bez takiej ofensywy nic by nam nie pomogło i zdawało sobie z tego sprawę Naczelne Dowództwo dużo lepiej niż pan Mackiewicz, któremu według p. Siemaszki nie chciano wierzyć. Jest faktem historycznym, że ani Francuzi ani Anglicy nie wypełnili swych formalnych zobowiązań w stosunku do Polski. Wierzyliśmy, że nam pomogą. Polska miała do wyboru trzy możliwości: iść z Zachodem, iść z Niemcami albo iść z Rosją. Zdecydowaliśmy iść z Zachodem. Czy to była „pomyłka"?

Twierdzenie p. Siemaszki, że władze polskie „zignorowały zawarcie układu Ribbentrop-Mołotow i nie podjęły żadnych kroków wynikających z tego faktu..." jest zadziwiające. Pakt ten został podpisany 23 sierpnia 1939 roku. W nocy z 23 na 24 sierpnia Generalny Inspektor zadecydował przeprowadzić kolejnymi etapami alarmową mobilizację całości wojska. Odpowiednie rozkazy wydano tejże nocy. Mobilizacja ta obejmowała całe lotnictwo, OLP, 25 wielkich jednostek czynnych i dwie i pół dywizji rezerwowych. „... Na Pomorzu i na Śląsku i w Wielkopolsce była to w gruncie rzeczy niemal mobilizacja powszechna[22]...".

Cóż więcej można było zrobić? Pakt rosyjsko-niemiecki był

21. J. Jaklicz, „Z zeszytów gen. J. Jaklicza", *Zeszyty Historyczne* nr 82, str. 124.

22. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, tom I, *Kampania wrześniowa*, część 1, str. 402.

zaskoczeniem dla całego świata, nie tylko dla nas. W odpowiedzi Polska postawiła na stopie wojennej 3/4 swojej armii — a co zrobili nasi alianci?

◆

Rok 1939 i Kampania Wrześniowa przechodzą do historii. Większość tych, którzy walczyli o Polskę w dwóch wojnach i którzy pracowali nad jej odbudową między wojnami — nie żyje. Czyż nie czas, po prawie 50 latach — pozostawić zawodowym fachowcom wojskowym doszukiwanie się i podkreślanie „błędów" i „pomyłek" w naszych przygotowaniach do wojny 1939?

Bogdan STACHIEWICZ

Los Altos, Kalifornia, wrzesień 1988

RECENZJE

T. W. TREJDOSIEWICZ

WOJNA POLSKO-SOWIECKA 1939 ROKU

Odnośnie walk na wschodzie Polski najlepszym — moim zdaniem — przygotowaniem jest uważna lektura książki Karola Liszewskiego „Wojna polsko-sowiecka 1939" (PFK, Londyn 1986, str. 312).

Autor pisze o wojnie, nie o „kampanii", ze względu na rozciągłość frontu, długotrwałość oporu, liczebność zaangażowanych sił i poważne walki na niektórych frontach. Zresztą sami Sowieci w komunikatach wojennych określali swe działania zbrojne mianem wojny.

W przedmowie Liszewski podkreśla bezprawny charakter wojny, polegający nie tylko na pogwałceniu obowiązujących traktatów dwu- i wielostronnych, ale również na zbrodniach wojennych (wywózki, tortury, mordy), których ukoronowaniem jest Katyń. W prasie sowieckiej prawdę historyczną zastępują propagandowe kłamstwa, prasa krajowa ją z konieczności wypacza, a polonijna zaniedbuje, podając często dane nieścisłe i fragmentaryczne. Dlatego Liszewski czyni wszystko, aby dać systematyczny i pełny obraz dramatu historycznego z punktu widzenia wojskowego, cywilnego i politycznego, w oparciu o dokumentację oficjalną, źródła nieoficjalne i własną interpretację.

Po przedmowie i wstępie następuje najważniejsza część książki, tj. trzy duże rozdziały zatytułowane „Odcinek Północ", „Środek" i „Południe", opisujące przebieg odnośnych działań.

Zgodnie z podziałem autora należy zacząć od odcinka Północ. Największym miastem na tym terenie było Wilno. Niestety za-

brakło wówczas w Wilnie zdeterminowanych przywódców zarówno wojskowych, jak cywilnych. Decyzja niebronienia miasta zapadła już 18 września rano, a ostateczny rozkaz ewakuacji na Litwę został wydany tegoż dnia przed godz. 18.00. Opór ograniczył się do rozpaczliwych walk małych grup ochotników cywilnych i wojskowych, nie mogących wpłynąć na bieg wypadków.

Najwięcej miejsca (i serca) poświęca Liszewski obronie Grodna, „jedynego miasta broniącego się przeciw agresorom w całej ówczesnej wojnie polsko-sowieckiej". Wola zbrojnego oporu szła w przeważającej mierze od dołu — od cywilnych mieszkańców, niekiedy młodzieży szkolnej, którzy rozpoczęli obronę w dniu 20 września rano, niszcząc butelkami z benzyną kilkanaście czołgów nieprzyjacielskich w środku miasta. Regularne oddziały wojskowe, m.in. pułki 101 i 102 ułanów z Rezerwowej Brygady Kawalerii płk. Heldut-Tarnasiewicza, przybyły późnym wieczorem tegoż dnia. Dwa szwadrony 102 pułku przekroczyły most drogowy na Niemnie, zdobywając na wojskach sowieckich przyczółek i zabezpieczając przejście Niemna po moście w kierunku zachodnim. Niestety w ciągu dnia 21 września szwadrony te zostały odwołane, gdyż kierunek marszu polskich ugrupowań został zmieniony. Ogromną i bohaterską rolę odegrała w walkach grodzieńskich załoga pojedynczego działa plot, wstrzymując przez wiele godzin pociskami ppanc. próby sowieckich czołgów sforsowania mostu celem przedostania się do miasta. Autor jest zdania, że jeszcze dzisiaj nie jest zbyt późno na nadanie Grodnu Krzyża Virtuti Militari.

Po opuszczeniu Grodna w nocy z dnia 21 na 22 września 101 pułk ułanów stoczył trudną bitwę na dużą skalę pod Kodziowcami. Bitwa ta — największa w wojnie polsko-sowieckiej — zakończyła się mimo przewagi sił nieprzyjaciela zwycięstwem, chociaż okupiono je wielkimi stratami.

„Odcinek Środek" poświęcony jest przede wszystkim walkom KOP-u pod ogólnym dowództwem gen. bryg. Orlik-Rueckemanna, oraz walkom grupy gen. bryg. F. Kleeberga. Ten rozdział wojny jest już dobrze znany i udokumentowany. Pewną kontrowersję wywołuje wzajemny stosunek wyżej wymienionych generałów, którzy wbrew logice i konieczności nie połączyli swych sił, co mogło mocno zaważyć na przebiegu wydarzeń. Należy zdecydowanie podkreślić, że oddziały KOP-u, mimo zdekompletowania i osłabienia, spowodowanego wysłaniem najlepszych jednostek i uzbrojenia na front zachodni, walczyły mężnie i z determinacją od 17 września do 1 października.

Przechodzimy wreszcie do omówienia „Odcinka Południe". Na tym odcinku na pierwszym planie przedstawiona jest sytuacja we Lwowie, gdzie, mimo poważnej ilości środków obronnych (broni, amunicji, zaopatrzenia), dowódcy — po długich naradach — nie zdecydowali się na walkę przeciw Sowietom.

Szczegółowo opisane są również walki zgrupowania generała

Andersa, początkowo przeciw Niemcom, następnie przeciw Sowietom, w daremnej próbie przedarcia się na południe celem przedostania się na Węgry.

W ślad za powyższą analizą następuje podsumowanie, w którym autor, poza oczywistą nierównością sił, uwidacznia kompletne nieprzygotowanie naczelnego wodza i jego sztabu do akcji w wypadku napaści ze wschodu. Marszałek Rydz-Śmigły wydał w dniu 17 września tylko znaną „dyrektywę ogólną", nakazującą wycofanie się do Rumunii i Węgier i niewalczenie z Sowietami, chyba w razie ich ataku, co zwiększyło panujący chaos, gdyż wiele jednostek, przede wszystkim KOP, uważało za swój obowiązek obronę granicy.

Zamykają książkę obszerne „Załączniki", z których najważniejszym jest sprawozdanie gen. W. Orlik-Rueckemanna (Instytut gen. Wł. Sikorskiego), lecz może najciekawsze są relacje ochotników i osób cywilnych.

Autor czerpał z literatury, którą dzieli na niecenzurowaną (polską i zachodnią), cenzurowaną polską, sowiecką i nazistowską, wreszcie na relacje pisemne w instytucjach polskich w Londynie. Wielką zasługą Liszewskiego jest uzyskanie, w wyniku własnych usilnych starań, 60-ciu pisemnych i ustnych relacji, w większości bardzo ciekawych, a często rewelacyjnych.

Książka została przedrukowana w kilku wydawnictwach podziemnych („Myśl państwowa" i „Pokolenie" w Warszawie, „Spotkania" w Lublinie i in.), co świadczy o jej wartości i o tym, że jest potrzebna.

Pracując nad rozszerzonym i pogłębionym opracowaniem tematu, Liszewski prosi o wszelkie informacje, dotyczące walk polsko-sowieckich, specjalnie od osób wymienionych w indeksie nazwisk na adres: Polska Fundacja Kulturalna, 23 Coleridge Street, Hove, Sussex, BN3 5AB, England.

T. W. TREJDOSIEWICZ

Tadeusz WYRWA

OD GENEWY DO JAŁTY

Trudno chyba o bardziej wymowny tytuł dla książki, która ukazała się w Londynie i której treścią są rozmowy redaktora Tadeusza Żenczykowskiego i ambasadora Edwarda Raczyńskie-

go, nadane przez Radio Wolnej Europy w latach 1984-1986[1]. Genewa, siedziba niezbyt chwalebnej Ligi Narodów w okresie międzywojennym i Jałta — symbol cynizmu XX wieku, dwie miejscowości, z którymi związana jest cała epoka najnowszych dziejów Europy.

Edward Raczyński, nestor dyplomacji polskiej, od 1918 na różnych stanowiskach, był ambasadorem w Londynie od 1934 roku do czasu cofnięcia uznania rządowi RP na obczyźnie w lipcu 1945 roku. Znał przeto, na podstawie własnego doświadczenia, kulisy i skutki polityki genewskiej, a później jałtańskiej. Tadeusz Żenczykowski, przed wojną najmłodszy poseł na Sejm RP, w czasie okupacji na różnych odcinkach walki podziemnej w Polsce, m.in. organizator i kierownik antyniemieckiej dywersji psychologicznej, tzw. Akcji „N", a w latach 1954-1972 w Radiu Wolnej Europy jako zastępca dyrektora.

Na wstępie książki ambasador Raczyński wyjaśnia, że nie przynosi ona rewelacji; jest to rozmowa dwóch świadków historii w celu przypomnienia, „co i jak się działo w Polsce i w świecie przed pół wiekiem". T. Żenczykowski „zakreślił temat naszych uwag. Staraliśmy się obaj naświetlić wypadki i opisać odpowiedzialność polityków bez jakiejkolwiek frazeologii czy tendencyjnego nastawienia". Trzeba od razu podkreślić, że rozmowy były przygotowane fachowo, ze znajomością tematów przez obydwu Autorów. Najciekawsze 34 rozdziały — a wszystkich jest 41 — dotyczą okresu drugiej wojny światowej i dużą zasługą redaktora Żenczykowskiego jest fakt, że naprowadzał rozmowy w sposób, który ułatwił ambasadorowi Raczyńskiemu uzupełnienie nowymi uwagami lub też potwierdzenie po wieloletnim przemyśleniu tego, co dawniej napisał w swojej książce pt. „W sojuszniczym Londynie".

We wrześniu 1939, gdy chodziło o wyznaczenie następcy prezydenta RP Ignacego Mościckiego, internowanego w Rumunii, ambasador Raczyński był zgorszony ingerencją Francji, tym bardziej zaskakującą, że wojna dopiero się zaczęła, Polska się jeszcze broniła, a już były „jak gdyby tendencje ze strony państw demokratycznych wtrącania się do spraw, które nas wyłącznie dotyczyły, naszej własnej suwerenności". Dzisiaj wiadomo, że nie były to tylko „jak gdyby tendencje", ale bezceremonialne narzucenie Polakom swojej woli[2], do czego w dużym stopniu przyczynili się nasi rodacy, co zgodnie przypominają obaj Autorzy. Można nadto dodać, że ingerencja ta była symptomatyczna dla dalszych dziejów rządu polskiego w Londynie.

Po klęsce Francji — w czerwcu 1940 roku — i przeniesieniu naszych władz do Londynu, miał miejsce znany kryzys rządowy,

1. Edward Raczyński, Tadeusz Żenczykowski, *Od Genewy do Jałty. Rozmowy radiowe*. Wydawnictwo Puls, Londyn 1988, str. 131 i dodatkowych str. 10 z fotografiami.

2. Vide: *Zeszyty Historyczne* nr 52, str. 215-224.

zwany przesileniem lipcowym, w którym znaczną rolę odegrał nieszczęsny memoriał gen. Sikorskiego wręczony lordowi Halifaxowi, brytyjskiemu ministrowi Spraw Zagranicznych, o czym mówi ambasador Raczyński. Memoriał ten zawierał m.in. propozycje utworzenia w ZSSR armii polskiej, wysłania nieoficjalnego przedstawiciela rządu polskiego do Moskwy do ewentualnych rozmów na temat zmian terytorialnych na naszych kresach wschodnich etc. Pierwszy projekt memoriału sporządził niejaki Rotstein, korespondent TASS-a w Londynie, którego pośrednikiem był Stefan Litauer, dziennikarz polski, korespondent PAT-u [3], który — jak potwierdza ambasador Raczyński — „już wówczas właściwie się Sowietom wysługiwał (...). Litauer w ogóle potem już pracował nie dla nas". Jeśli chodzi o memoriał, to — przerobiony przez ambasadora Raczyńskiego — został doręczony lordowi Halifaxowi i następnie, dzięki zdecydowanej postawie prezydenta Raczkiewicza, wycofany przez ministra Zaleskiego.

Co się tyczy gen. Sikorskiego, to amb. Raczyński przyznaje, iż zbyt zaufał Sowietom. Podpisanie układu Sikorski - Majski wbrew opinii prezydenta Raczkiewicza i niektórych ministrów, co było pewnego rodzaju „zamachem stanu" ze strony Sikorskiego, amb. Raczyński uzasadnia potrzebą uratowania setek tysięcy ludzi i wini przede wszystkim Churchilla, że „zamiast stawiać warunki Moskalom, witał ich niemal jak przyjaciół" — czym jednak, moim zdaniem, nie można usprawiedliwiać podporządkowania się Sikorskiego polityce premiera brytyjskiego, zwłaszcza w momencie, kiedy sytuacja ZSSR sprzyjała wynegocjowaniu dużo lepszych warunków umowy. Słusznie zwraca tutaj uwagę red. Żenczykowski, czego nie powinno się zapominać, że gen. Sikorski już w czerwcu 1940 chciał się dość daleko zaangażować w stosunku do ZSSR, co potwierdza wspomniany memoriał. Zdaniem amb. Raczyńskiego błędem było nie zawarcie tego układu, ale upieranie się do końca przez Sikorskiego, że „zawarł układ doskonały", zapewnianie opinii polskiej, że „decyzja zawarcia układu z Sowietami i utrzymanie z nimi stosunków to nie tylko konieczność dziejowa i wojenna, ale także polityka trafna i owocna". Upór ten wypływał z wygórowanej ambicji, nie pozwalającej mu na przyznanie się do błędu, oraz chyba również z braku szerszej wizji, stąd ten bezkrytyczny stosunek najpierw do Francji, a później do Anglosasów i z nimi do Sowietów.

Na pytanie red. Żenczykowskiego, czym tłumaczyć fakt, że doradcami gen. Sikorskiego byli Retinger, Kot, Litauer, ludzie nie bardzo godni zaufania, amb. Raczyński odpowiedział ogólnie, że Sikorski „był dosyć wrażliwy na pochlebstwa" i dobierał sobie ludzi związanych w okresie przedwojennym z Frontem Morges. Amb. Raczyński we wpływ polityczny Retingera nie wierzy, uwa-

3. Polska Agencja Telegraficzna, oficjalna prasowa agencja rządu polskiego, założona w listopadzie 1918 roku w Warszawie.

żał go zawsze „za amatora, do pewnego stopnia awanturnika, chociaż nie w znaczeniu najgorszym, ale miłośnika awantury, nie za poważnego polityka". A jednak ten „amator" i „miłośnik awantury" był przeważnie wszędzie tam, gdzie działo się coś ważnego w sprawach polskich; jak do tego doszło i dlaczego, nikt dotychczas wyczerpująco nie wyjaśnił.

W stosunku do Churchilla amb. Raczyński jest dość pobłażliwy i mimo niekiedy krytycznych ocen jego polityki stara się go usprawiedliwić. Potwierdza, że do roku 1941 Churchill „bardzo koło Polaków chodził". Po wykryciu masakry w Katyniu Churchill starał się zapobiec zerwaniu ZSSR z rządem polskim. „To był człowiek — według amb. Raczyńskiego — który poczuwał się do jakiejś lojalności (...) to był człowiek, który mimo wszystko miał zrozumienie dla zalet rycerskich". Jego zdaniem Churchill „nie kłamał, nie starał się nas po prostu oszukać". Znane powiedzenie Churchilla do gen. Andersa, w lutym 1945 roku, że „mamy dziś dosyć wojska i waszej pomocy nie potrzebujemy. Może pan swoje dywizje zabrać. Obejdziemy się bez nich" — amb. Raczyński tłumaczy porywczym i popędliwym charakterem Churchilla, z czym trudno się oczywiście zgodzić. Mówiąc o atmosferze panującej w Anglii bezpośrednio po zakończeniu wojny, amb. Raczyński przypomina, że miał ze strony Brytyjczyków dowody ich zawstydzenia za niespłacenie długu honorowego wobec naszego kraju, „poczucie, że Polska została porzucona, że Polska... nie lubię wyrażenia 'zdradzona', bo to nie była zdrada, to było porzucenie". Jak wynika chociażby z tego określenia, w dyplomacji ciągle panuje jeszcze język odmienny od mowy potocznie używanej [4].

Co do atmosfery w środowisku polskim w Londynie, to książka zawiera wiele niedomówień. Podobnie zresztą dużo więcej miałby zapewne do powiedzenia amb. Raczyński o kulisach polityki brytyjskiej. To, co zostało utrwalone na piśmie ma oczywiście mimo to dużą wagę, bo są to słowa osobistości bezpośrednio zaangażowanej w działalność rządu polskiego.

Na przełomie lat 1941/1942, kiedy zaczęła się ujawniać dwulicowość polityki Stalina, który z jednej strony czarował Sikorskiego, a z drugiej przygotowywał teren do wymuszenia na Anglikach zgody na zmianę naszej granicy wschodniej, w środowisku polskim — jak twierdzi amb. Raczyński — „nie mieliśmy właściwie żadnej wątpliwości, o co się gra toczy. I dlatego nie można mówić że Polacy byli w tym względzie nieuświadomieni". W pierwszych miesiącach 1943 roku, gdy w ZSSR powstał „Związ-

4. Ambasador Edward Raczyński należy do pokolenia dyplomatów, dla których powszechnie używanym językiem, w ich pracy zawodowej, był język francuski. Warto przeto przytoczyć, za encyklopedycznym słownikiem Larousse, znaczenie słowa zdradzić: *trahir — abandonner en manquant à la fidélité* — porzucić (opuścić) nie dochowując wierności.

zek Patriotów Polskich" i mowa była o tworzeniu armii Berlinga i zbliżającym się momencie zerwania stosunków Stalina z rządem polskim, amb. Raczyński przyznaje, że „myśmy się może jeszcze w tym czasie łudzili (...), że przy poparciu zachodnich aliantów te stosunki utrzymamy (...). Ostatecznie, gdybyśmy tej nadziei tu, w Londynie nie mieli — jak mielibyśmy patrzeć na przyszły bieg wypadków". Niezbyt to jednak idzie w parze z realizmem politycznym, do którego dość często odwołuje się amb. Raczyński.

Czemu przypisać, — zapytuje w innym miejscu Żenczykowski — że po wizycie Mikołajczyka w Moskwie, w listopadzie 1944, Polacy w Londynie nie rozumieli, że sprawa polska wygląda źle? W odpowiedzi amb. Raczyński wyjaśnia, że „oni w rezultacie stali się potem rządem narodowego protestu (...). Przywiązywali wagę do wartości słowa, do wartości pisanych dokumentów, wartości, których one nie miały". Po dymisji Mikołajczyka i objęciu rządów przez Tomasza Arciszewskiego Polacy sądzili, że władza w rękach nowych ludzi wzmocni naszą sytuację. „Oczywiście to była fantazja — przyznaje amb. Raczyński — frazes odgrywał bardzo dużą rolę, przemówienia własne, których się słuchało z przyjemnością (...), patrzyłem na to już jako na tragiczny finał". Później jeszcze, gdy mowa o procesie szesnastu w Moskwie (czerwiec 1945), amb. Raczyński potwierdza: „patrzyłem na naszych rodaków z wielkim żalem, z wielką goryczą, z pewnym nawet czasami politowaniem (...) może Polacy tu w Anglii nie zdawali sobie w pełni sprawy, jak gruntownie ta partia nasza jest na razie przegrana".

Nie zdawano sobie z tego sprawy również w Kraju, co jednak bardziej jest zrozumiałe, gdyż nie był on należycie informowany o polityce mocarstw, ani też o możliwościach polskiego rządu w Londynie. Dla Kraju decydujący był rok 1944, gdy w walkach „Burzy" i Powstania Warszawskiego naród wyładował swoją energię, stępił entuzjazm i przyćmił wiarę we własne siły. Obydwaj Autorzy zbyt jednostronnie oceniają znaczenie dla Kraju 1944 r. Red. Żenczykowski pisze, że rok ten „zahartował społeczeństwo", wyczulił na zrozumienie czerwonego „sojusznika" ze wschodu i „te nauki całemu narodowi dały wytrwałość w walkach późniejszych. Tej wytrwałości dowodzi także dzisiejsza postawa społeczeństwa". Amb. Raczyński potwierdza: „Stuprocentowo podzielam Pańskie zdanie". Zachodzi jednak pytanie, czy coraz głębszy kryzys w Kraju nie sięga korzeniami właśnie roku 1944, ze wszystkimi jego konsekwencjami, jakie poniósł wykrwawiony naród. Ale jak słusznie zaznacza we wstępie amb. Raczyński, rachuba nadludzkiego wysiłku narodu w walce z najeźdźcami nie jest skończona.

W pobieżnym omówieniu tej książki poruszyłem niektóre tylko zawarte w niej problemy, te mianowicie, które moim zdaniem miały decydujący wpływ na rozwój działalności politycznej pod-

czas drugiej wojny światowej. Doprowadziła ona do tego, że Polska stała się przedmiotem w rozgrywce dyplomatycznej wielkich mocarstw. Potoczysty styl książki ułatwi przypuszczalnie jej rozpowszechnienie. Dla historyków (szkoda, że nie ma indeksu nazwisk) jest to pozycja nieodzowna i jeżeli nie znajdą w niej wszystkiego, co można było tam powiedzieć, to same już aluzje do spraw ciągle mało znanych przyczynią się zapewne do dalszych poszukiwań i nowych analiz.

Tadeusz WYRWA

Emanuel **HALICZ**

KONSERWATYZM POLSKI A NIEPODLEGŁOŚĆ W XIX WIEKU

Marcin Król, którego zainteresowania od wielu lat koncentrują się wokół problematyki polskiej myśli politycznej XIX wieku, zaprezentował pracę, w której próbuje odpowiedzieć na pytanie, jak myśliciele związani z konserwatywnym nurtem traktowali w XIX wieku problem niepodległości i jakie były ich poglądy na sprawę narodową*. Podstawowy dylemat myśli konserwatywnej w kraju pozbawionym wolności — dowodzi Autor — polegał na opozycji między wartościami uniwersalnymi, ponadnarodowymi, wokół których jego zdaniem skupiało się zawsze konserwatywne myślenie, a sprawą narodową, niepodległością jako celem i rewolucją narodową lub społeczno-narodową jako jednym ze środków prowadzących do tego celu.

Poczynając od Józefa Kalasantego Szaniawskiego poprzez działaczy związanych z *Kwartalnikiem Naukowym* po powstaniu listopadowym i postaci związanych z tak zwaną „koterią petersburską", z kręgiem Hotelu Lambert, z *Czasem*, z Towarzystwem Rolniczym, ze Zmartwychwstańcami i kończąc na Stańczykach po powstaniu styczniowym, Autor usiłuje ukazać próby rozwiązania tego — jego zdaniem — zasadniczego dylematu. Wśród wziętych na warsztat znaleźli się tacy znani politycy konserwatywni i pisarze jak Henryk Rzewuski i Michał Grabowski, Zygmunt Krasiński i Cyprian Kamil Norwid, Aleksander Wielopolski no i oczywiście plejada inteligencji galicyjskiej po 1863 roku.

---

* Marcin Król, *Konserwatyści a niepodległość. Studia nad polską myślą konserwatywną XIX wieku.* Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1985, str. 281, cena zł. 200.

Szczególnie szeroko potraktowany został książę Adam Czartoryski — polityk i przywódca Hotelu Lambert.

Na dobrą sprawę jest to właściwie próba wypełnienia luki powojennej historiografii polskiej, która większość postaci wziętych na warsztat w pracy Marcina Króla albo traktowała po macoszemu, lub też zamiast oceniać ich działalność w sposób analityczny i bezstronny, ograniczała się do epitetów.

Po przeprowadzeniu wszechstronnej analizy dorobku pisarzy, których Król zalicza do konserwatywnych, Autor stanął przed trudnym zadaniem uogólnienia całości i dokonania podziału myśli konserwatywnej, ponieważ różnice w poglądach wielu na centralne zagadnienia — narodowe i niepodległościowe — były tak oczywiste, że należało dokonać podziału między nimi. Przecież Szaniawski, Rzewuski, Grabowski, Zmartwychwstańcy z ks. Hieronimem Kajsiewiczem i ks. Piotrem Semenenko, zdecydowanie negatywnie ustosunkowujący się do problemu niepodległości Polski, nie mogli być zakwalifikowani do tej samej kategorii co działacze Hotelu Lambert, Krasiński i Norwid.

Dlatego też Autor postanowił wprowadzić podział, a mianowicie taki, który odróżnia zasadniczo dwa typy polskiej myśli konserwatywnej i dzieli ją ze względu na stosunek tej myśli do problemu wartości uniwersalnych. Typ pierwszy to konserwatyzm wartości absolutnych i pozahistorycznych, zaś typ drugi — to konserwatyzm wartości potwierdzonych przez historię. Do typu pierwszego zalicza myśl Henryka Rzewuskiego, do drugiego — myśli Adama Czartoryskiego i ewentualnie Maurycego Mochnackiego oraz Zygmunta Krasińskiego. „Gdzieś pomiędzy — pisze Autor na str. 256 — będzie miejsce na znaczną większość propozycji pośrednich". Wydaje mi się, że tam umieszcza m.in. Stańczyków.

Dla konserwatystów pierwszego rzędu naród był tworem, który rozpatrywać należy w kategoriach łaski i zasługi, a idea niepodległości była zbędnym wymysłem, *une ambition demesurée*. Dla drugich naród był niezbędnym elementem rzeczywistości historycznej, a idea niepodległości równała się nakazowi utrzymywania związku z historią. Natomiast dla wielu myślicieli zajmujących pośrednie pozycje z faktu, że naród jest elementem rzeczywistości historycznej, nie wynikał wniosek o nakazie walki o niepodległość.

U Szaniawskiego, Rzewuskiego, Grabowskiego, Zmartwychwstańców i innych katolickich krytyków filozofii konserwatyzm wynikał z motywów filozoficzno-religijnych, słowem, czysto ideologicznych. U Gołuchowskiego, Krasińskiego i u Stańczyków wynikał z motywacji społecznej, odpowiadającej interesom szlachty. Natomiast u Mochnackiego, Czartoryskiego — zdaniem Króla — konserwatyzm służył celom taktyki działania politycznego, nastawionego na odzyskanie niepodległości. Ten podział grzeszy schematyzmem, z czego i Autor częściowo zdaje sobie sprawę.

Zdaniem Autora problem ugody z zaborcami motywowany obawą przed zachodnimi ideami rewolucyjnymi i absolutystycznymi, czasem zabarwiony nieistotnymi sympatiami słowiańskimi, nie był właściwie ugodą — w tym punkcie w pełni się z Autorem zgadzam — ale kapitulacja obowiązywała z reguły tylko w stosunku do Rosji. Koncepcja zaś wyłożona przez Pawła Popiela po upadku powstania styczniowego była pełną koncepcją ugody społeczno-narodowej, z tym, że błędem były rachuby stawiające wyłącznie na szlachtę i eliminujące mieszczaństwo, które przecież rozwijało się już w drugiej połowie XIX wieku coraz mocniej.

Zdaniem Króla całkowitą porażkę ponieśli ci konserwatyści, którzy nie potrafili właściwie ocenić siły narodowej świadomości i uporczywości trwania tradycji narodowych. Niepodległość jest bowiem wymogiem konkretnym i niezbędnym, jeśli pogodzone mają być interesy człowieka i Polaka. Broniąc dawnych ideałów, konserwatyści nie mogli wyjść poza polskie błędne koło: niemożliwości społecznej i cywilizacyjnej poprawy bez niepodległości i niemożliwości zdobycia niepodległości bez owej poprawy. Nawiązując do myśli Norwida (chyba do tej, wyrażonej lapidarnie „Polak jest olbrzym, a człowiek w Polaku jest karzeł — i jesteśmy karykatury, i jesteśmy tragiczna nicość i śmiech olbrzymi..."). Król twierdzi, że za zwycięstwo polskiej myśli konserwatywnej możemy uważać to, że dostrzegła i uczyniła swoim ważnym problemem nieidentyczność interesów Polaka i człowieka w ogóle, a w świecie XIX wieku w szczególności, a za jej porażkę to, że nie mogąc tego potencjalnego czy faktycznego konfliktu rozwiązać, skierowała się ku dogmatowi lub utopii.

Spróbowałem pokrótce przedstawić główne myśli zawarte w recenzowanej, niełatwej do czytania pracy. Są one niewątpliwie interesujące i zmuszają do zastanowienia. Ale wynika szereg pytań. Czy myśl konserwatywna polska — jeśli pominąć sprawę niepodległości, niewątpliwie bardzo istotną — była doprawdy oryginalna? Ile było zapożyczeń z literatury europejskiej?

Czy doprawdy poglądy Adama Czartoryskiego w latach 40-tych XIX wieku nie miały więcej wspólnego z myślą liberalną niż z konserwatywną? Czy zastosowany w pracy podział na arystokrację i szlachtę jako całość jest trafny wobec zróżnicowanej sytuacji polskiej szlachty pod zaborami? Czy omawiając rodowód polskiej myśli konserwatywnej po upadku Rzeczypospolitej nie należało cofnąć się do lat nazajutrz po trzecim rozbiorze? Mam na myśli stanowisko zajęte wobec niepodległości przez np. Szczęsnego Potockiego w liście prywatnym: „Ja już jestem Rosjaninem na zawsze", czy też dygnitarzy kościelnych — w Berlinie prymasa Ignacego Raczyńskiego, w Petersburgu metropolity Stanisława Siestrzeńcewicza.

Czy doprawdy trzeba aż filozoficznego uzasadnienia dla wykazania zdecydowanie antynarodowej i antyspołecznej postawy Rzewuskiego i jemu podobnych? Czy nie jest to forma uspra-

wiedliwiania tej postawy? Nie wiem czy mam rację, ale wydaje mi się, że praca Króla ma podtekst nawiązujący wyraźniej do polskiej XX-wiecznej rzeczywistości. Czy pisząc o sprawie narodowej i jej wadze nie miał też na myśli postawy wobec tego zagadnienia jak i wobec sprawy niepodległości lewicy socjalistycznej poczynając od Wielkiego Proletariatu, Socjal-Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy, Komunistycznej Partii Polski do niektórych grup w Polskiej Partii Robotniczej?

Precyzyjnie dobrane cytaty: z dzieł Mochnackiego o Rosji — „Jest więc patriotyzmem w Rosji niewola", z pism Norwida — „że Polska jest dla Moskwy jakoby źródłem, które ona depce nogami, pijąc z niego...", czy też z pism Stańczyków — „bo nie może się złączyć despotyzm z wolnością, schizma z katolicyzmem, antyteza z tezą, cywilizacja z nihilizmem. Oto nasz nieprzyjaciel od cara do ostatniego kacapa rosyjskiego, od Murawiewa do Bakunina i Herzena" — zmuszają też do zastanowienia, czy tylko XIX wieku mogą one dotyczyć.

Czy pisząc o stosunku części konserwatystów do Rosji i sposobie traktowania przez Rosję Polski i o poniżaniu i lekceważeniu Polski, chodziło Królowi wyłącznie o sprawy dotyczące historii XIX wieku?

Dobrze się stało, że problem niepodległości, centralny w życiu narodu polskiego w ciągu ostatnich 200 lat, został znowu poruszony. Tym razem w kontekście polskiej myśli konserwatywnej. Z uwagi na wagę problemu i nieschematyczne ujęcie, praca M. Króla powinna wywołać ożywioną dyskusję nie tylko wśród historyków.

Emanuel HALICZ

Jan CIECHANOWSKI

BRYTYJSKIE GWARANCJE DLA POLSKI

(Komentarze i uwagi do książki Anity Prazmowskiej)[1]

Praca Anity Prazmowskiej to jeszcze jeden zaciekły atak na politykę Neville Chamberlaina i Józefa Becka w latach 1938-1939. Pokrótce w okresie narastającego polsko-niemieckiego kryzysu,

1. Anita Prazmowska, *Britain, Poland and the Eastern Front, 1939*, Cambridge University Press, 1987.

który w ostateczności doprowadził do wybuchu drugiej wojny światowej, której konsekwencje i następstwa trwają do dziś.

Autorka, w oparciu o bogatą literaturę przedmiotu, chociaż nie całą, oraz brytyjskie i polskie źródła archiwalne, analizuje i krytykuje politykę Chamberlaina i Becka nie tylko wobec Niemiec, ale i Rosji. Wytyka im ich brak zaufania do Sowietów i niechęć do wiązania się z nimi nawet w obliczu narastającego niemieckiego zagrożenia.

Chociaż, jak podkreśla autorka, jedynie ścisłe brytyjsko-francusko-polsko-sowieckie porozumienie i współpraca mogły jeszcze odstraszyć Hitlera od ataku na Polskę widmem wojny na dwa fronty.

Co więcej, Prazmowska z góry zakłada, iż Stalin gotów był takie porozumienie zawrzeć, chociaż w istocie jest to kwestią nader problematyczną, której nie można rozstrzygnąć bez dostępu do sowieckich archiwów.

Z tego co wiemy Stalin od marca 1939 roku grał na dwóch fortepianach — zachodnim i niemieckim — i czekał na oferty zarówno z Londynu, jak z Berlina. Poza tym był gotów zrobić wszystko, aby jak najdłużej utrzymać ZSSR z dala od wojny. Niemniej już wtedy marzyła mu się kontrola nad znaczną częścią Wschodniej Europy, którą pragnął osiągnąć jak najmniejszym kosztem.

Stalin starał się uniknąć „wciągnięcia naszego kraju w konflikt przez podżegaczy wojennych przyzwyczajonych do tego, aby inni wyciągali dla nich kasztany z ognia".

Sens tej wypowiedzi jest jasny i najlepiej wskazuje, że Stalin wcale nie palił się do porozumienia z Zachodem i zostawiał sobie wolną i niczym nieskrępowaną rękę do ostatecznej rozgrywki z Berlinem. Dobrze zdawał sobie sprawę, że zarówno Armia Czerwona, jak partia oraz cały Związek Sowiecki, wstrząśnięty i osłabiony jego osławioną „wielką czystką", potrzebowały przede wszyskim długiego okresu pokoju, aby przyjść do siebie, a nie jakichś ambitnych przymierzy, które mogły wystawić „ojczyznę socjalizmu" na szwank.

Po stalinowskich czystkach „zdekapitowana" i zdemoralizowana Armia Czerwona miała duże trudności z prowadzeniem działań operacyjnych, szczególnie ofensywnych, w dużym stylu, co w parę miesięcy później w pełni wykazała „wojna zimowa" z Finlandią, podczas której wojska sowieckie nie najlepiej się spisywały.

Z wojny tej zarówno Hitler jak Stalin wyciągnęli daleko idące, chociaż różne wnioski. — Hitler, że Związek Sowiecki rozleci się jak domek z kart pod pierwszym silnym niemieckim uderzeniem. Stalin zaś, że natychmiast należy wzmocnić kadrę Armii Czerwonej przez wcielenie w jej szeregi represjonowanych dowódców i oficerów, którzy nie zostali jeszcze zamordowani, jak np. Konstanty Rokossowski.

Szkoda wielka, że dr Prazmowska o tym nie pamiętała rozpatrując politykę Stalina wobec Zachodu w 1939 roku, gdyż tu właśnie chyba znajduje się klucz do jej zrozumienia.

Oczywiście Stalin dobrze zdawał sobie sprawę, że zarówno Chamberlain jak Beck Sowietów nie kochali, co mogło mieć pewien wpływ na jego politykę wobec Londynu i Warszawy, ale również nie „kochał" ich Hitler, co zresztą nie miało już najmniejszego wpływu na zawarcie paktu Mołotow - Ribbentrop 23 sierpnia 1939 roku.

Nie ulega kwestii, iż byłoby o wiele lepiej, gdyby pod koniec sierpnia 1939 roku kartą rosyjską grali Chamberlain i Beck, a nie Hitler, ale nie można za to ich winić, gdyż odpowiedzialność za ten niezwykły zwrot dyplomatyczny spada na Stalina, któremu w czerwcu 1941 roku przyszło zań drogo płacić.

Z drugiej strony autorka ma świętą rację, kiedy ostro krytykuje politykę Chamberlaina wobec Niemiec, która opierała się na złudnym założeniu, że brytyjskie gwarancje dla Polski odstraszą Hitlera od dochodzenia siłą swych roszczeń wobec nas — Gdańska i Korytarza — i skłonią go do dyplomatycznych negocjacji.

Chamberlain, podobnie zresztą jak Beck, prawie do samego wybuchu wojny miał nadzieję, że będzie mógł dojść do porozumienia z Berlinem.

Brytyjski premier robił co tylko mógł aby uniknąć wojny, która musiała, jego zdaniem, doprowadzić do osłabienia imperium brytyjskiego i wzrostu potęgi USA i ZSSR. Pod tym względem przypuszczenia Chamberlaina były całkowicie słuszne.

Ponadto, jak to trafnie podkreśla autorka, brytyjskie gwarancje dla nas były gwarancjami bez pokrycia. Brytyjczycy udzielili ich nam, gdyż obawiali się, iż bez nich skapitulujemy wobec żądań niemieckich i przejdziemy do obozu państw osi, co doprowadziłoby do całkowitej zmiany układu sił w Europie na korzyść Berlina i skierowało jego główną uwagę, przynajmniej tymczasowo, na zachód lub południe.

Udzielone nam gwarancje miały też zapewnić Londynowi większy wpływ na naszą politykę wobec Niemiec.

Wreszcie w przypadku wojny miały automatycznie zapewnić nasz udział w niej po stronie aliantów zachodnich, nie zapewniając nam jednak żadnej konkretnej i natychmiastowej pomocy z ich strony.

Jak to określił sam Chamberlain, w wypadku wojny „powinniśmy atakować Niemcy nie po to, aby ocalić którąś z ofiar agresji, ale aby obalić tyrana".

O naszych losach miał zadecydować ostateczny wynik wojny i końcowe zwycięstwo aliantów nad Niemcami.

Tymczasem mieliśmy przyjąć na siebie pierwsze uderzenie Hitlera, aby związać jego siły i dać czas Anglii i Francji do przygotowania się do wojny.

Front wschodni bez udziału w nim Rosji był po prostu ułudą, gdyż sama Polska, bez skutecznej i natychmiastowej pomocy z Zachodu, prędzej czy później musiała Niemcom ulec.

Anglicy dobrze zresztą zdawali sobie z tego sprawę. — Pocieszali się jednak tym, że nawet pobita Polska będzie wiązała tę samą liczbę wojsk niemieckich co walcząca. Liczyli też, że w czasie ofensywy na Polskę Niemcy poniosą znaczne straty. Ponadto po pokonaniu Polski dojdzie do bezpośredniego kontaktu pomiędzy III Rzeszą i ZSSR, co oznaczało możliwość powstania bardziej trwałego wschodniego frontu.

Udzielanie nam pomocy militarnej w 1939 roku wcale nie leżało w interesie naszych aliantów. Wojna miała się rozstrzygnąć nie w Polsce, ale na froncie zachodnim, na którym Niemcy mieli sobie połamać zęby i przez to dać Anglikom i Francuzom możliwość podjęcia zwycięskiej ofensywy.

W maju 1939 roku brytyjscy i francuscy sztabowcy ostatecznie ustalili, że Polska nie otrzyma żadnej pomocy z Zachodu, co z góry przesądziło o wyniku kampanii wrześniowej.

Tak w istocie przedstawiał się głębszy sens polityczny i militarny brytyjskich gwarancji dla Polski i dobrze się stało, że Prazmowska o tym przypomina.

Niestety, nie zdawało sobie z tego sprawy nasze ówczesne kierownictwo państwowe, z ministrem spraw zagranicznych, Józefem Beckiem, na czele, które łudziło się do lipca 1939 roku, że brytyjskie gwarancje i nasze twarde, żołnierskie stanowisko wobec żądań Hitlera „odstraszą" go i uczynią bardziej ugodowym.

Niestety, stało się inaczej. Brytyjskie gwarancje przyspieszyły, miast zażegnać, atak niemiecki na Polskę, gdyż przekonały Hitlera, iż nie będzie mógł uczynić z niej satelity III Rzeszy. Ponadto wzmogły z pewnością jego dążenia do porozumienia z Moskwą, co miało postawić Polskę w beznadziejnej sytuacji i udowodnić Londynowi i Paryżowi, że ich nadzieje na wciągnięcie ZSSR do antyniemieckiego obozu były płonne.

Beck prawie do samego końca wierzył zapewnieniom Hitlera, że nie miał on zamiaru zniszczenia Polski, gdyż potrzebował jej jako osłony od Wschodu. Po prostu nie zdawał sobie sprawy z taktycznego charakteru polsko-niemieckiego zbliżenia z 1934 roku, chociaż często mu o tym przypominał Józef Piłsudski. Beck ufał w trwałość przyjaznego stosunku Niemiec do Polski, a zapewnienia Hitlera, Göringa i Goebbelsa o definitywnej zmianie niemieckiego nastawienia do nas brał za dobrą monetę, co było jego największym błędem.

Poza tym Beck nie dopuszczał nawet możliwości porozumienia pomiędzy III Rzeszą i ZSSR naszym kosztem, ze względu na „ideologiczny", czy nawet „religijny" charakter ich sporu.

Beck nie pojmował, przy całej swej bystrości i dużym dyplomatycznym doświadczeniu, że w polityce i strategii wielkich mocarstw względy ideologiczne nie grają często większej roli,

że nie ma w niej miejsca na stałych przyjaciół i wrogów, a liczą się tylko stałe interesy, dla których zrealizowania gotowe są zrobić wszystko.

Józef Beck nie był, niestety, politykiem wielkiego kalibru, gdyż zbyt często ulegał niebezpiecznym złudzeniom i pomysłom. Jego polityka czeska była wręcz samobójcza: pomagając Hitlerowi w zniszczeniu Czechosłowacji, otwierała mu drogę do bezpośredniej, wolnej rozprawy z nami. Doprowadziła też do naszego całkowitego osamotnienia w Europie, z którego wyrwały nas feralne dla nas brytyjskie gwarancje, które nie mogły już nas uratować od wrześniowej katastrofy.

Końcowy wynik polityki płk. Józefa Becka, według autorki, był dla nas fatalny.

Powstaje jednak pytanie, czy w ówczesnych warunkach mógł być inny? Obrońcy i apologeci polityki Becka powiedzą, że nie, gdyż nie mogliśmy iść ze Stalinem na Niemcy, lub z Hitlerem na Rosję, gdyż jedno i drugie doprowadziłoby do utraty niepodległości na rzecz Moskwy lub Berlina.

Będą twierdzić, że Beck wybrał drogę najlepszą, chociaż niebezpieczną i trudną, która w końcu doprowadziła do całkowitej klęski Hitlera.

Spór o politykę Becka trwa i będzie trwać jeszcze długo, gdyż dotyczy spraw dla Polaków niezmiernie ważnych: roli i znaczenia Niemiec, Rosji i Zachodu w naszym życiu politycznym.

Praca Anity Prazmowskiej jest jednym z ostatnich, chociaż nie w pełni obiektywnych głosów w tym sporze.

Jan CIECHANOWSKI

Tomasz **ŁOMŻA**

HISTORIA W KASETACH

Nie będę chyba odosobniony, jeśli stwierdzę, że działalność paryskiego Video-Kontaktu stanowi dziś jeden z ważniejszych odcinków przekazywania prawdy o dawniejszej i aktualnej historii naszego kraju. Zwłaszcza, że sugestywność ekranowego obrazu wielu — szczególnie młodszym — widzom celniej trafia do świadomości niż słowo drukowane. Nie od rzeczy będzie tu także przypomnieć, że w szkołach zawodowych jeszcze do niedawna w ogóle nie było lekcji historii. Wywalczyła je dopiero „Solidarność", też zresztą w niewielkim zakresie.

Video-Kontakt, sądząc po dotychczas wyprodukowanych fil-

mach, podejmuje bardzo rozmaite tematy. Obok obrazów sięgających do czasów odleglejszych, takich jak „Józef Piłsudski" czy „Emisariusze", przekazuje też prawdę o czasach najnowszych. Nie zawsze są to znakomicie zarejestrowane chwile grozy, jak w „Kalendarzu wojny", czy kolejnych wydaniach publicystycznego „Magazynu". Niekiedy celem realizatorów jest popularyzowanie owianych legendą osób lub instytucji (KOR, „Solidarność" — sylwetki znanych postaci opozycji, Józef Czapski, „Kultura", „Trzy portrety").

Docenia się też — jak najsłuszniej — rolę wysokiej jakości humoru. Kasety z wieczorami autorskimi Jacka Fedorowicza czy Janusza Szpotańskiego niezwykle trafnie ukazują łgarstwa, oszustwa i cały arsenał manipulacyjnych działań peerelowskich prominentów, a widzowie pokładają się ze śmiechu.

Rzecz jasna: przy tak szeroko zakrojonym programowym założeniu jakość poszczególnych filmów musi być różna, tak jak różne są stosowane dokumentalne i artystyczne środki i metody realizacyjne.

Nie to jednak jest przedmiotem rozważań tego felietonu, lecz tylko trzy ostatnio wyprodukowane filmy złączone „generalską klamrą": o Władysławie Sikorskim, Władysławie Andersie i Stanisławie Maczku. Każda z tych wielkich żołnierskich postaci — o czym wiadomo — traktowana była w peerelowskiej propagandzie nieco inaczej, w zależności od biegu historycznych wydarzeń. Tragiczna śmierć Naczelnego Wodza i Premiera Rządu Emigracyjnego, która nastąpiła już w lipcu 1943 roku, zanim ostatecznie przypieczętowany został los Polski, a także jego ostra opozycja wobec rządów przedwrześniowych, spowodowały, że oficjalna historiografia „władzy ludowej" obchodziła się z pamięcią Generała na ogół dość łaskawie, choć oczywiście nie rezygnowano na żadnym „etapie" z odpowiednich przekłamań, dotyczących poszczególnych wydarzeń i roli w nich Sikorskiego. Tak czy owak ukazała się jednak w Kraju bardzo rzetelna książka monograficzna Olgierda Terleckiego, także parę innych uczciwych publikacji oraz koszmarny artystycznie i zafałszowany film Bohdana Poręby, prezesa „patriotycznego" Stowarzyszenia Grunwald, pt. „Katastrofa w Gibraltarze".

W filmie Poręby dzieją się różne cuda, z kulminacyjną, wyssaną z palca sceną rozmowy Sikorskiego z Berlingiem w Moskwie, w której ścierają się starannie wyważone racje obu stron, zgodnie z lansowaną przez „prawdziwych patriotów" linią taktyczną. Dodatkowej pikanterii dodawał filmowi fakt, że córkę Generała kreowała Bułgarka, jako, że do współpracy z Porębą żadna rodzima aktorka najwyraźniej się nie kwapiła. Właściwym jednak wykładnikiem poglądów reżysera była postać Józefa Retingera, który został przedstawiony jednoznacznie: jako żydlaczący alkoholik. To on właśnie miał być złym duchem Sikorskiego, co wydawało się w ogóle główną przyczyną nakręcenia filmu, zakończonego zresztą kompletną frekwencyjną klapą.

Paryski dokument Witolda Zadrowskiego — bo on właśnie jest reżyserem i scenarzystą wszystkich trzech filmów — nosi nieco mylący tytuł: „Generał Władysław Sikorski — tajemnica śmierci". Może to sugerować, że coś w tej mierze zostanie wyjaśnione, że kurtyna, którą osłonięty jest ten dramat, będzie choć odrobinę uchylona. Tak się jednak nie stało, bo nowych elementów po prostu brak. Mamy więc w filmie sporo dokumentalnych zdjęć z miejsca tragedii, fragmenty kronik i trzy wspomnienia i opinie: historyka, męża stanu i świadka katastrofy.

Edward Raczyński, ówczesny minister i późniejszy Prezydent, przychyla się do zdania, że nie był to tylko tragiczny wypadek. W starannie wyważonych słowach przypomina, że wówczas w okolicach Gibraltaru krążył osławiony sowiecki agent Kim Philby i że jego obecność tam nie była chyba przypadkowa. A więc sabotaż z wyraźnym wskazaniem sprawców?

Innego zdania jest Józef Garliński; w świetle dokładnie zanalizowanych dotąd faktów opowiada się za katastrofą lotniczą bez ingerencji sił zewnętrznych.

W tym wszystkim daje nieco do myślenia dziwny ładunek unoszący się na morzu tuż po dramacie. Są to liczne futra, które prawdopodobnie przemycał pilot Prchala. A więc może przeciążenie maszyny?

Pytania można by mnożyć. Czynili to zresztą wszyscy, którzy próbowali zmierzyć się dotąd z tym dramatem, ale w rozwiązaniu zagadki nie posunęli się ani o krok do przodu.

Zadrowski zrealizował film starannie, ale jakby nieco zbyt statycznie. Widz czuje lekki niedosyt. Wydaje się, że przy większym nakładzie wysiłku i inwencji dałoby się z tematu wydobyć więcej. „Gadające głowy" — choćby najwyższego intelektualnego kalibru — stanowią zawsze filmową „watę" i nie mogą zastąpić żywego obrazu.

Wyraźnie lepszy artystycznie rezultat uzyskał w filmie „Generał Anders i jego armia". Postać legendarnego dowódcy stała się niemal od zarania PRL synonimem wstecznictwa i reakcyjności. Jego imię odmieniane było po tysiąckroć w kontekście najbardziej wymyślnych oszczerstw, pojawiało się w rezolucjach, odezwach, na agitacyjnych plakatach, nieodmiennie w postaci wroga numer 1. Nigdy władcy Moskwy nie mogli zapomnieć Andersowi, że potrafił — wbrew wszelkim stale mnożącym się szykanom i przeszkodom — wyprowadzić z „nieludzkiej ziemi" swoich zdziesiątkowanych przez łagry i choroby żołnierzy. A potem, opromieniony chwałą brawurowych zwycięstw, wywalczonych już wówczas, gdy los Polski był przesądzony, miał w tęsknotach Polaków pojawić się w Kraju jako oswobodziciel na białym koniu. Ten tajemniczy biały koń urósł w końcu do rangi symbolu. O nim właśnie — z wieloletniego już dystansu — mówi w filmie żona Generała, Renata Anders-Bogdańska. Wspomina, że ani ona, ani mąż, ani nikt z przyjaciół nie mogli nigdy zrozumieć, dlaczego akurat Generał miał wjechać do wyzwolonej Polski na

białym koniu. I skąd w ogóle wziął się ten prześmiewczy symbol? Mówi też — co porusza szczególnie — że mąż jej nigdy nie chciał na stałe się za granicą urządzać, stale wierzył, że to stan tymczasowy. Przychodzi na myśl gorzka refleksja, a właściwie aforyzm, że najbardziej trwałym stanem w życiu człowieka jest tymczasowość. Pozbawiony polskiego obywatelstwa, ten jeden z najbardziej zasłużonych Polaków miał o tej prawdzie — jak wielu, wielu innych — przekonać się aż nadto dobitnie.

Dokument Zadrowskiego rejestruje wiele faktów z życia Generała i jego żołnierzy, które zwłaszcza do widza w Kraju winny przemówić. Bowiem nie łudźmy się: resztki przez lata wtłaczanej propagandowej trucizny tkwią jeszcze w poniektórych głowach. A jeśli idzie o młodzież, to wielu ludziom z niezawinionych przyczyn imię Generała w ogóle nie przemawia do wyobraźni; jest jakimś odległym, mgławicowym symbolem, przesłoniętym przez lansowanych natrętnie w PRL wielu innych „oficjalnych" bohaterów.

Trzecim obrazem Zadrowskiego jest dokument o „Generale Maczku i jego pancernych".

Ten jeden z najbardziej walecznych dowódców, który bił Niemców od Normandii po Wilhelmshafen, był i jest do dziś uosobieniem ludzkiej i żołnierskiej skromności. Może też i dlatego jego świetny wojskowy talent i wojenne szczęście nie urosły do rozmiarów takiej legendy, na jaką zasługuje. Po latach próbują ją rozbudzić weterani zebrani w 1987 roku na zjeździe „maczkowców" w Toronto.

Mamy więc w filmie dwa elementy: czas frontowej chwały, ukazany w sekwencjach czarno-białych i dzień dzisiejszy — konkretnie ów zjazd w Toronto — zarejestrowany na taśmie kolorowej.

Ten realizatorski zabieg daje rezultat połowiczny. Obok poruszających zdjęć z przeszłości — zwłaszcza tych z wyzwalania Holandii — niektóre ujęcia współczesne zatrącają o wytarty schemat. Znów zbyt wiele tu przemówień, które choć wzruszają, są nieco przydługie, a przez to nużące. W ten sposób zachwiane są w filmie proporcje; na pewno współczesny widz chciałby poznać więcej dokumentów z pełnej chwały przeszłości. Starsi, wspaniali panowie — choć to smutne — nie mają, bo mieć nie mogą, tej sugestywnej siły, co ich młodzieńcze, zwycięskie wcielenia. Nie starczyło widać dokumentalnego materiału, a może także i jakiegoś bardziej odkrywczego reżyserskiego pomysłu. Szkoda, bo nieprędko zapewne przyjdzie raz jeszcze wrócić do tego tematu.

Nie grymaśmy jednak: te trzy filmy dają i tak sporą dawkę wiedzy i historycznego klimatu, o którym znaczna część ludzi w Polsce nie ma w ogóle pojęcia. Nie trzeba więc chyba wspominać o roli, jaką winny odegrać.

Tomasz ŁOMŻA

Edmund JAKUBOWSKI

O ŻMUDZINACH PISZĄCYCH I OPISYWANYCH, I TROCHĘ O SOBIE

Nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego w Warszawie ukazała się w roku 1986 praca dr. Bronisława Makowskiego pt. „Litwini w Polsce 1920-1939". Jest to skrót (350 stron) pracy doktorskiej pod kierunkiem prof. P. Łossowskiego.

Prasa litewska nazywa autora Bronislavas Makauskas, dodając, że urodzony w Sejnach, jest żonaty z córką znanego działacza litewskiego. Gdy po rzymskim jubileuszu chrztu Litwy duszpasterz litewskiej diaspory, biskup Bałkatis, został zaproszony do Polski, honory domu czynił w imieniu litewskiej grupy etnicznej Bronisław Makowski. Litewski recenzent pisze: książka ta wiernie obrazuje działalność litewską „i tragedię pod polską okupacją". Słusznie też zauważa, że w polskiej literaturze o losach litewskiej mniejszości mało pisano. Trudno więc znaleźć materiały, by polemizować z autorem, którego sympatie leżą „po tamtej stronie Niemna".

Autor dla porównania obrazuje sytuację Polaków na Litwie. Oburza się na ucisk polskich władz, ale bezstronnie stwierdza, że Polacy w Republice Litewskiej byli pod wielu względami jeszcze bardziej uciskani. To stwierdzenie i dosyć ścisłe informacje o losach i kulisach Polonii Litewskiej wzbudzają zaufanie do autora. Natomiast wstępne informacje o Litwinach, te same co we wstępie do ziejącej nienawiścią książki Cesnulisa „Nužmogintieji" — „Nieludzcy" — zaufanie podważają.

Na polskim czytelniku książka ta robi na ogół przykre wrażenie. Odnosi on wrażenie, że Litwini stosowali w stosunku do Polonii politykę twardą, ale ze swego punktu widzenia celową i skuteczną (polska mniejszość skurczyła się w ciągu dwudziestu lat może o połowę), natomiast polska polityka w stosunku do Litwinów była niekonsekwentna i drażniąca. Liczba Litwinów się od tego nie zmniejszyła, ale stali się zapiekłymi wrogami Polski, którzy do dziś dnia powtarzają niekiedy, że „lepiej, aby Wilno było sowieckie, niż miałoby przypaść Polakom".

Do tej zaciekłości Litwinów święciańskich przyczyniły się wielkie subsydia rządu kowieńskiego, większe niż płynące z Warszawy do Kowna. Autor poświęca kilkadziesiąt stron losom Polonii litewskiej, przytaczając, na ogół zgodnie z prawdą, fragmenty raportów i dyrektyw, chociaż daje się zauważyć specjalnie krytyczny stosunek do tendencji „uaktywnienia" Polonii przez dyrektora departamentu konsularnego Drymmera, a cieplejszy do „krajowców", którzy warunkowo godzili się na określenie, że „jesteś-

my cząstką narodu polskiego, której ojczyzną jednak jest Litwa". W książce znajdujemy informacje o proteście redaktorów litewskiej prasy opozycyjnej i niezależnej oraz organów mniejszości narodowych przeciw nowej litewskiej ustawie prasowej, nie tylko zaostrzającej cenzurę, ale wprowadzającej przymus zamieszczania artykułów rządowych bez ostrzeżenia czytelników, że nie jest to materiał własny. Deklarację protestacyjną dn. 25. 5. 1936 podpisał m.in. za *Dzień Polski* red. E. Jakubowski.

Po rocznej pracy pomocniczej w tym dzienniczku zostałem jego redaktorem. W zaogniającej się atmosferze wojny między „krajowcami" a „Legionem Młodych" zajmowałem stanowisko neutralne. Możność wypowiedzi była z racji cenzury tak ograniczona, że zachowanie neutralności nie było trudne. Znając stosunki francuskie, gdzie opozycyjna inteligencja arystokratyczno-rojalistyczna była przez rząd republiki wykorzystywana w administracji kolonialnej i we flocie, z pożytkiem dla Francji, a bez możności zrobienia przewrotu, planowałem artykuł o możności wykorzystania młodej polskiej inteligencji, często z zagranicznymi dyplomami, z obopólnym dla Polaków i Litwinów pożytkiem w kraju kłajpedzkim, gdzie Litwini wyraźnie nie mogli dać sobie rady z Niemcami.

Radziłem się red. T. Katelbacha (późniejszego senatora) i otrzymałem odpowiedź, że myśl jest dobra, ale zaalarmuje Niemców i że jak przyjdzie czas, to on sam to omówi w swej korespondencji do *Gazety Polskiej*.

W naszej redakcji byliśmy obficie zaopatrywani w materiały propagandowe przesyłane przez „Światpol" z hasłami „na obczyźnie Polak Polakowi bratem", „Polska jest matką, o matce nie mów źle" i „Jesteśmy jednej krwi". To ostatnie hasło było przesyłane na Litwę niepotrzebnie. Po zaostrzeniu konfliktu niemiecko-litewskiego nasz kowieński tygodnik *Chata Rodzinna* nawiązał do odwiecznej tradycji współpracy mniejszości polskiej i litewskiej w Reichu i tym razem stanął w obronie Litwinów i przeciw zniemczonym kłajpedzianom.

Litwini zawsze nam wymawiali, że jesteśmy z nimi jednej krwi i przeto wyrodkami, a polską tezą było, że tylko świadomość narodowa świadczy o przynależności do takiej czy innej narodowości. Inicjatorzy „uaktywnienia" powiadali: jesteśmy cząstką narodu polskiego, jakiej krwi to nieważne, więc doszło do konfliktu między obu polskimi gazetami. Otrzymałem rozkaz zamieszczenia przysłanego mi artykułu krytyczno-napastniczego na bratnią *Chatę Rodzinną*. Zdawałem sobie zawsze sprawę, że w polityce trzeba niekiedy zmieniać hasła zależnie od potrzeby i, jak powiadał Paderewski, korzystna bywa gra na dwóch fortepianach. Ale hasło, że w diasporze „Polak Polakowi bratem" zostało mi wpojone. Artykuł na łamach *Dnia Polskiego* został w zwiększonym nakładzie rozesłany do prenumeratorów o wiele poczytniejszego tygodnika, a ja złożyłem trzymiesięczne wymówienie ze

stanowiska redaktora, co prawda głównie ze względów rodzinnych i dlatego, że drakońska cenzura obrzydziła pracę, która coraz mniej miała wspólnego z dziennikarstwem. Makauskas jednak wewnętrzne spory polonijne bardzo wyolbrzymił, gdyż obie grupy ze sobą współpracowały do wybuchu wojny i później.

Ówczesnego redaktora *Chaty Rodzinnej*, Ugiańskiego, widziałem po raz ostatni w maju 1944 roku. Oceniał wówczas sytuację następująco: Niemcy wojnę przegrały, jeżeli Rosjanie wejdą do Wilna, to już z niego nie wyjdą. Jedyną nikłą szansą jest, że powtórzą się wypadki z roku 1918 i Niemcy skapitulują, utrzymując jeszcze front na wschód od Wilna. W naszym interesie leży odwlekanie przybliżenia tego frontu, a tymczasem uprawiamy dywersję, chcąc żeby Niemcy prędzej oddali Wilno Rosjanom. Ale rozkaz jest rozkazem. Ugiański po latach, z krzyżem wileńskiego AK z mieczami, wrócił ze zrujnowanym zdrowiem z Syberii do Warszawy.

Dr Wacław Korabiewicz, lekarz z „Daru Pomorza", podróżnik kajakiem do minaretów, poeta i płodny autor, napisał ostatnio wspomnienia z młodzieńczych lat pt. „Pokusy". Lata te przebiegały w moim bliskim sąsiedztwie, więc mogę krótką recenzję skreślić ze znawstwem tematu, jako czasem naoczny świadek. Nieważne, że „Ciotkę Ewelinkę" pogrzebał przedwcześnie, bo żyła jeszcze dwadzieścia pięć lat; może szkoda, że pominął wątki, ciekawe historycznie. A więc że ten wodzirej, salonowiec Józio Kiełpsz, chyba zaraz po pierwszej wojnie światowej prowadził tańce na Żmudzi, bo szybko był w sztabie w Warszawie, w misjach na Ukrainie, w kwietniu 1919 na Białorusi, a potem długie lata adiutantem ministra Obrony i generała Sosnkowskiego. Sąsiad i towarzysz zabaw Korabiewicza, Stefan, to późniejszy bohater wileńskiego AK, „Koń" Ławcewicz. O wspólnym sąsiedzie mogę uzupełnić relacje. Szczepuk, jak go zwano, zaczął studia medycyny w Wilnie, po paru latach przeniósł się do Gandawy, bodajże Brukseli, Paryża, Algieru i wreszcie do Tuluzy. Zawsze na medycynie, której nie skończył. Wreszcie jego siostra Ninka pojechała do Francji, wykupiła go z długów i przywiozła do rodzinnych Kalwiszek. W czasie wojny dostał prawo leczenia półoficjalnie. Przemiły kompan, z gruntu uczciwy człowiek, zdawał sobie sprawę ze zmarnowanego życia i zaczął pić. Gdy nas odwiedził w końcu 1941 roku wezwany do chorej córeczki, przed południem już był podpity, porozmawialiśmy po przyjacielsku. Po jego wyjeździe powiedziałem, że Szczepuk, mający wyrzuty sumienia, że zmarnował życie swoje i poniekąd siostry, jest na prostej drodze do samobójstwa. Szczepuk zniknął niebawem z horyzontu. Po wojnie zaczęły nadchodzić wiadomości, że jego matka w Polsce poszukuje syna. Potem zaczęto o nim pisać w książkach, najpierw w wileńskim „Mateczniku" Krzyżanowskiego, a później we wspomnieniach Z. Szczęsnego Brzozowskiego, też ze starszyzny akowskiej. Te relacje potwierdzają mój domysł,

że Szczepuk był desperacko odważny, bo szukał śmierci i ją znalazł chwalebną, jak bohater który życia nie zmarnował.

W książce Korabiewicza został pominięty jeszcze jeden sensacyjny wątek. Mąż jego siostry Ireny, Bolek, o którym często wspomina — to Szacki, o którym pisze w swych wspomnieniach Nikita Chruszczow jako o dobrym komuniście. Inna wersja, polska, twierdziła, że Szacki to komisarz Skarbek, opisywany w głośnej swego czasu książce „Koń na wzgórzu", według jeszcze innej wersji Szacki był w partii komunistycznej jako wtyczka peowiacka i został stracony. Interesowałem się jego losem, bo w roku 1914 był przez krótki czas u nas nauczycielem domowym.

Edmund JAKUBOWSKI

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz WYRWA

AMBASADOR PAPÉE O NASTROJACH W WATYKANIE W LATACH 1945-1946

W archiwach Instytutu Sikorskiego znajdują się raporty Kazimierza Papée, ambasadora przy Watykanie rządu R.P. w Londynie, które rzucają sporo światła na atmosferę panującą w Watykanie w odniesieniu do Polski w okresie ustalania systemu jałtańskiego [1].

W raporcie (maszynopis bez podpisu), zatytułowanym „Notatka wewnętrzna", ambasador Papée pisał z Rzymu 24 lutego 1945: „Naprowadzony na rozmowę o *Osservatore Romano* Mgr. Montini [2] powiedział mnie dziś, że nie wie, czy dotychczasowa linia *Osservatore Romano* w sprawie Polski nie była szkodliwa, czy nie wywołała w Polsce represji przeciwko Kościołowi. Zdaniem Mgr. Montini to, że my z niej jesteśmy zadowoleni, wypływa z naszego stanu 'obolałego', w którym szukamy poparcia dla naszych tez, nie dbając o realne skutki tych czy owych wystąpień. — 'Byłoby może lepiej dla Polski, gdyby dziennik się trzymał w ramach tego umiaru, który zajmuje zwykle w sprawach, w których chodzi o interes trzecich osób'. 'Jako wynik — mówił dalej Mgr. Montini — mamy dziś przeciwko sobie Rosję, i nie tylko

1. *Vide:* „Archiwa Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego, sygnatura: „Watykan a Polska" A. 44.122, teczka 34.

2. G. B. Montini, przyszły Papież Paweł VI, znał Polskę z okresu dwudziestolecia, kiedy pracował w 1923 roku w Nuncjaturze Warszawskiej. W 1945 był substytutem Sekretariatu Stanu.

broniącą się, ale atakującą. Sprawa będzie musiała być wszechstronnie rozważona i zdecydowana autorytatywnie. Na pewno lepiej było nie pozostawiać jej do wolnej dyskusji dziennikarzy. Ta wolność dała złe rezultaty, będą teraz zarządzenia autorytatywne'. — 'Wy sami moglibyście się skarżyć na *Osservatore*, że zbytnią swą ostrością ściągnął na Polskę prześladowania'.

Na moją uwagę, że przecież nie można było oczekiwać od Sowietów zmiany polityki wobec religii, że żadne 'głaskanie krokodyla' by do tego nie doprowadziło, że w niczym nie przekroczono ani umiaru, ani tym bardziej prawdy — Mgr. Montini mi powiedział, że to iż my nie mamy pretensji, zdejmuje jedną obiekcję, ale że sprawa musi być rozważona ze wszystkich stron. Odnoszę wrażenie, że Mgr. Montini jest albo nastraszony potęgą sowiecką i wraca do pozycji, którą zajmował w naszych sprawach pod okupacją niemiecką Rzymu, albo że Jałta rozwiała ich nadzieję na zwycięstwo Aliantów i zmusza do liczenia się z Rosją jako z przyszłą rządzicielką Europy. Być może że im powiedziano, że Roosevelt ich ominął z nakazu Stalina. Skonstatowałem w każdym razie, że sprawa jest dla Mgr. Montini w najwyższym stopniu podniecająca i ważna".

W „ściśle tajnym" raporcie z 19 czerwca 1945 ambasador Papée podawał: „Naczelny redaktor *Osservatore Romano*, hr. Dalla Torre, zapytany ostatnio o zmniejszone wykorzystywanie nadesłanych mu z Ambasady wiadomości polskich, zasłonił się zleceniami Sekretariatu Stanu. Powiedział mianowicie, iż ataki prasy sowieckiej na Watykan są 'wyłącznie' odpowiedzią na stanowisko Watykanu w sprawie Jałty i w sprawach polskich w ogóle. Polecono mu wobec tego 'zachować w stosunku do Sowietów tę samą linię, którą zachowano wobec Niemiec hitlerowskich', mianowicie: 1. nie pisać nic, co by mogło uchodzić za daleką choćby aprobatę Sowietów; 2. w każdej kolejno wypływającej sprawie z Sowietami zająć i zaznaczyć stanowisko chrześcijańskie; 3. nie pisać nic, co by mogło Sowiety 'urazić'.

Hr. Dalla Torre usłyszał w odpowiedzi, że sprawa polska jest co najwyżej ostatnim pretekstem do napaści prasy sowieckiej na Watykan, gdyż czerwona Międzynarodówka, póki nią jest, będzie stale walczyć z 'międzynarodówką katolicką'; że analogia w traktowaniu Hitlera i Stalina nie może być stosowana bez poprawek wynikających z faktu, iż Hitler miał możność dosięgnąć Watykan, której Stalin nie ma, i że oszczędzając Hitlera można było przed nim coś uratować, podczas gdy ze Stalinem nie ma na to żadnych widoków.

Dalla Torre próbował tłumaczyć, że wojska Stalina co prawda nie stoją przed placem św. Piotra, ale że tak samo jak Hitler ma on miliony katolików w swym ręku i ich to właśnie Watykan nie chce narażać 'urażając' rządy sowieckie; że Stalin coraz bardziej się ogranicza do interesów lokalnych, rosyjskich, nacjonalistycznych, rezygnując z zamiarów globalnych i podbiwszy państwa

pograniczne zadowoli się kompromisami — z kapitalizmem z jednej strony, z Watykanem z drugiej. Na dalsze uwagi z polskiej strony hr. Dalla Torre powiedział, że osobiście nie miałby nic przeciwko dużemu zaostrzeniu kursu wobec Sowietów, ale że musi się stosować do zleceń: 'Jestem tylko kanonierem przy dziale: nie do mnie należy komenda. Gdy usłyszę: ognia! — będę strzelał z radością' ".

Ambasador Papée pisze następnie, iż w istocie „okazuje się, że nakazy ostrożności wydane Redaktorowi *Osservatore Romano* nie są tak bezwzględnie ostre, jak je przedstawia hr. Dalla Torre. Mgr. Montini powiedział, że polecono pismu watykańskiemu, by bolszewicy nie byli 'urażani bez potrzeby' — co jest oczywiście różnym od zasady 'nie urażania w ogóle' ". W post-scriptum tego raportu ambasador Papée dodał: „W rozmowie z obecnym Kierownikiem Sekretariatu Stanu, Mgr. Tardinim, mogłem stwierdzić dziś, że tak jest rzeczywiście. Wynikałoby z niej, że hr. Dalla Torre jest niezwykle wstrzemięźliwy w wykonywaniu otrzymanych instrukcji".

Kilka miesięcy później, w raporcie z 9 listopada 1945, ambasador Papée stwierdził jednak, że linię postępowania *Osservatore Romano* „należy uznać za bezwzględnie niezadowalającą. Cechuje ją w pierwszej mierze powstrzymywanie się w miarę możności od omawiania sytuacji w Polsce, a skoro już nie da się tego uniknąć, podawanie wiadomości stamtąd w sposób możliwie bezbarwny — 'obiektywny'. Nawet w sprawie tak blisko obchodzącej Watykan, jak zerwanie Konkordatu[3], *Osservatore Romano* starał się nadać swej reakcji ton możliwie jak najmniej drażniący dla administracji warszawskiej, przerzucając ciężar polemiki z wysuniętą przez nią motywacją tego kroku na drugi organ prasowy watykański, *Il Quotidiano*. Staramy się przeciwdziałać tej wysoce dla nas niekorzystnej metodzie różnymi drogami. Osobiście wielokrotnie poruszałem tę sprawę w Sekretariacie Stanu. Przesyłam w załączeniu odpisy moich pism skierowanych w tej sprawie do Mgr. Tardini".

Co się tyczy wyżej wspomnianych listów ambasadora Papée do Mgr. Tardiniego, pisanych w języku francuskim, to w liście z dnia 30 czerwca 1945 Papée podkreśla, że Moskwa chce utworzonym przez siebie komitetem zastąpić legalny rząd i zniszczyć niepodległość Polski. „W tej sytuacji *Osservatore Romano* robi wrażenie, że usiłuje zachować równowagę między legalnym rządem i komitetem agentów bolszewickich, jak gdyby dobro znajdowało się w pół drogi między tym, co jest sprawiedliwe i niesprawiedliwe... Czytelnik tego czasopisma mógłby sądzić, że naród polski akceptuje, nie protestując nawet, niesprawiedliwość,

---

3. Reżim komunistyczny wypowiedział konkordat we wrześniu 1945 roku. *Vide:* „Kościół i państwo w pierwszym dziesięcioleciu PRL" w *Zeszytach Historycznych* nr 82, str. 59 i nast.

jaka została mu wyrządzona". W liście z 8 listopada 1945 ambasador Papée pisał do mgr. Tardiniego: „Żałuję, że muszę powrócić do kwestii, która była przedmiotem moich listów z 30 czerwca i z 2 lipca 1945 odnośnie postawy przyjętej przez *Osservatore Romano* wobec sprawy polskiej. Czasopismo to wydaje się uczestniczyć w wielkiej 'konspiracji milczenia' prasy światowej w stosunku do Polski. Istotnie, prawie żadna wiadomość dotycząca naszego kraju nie została opublikowana w ostatnich miesiącach na łamach tego czasopisma... *Osservatore Romano*, organ najbardziej miarodajny, żeby wyrażać opinię katolicką i nadawać ton prasie katolickiej, zachowuje milczenie nawet w sprawach, gdzie wydawałoby się, iż jest jego obowiązkiem uwypuklić szczególnie niektóre wiadomości. Kraje katolickie Europy Centralnej, okrutnie prześladowane, pokładają nadzieję w rozległym ruchu opinii katolickiej całego świata, który mógłby przynieść poprawę ich losu".

Wyczekująca postawa *Osservatore Romano* miała już swoją tradycję z okresu okupacji niemieckiej i warto przytoczyć to, o czym nie tak dawno pisał jeden z dziennikarzy francuskich: „W Stolicy Apostolskiej zachowała się pamięć o tych posępnych latach, kiedy Włochy skapitulowały i Wehrmacht usadowił się w Rzymie. Redaktorom z *Osservatore Romano* wystarczyłoby wychylić się przez okno, żeby dostrzec na tle kolumnady Berninina stalowe hełmy i czarne buty z cholewami. Ale 18 września 1943 redaktorzy woleli napisać *(sanctissima prudentia)* po pięciu dniach namysłu: 'Według tego, co donoszą dzienniki włoskie *(sic)*, patrol wartowników niemieckich zajął popołudniu dnia 13 stanowisko na placu Świętego Piotra'[4]".

W dniu 14 lipca 1945 roku prałat Walerian Meysztowicz, radca kanoniczny ambasady polskiej przy Watykanie, miał rozmowę z Mgr. Montinim, z której ambasador Papée sporządził raport z datą 16 lipca i wysłał do naszego rządu w Londynie. W raporcie tym m.in. pisał: „Nigdy, nawet w czasach okupacji niemieckiej, nie widziałem u Mgr. Montini tak głębokiego defetyzmu i gotowości do ulegania złu, związanej z tak pełną świadomością, że prawo jest po przeciwnej stronie. Składa się na to: strach przed Rosją, większy jeszcze niż był strach przed Niemcami; niewiara w siłę oporu; bardzo wysoka ocena wartości materialnej organizacji Kościoła; niedocenianie zgorszenia, jakie daje odstępstwo Kurii od praktycznego stosowania zasad moralności społecznej".

Na życzenie generała Andersa, ambasador Papée doręczył w dniu 22 czerwca 1946 Mgr. Tardiniemu francuskie tłumaczenie de-

---

4. Eugène Mannoni, *„Radio-Vatican: les voix du Seigneur"* w *Le Point* z 7 grudnia 1987, Paryż, str. 158.

klaracji żołnierzy 2-go Korpusu[5], z prośbą o przedłożenie jej Papieżowi i wysłał w związku z tym raport do rządu polskiego, z datą 27 czerwca, gdzie donosił: „W rozmowie Mgr. Tardini nie ukrywał zaniepokojenia z powodu opuszczenia Włoch przez Korpus, uważając to za najjaskrawszy dowód, iż Anglosasi dezinteresują się losem obrony tego kraju przed ewentualnym atakiem ze Wschodu, pozostawiając go zdanym na własne, całkowicie niewystarczające siły".

„Także Mgr. Montini — pisze dalej ambasador Papée — rozmawiając na ten temat z księdzem prałatem Meysztowiczem nie ukrywał swego zaniepokojenia. Powiedział mu, że z lat dziecinnych pozostała mu w pamięci opowieść o koniach kozackich, które mają pewnego dnia pojawić się na placu św. Piotra. Obecnie stwierdza z przerażeniem, że rzecz, która dawniej wydawała się z dziedziny baśni, może się zrealizować, i to może w bardzo niedalekiej przyszłości. Wypowiedzi powyższe podaje jako szczególnie charakterystyczne dla obecnych nastrojów w wyższych sferach watykańskich[6]".

Tadeusz WYRWA

---

5. *Vide:* Władysław Anders, *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946.* Wydanie drugie, Montgomeryshire Printing Company, Londyn 1950, str. 419-420.
6. *Vide:* Archiwa Instytutu Sikorskiego, sygnatura: A. 44.745, teczka: 1.

A. SKOROCHODOW, emerytowany pułkownik

PRZYGOTOWANIA DO WOJNY Z BERIĄ

Dzień 20 czerwca 1953 roku toczył się ustalonym trybem w pułku artylerii przeciwlotniczej, stacjonującym w podmoskiewskiej osadzie.

W sztabie kłębiła się starszyzna baterii z rozmaitymi zapotrzebowaniami. Kancelista gefrejter Nigmutullin wystukiwał jednym palcem na maszynie kolejne doniesienie. Ja sam, zastępując komendanta pułku, który był na urlopie, sporządzałem wykres ćwiczeń sztabowych na następny miesiąc.

Rozległ się dzwonek na obiad. Baterie w szyku skierowały się do stołówki. Poszedłem i ja coś przegryźć. Zdążyłem przełknąć talerz barszczu, kiedy zadzwonił wewnętrzny telefon.

— Towarzyszu podpułkowniku! — usłyszałem głos dyżurnego, starszego lejtnanta Matusa. — Wzywają Was pilnie do aparatu w punkcie dowodzenia!

Przeklinając nieznanego przełożonego, naciągam buty i biegnę do punktu dowodzenia. Co znaczy to pilne wezwanie? Biorę słuchawkę bezpośredniej linii, zawiadamiam, że już jestem. Po minucie słyszę znany głos naczelnika okręgowego sztabu artylerii, pułkownika Griba:

— Proszę natychmiast przygotować wóz z trzydziestoma żołnierzami pod bronią i trzema oficerami. Każdemu wydać pełne uzbrojenie. Za dwie godziny mają być w sztabie okręgowym. Zawiadomić, kiedy wyjadą!

Komando było gotowe w pół godziny. Wziąłem żołnierzy ze szkoły pułkowej. Ledwie ruszyli, nowy rozkaz: wysłać jeszcze jeden wóz z kolejnymi trzydziestoma żołnierzami pod bronią. Ciekawe, co też się wydarzyło?

Kiedy tak rozmyślałem, wpłynął kolejny rozkaz:

Ustawić baterie na pozycjach bojowych, działać jak w stanie alarmu bojowego!

Ryk syreny wprawił w ruch całe obozowisko. Główne dowództwo milczy, nie podaje żadnych informacji o pojawieniu się celów powietrznych. Z domów mieszkalnych biegną oficerowie. Żołnierze wytaczają z zajezdni ciężkie armaty, rytmicznie skandując „raz, dwa, trzy!".

— Sam poprowadzę kolumnę, zostańcie w punkcie dowodzenia — krzyczę do mego zastępcy Miszczenki.

Dostaję nowy rozkaz: ogłosić alarm bojowy także dla baterii stacjonujących w obozie na wieżach strzelniczych. Wydaję odpowiednie rozporządzenie. Sierżant w budce wartowniczej otwiera szeroko bramę, kolumna rusza i niemal natychmiast znowu staje.

Szosą obok nas szybko przejeżdża pierwszy czołg. „Trzydziestka czwórka" z dużą prędkością jedzie w kierunku Moskwy, z rury wydechowej unosi się czarny dym, armata i karabin maszynowy wysunięte, za odkrytą klapą widać czołgistę w hełmie i czarnym kombinezonie. Za nim przemieszcza się duża kolumna samochodów. Ogłuszający ryk motorów, opary dymu, ostry zapach oleju solarowego. Czyżby znowu wojna?

Wreszcie nasze samochody wyjeżdżają na szosę. Pierwsza pozycja mieści się niedaleko, jakieś dziesięć kilometrów od obozowiska. Droga prowadzi obok dwupiętrowego domu, otoczonego wysokim murem zwieńczonym drutami kolczastymi. Brama w murze jest zamknięta za głucho, ale zdaje się, że ktoś uważnie patrzy przez wizjer. Ponad rok temu komendant dywizji zabronił nam przejeżdżania obok tej tajemniczej daczy, teraz jednak uznałem, że okoliczności są nadzwyczajne i poprowadziłem kolumnę zakazaną drogą. Nagle jakieś dwieście metrów przed czoł-

giem wyskoczyło jak spod ziemi dwóch żołnierzy. Jeden — pułkownik w płaszczu z pagonami wojsk ministerstwa spraw wewnętrznych, drugi — młodziutki lejtnant w podkoszulce o malinowych wypustkach, też z „wewnętrznych", z karabinem na ramieniu. Krępy, korpulentny pułkownik o czerwonej od upału twarzy staje wpoprzek drogi i podnosi rękę:

— Wracajcie natychmiast do koszar. W imieniu rządu upoważniony jestem do przekazania oddziałom wojskowym, że wszystkie rozkazy zostały odwołane.

I rozkłada szeroko ręce, pokazując, że przejedziemy tylko po jego trupie.

— Dostałem rozkaz od mojego komendanta i będę go wypełniał dopóty, dopóki on osobiście go nie odwoła — krzyczę.

— Odpowiecie za to przestępstwo! — Pułkownik pieni się ze złości. — Uprzedzam Was... Natychmiast wracajcie do koszar!

I odwraca się, jakby stała za nim co najmniej rota żołnierzy z kulomiotami, a nie samotny, niepewnie przestępujący z nogi na nogę lejtnant.

Malinowe wypustki i pułkownikowskie pagony mogły w owych latach spowodować grube nieprzyjemności, działałem jednak w absolutnej zgodzie z prawem i byłem przekonany o swojej racji:

— Z drogi, pułkowniku! Wykonuję rozkaz. A jak nie, to każę żołnierzom usunąć Was siłą!

Kiwnąłem na kierowcę, samochód ruszył, pułkownik odskoczył na bok, bezsilnie wygrażając pięścią.

Wkrótce bateria zajęła bojowe pozycje. Ogłoszono alarm bojowy. Wszystko ruszyło, obsługa dział odczepiała armaty od ciągników i wtaczała je do przygotowanych okopów, rozległ się terkot przenośnej elektrowni, przy lunecie już stał zwiadowca i obserwował niebo, spodziewając się ujrzeć nadlatującą armadę samolotów. Ale niebieskie niebo było nieskazitelnie czyste.

W ziemiance w punkcie dowodzenia radiotelegrafista monotonnie powtarzał: „Tu Klaźma... nastawiam odbiór... raz, dwa, trzy". I oto „jest łączność z Wasylem i Romaszką" (z punktów dowodzenia dywizji i okręgu). Przez radio trudno mówić otwarcie, trzeba szyfrować, ale wtem telefonista krzyczy, że ma połączenie. Biorę słuchawkę i raportuję naczelnikowi sztabu artylerii, że trzy baterie już zajęły pozycje bojowe. I słyszę nowy rozkaz:

— Na wszystkie bojowe pozycje baterii zawieźć komplet oprzyrządowania bojowego. Otworzyć składy, pobrać amunicję...

Dodam: w ciągu doby wykonaliśmy ogromny kawał roboty i jakoś uporaliśmy się z zadaniem. Przede mną tymczasem stawały dziesiątki nowych pytań. Czym nakarmić ludzi na pozycjach, zanim nie dowiozą produktów i nie przygotują palenisk? W jaki sposób zaopatrzyć punkty zaopatrzenia w benzynę i zatankować samochody? Całkowita niejasność sytuacji zbija z pan-

tałyku. Z radia płyną same pokojowe wiadomości — gdzieś tam są żniwa, wytapia się stal, odbywają się mecze piłki nożnej, Klaudia Szulżenko śpiewa o miłości... A my stoimy na bojowych pozycjach wokół Moskwy...

Tak (w gotowości bojowej!) spędziliśmy trzy dni. Trzeciego dnia z okręgowego punktu dowodzenia przyszedł nareszcie rozkaz „alarm odwołany" i wszystkie baterie poza dyżurnymi wróciły do obozowiska...

Dopiero 2 lipca doszły nas słuchy, że przyczyną wszystkiego był Beria. Wezwano go do prezydium KC, dokąd w ustalonym terminie przybyli generał K. S. Moskalenko i pierwszy zastępca głównodowodzącego moskiewskiego okręgu wojskowego, generał P. F. Batickij. Obaj uczestniczyli w aresztowaniu Berii, którego następnie przewieziono do sztabu moskiewskiego okręgu wojskowego i umieszczono w bunkrze, który służył jako okręgowy punkt dowodzenia. Berię zamknięto w niedużym pomieszczeniu. Ochronę sformowano spośród starszych oficerów.

W tym czasie dwukrotnie jeździłem do generała Batickiego do sztabu moskiewskiego okręgu wojskowego.

Po aresztowaniu Berii generała Moskalenkę mianowano dowódcą moskiewskiego okręgu wojskowego, a Batickij przejął po nim dowództwo PWO.

Po raz pierwszy przyjechałem do sztabu okręgu razem z dowódcą dywizji W. P. Szestakowem w październiku 1953 roku. Nasz polowy gazik zostawiliśmy na rogu. Dalej poszliśmy piechotą. Wejście do sztabu przypominało znaną fotografię Smolnego w 1917 roku. Na placu kolumnowym stały dwa ciężkie karabiny maszynowe z uzbrojonymi taśmami nabojowymi, koło nich siedziało na taboretach po dwóch strzelców. Koło budki strażniczej stało obok wartownika dalszych dwóch żołnierzy. Z prawej strony bramy w murze okienko biura przepustek, a koło niego znów uzbrojeni żołnierze. Gdzieś w pobliżu musiały być koszary wartowników. Któreś drzwi otwarły się, wyszedł z nich major z karabinem na piersi, a za nim dwóch starszych lejtnantów, też pod bronią.

Po uważnym sprawdzeniu dokumentów wystawiono nam przepustki, dyżurny kontroler czujnym okiem porównał nasze twarze z fotografiami w dowodach. Wreszcie weszliśmy na dziedziniec sztabu. Nad Moskwą wisiało ciemne nocne niebo, ale nieduży czworokątny dziedziniec pośrodku starodawnej budowli był jasno oświetlony umieszczonymi w koronach drzew reflektorami. Reflektory wybielały każdy kamień na dróżkach, ławki i niski żelazny płotek otaczający niewielkie wzniesienie pośrodku. Komendant dywizji niepostrzeżenie wskazał mi wzrokiem ten niepozorny wzgórek i zrozumiałem, że to właśnie jest bunkier, w którym zamknięto wszechmocnego do niedawna Berię.

W czterech kątach dziedzińca stały czołgi w pełnej gotowości. W każdym siedzieli czołgiści w hełmach i czarnych kombinezonach...

Po raz drugi byłem w sztabie dwa tygodnie później. Ochrona wyglądała jak za pierwszym razem. Tak jak poprzednio było bardzo niespokojnie... Dużo później opowiedział mi pułkownik Zinkin, który był wówczas zwykłym wartownikiem w komendzie generała Batickiego:

— Paskudna robota, przez wszystkie lata służby chyba nie było mi tak wstrętnie. Rzadki drań się trafił, wyjątkowo chamsko się zachowywał. Zdarzało mi się stać przed drzwiami, a tam wizjer. Ten łajdak klął, straszył i — wyobrażasz sobie?! — baby żądał! Obrzydliwiec jeden!

Czas mijał i historia z aresztem Berii nie tyle poszła w zapomnienie, ile w nawale codziennych zajęć zeszła na drugi plan. Mimo to różne myśli przychodziły mi do głowy.

Dlaczego np. Chruszczow postawił wojska obrony przeciwlotniczej w stan gotowości bojowej? Przecież w oddziałach podlegających bezpośrednio Berii nie było lotnictwa. Rozmyślam i dochodzę do wniosku, że był to absolutnie niezbędny krok.

Nie można chyba nie brać pod rachubę faktu, że w wojskach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Bezpieczeństwa było niemało szczerych stronników Berii, którzy wcale nie mechanicznie, a zupełnie świadomie bronili bardzo już w tym czasie przestarzałego systemu karnego.

Co by się stało, gdyby generał Moskalenko, człowiek wyjątkowo twardy i zdecydowany, nie zdążył przybyć do Moskwy ze swoimi karabinami maszynowymi zanim by tam dotarły wierne Berii pododdziały? Co by wówczas było? Oficerowie i żołnierze, generałowie i marszałkowie, ministrowie i robotnicy zaczęliby chyba wszyscy gorliwie i z zapałem podporządkowywać się dyktatowi Berii, na zebraniach partyjnych oburzeni komuniści potępialiby antypartyjne działanie „opozycji", wstawaliby i klaskali na dźwięk nazwiska nowego wodza.

Dziś, wiele lat po tamtych wydarzeniach, wiemy już jak dalecy byliśmy od jakiejkolwiek demokracji, jak silny był ówczesny system administracyjno-kierowniczy.

W listopadzie 1953 roku widmo Berii znów o sobie przypomniało. Byłem razem z sześcioma bateriami pułku w obozie, gdzie mieliśmy przeprowadzić ćwiczenia bojowe ze strzelania. Pod wieczór zatelefonowali do nas ze sztabu obozu szkoleniowego: „Przyjeżdżaj jak najszybciej, przeczytasz pewien ciekawy dokumencik".

Następnego dnia padał gęsty śnieg, zawierucha, wszystkie loty, także treningowe, zostały odwołane. Pojechałem do obozu do szefa sztabu. Otworzył sejf i wyjął z niego cieniutką broszurę w miękkiej szarej oprawie. Do broszury przypięta była spina-

czem lista. Znalazłszy na niej moje nazwisko, major postawił przy nim haczyk i podał mi broszurę:

— Czytajcie, towarzyszu podpułkowniku, dowiecie się wielu ciekawych rzeczy. — Ze skrępowaniem dodał: — Niemało świństw także. Mam rozkaz podać ten dokumencik do wiadomości. Podpiszcie listę i czytajcie w sąsiednim pokoju, ile dusza zapragnie.

Pośrodku strony widniało dużymi literami: „Podsumowanie aktu oskarżenia Berii z art.art. kodeksu karnego..." — po czym następowała lista artykułów, których oczywiście nie zapamiętałem. Ot co! Ogarnął mnie stan gorączkowego podniecenia. Nie pamiętam już całego tekstu, ale główne rozdziały utkwiły mi w pamięci.

Bezprawne prześladowania i egzekucja krewnych Sergo Ordżonikidze i niezliczone brudne występki zdeprawowanego marszałka bezpieczeństwa państwowego. Gwałty, narkotyki, zdrady, wykorzystywanie wysokiego stanowiska służbowego. Wśród ofiar — studentki, dziewczynki, kobiety odebrane mężom, mężowie rozstrzelani z powodu żon...

Czytam nie odrywając wzroku, nie robiąc przerw i nie myśląc. Najpierw jednym tchem, potem wolniej, nie wierząc własnym oczom, czytając niektóre fragmenty dwukrotnie. Nie wolno było niczego notować. Wyszedłem z pokoju, oddałem broszurę wesołemu majorowi, ten mrugnął:

— No, udał się Ławrentij Pawłowicz?

— Jakbym w szambo wpadł — odpowiedziałem.

Trząsłem się w samochodzie na wyboistej drodze, piłem herbatę w obozowej izdebce, wierciłem się w pościeli nie mogąc zasnąć, cały czas drążyła mnie myśl:

— Nie, niegłęboko drążysz, nieznany towarzyszu śledczy. O wiele rzeczy nie pytałeś albo nie chciałeś pytać głównodowodzącego bezpieczeństwa. A może sam się przeraziłeś, że w takie bagno leziesz? Oczywiście, zdradzone albo zgwałcone przez seksualnego maniaka ofiary wymagają pomsty, ale czyż to są jego główne ofiary? Dlaczegoś nie spytał, towarzyszu śledczy, gdzie się podziały tysiące uczciwych bolszewików i bezpartyjnych?

Przez głowę przemykały mi też heretyckie myśli, jak wszystko ładnie się składa: przyszedł Jeżow — rozstrzelał Jagodę, przyszedł Beria — wykończył Jeżowa, teraz nadeszła kolej Berii i znów wszystko pokryje tajemnica. A cóż z naszym wielkim wodzem, ten o niczym nie wiedział?

Jak mogło się zdarzyć, że taki psychopata, kat, zboczony łajdak, którego trudno w ogóle nazwać człowiekiem, znalazł się na samym szczycie piramidy partyjnej, obok najwyższego wodza? Powiedzmy, że Stalin nie chciał niczego widzieć. A inni członkowie Biura Politycznego? Czyż też nie widzieli? Niemożliwe! A jeśli widzieli, to czemuż milczeli?

Sąd nad Berią odbył się we wspomnianym bunkrze. Przewod-

niczył mu marszałek Koniew. Rozprawa trwała niedługo, wyrok wykonano w tymże bunkrze, a trupa spalono...

Nie piszę tu niczego odkrywczego. Publicystyka nasza dostatecznie już wyświetliła dramat przeszłości. Mimo to zdaje mi się, że świadectwo szeregowego uczestnika tych strasznych, po dziś dzień zatrważających wydarzeń ma dziś swoją wagę.

A. SKOROCHODOW
emerytowany pułkownik

Literaturnaja gazeta z 27 lipca 1988.

Józef GARLIŃSKI

NAJWAŻNIEJSZA ROCZNICA

W natłoku dat, obchodów, jubileuszów i rocznic najważniejsze — z naszego punktu widzenia — było 70-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości. Wiele się o nim pisało, dla nas jego waga nie budziła wątpliwości, ale obcy mogli to widzieć inaczej, bo nie tylko nasz kraj odzyskał wtedy wolność. Tym godniejsza uwagi była inicjatywa tak nam przyjaznej London School of Slavonic and East European Studies (uniwersytet londyński), która w dniach 15-17 grudnia ubiegłego roku zorganizowała na ten temat międzynarodową konferencję.

Przedsięwzięcie — wsparte finansowo przez Fundację Mateusza Grabowskiego — było trudne, bo zaproszono historyków z kilku krajów, reprezentujących sześć narodowości. Ze Stanów Zjednoczonych, obok inicjatora konferencji, dr. Paula Latawskiego, przyjechał prof. Eugene Black z *Brandeis University (Massachussets)*, z Brytyjczyków pojawili się prof. Norman Davies, docent Robert Service (obydwaj z Londynu) i dr John Leslie z Bristolu. Południową Afrykę reprezentował dr Antony Polonsky, wykładający na *London School of Economics*, z Danii przybył prof. Kay Lundgren-Nielsen. Ukraińską wizję polityczną reprezentował prof. Roman Szporluk, urodzony w Polsce, obecnie wykładowca na *University of Michigan* w Ann Arbor (USA), z Polski przybyli: prof. Zbigniew Landau i docent Wojciech Roszkowski, obydwaj z Głównej Szkoły Planowania i Statystyki w Warszawie. Emigracyjne prace historyczne reprezentowali: prof. Anna Cienciała *(University of Kansas)*, prof. Piotr Wandycz *(Yale University)* i ja — zaproszony indywidualnie, ale zarejestrowany jako wykładowca PUNO.

Ogólne omawianie przedmiotu przeważnie do niczego nie pro-

wadzi, podzielono więc tematykę na kilka podstawowych działów:

1. Mniejszości narodowe w odrodzonej Polsce,
2. Niepodległa Polska i problem Rosji bolszewickiej i Ukrainy,
3. Odbudowa władz państwowych i administracji,
4. Sprawa Polski w czasie pierwszej wojny światowej,
5. Rola wybitnych indywidualności i odbudowa Polski,
6. Polska sprawa na Konferencji Pokojowej w Paryżu, w 1919 roku.

Tylko w wyjątkowo sprzyjających okolicznościach nasza walka o wolność mogła się zakończyć sukcesem. Okoliczności te zaistniały, zaborcy bądź przegrali wojnę, bądź utracili siłę z powodu rewolucji i nadeszła nasza chwila. Tak, ale nie oznaczało to jeszcze, że zaistniała powszechna polska zgoda, że było oczywiste, jaka ta Polska będzie.

Dwie były zasadnicze koncepcje i o nich się na konferencji mówiło: wizja Józefa Piłsudskiego dążącego do federacji narodów, które wydobyły się z rosyjskich kleszczy, i plan polityczny Dmowskiego, widzącego Polskę narodową, obejmującą możliwie duży obszar, bo to gwarantowało samodzielność, ale bez sąsiednich państw, jak Ukraina i Białoruś. Powstanie ich automatycznie ograniczałoby polskie prawa do ziem, które powinny były znaleźć się w ramach odrodzonego państwa. Te dwie koncepcje wiązały się także z odmiennym spojrzeniem na środki, jakimi należało się posługiwać w dążeniu do swych celów. Piłsudski bardziej liczył na własne, polskie siły, Dmowski wierzył w siłę dyplomacji i pomoc zachodnich aliantów.

Ostatecznie plan Piłsudskiego musiał się ograniczyć do Ukrainy, bo państwa bałtyckie i Finlandia szybko zawarły z rewolucyjną Rosją pokój i nie chciały się wiązać z walczącą nadal Polską. Nieudana wyprawa kijowska przekreśliła nadzieje Piłsudskiego, ale ostatecznie jego indywidualność zaważyła w sposób decydujący na losach odrodzonego państwa. Stanął na jego czele, został także Naczelnym Wodzem, a później, po zamachu majowym, rządził nim aż do swej śmierci w 1935 roku. Dmowski w niepodległym kraju tylko przez kilka miesięcy był ministrem Spraw Zagranicznych.

Zetknięcie się historyków reprezentujących kilka narodowości sprawiło, że wykłady były różnorodne i przez to ciekawe. Zarysowały się dwa poglądy: pragmatyczny i bardziej wizjonerski, chciałoby się powiedzieć — romantyczny. Nasza historia jest właśnie taka, obok powstańczych zrywów były okresy pozytywizmu, pracy organicznej. Na pewno w okresie popowstaniowym była słuszna, ale nie ona doprowadziła do odzyskania niepodległości.

Dyskusja o mniejszościach musiała doprowadzić do polsko-ukraińskiej konfrontacji, ale „bez rozlewu krwi". Prof. Szporluk nie reprezentuje poglądów krańcowych, widzi konieczność polsko-ukraińskiej współpracy, a o granicach nie dyskutowaliśmy.

Zakończono konferencję dyskusją panelową, która potrąciła o wizję przyszłości. Historycy nie są prorokami i niechętnie wdają się w przewidywania, ale tutaj pozwoliliśmy sobie na odrobinę swobody i zgodnie uznaliśmy, że przyszła, bardzo jeszcze odległa, ale realna Zjednoczona Europa może przynieść naszemu krajowi prawdziwą wolność. Wtedy spory graniczne stracą ostrość.

Konferencja odsłoniła niestety naszą największą słabość: brak zainteresowania tym, co nasi przyjaciele dla nas robią. Jesteśmy na Zachodzie, konferencję zorganizowała szkoła należąca do wielkiego uniwersytetu londyńskiego, rocznica była jak najbardziej ważna, a krzesła przygotowane dla gości były puste. Z naszych instytutów historycznych, Sikorskiego, Piłsudskiego, Polski Podziemnej nie było nikogo. Tak samo nikt nie przyszedł z PUNO i Towarzystwa Historycznego oraz z ugrupowań politycznych i organizacji byłych żołnierzy. W listopadzie odbyła się uroczysta akademia dla nas samych i na tym koniec. Miejmy nadzieję, że nasi przyjaciele z *London School of Slavonic Studies* jednak się nie zniechęcą. Jej dyrektor, prof. Michael Branch, jest naszym wiernym przyjacielem, cykl wykładów zawsze obejmuje naszą problematykę.

Trzeba tu jeszcze raz podkreślić zasługi Fundacji Grabowskiego, którą kieruje prezes Andrzej Sczaniecki. Ona wspomaga szkołę finansowo, bez niej jej działalność byłaby ograniczona.

Jest nadzieja, że wykłady zgłoszone na konferencję 70-lecia niepodległości zostaną wydane przez największą angielską firmę wydawniczą, Mcmillan Press.

Józef GARLIŃSKI

Z. S. SIEMASZKO

JESIENNA (1988) SESJA NA POLSKIM WYDZIALE SCHOOL OF SLAVONIC AND EAST EUROPEAN STUDIES

Sesja zaczęła się od wykładu prof. Andrzeja Ajnenkiela z warszawskiego Instytutu Historii PAN-u, na temat „Problemy odzyskania polskiej niepodległości — organizowanie centralnych władz w Polsce". Specjalnie zamówiona większa sala była pełna. Angielscy eksperci spraw polskich, młodzi studenci, ludzie znani na emigracji i przedstawiciele władz PRL z ambasadorem na czele siedzieli zgodnie niedaleko od siebie. Już z pierwszych zdań wy-

kładu wynikało, że Profesor słabo zna angielski i za cicho czyta, trzymając tekst przy twarzy. Poziom głosu nie poprawił się po apelu z sali. Prelegent po prostu nie umiał publicznie czytać i nie zdawał sobie sprawy z tego, że jeżeli czyta się w słabo znanym sobie języku, to należy czytać wolniej i robić dłuższe przerwy między zdaniami, tak żeby słuchacze nadążyli z przetłumaczeniem „z naszego na angielski".

Stopniowo, na podstawie częściowego zrozumienia, dochodziłem do wniosku, że treść wykładu może i nie jest zła, ale nie został on nastawiony na londyńskiego słuchacza, że Profesor po prostu odczytuje jakąś warszawską prelekcję (przygotowaną może na mającą wówczas nastąpić za kilka tygodni konferencję „niepodległościową" w Warszawie, przetłumaczoną na angielski bez zmian. A tymczasem tekst powinien być przystosowany do słuchaczy. Na przykład, w Warszawie wystarczy powiedzieć „Daszyński" lub „Witos" i już względnie zorientowany słuchacz wie o co chodzi. Natomiast w Londynie trzeba operować opisami środowisk, np. „Socialists" albo „Peasant party", bo samo brzmienie nazwiska odstrasza angielskiego słuchacza. Czyżby Profesor nie zdawał sobie z tego sprawy?

W następnym tygodniu poszedłem na wykład z zaciekawieniem z powodu samej osoby wykładowcy — prof. Jaremy Maciszewskiego, rektora Wyższej Szkoły Nauk Politycznych i Społecznych, posła na sejm i przewodniczącego polskiej delegacji w polsko-sowieckiej komisji, która ma usuwać z historii plamy nie wiadomo dlaczego zwane białymi. Powinny nazywać się czerwone, a co najmniej czarne.

Wykład odbywał się wyjątkowo po polsku i był na temat właśnie tych czarnych plam. Został dobrze przygotowany i płynnie wygłoszony (a nie czytany). Prelegent wiedział co chce powiedzieć i kiedy chce zakończyć. Odnosiło się wrażenie, że znał temat dobrze, usiłował być bezstronny, brał pod uwagę różne aspekty i dążył do obiektywnego spojrzenia. Sądziłem, iż włożył wiele wysiłku w to, żeby przekonać słuchaczy, że negocjując z delegacją historyków sowieckich reprezentuje interesy narodu polskiego.

Z prelekcji tej wywnioskowałem, że w tych negocjacjach między sowieckimi i polskimi historykami chodzi w pierwszym rzędzie o usunięcie niedomówień między dwiema partiami komunistycznymi (KPZS i PZPR), a w szczególności o problem wymordowania wielu komunistów polskich w latach 30-tych. Możliwe, że ta sprawa zostanie wyjaśniona. Ale dla ogromnej większości narodu polskiego jest to zagadnienie marginesowe, tak jak marginesową była przed wojną rola Komunistycznej Partii Polski. Natomiast wątpię, żeby wyszła na jaw cała masa spraw, które zaczęły się najpierw od wkroczenia Czerwonej Armii w 1939 roku (Katyń, więzienia, łagry, deportacje ludności itd.), a potem od

wkroczenia już sowieckiej armii w latach 1944-1945 (sądzenia i łagry akowców i mordy lokalne jak np. w Augustowie).

Po wykładzie większość pytań była grzeczna. Jedynie dwa głosy były nieco ostrzejsze, ale prelegent wywinął się z nich lekko.

W dwa tygodnie później miał wykład prof. Jacek Woźniakowski z KUL-u, redaktor „Znaku", na temat „Kościół i katolicy w obecnej Polsce".

Woźniakowski mówił nieskazitelną angielszczyzną. Jak ktoś dowcipnie zauważył, popełnił tylko jeden błąd, a mianowicie użył złego akcentu w słowie „alcoholism".

Zachęceni tym wykładem poszliśmy następnego wieczoru na uroczystą prelekcję na cześć fundatora Mateusza Grabowskiego (jego fundacja umożliwia szereg studiów nad sprawami polskimi w SSEES). Jest to doroczna uroczystość w kanclerskiej sali University of London, która zwykle odbywa się przy licznym udziale Polaków londyńskich i Brytyjczyków, związanych ze sprawami polskimi lub wschodnio-europejskimi. W poprzednich trzech latach te wykłady Grabowskiego były wygłaszane przez profesorów Daviesa z Londynu, Zubrzyckiego z Australii i Wandycza z USA. W tym roku przywilej ten przypadł prof. Woźniakowskiemu z Krakowa, który mówił na temat „Idea narodowa w polskiej sztuce", pokazując szereg przeźroczy.

Prelegent koncentrował się głównie na stylu zakopiańskim, Młodej Polsce i na osiągnięciach obu Witkiewiczów.

Występ ten nie był niestety interesujący dla tutejszego audytorium, chociaż w Krakowie zakochanym w stylu zakopiańskim na pewno zrobiłby dobre wrażenie.

W parę tygodni później sam miałem zwykły, tygodniowy wykład w SSEES na temat losu Polaków w ZSSR w okresie ostatniej wojny. Trudno ocenić siebie samego, ale było około 50 osób i nikt w czasie wykładu nie wyszedł, więc chyba wypadło nieźle. Chociaż dyskusja nie była ożywiona, ale odniosłem wrażenie, że dla większości słuchaczy sprawy które omawiałem były tak nieznane, że zostali nimi zaskoczeni. Nieco zastanawiające było to, że wśród słuchaczy nie zauważyłem ani jednego przedstawiciela instytucji emigracyjnych — kombatanckich, naukowych, intelektualnych, czy też politycznych.

Następny wykład wygłosił prof. Philip Bell z University of Liverpool. Mówił o brytyjskiej cenzurze, propagandzie i publicznej opinii w związku z odkryciem grobów katyńskich w kwietniu 1943. Przyjemnie było słuchać wykładowcy kompetentnego, wielostronnego i dążącego do obiektywnej oceny ludzkich reakcji.

Chciałbym przytoczyć szereg stwierdzeń prof. Bella (zresztą to samo odnosi się do prof. Maciszewskiego), ale niestety programy tych seminariów SSEES zawierają stwierdzenie, iż wykłady na nich wygłaszane są *off the record*, czyli nieoficjalne i wypowiedzi w nich zawarte, jak również wypowiedzi w czasie dyskusji przez nie spowodowane, nie powinny być przytaczane w druku.

W kwietniu 1989 SSEES organizuje następną konferencję na temat sowieckiej okupacji Wschodniej Polski w latach 1939-1941, z udziałem znowuż kilkunastu prelegentów z kilku krajów włączając Polskę. (Osobiście będę mówić na temat deportacji ludności cywilnej).

Wreszcie na zakończenie należy wspomnieć, że program między Bożym Narodzeniem i Wielkanocą będzie zawierał wykład prof. W. Treadgold'a z University of Washington na temat „Rosyjsko-polska granica — przeszłość i przyszłość jej ustawowego znaczenia".

Z. S. SIEMASZKO

23 grudnia 1988

LAMENTY PODBIEGUNOWE

Dr R. L. Bojankiewicz z Kanady pisze w liście do nas: „Siedemdziesiąt lat temu oddziały Wojska Polskiego walczyły z bolszewikami na Murmaniu — stara to historia, wiem, ale właśnie historia. Załączone wierszyki czy piosenki znalazłem w aktach osobistych Ojca mojego, śp. ppłk. pilota Ryszarda Bojankiewicza".

Jeden z tych wierszyków (czy też jedną z tych piosenek) pt. *Lamenty podbiegunowe* przytaczamy jako wzruszający okruch historii, zachowując pisownię oryginału,

Straśnież to dziwy Boże apostolski
Wybrał się legun na obronę Polski
Chciał bronić kraju nieszczęśliwy legun
Obronił biegun.

Tak nami dziwnie kręci ręka Boża
Chciałeś mieć Polskę z dostępem do morza
Zdobyłeś dostęp swoim krwawym potem
Tam i z powrotem.

Zwiedziłeś bracie świata kawał srogi
W różnychżeś krajach poobijał nogi
Ażeś tu przyszedł stare mrozić gnaty
W kraj lodowaty.

Lecz tu cię straszna czekała udręka
Bo tu się bidny człowiek cięgiem lęka
Żeby mu koło nie spadło na głowe
Podbiegunowe.

Tu miast na koniach wprzód na psach jedzie
Tu krowim mlikiem dojom się niedźwiedzie
Tu wielgoryby rosnom co dwa kroki
I jeszcze foki.

Noc całom zime, że nie ujrzysz słońca
Bo nie chce wschodzić, w lecie znów bez końca
Wciąż jeździ z jednej w drugom nieba strone
Jak pomylone.

Więc bolszewickie przechytrzaj wybiegi
Pod Obozierikow lub w błotach Onegi
Marznij nad Dzwinom lub moknij dowoli
Na moście w Koli.

A gdy już z frontu powracasz nareście
Nie myśl że spoczniesz w jakim ludzkim mieście
Bo cię wpakujom o Matko Anielska!
Do Archangielska.

I znów tłuc mustre każom ci do maja
Różnym sposobem dajom dziwnom szkołe
A położenie takie nie wesołe
Marnie nastraja.

Zamiast jedzenia dajom nam bez przerwy
Przeróżne małpy i inne konserwy
Że niezadługo staniesz się na czysto
Konserwatystą.

A zamiast chleba suchary-galety
Co dentystyczne siedzom w nich zalety
Bo nieostrożnie włóż bestje do gęby
Wylecom zęby.

Waruj więc bracie i nie miej pretensji
Jak bez pół roku nie dostaniesz pensji
Choć przyjdzie wreście świecąc cielskiem gołym
Siąść pod kościołem.

A gdyby mi ktoś postawił pytanie
Czego chcę teraz to odpowiem na nie
Ja nie chce wiele tylko jedno wspomne
Życzenie skromne.

Z pruskiej korony zrezygnowałem
Mogę nie zaraz zostać generałem
Tylko nam bilet daj Boże łaskawy
Stąd do Warszawy.

LISTY DO REDAKCJI

Londyn, 15 stycznia 1989.

Szanowny Panie Redaktorze,

W notatce zatytułowanej „O decyzji opuszczenia Wilna w 1939 roku" *(Zeszyty Historyczne* nr 85) Piotr Łossowski usiłuje prostować rzekomo „bardzo tendencyjne i nieprawdziwe twierdzenia", zawarte w mojej pracy „Wojna polsko-sowiecka 1939 roku" (Londyn 1986), a dotyczące roli odegranej 18 września 1939 roku w Wilnie przez płk. Jarosława Okulicz-Kozaryna. Łossowski powołuje się na zachowany w Polsce juzogram rozmowy między Okulicz-Kozarynem a jego przełożonym, gen. bryg. Józefem Olszyną-Wilczyńskim. Wynika z niego, że Okulicz-Kozaryn chciał bronić Wilna przed agresją sowiecką, ale otrzymał, jak to określa Łossowski, „rozkazy" opuszczenia miasta bez walki. Łossowski uważa, że Liszewski „oparł się w tym wypadku na jednostronnych i niepełnych relacjach osób, które pragnąc swoją własną rolę przedstawić w jak najlepszym świetle, całą winą obarczyli płk. Okulicz-Kozaryna", którego określa jako „dobrego Polaka i dzielnego oficera".

Według Łossowskiego zachowany zapis rozmowy aparatem Hughesa dotyczy rozmowy odbytej między gen. Olszyną-Wilczyńskim w Grodnie a płk. Okulicz-Kozarynem w Wilnie ok. godz. 7-ej 18 września. Tymczasem według relacji pisemnej Alfredy Olszyny-Wilczyńskiej, wdowy po zamordowanym 22 września przez żołnierzy sowieckich generale, datowanej Paryż, 30. października 1939*, przyjazd generała (któremu cały czas towarzyszyła w samochodzie) z Pińska (gdzie zaskoczyła go wiadomość o inwazji sowieckiej) do Grodna miał miejsce dopiero ok. godz. 11-tej. Dlatego według relacji ppłk. Kazimierza Kardaszewicza interesująca nas rozmowa miała miejsce koło południa. Z drugiej strony, według relacji mjr. Romiszowskiego, cytowanej w mojej pracy (str. 276), rozmowa ta miała się odbyć gdzieś między godz. 9-tą a 10-tą, skoro Okulicz-Kozaryn wówczas wydał swój nowy, niefortunny rozkaz. Ta różnica 2-3 czy nawet pięciu godzin w sytuacji wojennej i w okolicznościach, gdy wypadki rozwijały się w błyskawicznym tempie i każda godzina miała swoje znaczenie, wymaga poważnego wyjaśnienia.

* Relacja ta, podobnie jak cytowana dalej relacja ppłk. Kardaszewicza, znajduje się w Instytucie im. Gen. Sikorskiego w Londynie (sygnatury: BI 70/A i BI 96/c.

Dalej, jak wynika z tekstu reprodukowanego przez Łossowskiego, w rozmowie generał w pewnym momencie powiedział, że „lepiej pójść po linii mojej *rady*" (podkr. — K.L.). Tu może jest klucz do oceny tego, jak w takich warunkach postąpić powinien był wyższy oficer, umiejący samodzielnie myśleć i natchniony duchem obrony własnego kraju. W wojsku, jak wiadomo, przełożeni wydają, zwłaszcza w warunkach bojowych, swoim podkomendnym *rozkazy*. Tam, gdzie dowódca (zresztą, dodajmy, w tym przypadku już w tym czasie człowiek całkowicie załamany) zaczyna operować radami, adresat ma pozostawioną sobie wolną rękę. W identycznej sytuacji, gdy tenże Olszyna-Wilczyński dawał „radę" demobilizacji gen. Wacławowi Przeździeckiemu (por. Liszewski, str. 276), ten jej nie przyjął, walczył z Sowietami i zostawił po sobie piękną kartę.

Dla pełnej oceny postępowania Okulicz-Kozaryna 18 września 1939 trzeba także choć krótko zastanowić się nad innymi sprawami, które Łossowski woli kompletnie pominąć. Przede wszystkim było przyjęte w Wojsku Polskim, że choć dowodzenie, siłą rzeczy, musiało być jednoosobowe, przed podjęciem w warunkach wojennych zasadniczych, skomplikowanych (i potencjalnie błędnych) decyzji, dowódcy różnych szczebli przeważnie zarządzali naradę ze swoimi bezpośrednimi podkomendnymi. Tymczasem w sytuacji wileńskiej, gdzie był w dowództwie Obszaru Warownego płk Kazimierz Rybicki (oficer równy Okuliczowi rangą i, delikatnie mówiąc, nie mniej od niego zasłużony, dwukrotny kawaler Virtuti Militari) oraz szereg podpułkowników, którzy chcieli walczyć, plus tysiące garnących się do obrony ochotników, Okulicz takiej narady nie przeprowadził. Mało tego, jak wspominam w mojej pracy (str. 276), kiedy płk Rybicki zgłosił się do Okulicza osobiście w tej sprawie, nie chciał on z nim w ogóle rozmawiać, bo „śpieszył na obiad do brata" *(sic!)*. Nie ma powodów nie wierzyć tu relacji płk. Rybickiego, który — w przeciwieństwie do Okulicza — powalczył jeszcze potem z Sowietami i odparł ich atak pod Oranami 21 września 1939 (Liszewski, str. 278).

Dalsze zarzuty poważnie obciążające Okulicza przytaczam na str. 276/277 mojej pracy. Na przykład wahanie się przez dziesięć minut, czy wydać rozkaz strzelania do zbliżających się do pozycji polskich czołgów sowieckich (zabronił poprzednio strzelać bez takiego rozkazu), skutkiem czego były one w stanie po prostu przejechać przez naszą linię obrony; nieodpowiedzialny rozkaz dany pod wieczór ppłk. Podwysockiemu; wreszcie szybkie usunięcie się z miasta, nawet nie doczekawszy raportu tego ostatniego.

Polska wojna obronna z września i początków października 1939 ujawniła pewnych dowódców wybitnych; z drugiej strony także takich, którzy nie okazali się na wysokości zadania. Na froncie niemieckim wymienić można w pierwszej grupie np. pułkowników Maczka i Prugar-Kettlinga (wkrótce potem awansowanych na Zachodzie na generałów brygady), z drugiej np. generałów Dąb-Biernackiego i Fabrycego. To samo było, jeśli chodzi o walki przeciw agresorom ze Wschodu. Odznaczyli się tam szczególnie generałowie Przeździecki i Orlik-Rueckemann, płk Epler i ówczesny ppłk Sulik. Nie popisali się natomiast generałowie Smorawiński i Olszyna-Wilczyński oraz interesujący nas tu płk Okulicz-Kozaryn.

Jest rzeczą zrozumiałą, że po dziesiątkach lat synowie niektórych owych wyższych wojskowych próbują usprawiedliwiać ówczesne postępowanie swoich ojców. Wyrazem tego był np. list do redakcji krakowskiego *Tygodnika Powszechnego* (26 października 1986) syna gen. Smorawińskiego, który kapitulował we Włodzimierzu Wołyńskim 19 września 1939 przed Sowietami bez walki, kiedy istniały tam możliwości choć krótkiej obrony, bo była dość liczna artyleria i amunicja (dodatkowe informacje w tej sprawie, uzyskane

dopiero niedawno od jednego z oficerów, przedstawię w następnym wydaniu mojej pracy). W notatce Łossowskiego wyczuwa się jakby pośrednią interwencję wymienionego w niej syna płk. Okulicz-Kozaryna. Najogólniej biorąc, choć przytoczony juzogram formalnie istotnie nieco odciąża jego ojca, zasadniczo negatywnej oceny jego działalności w Wilnie krytycznego 18 września 1939 zmienić jednak nie może.

Karol LISZEWSKI

◆

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Zapewne chochlik drukarski sprawił, iż w moim ostatnim omówieniu („Nowe książki", *Zeszyty Historyczne* nr 86) wypadło kilka wierszy, w których komentuję nową pracę Jerzego Jaruzelskiego, *Stanisław Cat-Mackiewicz 1896-1966: Wilno, Londyn - Warszawa* (Czytelnik, 1987). Pozwolę więc sobie je tutaj powtórzyć: „Jaruzelski, który zajmuje się Mackiewiczem i konserwatystami od dość dawna i ma już szereg cennych wydawnictw na swym koncie, dał nam przekonywujący portret Mackiewicza (chciałoby się powiedzieć, parafrazując Zbyszewskiego, „z przodu i z tyłu") a więc bez osłonek, choć z pewnym emocjonalnym zaangażowaniem. Jaruzelski pisze wartko i z dużą bezpośredniością. Jeśli wyczuwa się pewne sympatie do Cata, to nigdzie go nie apoteozuje. Listy z Ameryki podane w aneksie dają czytelnikowi dobrą próbkę prozy Mackiewicza i zbliżają go jeszcze bardziej do nas".

Wyrazy prawdziwego poważania i pozdrowienia łączę

Piotr WANDYCZ

◆

Paryż, 10 stycznia 1989.

Drogi Panie Redaktorze!

Bardzo proszę o zamieszczenie sprostowania błędu, jaki się wkradł do mojego opracowania pt. „Jacques Maritain o Polsce 1945 roku" w *Zeszytach Historycznych* nr 86, str. 234, wiersz 9 od dołu, który winien brzmieć: „polskiego z Londynu, a Francja i Alianci, powodowani tylko wymogami".

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz WYRWA

SPROSTOWANIE

W nrze 86-tym *Zeszytów Historycznych* przez pomyłkę nie podano w spisie rzeczy komentarzy Z. S. Siemaszki do opracowania A. Wertheima „Żydowska partyzantka na Białorusi".

SPIS TREŚCI

Piotr Skrzynecki: *Gdy umierał prezydent Raczkiewicz...* . . 3
Tadeusz Wyrwa: *Prymas Hlond we Francji 1940-1941* . . 17
Tadeusz Górski, MIC: *Błogosławiony Jerzy Matulewicz, biskup wileński* 31
Z. S. Siemaszko: *Odpowiadam ks. Górskiemu* 42
Edmond de Lafrené: *Syberyjski raport* 45

WSPOMNIENIA

Wywiad z Adamem Bieniem 67
Helge Tramsen: *Wrażenia z podróży do Katynia w 1943 r.* 155

DOKUMENTY

Ostatnia misja Hopkinsa w Moskwie 158
Kazimierz Narutowicz: *Relacja o działalności na polu stosunków polsko-litewskich* 176

POLEMIKI

Bogdan Stachiewicz: *Gen. W. Stachiewicz a kampania wrześniowa* 183

RECENZJE

T. W. Trejdosiewicz: *Wojna polsko-sowiecka 1939 roku* .. 197
Tadeusz Wyrwa: *Od Genewy do Jałty* 199
Emanuel Halicz: *Konserwatyzm polski a niepodległość w XIX wieku* 204
Jan Ciechanowski: *Brytyjskie gwarancje dla Polski* 207
Tomasz Łomża: *Historia w kasetach* 211
Edmund Jakubowski: *O Żmudzinach piszących i opisywanych* 215

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz Wyrwa: *Ambasador Papée o nastrojach w Watykanie w latach 1945-1946* 219
A. Skorochodow: *Przygotowania do wojny z Berią* 223
Józef Garliński: *Najważniejsza rocznica* 229
Z. S. Siemaszko: *Jesienna (1988) sesja na polskim wydziale Uniwersytetu w Londynie* 231
Lamenty podbiegunowe 234

LISTY DO REDAKCJI

Karol Liszewski: *Polemika z Piotrem Łossowskim na temat roli płk. Okulicz-Kozaryna w 1939 roku w Wilnie (patrz: „O decyzji opuszczenia Wilna w 1939 roku”,* Zeszyty Historyczne *nr 85)* 236
Piotr Wandycz: *Uzupełnienie recenzji książki J. Jaruzelskiego o St. Cat-Mackiewiczu* (Zeszyty Historyczne *nr 86)* 238
Tadeusz Wyrwa: *Sprostowanie błędu w art. „Jacques Maritain o Polsce 1945 roku”* (Zeszyty Historyczne *nr. 86)* 238

Achevé d'imprimer le 15 février 1989
sur les presses de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18e.
Dépôt légal : 1er trimestre 1989.
N° d'imprimeur 9425.